

CZARNA SERIA

A woman in a white dress stands in a dark, debris-filled room. The room is dimly lit with a blue glow on the left and a yellow glow on the right. The floor is covered in rubble and debris. The walls are dark and textured. The overall atmosphere is mysterious and unsettling.

arne dahl

MSZA ŻAŁOBNA

Ali-Baba

arne dahl

MSZA ŻAŁOBNA

przełożyła Dominika Górecka

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2013

SKAMIELINY, POMYŚLAŁ, wszędzie skamieliny. Zatrzymał się na ostatnim stopniu i przez chwilę stał w bezruchu.

Stopą zasłaniał dobrze sobie znany kształt rysujący się na czerwonej powierzchni granitowych schodów prowadzących do piwnicy. Z szurnięciem przesunął nogę o jakieś dziesięć centymetrów, odsłaniając odcisk łodzиковca, *Orthoceras*. Odlamek prehistorii zaśnił w bladym świetle nadchodzącego świtu sączącym się do środka przez brudne od sadzy okienko.

Spojrzał w górę na stalowoszare chmury i w nagłym przypływie jasności umysłu dostrzegł, że niebo nad nimi jest czyste. Błękitne.

Trwało to zaledwie ułamek sekundy. Potem niebo znów poszarzało, zaszło dymem z kominów i rur wydechowych samochodów.

Skamieliny pod stopami, nad głową, w płucach, w toczących krew żyłach.

Nie da się wymazać przeszłości.

Niebo znów może być błękitne, próbował przekonać samego siebie w myślach. Poklepał się po wewnętrznej kieszeni wytartej sztruksowej marynarki.

Przymknął oczy i wziął głęboki oddech. Powinien pewnie myśleć o śmierci. Był sobą zawiedziony: jego myśli nie krążyły wokół magicznej granicy oddzielającej życie od śmierci, tego szczególnego stanu, o którym nie dało się opowiedzieć słowami i którego doświadczyć można było tylko samemu. Nie doznał boskiej iluminacji, nie olśniła go odwieczna prawda, nawet życie nie przeleciało mu przed oczami.

Zaśmiał się. Niby co takiego miałoby mu przelecieć przed oczami? Może w jego życiu nie wydarzyło się nic, co by było warto oglądać? Pustka, jedno wielkie nic, które nie zostawiło najmniejszego śladu w korze mózgowej.

Ani śladu po jego bezwartościowym życiu.

Przypomniały mu się dinozaury. Nieistniejący już świat, po którym przyszły następne. Ciała wielkich gadów zapadające się

w ziemię, zamieniające się powoli w ropę, węgiel i gaz, które spoczywają w spokoju, aż ktoś dosięgnie ich swoim wiertłem i spali, wysyłając trujące szczątki w niebo.

Niebo przysyłają zwęglone szczątki wymarłych dinozaurów.

Roześmiał się. Cicho, jak za pierwszym razem. Przesunął palcami po kopercie wsuniętej do wewnętrznej kieszeni marynarki i pomyślał o liczbie trzy. O trzech mapach i trzech nieżyjących braciach, braterstwie zawiązanym w milczeniu w piwnicy, jasnych umysłach w płomieniach piekła.

Tato, pomyślał.

Uchylił ostrożnie drzwi do piwnicy. Poczul na skórze surowy, wilgotny chłód przedwiośnia, a może tylko się go domyślał, bo przecież niczego już nie czuł, nawet ciężkiego od wilgoci, tak bardzo berlińskiego zapachu. Myślami był już gdzie indziej.

Czasem niektóre zmysły zastępują inne, mniej potrzebne. Teraz potrzebował tylko słuchu i wzroku. Nigdy już nie poczuje zapachu, smaku, dotyku. W drodze do skrytki zdąży jeszcze tylko coś zobaczyć i usłyszeć. Na kilka ostatnich sekund życia wróci mu czucie. Miał nadzieję, że nie będzie ich zbyt wiele.

Mój Boże, pomyślał i wyrzwał na zewnątrz. Nikogo nie zauważył. Nie zaskoczyło go to. Potrafili być niewidoczni. I jedni, i drudzy.

Obie drużyny.

Możliwe, że było ich więcej.

Pierwsze godziny doby, pomyślał. Czyli które?

Gdy wychodził ostrożnie na ulicę, spojrzał ostatni raz na skamielinę na schodach. Pomyślał: moje jedyne zwierzątko.

Nie miałem innej rodziny.

Skrytka, pomyślał. Teraz tylko to się liczy.

To była boczna uliczka, obskurna i ciemna, idealna na rozbój. Niewidoczna. Tajemne przejście do sekretnego miejsca.

Pewnie i tak je znają.

Pewnie czekają już, przyczajeni, na swoich pozycjach.

Pewnie już w chwili gdy ruszył pod górę, zaczęli iść za nim.

W mieście nie było wielu wzniesień, tak naprawdę znał tylko to jedno. Z jego szczytu roztaczał się widok na to, co powstało w wyniku realizacji ludzkich fantazji.

Wizje przeniesione do rzeczywistości niewiele się różnią od koszmarów.

Dawniej kochał to miejsce, mikroskopijnych rozmiarów park z jedną tylko ławką, z której widać było mur – ziemię niczyją bardziej przesiąkniętą obłędem niż naszpikowaną minami. Choć tych ostatnich też nie brakowało.

Teraz jednak się nie zatrzymał. Szedł szybkim krokiem przez opustoszałe miasto. Wkoło ani żywej duszy.

Tam w dole, w obłokach szarej mgły, spalonych kopalni, szczątków dinozaurów, widać mur znikający w odmętach szarego nieba. Wschodzące słońce z trudem przebijało się przez szarugę. Zobaczył je dopiero, gdy się obrócił.

Bo przecież słońce wstaje na wschodzie.

A jego wzrok skierowany był na zachód.

Gdy obracał się w stronę słońca, zauważył, że w znieruchomiałym mieście coś się poruszyło. A może tylko mu się wydawało. W ciągu ostatnich tygodni w jego głowie zaroilo się od demonów i z każdą chwilą pojawiały się kolejne, w miarę jak przybywało ich wokół niego. A może było na odwrót.

Nie potrafił odróżnić wewnętrznych demonów od tych krążących wokół niego.

Były ich całe chmary.

Boże, skrytka. Był jeszcze daleko. Jeszcze nie teraz, zaczekajcie, dajcie mi jeszcze chwilę. Wydłużył krok, nie wolno mu było jednak zacząć biec. Wówczas zrozumieliby, że ich zauważył, i zwyczajnie by go zgarnęli. Rozpętałoby się piekło.

Wciąż jeszcze zwlekali. Czekali. Nie do końca rozumiał na co.

Poklepał się raz jeszcze po wewnętrznej kieszeni – tam gdzie wciąż biło jego serce. Pod dziennikiem i trzema skrawkami papieru wsuniętymi do jasnobrązowej koperty.

Gdyby nie to bijące serce, nie byłyby nic warte. Trzy zwykłe kartki papieru.

Trzech martwych braci, dla których niemal był ojcem.

Tato, pomyślał. Gdybym tylko mógł cię spotkać.

Gdybyś mógł to zobaczyć, pomyślał i postanowił jeszcze trochę wydłużyć krok. Powiódł wzrokiem ponad miastem. Obdrapane fasady pojedynczych ocalałych kamienic,

zaniedbane szare miasto ruin pod jeszcze bardziej szarym niebem. Nie tego chciałeś. Teraz to wiem. Teraz, kiedy wreszcie przeczytałem twoje słowa.

Chciałeś czegoś więcej.

A ja miałem tylko to. To jest moje miasto, przecina je mur, który biegnie też przez moją głowę. A moje ciało wypełniają skamieniałe szczątki.

Tylko raz udało mu się wyjechać z miasta, do Moskwy, na spotkanie z przeszłością.

Żeby zmienić przeszłość.

Wciąż jeszcze nie widział parku. Gdy tylko zobaczy pierwsze czubki drzew, zacznie biec. Nie wcześniej. Teraz chodziło już tylko o to, *kiedy* go zatrzymają. Kto to robi, nie miało aż takiego znaczenia.

Do parku prowadziły trzy drogi, znał je na pamięć. Oni pewnie też, ale wciąż jeszcze mógł ich oszukać. W każdym razie wciąż istniała taka *możliwość*.

Czysto teoretycznie.

Raz jeszcze zerknął przez ramię. Jakiś człowiek – lub raczej szybki ruch w kierunku bramy. Przez chwilę został mu po nim ślad na siatkówce. Powidok.

Wiedział, kim są. Te ich starannie skrojone garnitury, jakby chodzili do tego samego krawca. Ci z bratniego kraju mieli inne, jakby w ogóle nie korzystali z usług krawców.

Rosyjskie garnitury. Wszystkie takie same.

Wciąż nie widział czubków drzew. Wschodzące słońce przebijało się przez szarość. Wciąż ani żywej duszy.

Nie licząc ich. Przestali się chować? Wydaje mu się, jakby dobrze skrojone garnitury okrążyły go ze wszystkich stron. A może są tylko w jego głowie?

Są, dwie postacie. Wyraźne sylwetki na tle matowej tarczy słońca. Już nie muszą się ukrywać.

Teraz. Przeskoczył ogrodzenie, przebiegł przez plac zabaw, przeskoczył mur, skręcił w boczną uliczkę i pobiegł ile sił w nogach.

Druga z trzech dróg prowadzących do parku.

Kroki. Usłyszał kroki. Chrząst żwirowanych ścieżek. Zdązysz,

możesz zdążyć. Wciąż jeszcze możesz zdążyć.

Skreślił za róg i pobiegł bezszelestnie wzdłuż większej ulicy, znów skreślił, dalej przez podwórze, przebiegł przez budynek pralni, na drugą stronę. Kroki ucichły.

Nie miał pewności, nie mógł się jednak zatrzymać, żeby to sprawdzić. Wciąż nie widział czubków drzew.

Mimo to się zatrzymał. Przyłgął do ściany i oparł się o drzwi wejściowe, głęboko osadzone w murze. Nasłuchiwał. Kompletna cisza. Wyrżał.

Pięćdziesiąt metrów dalej jakiś mężczyzna zamiatał ulicę. Co on tu robił? Kto o tej godzinie zamiata ulicę? Przez chwilę wydawało mu się, że spod niebieskiego kombinezonu wystaje fragment taniego robotniczego garnituru.

Pobiegł w drugą stronę. Nareszcie. Zza ścian budynków wychynęły kołyszące się wierzchołki drzew.

Były tam? Nie było ich?

Niczego nie był już pewien. Liczyła się tylko skrytka, koperta w lewej wewnętrznej kieszeni. I pistolet w prawej.

Biegnie, patrzy do tyłu. Mężczyzna z miotłą zniknął. Odgłos szybkich kroków. Kurwa mać. Robotnicze garnitury.

Przed nim jest park. Blisko, daleko; daleko, blisko. Nie wie, nie potrafi ocenić. Już tylko biegnie.

Kroki. Ktoś biegnie. Gdzie? Skąd? Za nim, przed nim?

Wbiega do parku, między drzewa, tam gdzie jest ich najwięcej. Ktoś gdzieś biegnie. Gdzie? Proszę, jeszcze nie teraz. Najpierw koperta, skrytka, drzewo, najpierw muszę schować kopertę.

Nie możecie mnie teraz zobaczyć, skurwysyny.

Wybiega z parku, teraz mu lżej. Każdy krok to zwycięstwo. Każda kolejna chwila przy życiu. Jest już na ulicy, biegnie jak szalony. Asfalt trzeszczy. Mężczyzna z miotłą. Dostrzega go kątem oka.

Cholera, jakie to wszystko głupie.

Jest ich czterech: mężczyzna z miotłą i jeszcze trzech, w robotniczych garniturach. Nie ucieknie im, nawet nie próbuje. Chce tylko znaleźć się jak najdalej od skrytki. Każdy krok jest zwycięstwem.

Blżej, są coraz bliżej. I nagle zatrzymują się w miejscu. Dlaczego? Biegnie dalej i już rozumie. Widzi sylwetki na tle przybrudzonej tarczy słońca, której wciąż nie widać w całości. Widzi linie dobrze skrojonych garniturów. Zatrzymuje się, obraca. Mężczyzna z miotłą i ci trzej wieśniacy czekają, po chwili powoli ruszają ku niemu. Stojnisie też. Z przeciwnej strony.

Stoi pośrodku, bez szans na ucieczkę.

Za jego plecami znajduje się kościół. Opuszczona świątynia służąca za magazyn ziemniaków. Rozpoznaje go. To tutaj został ochrzczony.

Gdybym tylko potrafił się modlić.

Do ciebie, Boże, w którego nie wierzę.

Czas się zatrzymał.

Odetchnął. Uśmiechnął się. Może nawet roześmiał. Przykucnął, oparty plecami o zimną po nocy ścianę kościoła. Nagie fasady. Żadnej alternatywy. Prawa kieszeń. Nie istniał żaden plan B.

Wyjął pistolet. Umrze, nie zabije.

Przykucnął, pistolet dotknął ziemi. Rysował nieznane kształty. Spojrzał w prawo. Banda z miotłą szła w jego kierunku. Wsioki. Patrzyli już na coś innego, na czterech elegancików z lewej. Spojrzał w ich kierunku.

Nie patrzyli na niego. Jakby przestali go zauważać.

W tej samej chwili zaczął strzelać. W obu kierunkach, wysoko, ponad ich głowami. Chciał umrzeć, nie zabić.

Zginę, ale nikogo nie zabiję, pomyślał i strzelił.

Nie dostaną mnie, pomyślał. Tak postanowił na samym początku. Inaczej wszystko by z niego wyciągnęli.

Został mu jeden nabój.

Zachował go właśnie na tę chwilę. Zaczekał jeszcze, obserwował ich reakcje. Drgnęli, widział to wyraźnie. W chwili gdy otworzył usta i włożył w nie lufę, nagle wszystko zrozumieli.

Stanowczo za późno.

Tato, pomyślał.

I niebo zaszło błękitem.

VIGGO NORLANDER nie był policjantem. Nie dziś. Nie w tę piękną niedzielę w połowie marca.

Dziś był opiekunem. Jakiegoś wariata. Jakiegoś szaleńca, który był gotów jechać na koniec świata po jakieś starocie, zamiast jak człowiek jechać do Ikei.

– Zobaczysz, spodoba ci się – odezwał się szaleniec. – To będzie taka rodzinna wycieczka.

– Stul pysk – odpowiedział jak zawsze taktownie Viggo Norlander.

Obie rodziny zajęły miejsca w starym minibusie marki Toyota Picnic. Dziewięć osób na rodzinnej wycieczce do Roslagen. I tylko jedna miała dobry humor.

Wariat, oczywiście.

Który, co gorsza, siedział za kierownicą i świetnie się bawił. Prowadził koszmarnie – co do tego cała ósemka była zgodna.

Siedzący obok Viggo Norlandera białogłowy wariat posiadał szczególną umiejętność życia we własnym świecie i jednocześnie był przekonany, że żyją w nim również wszyscy inni. Rozejrzał się i zawołał wesoło w kierunku zasępionych pasażerów:

– Spójrzcie, jak skrzy się śnieg na dachu kościoła Roslags-Bro! Tak to musiało wyglądać, gdy zimą w 1150 roku krzyżowcy wracali do domu po krucjacie do Finlandii. Jak w raj.

– Lepiej patrz na drogę, Arto – upomniała go z tylnego siedzenia jego zaniepokojona żona.

Wcześniej trzykrotnie zwracała mu uwagę, że droga jest wyboista i kręta i że samochód zjeżdża do rowu, ale Arto Söderstedt jej nie słyszał.

Miała na imię Anja i była wyjątkowo wyrozumiałą kobietą. Tylko czasami sprzeciwiała się pomysłom męża, a może po prostu była realistką i rozumiała, że i tak nie ma to większego sensu. Siedziała na fotelu za mężem, spoglądając co chwilę na siedzącą obok dziewczynę Viggo Norlandera, Astrid. Jej dwie córeczki – Charlotte i Sandra – wyglądały, jakby za chwilę

miały wyskoczyć ze swoich fotelików, ale ona sama zdawała się oazą spokoju. Była tylko wściekła na Viggo za jego kąśliwe uwagi.

– Nic nie rozumiesz, Astrid – powiedział Viggo Norlander, gdy w sobotni wieczór udało im się wreszcie położyć dziewczynki do łóżek. Chwilę wcześniej urządził im konkurs skakania po materacach, po którym padł z wycieńczenia, a ona w nagrodę zrobiła mu awanturę.

– Czego niby nie rozumiem? – zapytała Astrid tonem, który tylko wydawał się łagodny.

Viggo Norlander postanowił mimo wszystko zaryzykować:

– Wymyślił sobie, że kupi jakieś stare biurko na aukcji, gdzieś w połowie drogi do Norrland. O co chodzi? Może lepiej pojechalibyśmy do Ikei po szafki do łazienki?

– Mnie się ten pomysł podoba – powiedziała Astrid, wzięła łyk wina i odchyliła się w kanapie niegdyś kawalerskiego mieszkania na Banérgatan. Viggo zrozumiał, że decyzja już zapadła. Reszta wieczoru upłynęła w ponurej ciszy.

Astrid spojrzała na Anję i wywróciła oczami. Był to najbardziej uniwersalny znak używany przez kobiety na całym świecie, znak, który zawsze oznaczał to samo: „Faceci!”. I przelamywał wszelkie bariery językowe.

Z tyłu auta nikt nie wywracał oczami. Tu protesty były znacznie wyraźniejsze i głośniejsze. Z piątki dzieci państwa Söderstedt wolne dostały tylko dwie najstarsze córki – Mikaela i Linda. Peter, Stefan i mała Lina musieli jechać z rodzicami. Gdy akurat się nie bili, siedzieli nadąsani.

Z jakiegoś powodu na przednich siedzeniach samochodu odgłosy awantur słyszał tylko Viggo Norlander. Próbował nie zwracać na nie uwagi, oddając się lekturze samochodowego atlasu Szwecji. Bez powodzenia. Nie wolno mu było nawet wrzasnąć, w końcu to nie były jego dzieci. Ich ojciec siedział za kierownicą i tylko głupio się uśmiechał.

– Wariat – syknął Norlander.

W odpowiedzi Arto spojrzał na niego nieobecny, rozanielonym wzrokiem i powiedział:

– Koniec zimy, najpiękniejsza pora roku. Śnieg leży na

polach jak puder, a tu i tam układa się w obłoki. Spójrz, jak pięknie, Viggo! Oderwij się na chwilę od mapy i wyrzyj przez okno!

Norlander miał już na końcu języka swoją ulubioną replikę: „Stul pysk”, ale gdy wyrzał przez okno, słowa uwieźły mu w gardle. Na zewnątrz było rzeczywiście pięknie. Promienie nisko zawieszono słońca kładły się na pierzynie ze śnieżnej waty cukrowej, a rozległy krajobraz Roslagen jaśniał odbitym światłem i mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Przy krawędzi lasu, gdzie płatki śniegu muskały gałęzie drzew, podskakiwała młoda sarenka. Brakowało tylko łosia.

Zawsze to samo. Od lat Söderstedt rozbrajał Norlandera w ten sam, niezauważalny sposób. Po tym przeklętym fińskim pajacu nigdy nie było widać, że bawi się w słowne gry ze swoim starym kumplem z jednostki specjalnej policji do zwalczania przestępczości międzynarodowej, znanej jako Drużyna A. Chodziło tylko o to, żeby Norlander podniósł wzrok, jak choćby teraz, znad atlasu.

Znów mu się udało. I to, wydawać by się mogło, bez najmniejszego wysiłku. Norlander wyrzał przez okno i odleciał. Nie mógł oderwać wzroku od zimowego krajobrazu.

Nie potrafił więc ocenić, ile czasu upłynęło, zanim z letargu wytrąciło go pianie koguta, które okazało się znajomym głosem z fińskim akcentem:

– Tamtaram!

Minivan nagle zahamował, a potem zajął miejsce w długim rzędzie innych samochodów zaparkowanych na skraju drogi. Zatrzymał się, lekko podskoczył, znów się zatrzymał, odskoczył w bok i znów się zatrzymał. Cała dziewiątka jeszcze przez chwilę siedziała bez ruchu, po czym – jakby w jakimś cichym porozumieniu – zgodnie uznała, że również tym razem udało im się nie wjechać do rowu.

Söderstedt wyskoczył z auta, wspiął się na próg drzwi i poklepał ostrożnie zakupiony specjalnie na tę okazję bagażnik na dachu toyoty. Na wszelki wypadek pociągnął za solidne gumowe pasy ściągające. Wyglądało na to, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Norlander wyskoczył z auta prosto do rowu i zapadł się po pas w śniegu.

Nikom z pozostałych pasażerów wydostających się z samochodu nawet nie drgnęła powieka na odgłos serii siarczystych przekleństw. Po chwili zza auta wyłoniła się biała, rozwścieczona postać.

– Yeti – szepnął Peter Söderstedt do młodszego brata i obaj zakrztusili się ze śmiechu.

Czteroletnia Charlotte Olofsson-Norlander, od urodzenia permanentnie zdziwiona światem, wskazała palcem na swojego ojca i zapytała:

– Mamusiu, co się stało tacie?

– Oślepił go śnieg – powiedziała Astrid Olofsson, chwytając córki za ręce.

Wkrótce dołączyli do niej pozostali. Söderstedt i Norlander szli na samym końcu.

– Daj spokój, Viggo. Co dzień spotykają nas jakieś nieszczęścia. Wystarczy, że się z tym pogodzisz, a życie znów stanie się piękne.

Norlander się zatrzymał, miał wrażenie, że za chwilę eksploduje. Spojrzał na swego dziwnego kolegę i ze zdziwieniem stwierdził, że mija mu złość. Söderstedt miał zwyczajnie rację. Roześmiał się, zrobił krok do przodu i powiedział:

– No to powiedz coś więcej o tym swoim cholernym biurku.

– Już mówiłem – powiedział Söderstedt. – Nie słuchałeś.

– Wytlumacz mi, bo nie rozumiem, w czym niby jakieś zbutwiałe biurko sprzed dwustu lat miałoby być lepsze od nowego, porządnego biurka z Ikei.

– To prawdziwe cacko, Viggo. Niemieckie barokowe biurko z mnóstwem wymyślnych szufladek i skrytek. Ze śladami użytkowania, jak mnie uprzedzono, ale pachnące historią. Osiemnastowieczne biurko z Niemiec. Wyobraź sobie, ile przeżyło. Pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy przy nim siedzieli, i o wszystkim, co leżało w tych szufladach. Stajesz się częścią pewnej historii.

– Po prostu potrzebujesz biurka.

– Nie – powiedział Arto Söderstedt i przyjrzał mu się uważnie. – Nie o to chodzi. – Spojrzał na zegarek, była druga. – Zostało jeszcze pół godziny do początku aukcji – powiedział. – Zdążyliśmy przed czasem.

Doszli do końca długiego rzędu samochodów i stanęli przed wejściem na teren gospodarstwa. Dom stał w szczerym polu, a jedynym powodem, dla którego zjechało się tu tak wiele samochodów, była wiosenna aukcja, o której informował koślawy napis na niewielkiej tabliczce. Miała się odbyć właśnie tego dnia, szesnastego marca, o godzinie trzynastej.

Ich rodziny zniknęły. Na progu domu stał tęgi, brodaty mężczyzna i przyglądał im się z wyższością. Gdy Arto Söderstedt i Viggo Norlander podeszli bliżej, machnął od niechcenia ręką w lewą stronę. Utkwili w nim wzrok i zaczęli, aż łaskawie zechce wyjaśnić:

– Przenieśliśmy aukcję na zewnątrz – odezwał się z charakterystycznym lokalnym akcentem. – Jest piękna pogoda. Aukcja jest na tyłach domu, traficie po śladach.

Rzeczywiście, ślady znaleźli bez problemu. Lewa strona podwórza wyglądała, jakby przebiegło przez nią stado bydła. W ciągu ostatnich kilku lat zainteresowanie antykami i starociami znacznie wzrosło. Söderstedt wiedział, że to zasługa telewizji, która nadawała obecnie co najmniej kilka programów poświęconych antykom. Nawet on dał się w to wciągnąć. Niemal zawsze miał ten sam scenariusz: wszystkowiedzący, roześmiani rzeczoznawcy omawiali dokładnie historię każdego przedmiotu, podczas gdy jego właściciel przestępował nerwowo z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać, kiedy ten świr przestanie wreszcie gadać i przejdzie do sedna: ile wart jest ten badziew?

Możliwe, że był odrobinę niesprawiedliwy. Być może naprawdę istniał jakiś związek między rosnącym zainteresowaniem historią Szwecji a szałem na punkcie staroci.

Zastanawiał się tylko, co było powodem tego zainteresowania.

A już najbardziej – w jakim stopniu wpłynie to na cenę biurka. Czy mógł pierwszy rzucić kamieniem?

Gdy obaj ojcowie zniknęli za rogiem, Peter i Stefan zabrali się do rzucania śnieżkami w małą Linę, a Charlotte do nacierania śniegiem swojej młodszej siostry Sandry. Matki stały odwrócone plecami kilka metrów dalej, całkowicie pochłonięte rozmową, nie mieli więc wyboru, musieli interweniować. To znaczy wydrzeć się.

Nie odniosło to jednak spodziewanego efektu, a gdy prowadzący aukcję wrócił z – jak się okazało – krótkiej przerwy, skierowali uwagę na co innego. Dzieciaki mogły rozrabiać do woli.

Przed werandą od strony ogrodu wystawiono liczne przedmioty, między którymi biegał mężczyzna w kaszkiecie, ani na chwilę nie przestając mówić. Wokół było pełno ludzi. Co chwilę licytowano jakiś nowy przedmiot i Söderstedt zaczął się niepokoić, że zwyczajnie przegapi swoje biurko.

– Kupa śmieci – szepnął mu do ucha Norlander.

– Wśród nich są prawdziwe perły – odpowiedział mu szeptem Söderstedt. – Spójrz na ten serwis.

Serwis – wyglądał na rörstrand z początku lat dwudziestych, kompletny, dwadzieścia cztery elementy – został sprzedany za skromne dwa tysiące koron i Söderstedt poczuł, że ogarnia go spokój. Nic nie zapowiadało zacieklej licytacji.

Wokół niego robiło się coraz tłoczniej – masa ludzka zdawała się przemieszczać, ale możliwe też, że gęstniała. Oni wszyscy chcą kupić moje biurko, pomyślał Söderstedt. Co najmniej dziesięciu handlarzy antykami ze Sztokholmu przyjechało tu tylko po to, żeby podbić cenę.

Jednak po dokładniejszej analizie sytuacji znów się uspokoił. Zebrani wokół niego ludzie wyglądali zupełnie normalnie i nie wydawali się koneserami zaprawionymi w wyszukiwaniu okazji.

Nie wiedział natomiast, gdzie są dzieci. Wychodził jednak z założenia, że matkom wrócił rozsądek i że pogodziły się z tym, że ponoszą za nie odpowiedzialność. Chwilowo on sam odpowiadał tylko za zdobycie niemieckiego barokowego biurka, wykonanego prawdopodobnie w 1764 roku w Lipsku w warsztacie słynnego stolarza Weissenbergera.

– Panie i panowie – zawołał prowadzący aukcję – przed państwem kolekcja ręcznie tkanych dywaników z lat czterdziestych. Przykład najpiękniejszej sztuki ludowej z najwyższej półki.

Spod lewego ramienia Söderstedta wyłoniła się drobna, pomarszczona staruszka po siedemdziesiątce:

– Obrzydlistwo! – syknęła.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie mają za grosz wyczucia – wyjaśniła. – Sposób, w jaki mieszają śmieci z prawdziwymi antykami, świadczy o ich absolutnej nieznajomości tematu.

– Czyż to nie na takich aukcjach można znaleźć prawdziwe skarby? – odparł Söderstedt, rozglądając się daremnie za Norlanderem, żeby ewentualnie skorzystać z jego ulubionej repliki.

– W rzeczy samej – odezwał się męski głos z prawej strony. – Za chwilę wystawią prawdziwy rarytas. Biurko. Licytacja rozpoczyna się o czternastej trzydzieści.

Arto Söderstedt spojrzał uważnie na mężczyznę i kiwnął głową.

– Zamierza pan wziąć w niej udział? – wykrztusił.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Miał na oko pięćdziesiąt lat, był wysportowany i dosyć przysadzisty.

– Nie sądzę – powiedział. – Interesują mnie przede wszystkim sztucce. Sztucce i dzbanki. Choć kto wie?

– A ja chyba tak – odezwała się staruszka. – Słyszałam, że cena wywoławcza to dwa tysiące.

– Ja słyszałem o półtora – powiedział Söderstedt, któremu coraz bardziej zaczynała się podobać ta rozmowa.

– Jest czternasta dwadzieścia sześć – powiedział mężczyzna, spoglądając na zegarek. Söderstedt od razu zwrócił na niego uwagę: był to stary rolex, prawdopodobnie z końca lat pięćdziesiątych. Oyster perpetual.

– Ładny zegarek – zauważył Söderstedt.

– Rolex – odpowiedział mężczyzna, uśmiechając się pod nosem.

– O czternastej czterdzieści trzy odbędzie się licytacja

kompletu sztucców z końca wieku – wtrąciła się staruszka. –
Może to coś dla pana.

- Czemu nie – powiedział mężczyzna i zniknął w tłumie.
- Wolałam się go pozbyć – wyjaśniła staruszka.
- Dlaczego? – zdziwił się Söderstedt.
- Rolex – prychnęła.

Söderstedt przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Nagle staruszka chwyciła go za ramię i szepnęła:

- Zaczęło się. Jeden na jednego.

Prowadzący aukcję zerwał teatralnym gestem koc ze sporego mebla stojącego na krawędzi werandy. Rzeczywiście, biurko było nieco podniszczone – kilka odłamanych zdobień, wymieniona noga, parę wyraźnych pęknięć, brakowało też kilku uchwyty i gałek – mimo to prezentowało się naprawdę wspaniale.

Arto Söderstedt odłożył na ten cel pieniądze na założonym w tajemnicy przed resztą rodziny koncie. Nie miał zamiaru dać się pokonać starszej pani – ani też nikomu innemu na świecie.

– Cena wywoławcza dwa tysiące koron! – zawołał prowadzący.

Hm, zastanowił się Arto Söderstedt. Prowadzący mówił dalej na wydechu:

– Przyznaję państwo, że to śmieszna cena jak na takie arcydzieło, w końcu nie można wykluczyć, że biurko służyło Goethemu i Beethovenowi do pracy nad ich największymi dziełami. Pomyślcie państwo: *Faust*, *Dziewiąta symfonia*, i dopiero wtedy zaczynicie licytować!

Staruszka podniosła dłoń, zerkając zawadiacko na Söderstedta.

– Kogo ja tu widzę – powiedział prowadzący, wskazując na staruszkę. – Dwa tysiące od pani Laury ze znamienitego antykwariatu Antyki Laury na Östermalmie w Sztokholmie. Pani Laura dobrze rozumie, że ta oferta to prawdziwa gratka.

Cholera jasna, pomyślał Arto Söderstedt i łypnął zawistnie na staruszkę. Nic tu po mnie.

– Trzy tysiące – powiedział, siłąc się na obojętność, i podniósł rękę.

– Trzy tysiące – powiedział prowadzący, wskazując na Söderstedta. – Dziękuję. Oczywiście licytujemy dalej.

– Pięć – zawołała pani Laura odmienionym głosem. Głosem profesjonalistki.

– Pięć i pół – doszedł ich głos z tyłu. Söderstedt obrócił się i zobaczył mężczyznę w prążkowanym garniturze i ręcznie wiązanej muszce w kratkę. Ze wszystkich stron otaczali go starzy wyjadacze. A on niczego nie zauważył.

Pewnie właśnie tak działają profesjonalisci.

– Czy pięć tysięcy to, państwa zdaniem, cena godna tego arcydzieła? – zawołał prowadzący aukcję, wyraźnie urażony.

– Sześć – powiedział Söderstedt i ze strachem pomyślał o tym, co stanie się w ciągu najbliższych minut.

– Siedem – powiedziała Laura bez zmruczenia oka.

– Osiem – odezwał się mężczyzna z muszką za ich plecami.

Chryste, pomyślał Arto Söderstedt, przeklinając w myślach swoją naiwność. Jak mógł sądzić, że uda mu się kupić biurko za mniej niż piętnaście tysięcy? To wszystko, co miał, a pieniędzy, które na wszelki wypadek wyjął z konta rodzinnego, wołał nie ruszać.

Lepiej nie.

Raczej nie.

– Dziewięć tysięcy – powiedział, a jego głos odbił się dziwnym echem po rozległym podwórzu. Niedługo ucichnie, a on będzie musiał wrócić do samochodu i wysłuchiwać szyderczych uwag przez całą drogę powrotną na Södermalm.

Co za lipa.

Że też muszę pracować w budżetówce.

Że też, kurwa, muszę być policjantem.

Spojrzał przez lewe ramię w oczekiwaniu na to, co zaraz usłyszy z ust starszej damy o imieniu Laura.

Nikogo jednak nie zobaczył.

Rozejrzał się zaskoczony dokoła, ale nigdzie jej nie było. Dziwne, pomyślał.

– Dziesięć tysięcy koron – doszedł go z tyłu pewny głos mężczyzny w muszce.

– Jedenaście! – krzyknął Söderstedt i poczuł, że w jego głosie

zaczyna pobrzmiwać desperacja.

Czy to nie są tak zwane luksusowe problemy, przeleciało mu przez myśl, gdy czekał na nieuchronną replikę właściciela kraciastej muchy.

Nie nadeszła. Zrobiło się zupełnie cicho.

Pięknego, późnozimowego popołudnia nie zmałił żaden dźwięk ani nawet ruch. Czas się zatrzymał. Młotek prowadzącego aukcję zawisł w powietrzu. Jego usta zamarły, jakby już nigdy nie miało z nich popłynąć żadne słowo. Arto Söderstedt był pewien, że mężczyzna nie żyje. Że właśnie tak wygląda śmierć. Że ten człowiek zszedł, że unosi się poza rzeką czasu. Zatrzymał się w chwili śmierci i pozostał tak na zawsze. Każda upływająca sekunda wypełnia się duchami, które nie mogą już wejść z powrotem do rzeki czasu. Niekiedy tylko można usłyszeć ich krzyk z otchłani, która pochłonęła je na wieki.

Śmierć jak kadr z filmu.

Jednak nie tym razem. Tym razem była to chwila szczęścia. Właśnie tak wyglądały, gdy dobiegał pięćdziesiątki. Daleko im było do erotycznych snów, w których dwa wtulone w siebie ciała przeszywa jednoczesny orgazm. Nic z tych rzeczy. To była dziecinada. Choćby nie wiedzieć jak bardzo starał się temu zaprzeczyć, jego szczęście miało teraz charakter materialny, by nie powiedzieć: materialistyczny. Była to radość z powodu posiadania rzeczy.

Spodziewał się, że to uczucie ma swoją ciemną stronę, ale nie miało. Szczęście, które poczuł w chwili, gdy dobiegł go słowotok prowadzącego, nie miało granic.

– Ależ proszę państwa! – zawołał. – Czy możemy pozwolić na to, żeby to wspaniałe dębowe biurko zostało sprzedane za marne jedenaście tysięcy? Czy to się godzi w tak znamienitym towarzystwie?

Tak, pomyślał Söderstedt i o mało co nie krzyknął tego na głos. Słowo zatrzymało się na końcu języka i wróciło. To byłoby nie na miejscu.

– Skoro tak – westchnął prowadzący aukcję – proszę pozwolić, że złożę gratulacje panu o niespotykane jasnych

włosach z siódmego rzędu. Po raz pierwszy... po raz drugi... po raz trzeci. Sprzedane!

Arto Söderstedt, unosząc się w powietrzu, przedzierał się przez tłum ludzi i jednocześnie rozglądał się za swoim kolegą. Dotarł na miejsce, zapłacił i szukał dalej. Nożeż kurwa, Viggo, pomyślał. Teraz potrzebuję tylko siły twoich mięśni. Reszta jest mi zbędna.

– Udało się? – usłyszał dobrze sobie znany męski głos za plecami.

Na twarzy Norlandera pojawił się cwany uśmiech, którego Söderstedt nigdy wcześniej nie widział. Zamrugnął oczami i wskazał głową na mebel, przy którym stało już trzech roślących tragarzy, zacierając dłonie.

– Łap – powiedział tylko.

I Viggo Norlander złapał. Biurko było naprawdę ciężkie, więc pozostali trzej tragarze, a tym bardziej Arto Söderstedt, mieli pewne problemy z utrzymaniem równowagi.

– Wariat – powiedział Norlander i pociągnął mebel razem z tragarzami. W odruchu czystego instynktu samozachowawczego tłum rozstąpił się niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

– *Make a hole!* – zakrzyknął jak w amerykańskich filmach o U-Bootach.

Skreślili za róg, gdzie czekały na nich ich rodziny. Dzieci były całe w śniegu, a ich matki toczyły swoją niekończącą się rozmowę obojętne na to, co działo się dokoła. Dziwne zgromadzenie ruszyło w kierunku samochodu.

Na schodach werandy siedział mężczyzna w prążkowanym garniturze i wiązanej muszce w kratkę, rozcierając piszczel. Podniósł wzrok na Söderstedta i pogroził mu palcem.

– Następnym razem czysta gra, panowie! – zawołał.

Söderstedt zatrzymał się i spojrzał na niego zaskoczony. Po chwili zachichotał.

Viggo, mój Viggo.

Ten twój tajemniczy uśmieszek...

Widać nie tylko z twoich mięśni mogę mieć pożytek.

Viggo jak gdyby nigdy nic zajął się ładowaniem biurka na

dach starej toyoty. Söderstedt nie zdążył nawet dobiec, a już mebel znalazł się na bagażniku. Norlander wskoczył do wozu od strony kierowcy.

Arto Söderstedt podziękował każdemu z tragarzy banknotem dwudziestokoronowym i eleganckim gestem zaprosił resztę rodzinnej wycieczki do minivana. Panie nawet na niego nie spojrzały. Zastanawiał się, czy w ogóle wiedzą, gdzie są.

Wspiął się na próg, żeby założyć gumowe mocowania. Norlander zrobił to samo z drugiej strony. Spojrzeli na siebie spomiędzy sterzących do góry nóg biurka.

– Dziękuję – powiedział Arto Söderstedt.

Viggo Norlander uśmiechnął się przebiegle i powiedział:

– Wariat.

3

MEŹCZYŻNA SPOJRZAŁ NA ZEGAREK. Miał go od wielu lat i zawsze mógł na nim polegać. Również teraz.

W tym kluczowym momencie.

Oparł się o kierownicę i patrzył na Skeppargatan. Ulicą szła elegancka blondynka koło czterdziestki z niebieską paczką pod ręką. Odprowadził ją wzrokiem i przez chwilę myślał o innej jasnowłosej kobiecie. Zobaczył ją, jak stoi wpatrzona w lazurową zatokę, otulona chustą, jak obraca się do niego i patrzy mu w oczy, a w jej spojrzeniu widać coś na kształt szczęścia. W kolejnym ujęciu widzi jej siną twarz i oczy, które niemal wyszły z oczodołów.

Nie. Precz.

Kilku pracowników służb miejskich ubranych w pomarańczowe kombinezony brnęło przez zasy, śmiejąc się i pokrzykując. Zaczekał, aż przejdą.

Powtórzył w myślach cały scenariusz – cały plan, wszystko musi idealnie pasować, każdy najmniejszy szczegół. Kolejny raz, na wszelki wypadek. Mężczyźni w kombinezonach szli powoli, niczym duchy z przeszłości, dawno minionych czasów.

Jakby nie miał dosyć własnych.

Po chwili Skeppargatan opustoszała.

Mężczyzna z zegarkiem wysiadł z samochodu i zrobił kilka kroków w kierunku drzwi. Wbił kod i wszedł do środka. Klatka schodowa utrzymana była w stylistyce secesji, ładnie odnowiona, wyłożona grubymi dywanami i lampami z oryginalnym szkłem. Wiele się zmieniło od ostatniego razu. Wiele się zmieniło od czasów, gdy żył tu swoim życiem na niby.

Nie mógł nie darzyć sympatią eleganckich zabudowań Östermalmu sprzed przełomu wieków. W końcu czym byłyby bez nich Sztokholm?

Wiedział, że zsymp nie był równie elegancki. Dolna komora, do której spadały śmieci, nie była miejscem, które właściciele mieszkań mieliby kiedykolwiek potrzebę odwiedzać. Nie

musieli nawet wiedzieć o jego istnieniu. Z ich punktu widzenia śmieci rozpląwały się w powietrzu, gdy tylko znalazły się w kanale zsywowym. Nie musieli myśleć o ciemnym, śmierdzącym pomieszczeniu kilka metrów pod ziemią. Dopóty, dopóki wszystko działało jak należy. Dopóki śmieciarze niepostrzeżenie usuwali odpadki produkowane przez wyższe klasy.

„Ponieważ pieniądź jako istniejące i potwierdzające się w rzeczywistości pojęcie wartości zamienia i podmienia wszystkie rzeczy, jest on powszechną *zamianą* i *podmianą* wszystkich rzeczy, a więc światem na opak, zamienianiem i podmienianiem wszystkich ludzkich i przyrodniczych cech”.

Mężczyzna z zegarkiem uśmiechnął się; z jego ust prawie wydobył się dźwięk. Pamięć lubi płatać człowiekowi figle. *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne* Karola Marksa z roku 1844, z okresu paryskiego. Słowa, które miały w sobie moc, jeszcze zanim przerodziły się w dogmaty i stały wymówką do nadużywania władzy i przemocy.

Wzdrygnął się i ponownie rozejrzał. Zszedł pół piętra, postawił torbę przed drzwiami i spod laptopa, spomiędzy łomów, dłut i innego żelastwa wyłowił niewielkie urządzenie, którego końcówkę wsunął do zamka. Otworzył drzwi, wślizgnął się do środka i zamknął je za sobą. Jakby go tam nigdy nie było.

Piwnica była nawet przyjemna: biedna, ale schludna kuzynka eleganckiej, secesyjnej klatki schodowej. W powietrzu unosił się lekki zapach ziemi, wspomnienie chłopskiej przeszłości. W półmroku kryły się jeszcze jedne drzwi, zupełnie niepozorne. Mężczyzna z zegarkiem podszedł do nich i powtórzył operację z urządzeniem.

Znajdował się wewnątrz dolnej komory zsyphu. Nawet tutaj zapach nie był specjalnie irytujący. Być może dlatego, że śmieci były często wywożone. A może nawet ich śmieci pachniały lepiej od innych.

Schował się za jednym z kontenerów i przeszedł w dobrze sobie znany stan. Stan czuwania. Tętno spadło, oddech się uspokoił, aktywność mózgu zmalała do minimum, wszelkie ruchy zamarły. Za dawnych, dobrych czasów myślał o tym jak o

wegetacji. Skrajna bierność poprzedzająca ekstremalną aktywność. Ziarno słonecznika w skutej lodem ziemi.

To było dawno temu. Teraz były inne czasy.

Mijały minuty. Mężczyzna z zegarkiem zastygł w bezruchu. Jego ciało pamiętało, niczego nie zapomniało. Był do tego stworzony. Reszta była nieważna. Nie miała żadnego znaczenia.

W jego ciele tykał wewnętrzny zegarek. W zasadzie nie potrzebował innego, zawsze mógł na nim polegać.

Podobnie jak na zegarku na rękę. To była jedyna rzecz poza nim samym, która nigdy go nie zawiodła.

W tym najbardziej zakłamanym ze światów.

Spojrzał na perłową tarczę zegarka. Cieniutka wskazówka odmierzała sekundy z lewej strony, wędrując między indeksami w kształcie diamentów.

Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem.

Życie, pomyślał. Dlaczego potoczyło się tak, a nie inaczej?

Zobaczył jasnowłosą kobietę z chustą na ramionach, wpatrzoną w lazurową wodę.

Cztery, trzy, dwa, jeden.

Był czwartek dwudziestego marca, godzina 10.40.

POSTAĆ ZE SZTAFAZU. Dziwne określenie.

Pochodzące od niemieckiego słowa *Staffage* weszło do języka szwedzkiego w połowie dziewiętnastego wieku, z początku jednak używane było wyłącznie w odniesieniu do malarstwa. Sztafaż to niewielkie postacie ludzkie lub zwierzęce, które uzupełniają wymyśloną przez artystę scenę, aby ją nieco ożywić.

Jeszcze pod koniec tego samego wieku słowo to zaczęło być używane również w innych sytuacjach, jako określenie osoby, która odgrywa podrzędną rolę.

Nie potrafiła się od niego uwolnić.

Cilla Hjelm była zmęczona, śmiertelnie zmęczona grą na drugim planie, tym, że była zawsze w cieniu, niewyraźna, bez charakteru.

To od tego się wszystko zaczęło.

Od dnia, w którym stała się postacią ze sztafażu.

Nie była pewna, ale podejrzewała, że stało się to ponad dwadzieścia lat temu, gdy na świat przyszły jej dzieci: Danne i Tova. W tym samym momencie zniknęła ona sama. W centrum znaleźli się wszyscy poza nią. Gdy Paul zaczął awansować w policji, poczuła, że musi odzyskać utracone terytorium i znów być sobą. Coś jednak poszło nie tak. Próbowwała być kimś, kim była dwadzieścia lat wcześniej, kiedy jeszcze rozumiała samą siebie. Ponieważ jednak nie była już tą samą osobą, doszło do wewnętrznego konfliktu, któremu towarzyszył emocjonalny chaos.

Postanowiła, że od tej chwili ona i jej potrzeby znajdą się w centrum. Nie wiedziała jednak, czego chce, a przepaść między nią a Paulem coraz bardziej się pogłębiała. Jego potrzeba intymnej bliskości była tak wielka, że powodowała w niej uczucie osaczenia, czuła się przyparta do muru, pozbawiona dróg ucieczki. W końcu nie miała już czym oddychać. Mogła przebywać z kimkolwiek, byle nie z nim, odrzucała wszystko, co

w jakiś sposób należało do jego sfery, żeby móc stworzyć coś, co byłoby tylko jej. Nagle w jego sferze znalazł się również seks, był jego domeną, a ona musiała mu odmawiać, żeby całkiem nie zatracić samej siebie. Chwilami czuła się jak prostytutka.

To była kropla, która przepełniła czarę. Paul nie wytrzymał narzuconego mu celibatu i któregoś dnia najzwyczajniej w świecie zniknął – spakował swoje rzeczy i wyszedł z mieszkania.

W głębi serca czuła zawód.

Od tego dnia minął już prawie rok. Życie wracało powoli na swoje dawne tory.

Być może wina nie leżała tylko po jego stronie.

Dopiero niedawno zdała sobie z tego sprawę i nie czuła się z tym najlepiej.

Byłoby prościej, gdyby wszystko było jego winą.

Cilla Hjelm zmieniła pracę i była teraz ordynatorem oddziału w klinice chirurgii plastycznej w Sophiahemmet na Östermalmie w Sztokholmie. Praca była dużo spokojniejsza, w poprzedniej po prostu się *wypaliła*, nie mogło być inaczej. Żeby pomagać innym, trzeba najpierw pomóc samemu sobie, a właśnie tego nie potrafiła.

Zostawiła ciężką pracę na ostrym dyżurze i wieczne nadgodziny i znalazła się w świecie odsysania tłuszczu, powiększania piersi i naciągania skóry twarzy. Lepsze pieniądze, spokojniejsze tempo, bardziej przyjazna atmosfera i korzyść społeczna w zasadzie bliska zera. O ile wcześniej czuła się trochę jak Florence Nightingale i przynajmniej do pewnego stopnia była idealistką, teraz stała się wyrachowaną realistką.

Rozwój? Niekoniecznie. W każdym razie nie brakowało jej na życie.

Był czwartek przed południem, a ona szła powoli do pracy ulicą Skeppargatan. Był to jeden z dwóch dni, kiedy zaczynała później; pracowała na część etatu i nie potrzebowała więcej. W drodze z metra przy Östermalmstorg do Sophiahemmet na Valhallavagen – jej codziennej trasie – chciała jeszcze wejść do banku, żeby uratować oszczędności z kilku tonących funduszy. Dom szeregowy w Norsborgu został już spalony, a jej

codzienne koszty utrzymania były stosunkowo niskie. Głównie dlatego, że mieszkała sama. Nie zdecydowała się na odświeżenie kontaktów z płcią przeciwną. Nie miała na to ochoty, jej popęd seksualny był w zaniku. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze się odrodzi. Była jak strawiony ogniem las.

Choć przecież mówi się, że pożar bywa korzystny dla lasu. To znaczy pod warunkiem, że nie strawi go całkowicie.

Od czasu do czasu miała jeszcze Tove, która jutro kończyła osiemnaście lat. Jej dziecko stawało się pełnoletnie. Większość kryzysów wieku nastoletniego miała już za sobą. Cilla przycisnęła mocniej niebieską paczkę do piersi. Kupowanie sukienki dla osiemnastoletniej dziewczyny wymagało nie lada odwagi. Znalazła chyba odpowiednią, w sam raz na lato. Tova stawała się elegancką kobietą, widziała to jako matka, i dlatego sprzeciwiała się jej pomysłom, żeby po prostu ruszyć w świat. Paul był w tej kwestii stanowczo zbyt wyrozumiały.

Paul, no tak, Paul...

Czy nie mogli tego jakoś inaczej rozwiązać? Czy nie mogli próbować odnaleźć się na nowo i pozwolić, by rozwój wydarzeń działał na ich korzyść, a nie przeciwko nim? Wszystkie te mocne słowa, werbalne nadużycia. Jego starannie dobrane złośliwości.

I to jej powtarzane w kółko „nie”, odpowiedź na wszystko. „Nie” jako klucz do tożsamości.

Skręciła ze Skeppargatan na Karlavägen, weszła do banku i pobrała numerek do kasy. Była szósta w kolejce, działały dwie kasy. Nie powinno to zająć więcej niż dziesięć minut, najwyżej kwadrans. Na sofach rozstawionych w wyłożonej marmurem, klimatyzowanej sali nobliwego banku na Östermalmie czekało pięć osób. Brakowało tylko ściszonej muzyki.

Poczuła się jak w swojej klinice.

Myśli biegły dalej, dopiero nabierały tempa. Nie potrafiła tego zatrzymać, nie wiedziała, skąd się brały. Czy to dlatego, że jej najmłodsza córka miała jutro stać się dorosła? W końcu był to jej *ostatni dzień w roli matki*. Ostatni dzień w roli, która stanowiła jej jedyną tożsamość.

Czy powinna winić kogoś poza samą sobą? Zrobiła z Paula kozła ofiarnego, powtarzała sobie, że wszystko złe, co spotkało ją w życiu, stało się z jego winy. Przez długi czas chciała już tylko nie musieć go oglądać, nie widzieć go, a on miał zająć się całą resztą. Chciała tylko spać. Pracować, spać i spotykać się z przyjaciółkami, których życie było lepsze niż jej własne i którego dzięki nim mogła posmakować i stać się jego częścią.

Wszyscy mieli lepiej niż ona.

Rozległ się charakterystyczny dźwięk i na diodowym ekranie wyświetlił się kolejny numer, trzasnęły drzwi. Na sofach czekały już tylko cztery osoby, dwie stały przy kasach.

Przypomniał jej się wywód Paula na temat kobiecej seksualności. Co takiego dzieje się z kobietą, gdy postanawia nie mieć już więcej dzieci? Gdy jej mężczyzna nie ma przed nią tajemnic, gdy są ze sobą naprawdę blisko. Co się wtedy dzieje? No tak – kobieta zaczyna się nudzić.

Gdy nie ma tajemnicy, kobieta popada w apatię. I gdy już urodzi dzieci. Kobięca seksualność istnieje tylko w obliczu niewiadomego. Nieznanego mężczyzny, nieznanych dzieci. W przeciwnym wypadku zanika.

Naturalnie wszystkiemu zaprzeczyła. Bzdura. Naiwne opowiadki mężczyzny przechodzącego kryzys wieku średniego. Zwykły męski szowinizm.

„Nie znam ani jednego dłuższego związku, w którym mężczyzna nie popadłby w końcu w seksualną frustrację” – powiedział.

Klasyczna wojna płci.

Sama przed sobą musiała jednak przyznać, że nie do końca rozumiała swoją seksualność. To było takie skomplikowane. Wszystko z czegoś wynikało, każde doświadczenie było kolejną nicią układającą się w sieć przeszkód: dzieciństwo, lata nastoletnie, dorosłość, macierzyństwo. Dla niego sprawa była prosta. Miał ochotę na seks. Kropka. Ona widziała to inaczej.

Zygmunt Freud poświęcił całe życie na zrozumienie kobiecej seksualności. Gdy był już po siedemdziesiątce, wyrwało mu się w rozmowie z Marie Bonaparte: *Was will das Weib?* – Czego chce kobieta? Przyznał, że ani trochę nie zbliżył się do

odpowiedzi.

Poza tym był męską szowinistyczną świnią.

Cilla wyjęła komórkę, najnowszy model wyposażony w aparat fotograficzny z zoomem. Otworzyła listę kontaktów i wyświetliła numer Paula. Być może przez przypadek. Miała do niego cztery numery. Do mężczyzny, z którym się rozwiodła, choć z formalnego punktu widzenia rozwód nie był jeszcze prawomocny. Numer służbowy do Biura Spraw Wewnętrznych, numer stacjonarny jego mieszkania na Söder, numery służbowej i prywatnej komórki.

Dlaczego miała cztery numery do byłego męża?

I dlaczego wciąż nazywała się Hjelm?

Kolejny numer, kolejna osoba, zostały jeszcze tylko trzy.

Na ekranie telefonu, tuż nad numerem służbowej komórki Paula Hjelma, zegarek pokazywał godzinę 10.39. Nie, właśnie przeskoczył.

Na 10.40.

Nie potrafiła uwierzyć w to, co stało się chwilę później. Nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę.

Dwóch zamaskowanych mężczyzn, komendy wydawane po angielsku. Leżała przyciśnięta twarzą do marmurowej podłogi i patrzyła, jak przyklejają plastikowe opakowania do ścian. Słyszała ryk pistoletów maszynowych. I widziała odłamki potłuczonego szkła.

Aha, pomyślała. To stąd ta gonitwa myśli. Bo za chwilę umrę.

Cilla Hjelm przestała być postacią ze sztafażu.

W CENTRUM DOWODZENIA stał telewizor. Oczywiście nie powinno go tam być. Noszące tę nieco ironiczną nazwę pomieszczenie, w którym jednostka specjalna policji do zwalczania przestępczości międzynarodowej, szerzej znana jako Drużyna A, odbywała swoje narady, nie należało do miejsc, w którym oglądało się telewizję. Dziś jednak telewizor był włączony.

A do tego wszyscy obecni patrzyli w ekran.

No tak, sytuacja była dosyć wyjątkowa.

Zaczęła się wojna.

Znowu.

We wtorek osiemnastego marca prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki George W. Bush postawił dyktatorowi Iraku Saddamowi Husajnowi ultimatum. Saddam i jego synowie dostali czterdzieści osiem godzin na opuszczenie Iraku – w przeciwnym razie kraj czekała wojna. Bush twierdził, iż nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że Irak dysponuje bronią masowego rażenia i że wspomagał, szkolił i chronił terrorystów. W ciągu kilku miesięcy przygotowań Stany Zjednoczone zmobilizowały dwieście trzydzieści pięć tysięcy żołnierzy wzdłuż granic Iraku, Wielka Brytania czterdzieści pięć tysięcy, a Australia dwa tysiące. Pozycje zajęły dziesiątki wozów bojowych i około sześciuset myśliwców.

Czterdzieści osiem godzin właśnie minęło. Na Irak spadły pierwsze bomby. Właśnie teraz. Rano. W czwartek dwudziestego marca. Tuż przed świtem czasu irakijskiego około czterdziestu pocisków manewrujących i nieznaną liczbą sterowanych satelitarnie bomb uderzyło w stację telewizyjną, urząd celny i inne budynki państwowe o charakterze publicznym na południowych przedmieściach Bagdadu. W wystąpieniu telewizyjnym prezydent Bush oświadczył, że poranne bombardowanie Bagdadu było początkiem *Operation Iraqi Freedom*.

Właśnie tego wystąpienia słuchali członkowie Drużyny A, pogrążeni w nabożnym milczeniu jak uczniowie siedzący grzecznie w ławkach. Przemawiał prezydent George W. Bush, najdziwniejsza forma życia, jaką do tej pory wydała na świat amerykańska demokracja.

– *Operation Iraqi Freedom* – powtórzył Arto Söderstedt tonem pozbawionym emocji, tak często pobrzmiewającym w tym pomieszczeniu, który był spadkiem po poprzednim szefie, przebywającym obecnie na emeryturze Janie-Olovie Hultinie.

Przez kolejne pół godziny nic więcej nie powiedzieli.

– A jeśli tak rzeczywiście jest? – odezwał się głos, którego właściciel przeszedł ostatnio zasadniczą przemianę. Jon Anderson, najmłodszy członek Drużyny A, brał od niedawna czynny udział we wszystkich dyskusjach. Co więcej, niektóre z nich sam prowokował. Niecały rok wcześniej ten szorstki, nieprzystępny młody człowiek otarł się o śmierć, kiedy został kilkakrotnie pchnięty nożem w czasie pobytu w Polsce, w Poznaniu. Wówczas coś się zmieniło – nastąpił jego bolesny, ale niezbędny do życia *coming out*. Nie krył się już ze swoim homoseksualizmem i jak się okazało, nie spotykały go z tego powodu żadne przykrości. Płakała tylko jego mieszkająca w Uppsali matka. Z zaskoczeniem stwierdził, że jego do bólu konserwatywny ojciec dużo lepiej poradził sobie z tą informacją. Może to po nim odziedziczył cechy charakteru.

Söderstedt łypnął na Andersona i zapytał:

– A jeśli co, proszę?

– A jeśli to przyniesie Irakowi wolność? – zastanowił się Jon Anderson.

Söderstedt wzruszył ramionami.

– Bush słucha się potentatów naftowych – powiedział obojętnym tonem. – Położyli łapy na miliardach z teksańskiej ropy. Dobrze wiedzą, że światowe zasoby ropy wystarczą na najwyżej pięćdziesiąt lat i że do tego czasu większość nich znajdzie się w rękach muzułmanów. Teraz ich głównym celem jest obsadzenie marionetek w rządach jak największej liczby krajów muzułmańskich. Nie przebiegają w środkach. Być może pamiętacie moje słowa sprzed paru lat, gdy Drużyna A była

jeszcze młoda...

– Takie myślenie to próba usprawiedliwienia rządów dyktatorskich – wtrącił Anderson. – Nie znam ani jednego irańskiego geja, który by teraz nie skakał z radości.

– Pewnie to samo można powiedzieć o kobietach – powiedziała Lena Lindberg, najświeższy nabytek Drużyny A.

– Zastanawiam się, czy ucisk kobiet za rządów Saddama naprawdę jest gorszy od tego, który niesie ze sobą wojna – odezwała się siedząca obok niej Sara Svenhagen.

Zachowująca całkowitą neutralność w tej kwestii inspektor kryminalna Kerstin Holm, szef operacyjny Drużyny A, spojrzała na audytorium, próbując wyobrazić sobie linię podziału pomiędzy przeciwnikami i zwolennikami wojny. Arto Söderstedt był jej zdeklarowanym przeciwnikiem, podobnie Sara Svenhagen. Jon Anderson i Lena Lindberg wydawali się popierać użycie siły. Viggo Norlander? Prawdopodobnie też był jego zwolennikiem. A Jorge Chavez? Zapewne przeciwnikiem, chociażby przez wzgląd na żonę Sarę. Gunnar Nyberg? Jego poglądy polityczne najtrudniej było określić, zwłaszcza że nie było go z nimi – wyjechał na uzbierany przez lata urlop nad Morze Śródziemne z zamiarem znalezienia domu w Grecji lub we Włoszech. Miała nadzieję, że nie znajdował się zbyt blisko Bagdadu.

Kerstin Holm brakowało go już po pierwszych dziesięciu minutach, a z każdą kolejną minutą, godziną, dniem i tygodniem było jeszcze gorzej. Bez wątpienia był to najgorszy moment na wyjazd na długi urlop. Marzec, najbardziej ponury miesiąc. A może był nim raczej kwiecień?

Choć pewnie teraz Morze Śródziemne było najpiękniejsze.

Może więc przemawiała przez nią zazdrość, a nie tęsknota?

Wsunęła dyskretnie porcję snusu pod górną wargę i potoczyła po nich wzrokiem niczym pies pasterski po swoim stadzie. Jak naprawdę wyglądała sytuacja w jednostce specjalnej policji do zwalczania przestępczości międzynarodowej? Była stabilna, ale nic poza tym. Cieszyło ją, że Jon Anderson rozkwitał i że pod nieobecność Gunnara Nyberga stworzył dobrze działający tandem z Jorge Chavezem.

Ten ostatni wrócił z urlopu rodzicielskiego z tą samą energią co zawsze – choć ostatnia sprawa z pewnością zostawiła w nim ślad. Nie miał już w sobie tej naiwności co kiedyś, a gitarę elektryczną schował do szafy. „Nigdy więcej The Police”, powiedział tylko. Isabel zaczęła przedszkole, a jej matka, Sara Svenhagen, wraz z Leną Lindberg były na najlepszej drodze, żeby stworzyć dobrze działający żeński duet, który nie odbiegał kompetencjami od takiej pary wyg jak Söderstedt i Norlander ani pod względem jasności umysłu, ani – jeśli zaszła taka potrzeba – ciężkiej ręki. Podczas niedawno zakończonej sprawy dwóch alfonsów z północnej Finlandii, którzy sprzedawali prostytutki z państw bałtyckich do najgorszych burdeli, pozornie opanowana Lena Lindberg ujawniła swoje skłonności do przemocy tak dobitnie, że król BSW Paul Hjelm zaszczylił ich wizytą. Kiedy jednak po dłuższej rozmowie w cztery oczy z Leną dowiedział się, przez co musiały przejść te dziewczyny, zamknął bez słowa swoje dochodzenie. Kerstin Holm zaczynała rozumieć, czym tak naprawdę zajmowała się Lena Lindberg podczas dziesięcioletniej służby w oddziałach prewencji.

Ostatnia duża sprawa, która toczyła się zeszłego lata, odcisnęła wyraźne piętno na obojgu nowicjuszach. Oboje doświadczyli wyjątkowej przemocy: Jon Anderson został pchnięty nożem, a Lena Lindberg postrzelona – co prawda środkiem nasennym, ale jednak. Oboje kierowali się potrzebami seksualnymi i oboje zostali w związku z tym poszkodowani. Anderson zbliżył się niebezpiecznie do granicy śmierci, a Lindberg dostała cios prosto w serce – i oboje przeszli przemianę. Przemiana Andersona miała wyłącznie pozytywny charakter, choć wciąż jeszcze potrafił być trochę uciążliwy, jednak to, co zaszło w Lindberg, nie było już tak jednoznaczne. Oszukał ją mężczyzna, któremu zaufała, którego może nawet pokochała – wyszła z tego zgorzkniała i chętniej uciekała się do przemocy.

Przynajmniej w stosunku do mężczyzn.

Gunnar Nyberg stracił wigor, wycofał się, nie był już taki jak kiedyś. Właśnie to było najsmutniejsze. Co prawda wydarzenia

ostatniego roku sprawiły, że żadne z nich nie było już tym samym policjantem czy policjantką co kiedyś, ale w przypadku Nyberga zaangażowanie w pracę właściwie zanikło. Całkiem poważnie rozważał możliwość wcześniejszego przejścia na emeryturę i zamieszkania nad Morzem Śródziemnym ze swoją Ludmiłą. O ile tylko uda im się uzgodnić, gdzie dokładnie chcą zamieszkać.

Dopiero teraz Kerstin Holm poczuła, że bołą ją plecy. Bołą naprawdę. Siedziała przy katedrze, dziwnie skrzyżowana, żeby zobaczyć obraz w telewizorze. Istniały dwa rozwiązania: po pierwsze mogła przerwać oglądanie telewizji i rozpocząć i tak już mocno spóźnioną poranną naradę; po drugie mogła zająć miejsce wśród podwładnych, jakby była jedną z nich, i oglądać dalej, już w wygodnej pozycji.

Wybrała trzecią możliwość: siedzieć dalej w cierpieniach.

Nie mogła bratać się z podwładnymi, a toczące się właśnie śledztwa nie wydawały się na tyle pilne, żeby przerywać trwające już od dłuższej chwili orędzie.

Dochodzenie w sprawie fińskich sutenerów zostało zakończone – jeden z nich wylądował na wózku. Pozostałe sprawy – krwawa jatka między dwoma włoskimi restauratorami na Kungsholmen, typowe pobicie na tle rasistowskim na Söder, wielka bitwa na niebieskiej linii metra, w której starły się gangi młodzieży o różnym pochodzeniu etnicznym – nie były ani porywające, ani też wyjątkowo wymagające. Nie miała siły ruszyć się z miejsca. Spojrzała raz jeszcze na zespół: Jon i Jorge, Sara i Lena, Arto i Viggo – siedzieli grzecznie w parach, jakby znaleźli się w szkółce niedzielnej z lat pięćdziesiątych. Na ich twarzach widać było to samo skupienie.

Żadne z nich nie patrzyło na nią.

A więc trzecia możliwość.

Przynajmniej przez kilka sekund. I nagle zadzwonił telefon. Czwarta możliwość.

W tak zwanym centrum dowodzenia telefon dzwonił niezwykle rzadko. Za istnienia Drużyny A zdarzyło się to zaledwie dwukrotnie i w obu przypadkach chodziło o

nieobecnego członka grupy, którego życie wisiało na włosku. Najpierw Viggo Norlander w Tallinie, potem Jon Anderson w Poznaniu. Myśli wszystkich obecnych skierowały się w stronę Gunnara Nyberga i greckich wysp.

Inspektor Kerstin Holm podniosła słuchawkę. Zamknęła oczy.

W pełnej napięcia ciszy dźwięczał głos prezydenta Busha, recytującego swoje przemówienie.

– Saddamowi Husajnowi skończył się czas u władzy. Irackim wojskowym skończył się czas na honorową obronę waszego kraju. Ale jest czas na wpuszczenie bez walki wojsk koalicyjnych w celu usunięcia broni masowego rażenia. Nasza armia da jednostkom irackim jasne instrukcje, co mają zrobić, by uniknąć ataku i zniszczenia. Wzywam irackich żołnierzy i służby specjalne: kiedy wojna wybuchnie, nie walczycie za umierający reżim, który nie jest wart ofiary waszego życia. Wszyscy Irakijczycy powinni wysłuchać tego ostrzeżenia: w razie konfliktu wasz los zależy od waszych działań. Nie niszczyście szybów naftowych, które są źródłem bogactwa należącym do wszystkich Irakijczyków. Nie wykonujcie rozkazów użycia broni masowego rażenia przeciwko komukolwiek, w tym Irakijczykom¹.

Kerstin Holm powiedziała:

– Rozumiem.

Nic więcej nie dodała. Siedziała jeszcze przez chwilę ze słuchawką przy uchu, jednak z wyrazu jej twarzy nie można było niczego wyczytać.

Wreszcie odłożyła słuchawkę, wzięła do ręki pilota i ściszyła dźwięk. Kilkakrotnie zastukała pilotem w katedrę.

– Nie chodzi o Gunnara? – zapytał Jorge Chavez na bezdechu.

Kerstin Holm spojrzała na niego i skinęła głową.

Od razu poczuła, że był to zły odruch. Nie powinna była

¹ „Spełnimy nasz obowiązek”. Telewizyjne przemówienie George’a W. Busha w Białym Domu w nocy z poniedziałku na wtorek, „Gazeta Wyborcza” nr 66, wydanie z dnia 19.03.2003 ŚWIAT, str. 6, tłum. Łukasz Grzymisławski, Paweł Chrzęszcz.

skinąć głową. Chciała przez to powiedzieć: „Nie, Jorge, nie chodzi o Gunnara”, ale odebrali to zupełnie inaczej. Przez pokój przeszedł szmer zaniepokojenia. Musiała to jak najszybciej sprostować.

Tak łatwo o nieporozumienie.

Próbowała mówić najprościej, jak tylko potrafiła.

– Nie, nie chodzi o Gunnara. Przed kilkoma minutami miał miejsce napad na oddział Andelsbanken przy Karlavägen. Dwóch zamaskowanych napastników zabarykadowało się w środku i nafaszerowało pomieszczenie materiałami wybuchowymi. Wzięli dziewięciu zakładników. Mamy wspomagać Komendę Główną i siły szybkiego reagowania. Ja wejdę w skład sztabu kryzysowego razem z komendantem głównym, Mörnerem i paroma innymi osobami. Musimy jak najszybciej jechać na Karlavägen, gdzie zorganizowano sztab.

– Mörner?! – wykrzyknął Arto Söderstedt. – Rany boskie.

– Co znaczy „nafaszerowali materiałami wybuchowymi”? – zapytała Sara Svenhagen.

– Wygląda na to, że pół Östermalmu może wylecieć w powietrze – powiedziała Kerstin Holm.

Na ekranie telewizora George W. Bush mówił dalej.

Z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

NIKLAS GRUNDSTRÖM był dyrektorem BSW i od ponad roku przełożonym Paula Hjelma.

– Wolalem, żebyś wiedział – oznajmił.

Paul wiedział z doświadczenia, że to nigdy nie oznaczało „wolałem, żebyś wiedział”, tylko znacznie więcej, jak chociażby: „Przygotuj się na policyjne gafy”, lub też: „Jedziemy”, albo nawet: „Mam nadzieję, że nie masz planów na weekend”.

– Chodzi o Drużynę A? – zapytał Paul Hjelm z za swojego wygodnego biurka na komendzie na sztokholmskim Kungsholmen.

Owszem, czuł się wyśmianie.

Nieprzyzwoicie dobrze, z punktu widzenia prawa Jante.

Nawet to, że Drużyna A po raz kolejny była zamieszana w coś, czym powinno się zainteresować BSW, nie było w stanie popsuć mu dobrego nastroju. Najpierw były to niejasności dotyczące jego najlepszego przyjaciela Jorge Chaveza. Potem, całkiem niedawno, sprawa wyjątkowo dotkliwego pobicia fińskiego sutenera przez Lenę Lindberg, którą to on, wbrew zdrowemu rozsądkowi i wszelkim możliwym regulacjom, po prostu zakończył. I to po jednej rozmowie. Po jednej szczerej rozmowie.

– Niebezpośrednio – powiedział Niklas Grundström i pochylił się nad biurkiem Paula Hjelma.

Paul Hjelm przyjrzał mu się uważnie. Dawniej gardził elegancką powściągliwością w wykonaniu siedzącego przed nim blondyna, teraz jednak ją szanował, choć starał się tego nie okazywać. Łączyła ich przeszłość, której nie mieli okazji przepracować, która – żeby zabłysnąć – potrzebowała wzbogacania jak najbardziej zanieczyszczona ruda żelaza. Wymagałoby to pewnie więcej wysiłku niż terapia rodzinna, na którą powinien był pójść z byłą żoną. Nigdy tego jednak nie zrobił. I pewnie już nigdy nie przepracuje swoich relacji z szefem. Swój *jedynym* szefem.

No nieźle, uśmiechnął się do siebie w myślach.

– Niebezpośrednio? – zapytał podejrzliwie.

Grundström skrzywił się, a potem ściągnął wargi w dziobek. Zawsze w ten sposób dawał sobie czas na znalezienie odpowiedniego słowa i doszlifowanie odpowiedzi.

Grundström & Hjelm stanowili obecnie budzący szacunek – a niekiedy strach – symbol w szeregach policji. Siejące postrach określenie „wewnętrzny” nabrało całkiem nowego wydźwięku. Z jednej strony ryzyko, że policjant zostanie niesprawiedliwie potraktowany, spadło do minimum, z drugiej – wykrywalność wykroczeń policyjnych znacznie wzrosła. Niklas Grundström był dyrektorem całego BSW, a inspektor Paul Hjelm nadzorował największą jego sekcję – oddział sztokholmski.

Hjelm musiał przyznać, że świetnie im się ze sobą pracowało, bez zbędnych słów i niepotrzebnych dygresji. Zupełnie inaczej niż dawniej z Kerstin Holm i Jorge Chavezem. Wtedy słów było aż nadto. I wszystkie były absolutnie niezbędne.

Niezbędne wtedy. Kiedy przestałem ich potrzebować? – zastanowił się. Uśmiechnął się do tej myśli.

– Przede wszystkim chodzi o siły szybkiego reagowania – powiedział Grundström.

Niklas Grundström. Żonaty z czarnoskórą kobietą z Orsa o imieniu Elsa, z działu promocji Muzeum Sztuki Nowoczesnej, mówiącą dźwięcznym dialektem z Dalarny. Ojciec gromadki ciemnoskórych dzieci, których Hjelm nie potrafił się nigdy doliczyć. Co również wskazywało na charakter ich relacji, pomyślał z zadowoleniem.

– Co ma wspólnego Drużyna A z siłami szybkiego reagowania? – zapytał.

Co ciekawe, Grundström zaprzyjaźnił się z dawnym szefem Hjelma Janem-Olovem Hultinem, twórcą Drużyny A. On sam widywał się z nim bardzo rzadko, nie był stałym gościem w Norrviken w Sollentunie, na północ od Sztokholmu. Co innego Grundström. Podobnie państwo Hultin byli często gośćmi w stanowczo zbyt ciasnym mieszkaniu państwa Grundström w Fredhäll, w którym podobno Niklas i Elsa już na samym

początku znajomości postanowili, że spędzą resztę życia. Nie wiedział, czy była to prawda.

– Nic a nic – odparł Grundström. – Moim zdaniem sztab spanikował.

Hjelma i Grundströma łączyło przynajmniej jedno – niechęć do zarządu policji, w którym na dobrą sprawę nikt nie był policjantem.

– Waldemar Mörner – powiedział Paul Hjelm.

Ostatnio coraz częściej doprowadzał Grundströma do śmiechu. Być może był to krok we właściwym kierunku. Użyte przed chwilą imię i nazwisko wywoływało u Grundströma zawsze ten sam chłopięcy śmiech.

Również i tym razem.

– Moim zdaniem ściągnęli tam Drużynę A, żeby myślała za nich – powiedział, gdy już się uspokoił.

– Siedząc na beczce prochu – powiedział Hjelm.

– Zorganizowali sztab po drugiej stronie Karlavägen.

– Mörner i Kerstin?

– Woląłem, żebyś wiedział – powtórzył Grundström i już go nie było.

Zniknął tak, jak miał w zwyczaju. W mgnieniu oka.

Hjelm wstał i podszedł do odtwarzacza. Wciąż nie potrafił się przyzwycząić do tego, że współczesny sprzęt grający jest tak mikroskopijnych rozmiarów. Zastanawiał się, jakim cudem mieszczą się w nim płyty CD, a z niewielkich głośników może w ogóle wydobywać się jakiś dźwięk. Włączył *Requiem* Mozarta, jak zwykle na cały regulator, za pierwszym razem powodując panikę jego sekretarki – o jej istnieniu wciąż zapominał – która wpadła przerażona do środka. Wziął do ręki miniaturowego pilota i oparł palec wskazujący na klawiszu STOP. Gdyby ktoś wszedł bez pukania do jego gabinetu, mógłby wyłączyć muzykę w ułamku sekundy. Nie był to najlepszy moment na słuchanie mszy żałobnej.

Nie, kiedy pól Östermalmu mogło w każdej chwili wylecieć w powietrze.

Nie, kiedy Irak stał w ogniu.

Nawet to nie popsulo mu nastroju.

Jego obecna sytuacja życiowa miała dwa oblicza. Z zewnątrz musiał uchodzić za samotnego człowieka. Od rozwodu miał kilka miłych, lecz krótkotrwałych przygód, tak naprawdę jednak nie miał ochoty z nikim ponownie się wiązać. Zastanawiał się dlaczego, ale specjalnie go to nie martwiło. Ostatnimi czasy nie opuszczał go dobry humor – to znaczy do chwili, gdy zaczynał myśleć o swojej byłej żonie i tym, co między nimi zaszło. Chciał to wyrzucić z pamięci. Spirala przemocy się rozkręcała, niehamowana niczym globalizacja zataczała coraz szersze kręgi, praca policji stawała się coraz cięższa, a społeczna marginalizacja coraz bardziej dotkliwa. Choć zwykle z łatwością popadał w smutek, teraz nic nie potrafiło mu popsuć humoru. Tova, jego mała córeczka, kończyła jutro osiemnaście lat.

Czy to znaczy, że rozwód dobrze mu zrobił?

Niekoniecznie. W głębi duszy brakowało mu kogoś, kto byłby teraz blisko niego, gdy wolność – prawdziwa wolność – była na wyciągnięcie ręki. Brakowało mu codziennego dotyku. Wszystko inne było jednak na tyle dobre, że jak przyznawał sam przed sobą, był zadowolony. W zasadzie bez przerwy.

Nie muszę słuchać zrzędzenia jakiejś baby, pomyślał, choć ta myśl nie do końca należała do niego. Nie, nigdy nie pomyślałby czegoś takiego.

Nie o Cilli.

W żadnym wypadku.

Jedyny dłuższy związek od czasu separacji miał z kobietą o imieniu Christina. Poznali się rok temu, tuż przed nocą świętojańską, i spędzili razem cudowne lato. I nagle odeszła. Jak tłumaczyła, nie potrafiła związać się z kimś po rozwodzie. Został porzucony. Zdrajca został zdradzony.

Powinien był widzieć przed sobą twarz Christiny.

Widział jednak twarz Cilli.

Nie potrafił tego zrozumieć.

Splótł ręce na karku, odchylił się do tyłu i czekał, aż dźwięki *Requiem* wypełnią pokój. Pod palcami czuł, jak cierpnie mu skóra z tyłu głowy.

Nieziemski łomot mszy żałobnej.

A w środku nawałnicy dźwięków – delikatny, ledwo słyszalny sygnał.

Dźwięk dotarł do niego dopiero po chwili, jakby coś nieznanego w niewielkim stopniu zmieniło dobrze znane doświadczenie całości. Musiał odtworzyć w myślach muzykę, żeby uchwycić ten moment. Znalazł. Odtworzył zakłócenie. Dwa krótkie dźwięki. Otworzył górną szufladę z lewej strony biurka. Leżała w niej służbowa komórka, na którą zwykle dzwonił tylko Niklas Grundström.

Dostał SMS-a. I to nie od Grundströma. Wiadomość przyszła z nieznanego numeru. Otworzył. Z tyłu dobiegało nieprzerwane dudnienie muzyki.

Msza żałobna.

Przeczytał: „pomocy był napad cilla”.

Przez chwilę wpatrywał się w tekst. Potrzebował dłuższej chwili, żeby zrozumieć.

Potem porwała go fala przeszłości.

A WIĘC TAM JEST TURCJA, pomyślał wielki mężczyzna i spojrział ponad szeroką na pięć kilometrów cieśniną. A to jest Grecja.

Nie różniły się zbyt od siebie.

Obrócił się i spojrział na naburmuszoną Rosjankę, która stała obrócona do niego plecami kilkanaście metrów dalej. „Idź sobie”, podpowiadał mu jego wewnętrzny leksykon mowy ciała.

Grecja i Turcja są bardziej do siebie podobne niż my dwoje, pomyślał Gunnar Nyberg.

Może właśnie dlatego bardziej się lubimy.

Mimo że jest z niej taka panna obraźliwa.

Był cudowny dzień w wysuniętej najbardziej na wschód części archipelagu. Łagodne promienie słońca sprawiały, że pomiędzy kamieni wyłaniała się zieleń, i nie przypominało to niczego, co do tej pory widział w Grecji. Zamiast nieprzyjaznej, gołej ziemi – świeża, bujna roślinność. I kwiaty. Rozległe kwietne dywany spływające po zboczach w niezmierną dal.

Wiosną greckie wyspy były prawdziwym rajem.

Tutaj czuł się jak w domu.

Wyspa, na której się znajdowali, była jedną z większych, ale nigdy o niej nie słyszał. Było to tak żenujące, że bez wyrzutów sumienia postanowił się do tego nie przyznawać. Trudno to było nawet nazwać białym kłamstwem. Co najwyżej grzechem zaniedbania. Teraz musiał tylko przekonać do pomysłu pannę obraźliwą.

– Chujowa wyspa – powiedziała Ludmila Lundkvist i spojrzała z ukosa na swojego wielkiego rozbójnika.

Była doktorem habilitowanym języków słowiańskich i pracowała na stanowisku docenta na uniwersytecie w Sztokholmie. Jej urlop naukowy zgrałby się idealnie z wcześniejszą emeryturą starego gliny. To znaczy gdyby tylko zechciała zrozumieć, że to, co widzieli tutaj, jest lepsze od Wenecji.

– Nie – powiedział Gunnar Nyberg. – Nazywa się Chios, nie Chujos. Chcesz, żebym coś o niej przeczytał?

– Bynajmniej – powiedziała Ludmila Lundkvist.

Nyberg uniósł książkę, którą trzymał w ręku, i przeczytał donośnym, kościelno-chóralnym basem:

– „Wyspa Chios we wschodniej części akwenu Morza Egejskiego była miejscem dramatycznego rozlewu krwi podczas greckiego powstania w 1822 roku. Zdarzenie to jest stosunkowo dobrze znane w historii Europy, głównie ze względu na swoje konsekwencje dla całego kontynentu”.

– Przestań głądzić – powiedziała Ludmila.

Głądzić? – zastanowił się Gunnar. Czasem jej szwedzki przyjmował nieoczekiwaną postać, ale to tylko dodawało jej uroku.

– Chodź tu i usiądź na chwilę – powiedział i rozsiadł się na porośniętym kwiatami zboczu jakieś dwadzieścia metrów ponad turkusową powierzchnią wód zatoki.

– Nie – powiedziała, a on pomyślał o wojnie. Wyobraził sobie, jak te zielone, kwitnące wzgórza pewnej wiosny sto osiemdziesiąt lat temu nagle spłynęły krwią okolicznych mieszkańców. Miejsce to, praktycznie pozbawione zabudowy, musiało wtedy wyglądać dokładnie tak samo. To samo piękno, ten sam spokój. I wszędzie krew.

Gunnar Nyberg i Ludmila Lundkvist wybrali drogę przez Paryż; uważali, że najwyższy czas, żeby się tam wybrać – w końcu mieli już swoje lata. Prędzej czy później wszyscy zakochani muszą trafić do Paryża. Trafili do Luwru – kolejnego obowiązkowego punktu na trasie podróży kochanków, jednak obraz, który zwrócił jego uwagę i poruszył go jak żaden inny, nie miał nic wspólnego z miłością, choć przecież aż kipiał od uczuć. Ponure malowidło utrzymane w żółtych kolorach przedstawiało masakrę, cierpienie w najczystszej postaci. Natłok ludzkich kończyn, przy którym *Guernica* Picassa sprawiała wrażenie idylli. Jego autorem był Eugène Delacroix, a malowidło nosiło tytuł *Le massacre de Chios* – masakra w Chios. Właśnie wtedy Nyberg postanowił, że to będzie jego wyspa. Chios.

Potem po prostu tam pojechali.

Istniała książka o tym samym tytule co obraz, napisana piętnaście lat wcześniej przez młodego wtedy Szweda. Dotarł do niej dzięki Paulowi Hjelmowi, który wysłał ją na poste restante do Chios. Nyberg myślał, że to przewodnik, ale nie mógł się bardziej pomylić. Była to książka o Wojnie przez duże W, wojnie zewnętrznej i wewnętrznej, wojnie z duchami przeszłości. Dziwna lektura. Znalazło się w niej też kilka słów na temat samej masakry.

Dzięki tej książce Gunnar Nyberg przeniósł się w czasie do wiosny 1821 roku, w sam środek najgorętszego, pierwszego roku greckiej rewolucji. W tym czasie Chios jest najbardziej uprzywilejowanym i lojalnym wobec Turków greckim przyczółkiem. Z wyspy Samos przybywa agitator Logothetis zdecydowany przeciągnąć tę najbardziej oporną z greckich prowincji na stronę rewolucji. Uda mu się to dopiero wiosną 1822 roku; dostawy mastyksu, naturalnej żywicy, na dwór turecki zostają przerwane. Rozczarowanie postawą mieszkańców Chios szybko przeradza się w ślepą furię.

Sułtan Mahmud II wysłał słynnego admirała Kara Alego przez cieśninę na Chios. Jedenastego kwietnia 1822 roku jego olbrzymia flota dociera do portu stolicy Chios. Turcy wychodzą na ląd i wyrzynają wszystko, co się rusza; są żądni krwi i bezlitośni; cała akcja ma na celu eksterminację ludności. Szerokie szable sunącej przez miasto piechoty tną powietrze jak śmiertelne skrzydła wiatraków, jeźdźcy pędzą po płaskowyżu i sieją śmierć po okolicznych wioskach, z najciemniejszych głębin wypływają kolejne okręty, z których jak z rogu obfitości wylewają się rzeki zawodowych morderców, niczym egipska plaga szarańczy. Tamtego wiosennego przedpołudnia temperatura powietrza wzrasta o 37 stopni ciepłoty ludzkich ciał zalegających ulice. Nawet dalej od brzegu woda zmienia kolor. Krwawe szaleństwo ogarnia całą wyspę. Krzyk zarzynanych ludzi roznosi się po wyspie, miesza się i gęstnieje, zawisa nad ziemią niczym czarna chmura dźwięku, który nigdy nie ucichnie.

Komu jakimś cudem udało się umknąć spod miecza, w

panice ucieka w głąb łądu; jakieś dziesięć kilometrów dalej, na stromych zboczach gór, swoje wrota uciekinierom otwiera klasztor Nea Moni. Gdy turecka kawaleria szturmuje solidne bramy klasztoru, na próg wychodzi opat i powołuje się na wolność wyznania religijnego. Roznoszą go na strzępy. Fragmenty jego czaszki przechowywane są do dziś w szklanej gablocie na terenie klasztoru, razem z setką czaszek innych znamienitych członków zgromadzenia.

Ci, którzy nie schronili się w iluzorycznym zaciszu klasztornych murów, podążają dalej w góry. Wszyscy wiedzą, dokąd idą. Znają kryjówkę. Droga daleka, a niestrudzeni tureccy myśliwi depczą im po piętach. Ale to nie Turcy wiedzą, dokąd ta droga prowadzi. Uciekinierzy z miasta Chios mieszają się z uchodźcami z kolejnych wiosek, idą ze wszystkich stron, jest ich coraz więcej. Wszyscy zdążają w jedno miejsce. Ostatnie schronienie, tajemne murowane miasto Anavatos, położone na krawędzi urwiska, wtopione w szarą masę góry; z oddali zupełnie niewidoczne.

Większość nich ginie od tureckich szabli, a wąską drogę ku Anavatos znaczy nasączona krwią ziemia. Jednak kilka tysięcy mieszkańców Chios dociera tam przed Turkami. Obsadzają jedyne wrota wyposażeni w każdą dostępną broń, głównie proste narzędzia rolnicze. Czekają.

Nadchodzą Turcy. Otaczają pierścieniem strome zbocze i ruszają w górę kamienną ścieżką ku bramom miasta. Mieszkańcy Chios się bronią, ale dobrze wiedzą, jak to się skończy. Już niedługo ktoś z nich zrobi to, o czym myślą wszyscy: rzuci się ze stromej skały. Po chwili deszcz ludzi spłynie po ścianie urwiska; zbiorowe samobójstwo, jakiego świat nie widział od czasów obrony Masady. Rzeka, która płynie w dolinie pod skałą – dziś już wyschnięta – wypełnia się krwią. Zatoka, do której wpływają jej wody, zostanie nazwana Krwawą Zatoką.

Gdy po długiej i krwawej walce Turcy wchodzą w końcu do Anavatos, w mieście nie ma żywej duszy.

Turcy Kara Alego zostają na Chios aż do czerwca; do tego czasu zabijają siedemdziesiąt tysięcy ludzi, a kolejne trzydzieści

tysięcy sprzedają do niewoli; ludność chrześcijańska wyspy zmniejsza się ze stu trzynastu tysięcy do tysiąca ośmiuset.

Kilka lat później Grecja odzyskuje niepodległość, ale po dzień jej stosunki z Turcją są napięte. Przesmyk oddzielający Chios od Turcji ma tylko pięć kilometrów szerokości; niewykorzystane złoża ropy naftowej, do których oba kraje wysuwają roszczenia, leżą spokojnie pod wodami cieśniny.

Wieczorami długie nadmorskie promenady wypełniają się spacerującymi mieszkańcami. Nie wyglądają, jakby się czegoś obawiali.

Dziś wyspa Chios zagrożona jest od środka; jakby stłumione płomienie historii co pewien czas wybuchały na nowo. W upalne lata wyspa często staje w płomieniach, trawią ją gigantyczne pożary lasów, których łuna rozświetla mroki przeszłości.

Gunnar Nyberg spoglądał na poczerwieniałe morze. Widział strumień spływający z podnóża urwiska i wlewający się do Krwawej Zatoki. Słyszał krzyki zbite w chmurę dźwięku. Widział tonącą w mrokach przeszłość unoszącą się w dymach pożarów ponad pięknymi kwietnymi dywanami. I chociaż bardzo się starał, nie potrafił zrozumieć, jak mogło dojść tutaj do takiego rozlewu krwi.

Widział swoją przeszłość – czyż nie była ona właśnie jak nagły pożar lasu? Widział, jak faszeruje się anabolikami i znęca się nad więźniami. Widział, jak napina natarte olejkami mięśnie na podium, i widział, jak bije swoją żonę na oczach swoich dzieci.

Usiłował zrozumieć. Nie potrafił.

Coś próbowało zdjąć z niego urok. Spojrzenie. Lekki dotyk na ramieniu. Muśnięcie oddechu na policzku. Szept:

– Wszystko w porządku, Gunnar?

Wody nad ukrytymi pod dnem złożami ropy naftowej znowu były błękitne. Kwietne dywany przestały płonąć. Podniósł wzrok na Ludmilę. Przyglądała mu się, w jej oczach widniała troska.

Te oczy chciał widzieć w dniu swojej śmierci.

Jeszcze raz musnęła go w ramię, podniosła się i powiedziała,

już nieco głośniej:

– Jest już pośrednik.

Gunnar Nyberg podniósł się żwawo i podążył za Ludmiłą w kierunku mężczyzny stojącego przy szpanerskim aucie. Ruszyli w stronę niewielkiego domu, który trudno było dostrzec wśród porastającej strome wybrzeże zieleni.

Nie wiedział, że jedną nogą stoi w tej części świata, którą ogarnęła wojna.

Wywołana z powodu tej samej ropy, która spoczywała w ziemi niczyjej między Grecją a Turcją.

Tuż przed oczami Gunnara Nyberga.

NIEDZIELA, 22 CZERWCA 1941 R., GODZ. 3

A więc tam jest Rosja. A tu są Niemcy.

W zasadzie niewiele je różni.

To tylko złudzenie. Rosja nie ma końca; wielki, mroczny, nieznany kontynent. Związek Radziecki. Czuję, jak ogarnia nas wszystkich przerażenie.

Strach przed Rosją.

Stoimy wzdłuż granicy. Próbuję sobie wyobrazić, ilu nas jest. Prosty szereg żołnierzy ciągnący się od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego. Pewnie ze cztery miliony. „Europejska krucjata przeciwko bolszewikom” pozwoli wytyczyć granicę „azjatyckiej Rosji” od Archangielska na północy, w dół wzdłuż Wołgi, do Morza Kaspijskiego na południu. Tak, aby roponośne złoża Kaukazu znalazły się po naszej stronie.

Zawsze ta ropa. Cała cywilizacja oparta na paliwach kopalnych.

I cały świat w ogniu wojny. Czy nigdy się nie nauczymy?

Wiemy, co nas czeka. Przyglądam się moim kolegom w przytłumionym świetle. Gdzie się podziela pewność siebie? Gdzie jest zapach zwycięstwa, który czuliśmy w Polsce, we Francji, na Bałkanach, gdzie wszystko wydawało się takie proste.

Muszą wiedzieć, że nadchodzimy. Cztery miliony żołnierzy nie mogą tak po prostu się schować, nawet jeśli znajdują się po drugiej stronie granicy. Musieli widzieć znaki – czołgi pędzące przez lasy, zasieki rozstawiane przed okopami, oddziały przemieszczające się w takich ilościach, że trudno byłoby to uznać za ćwiczenia – przede wszystkim jednak musieli zrozumieć, że cisza w eterze coś oznacza. Coś potężnego.

Czekają na nas.

Po napiętych mięśniach twarzy moich kolegów widać, że

mają tego świadomość.

Jest trzecia rano i jest już prawie jasno. To najjaśniejsza noc w roku. Niektórzy nazywają ją nocą świętojańską.

Jest koniec czerwca i większość nas chyba czuje, że wyruszyliśmy za późno. Zanim dotrzemy nad Wołgę, zacznie się zima. Zamarzniemy.

Operacja Barbarossa. Rotbart, Czerwonobrody. Nazwa świadczy o pogardzie wobec dawnych krzywd. Czy jest coś godnego naśladowania w średniowiecznym terrorze, jaki zaprowadził Fryderyk I Barbarossa? Co z tego, że był Niemcem? Jakie to ma teraz znaczenie?

Ciekawe, czy Führer czytał fragmenty pamiętników generała Armanda de Caulaincourta dotyczące rosyjskiej kampanii Napoleona w 1812 roku. Dzień przed wkroczeniem do Rosji Napoleon powiedział do de Caulaincourta: Avant deux mois, la Russie me demendera la paix – za dwa miesiące Rosja będzie mnie prosić o pokój.

Uciekał z podkulonym ogonem.

Nie powinienem wiedzieć o operacji Barbarossa, ale takie są zalety bycia posłańcem; zna się każdy zakamarek i wie o wszystkim. Znam nasze zasoby: 3350 czołgów, 7000 armat polowych, ponad 2000 samolotów, 600 000 koni... To największa siła ofensywna, jaką kiedykolwiek widział świat. Powinniśmy zwyciężyć. Co więcej, powinniśmy zwyciężyć w ciągu dwóch miesięcy. Ale tak myślał też Napoleon.

Co ja tu w ogóle robię? Prosty żołnierz w wielkiej 6. Armii? Mógłbym być oficerem, chcieli, żebym był oficerem. Mój promotor na uniwersytecie w Berlinie, profesor von Nernst, próbował mnie do tego przekonać któregoś razu w laboratorium, wypinając swoje kapitańskie odznaczenia. „Wehrmacht – powiedział – to nie nazizm. To coś zupełnie innego”. Co mu odpowiedziałem? Nie pamiętam zbyt dobrze, chyba że moim powołaniem jest nauka. Widziałem, że jego ciało przeszedł dreszcz – nie ciało należące do Wehrmachtu, ale to należące do uniwersytetu. Ciało promotora. Którego woląłem unikać.

Nigdy by nie zatwierdził mojej pracy.

Zresztą i tak nie zdążyłem jej napisać. Wezwanie do wojska przyszło pięć miesięcy temu. To był mój czas darowany, dlatego że nie zostałem oficerem. To były cenne miesiące. Nie żałuję ich.

Teraz już pamiętam, co takiego powiedział, w jego głosie zadzwoniła pruska stal: „Nie ma alternatywy dla paliw kopalnych, Hans. To szaleństwo”.

Potem zniknął. Po dwóch miesiącach przyszła z Flandrii wiadomość o jego śmierci. Pracowałem dalej bez promotora.

Czy żałuję, że nie zostałem oficerem? Nie. Chociaż teraz i tak tu jestem i czasem brakuje mi, albo przynajmniej zazdrozczę innym, przywilejów oficerskich. Sam nigdy nie zdecydowałbym się na udział w walce. A teraz jestem mięsem armatnim. Jest w tym jakiś absurd.

Nazizm? Tak, walczę po stronie tych potworów; każde inne rozwiązanie oznaczałoby śmierć. Byliśmy ukoronowaniem cywilizacji Zachodu, upadek był bolesny. Kiedy znajdowaliśmy się na górze, trudno było zachować równowagę. Nigdy nie zrozumieć, jak do tego doszło. A mimo to oddam za nich życie. Wszystko na to wskazuje.

Wszystko.

Minęło pół roku, odkąd dostałem wezwanie. Nie widziałem swojego syna. Miesiąc temu przyszedł na świat. Nie ma jeszcze imienia, nie wiem nawet, czy kiedykolwiek będzie mi dane je poznać. Nigdy go nie spotkam, a Ariane, mojej Ariane, też już więcej nie zobaczę. Tak bardzo się kochaliśmy.

Czołgi zasnuły niebo szarym dymem, szarością ropy naftowej.

Mój syn.

Gdzieś tam w górze niebo jest błękitne.

Jasnoniebieskie.

Nadchodzą. Przekraczamy granicę.

JAN-OLOV HULTIN przeszedł na emeryturę i dał się zaskoczyć.

Było południe, a on stał w korku. W dniu, w którym przeszedł na emeryturę – a było to niespełna rok temu – obiecał sobie, że już nigdy więcej nie będzie stać w korku. Jak wynikało z jego obliczeń, spędził w ten sposób rok swojego życia.

Korek przy Norrtull w południe w zwykły, powszedni dzień marca mógł rzeczywiście zdziwić niejednego doświadczonego kierowcę. Nie on jednak go dziwił. Przed chwilą został *konsultantem*.

W życiu by na to nie wpadł. Już prędzej potrafił sobie wyobrazić, że na emeryturze robi zawrotną karierę w branży nowoczesnych technologii albo chemii kwantowej. Lub też że zostanie operatorem koparki i będzie mógł przebierać w ofertach na międzynarodowym rynku pracy.

Dziś jednak został konsultantem.

Telefon zadzwonił, gdy akurat zażywał sauny niedaleko domu nad jeziorem Ravalen w Sollentunie na północ od Sztokholmu. Jak zawsze w porę. Jego komórka dzwoniła najwyżej dwa razy w tygodniu, i to zawsze, kiedy siedział w saunie. Jego żona Stina podała mu ją przez kłęby pary wodnej. Wyglądał, jakby unosił się na chmurze.

– Jeszcze mnie kopnie prąd – powiedział.
– Powtarzasz się – doszedł go głos Stiny z wnętrza chmury.
– Co?! – krzyknął z najwyższej ławki.
– Zawsze gdy podaję ci komórkę do sauny, mówisz, że kopnie cię prąd.

Pokiwał głową, wziął telefon do ręki i przyznał jej rację. Nie pierwszy raz.

– Słucham – powiedział szorstko.
– Jan-Olov, super. Co u ciebie?

Czyżby zasnął w saunie i w końcowej fazie odwodnienia zaczął majaczyć? Czy znalazł się we własnym koszmarze? Czy

śniąc, można mieć świadomość, że się śni? A jeśli tak, to czy to w ogóle jest sen?

Z tych filozoficznych rozważań wyrwał go głos rozmówcy:

– Zdarzenie na Östermalmie. Zainteresowany? Szybka decyzja. Sprawa pilna.

Aż tak pilna, że trzeba mówić jak telegram? – zamyślił się emerytowany inspektor kryminalny Jan-Olov Hultin i z roztargnienia polał wodą piec, a jego telefon pochłonęła fala powodziowa ze skroplonej pary wodnej.

– Potrzebuję więcej informacji – odpowiedział, odsuwając telefon od ucha. Lepsze dziesięć kopnięć w rękę niż jedno w mózg.

Ludowe mądrości.

– Na Karlavägen wzięto zakładników. Zbieramy najlepszych i chcemy, żebyś wszedł w skład sztabu kryzysowego. W charakterze konsultanta.

Sztab kryzysowy, zamyślił się Hultin. Z tym człowiekiem. Waldemar Mörner. Szef wydziału w blond peruce, oficjalny przełożony Drużyny A. Człowiek, który przez cały ten czas wisiał nad nim jak chmura przysyłająca słońce.

– Kto wchodzi w jego skład?

– Włączamy w to Drużynę A – powiedział Mörner. – Obok mnie siedzi Holm. To ona ciebie zaproponowała.

– A sztab kryzysowy? – powtórzył cierpliwie Hultin.

– Komendant główny, ja, dowódca sił szybkiego reagowania, komendant wojewódzka, Holm i ty.

Hultin się zastanowił. Dowódca sił szybkiego reagowania potrafił być nieobliczalny, ale po zamieszkach w Göteborgu przed kilkoma laty zaczął trochę bardziej nad sobą panować. Komendant główny był profesjonalistą z krwi i kości. Komendant wojewódzką Sztokholmu trudniej było scharakteryzować, ledwo ją pamiętał. Mörnera interesowało tylko to, żeby jego nazwisko znalazło się w prasie – jego największą zaletą było to, że rzadko wtrącał się w decyzje policji – a Kerstin Holm nie miała sobie równych. Nie wyglądało to najgorzej.

Prawda jednak była taka – choć nigdy by się do tego nie

przyznał – że zdążył się trochę stęsknić.

Za pracą. Za policją.

Za Drużyną A.

A nawet za przestępcami.

Choć może niekoniecznie za Waldemarem Mörnerem...

– Płacie? – zapytał.

– Po prostu wyślij fakturę – powiedział Mörner. – Za jednodniowe konsultacje.

– O ile skończy się na jednym dniu...

Przedarł się przez pokryte gołoledzią rondo przy Roslagstull i wjechał swoim starym volvo na jeszcze bardziej śliską Birger Jarlgatan. Ruch trochę osłabł, a on dociskał pedał gazu, jak tylko mógł najmocniej. Z lubością spoglądał na mokry śnieg bryzgający spod kół, który widział w tylnym lusterku. Dawno już nie miał okazji korzystać z przywileju przekraczania dopuszczalnej prędkości.

Nawet nie wiem, jak się wystawia fakturę, pomyślał Jan-Olov Hultin, nerwowo kręcąc kierownicą. Przebił się przez labirynt jednokierunkowych ulic na Östermalmie – szybciej, niż się spodziewał – głównie jednak dlatego, że jechał pod prąd. Zaparkował kilka przecznic dalej – jeśli dojdzie do eksplozji, zostanie po nim przynajmniej samochód – i pobiegł do budynku, w którym znajdował się sztab. Na Karlavägen zaczęto rozstawiać znaki ostrzegawcze. Umundurowani policjanci biegali tam i z powrotem, rozciągając białoniebieskie taśmy. Ze wszystkich stron miasta zjechały się radiowozy i ustawiły w poprzek Karlavägen, wstrzymując całkowicie ruch drogowy. Policjanci byli ubrani w kamizelki kuloodporne.

Był ładny, choć mokry dzień przedwiośnia. Krokiem ślizgowym Hultin podjechał do taśm i spojrzał przez ulicę na niewielki oddział banku po drugiej stronie szerokiego bulwaru. Między drzewami rosnącymi w pasie zieleni rozdzielającym jezdnie widać było wejście do banku. Wokół było pusto, całkowicie pusto. A przez okna banku nic nie było widać.

Była godzina 12.14. Napastnicy wraz z zakładnikami przebywali w banku od godziny i trzydziestu czterech minut. W tym czasie kierownictwo policji zdążyło już wiele zrobić.

Jana-Olofa Hultina zatrzymał potężny, umundurowany policjant w wieku dwudziestu, dwudziestu pięciu lat. Hultin instynktownie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki w poszukiwaniu legitymacji. Funkcjonariusz przyglądał mu się podejrzliwie, trzymając rękę na kolbie pistoletu, jakby się spodziewał, że stojący przed nim staruszek wyciągnie broń. Widać nigdy nie słyszał o legendarnym Hultinie.

– Ja do sztabu – powiedział, świadomy, że dopiero teraz zaczną się schody. – Inspektor kryminalny Jan-Olov Hultin.

– Niemożliwe – zaśmiał się funkcjonariusz. – Chętnie zobaczę legitymację.

Hultin westchnął. Niby jak miał to teraz rozegrać?

– Czy możesz zadzwonić do sztabu kryzysowego? – spróbował.

– Jasne – powiedział funkcjonariusz. – A potem do Świętego Mikołaja. Zjeżdżaj.

– Nie możemy tego jakoś inaczej rozwiązać?

– Owszem. Legitymacja albo w tył zwrot. Wybieraj.

Jan-Olov Hultin westchnął głęboko i stał bezradnie, nie wiedząc, co dalej. W ciągu ostatniego roku spędzonego na emeryturze miał czas, żeby zatracić umiejętność rozwiązywania tego typu problemów, i najwyraźniej wyjątkowo dobrze go wykorzystał.

– Idź pan stąd – powiedział wielki policjant.

Już miał odejść, gdy nagle zza wielkich pleców odezwał się głos:

– W porządku, możesz go wpuścić.

Zza wielkich pleców wychyliła się jasna czupryna Sary Svenhagen. Pokazała policjantowi legitymację, na co skinął niechętnie głową, ale nawet nie przyszło mu do głowy, żeby podnieść taśmę. Hultin musiał się schylić i przejść pod spodem. Poczul ból w plecach.

– Dawno już się tak nie ucieszyłem na czyjś widok – powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Sary.

– Kerstin nas po ciebie wysłała – roześmiała się. – Przykro mi, że się spóźniłam.

– Lepiej już chodźmy – uciał. – Jak wygląda sytuacja?

– Z tego, co wiem, nie wydarzyło się nic nowego. Nie udało się nawiązać z nimi kontaktu. Wiemy tylko, że mają masę ładunków wybuchowych. Dobrze cię widzieć, Jan-Olov.

– Nawzajem, skarbie – odpowiedział. – Co słychać u Isabel?

– Zaczęła przedszkole. Poza tym wszystko w porządku.

Skarbie? – zastanowiła się Sara Svenhagen. Naprawdę tak powiedział? Co mu się stało?

Weszli do sztabu zorganizowanego w ewakuowanym biurze agencji nieruchomości na Karlavägen, dokładnie naprzeciwko banku. Z pewnością stać ich było, żeby zrobić sobie dzień wolny, choć pewnie zażądamy stosownej rekompensaty od państwa. Chyba że kierownictwo policji powoła się na *force majeure*.

Weszli na piętro, a Sara wstukała kod wejściowy do biura. W środku zobaczył drzwi do dwóch pomieszczeń z widokiem na Karlavägen i kolejnych dwóch wychodzących na podwórze.

– Pierwszy i największy pokój z widokiem na ulicę zajęły siły szybkiego reagowania – wyjaśniła Sara. – Snajperzy są na stanowiskach. Podejrzewam, że drzwi są zamknięte. W następnym pokoju z oknami na ulicę siedzi sztab kryzysowy. Tam idziesz. Tutaj – ciągnęła i dotknęła niepozornych drzwi – gnieździ się Drużyna A – oczywiście, gdy już wrócą z polowania na Hultina. Zaraz po nich zadzwonię. Dalej jest jeszcze sala konferencyjna, tuż za aneksem kuchennym. To pewnie tam będą się odbywać zebrania.

– Jeśli będzie na to czas – powiedział Hultin, skinął głową i wślizgnął się do drugiego pokoju z oknami na Karlavägen. Jeśli wcześniej nie wylecimy w powietrze, dokończył w myślach.

W pomieszczeniu, które wyglądało na gabinet dyrektora, siedzieli już dowódca sił szybkiego reagowania, komendant główny, komendant wojewódzka, Mörner i Kerstin Holm. Krzesło przy dużym, zastawionym komputerami i telefonami biurku stało puste. Domyślił się, że czeka na niego.

Na jego widok podnieśli się z krzeseł, żeby się przywitać. Mniej lub bardziej udawane uprzejmości wypadły trochę sztywno. Uciał szybko żarty na temat emerytury.

– Mogę dostać cały obraz sytuacji? – spytał bez śladu emocji

w głosie.

Komendant główny policji, który otwarcie podawał się za ucznia Hultina, odpowiedział tym samym tonem:

– Dwukrotnie odebraliśmy sygnały przypominające próbę nawiązanie kontaktu. Siły szybkiego reagowania siedzą w pokoju obok, wyposażone w kamery i precyzyjne mikrofony kierunkowe. Do tej pory nie udało nam się jednak niczego wychwycić. Czekamy również na Säpo, mają przywieźć supernowoczesną kamerę termowizyjną. Tyle mamy do tej pory. Widzieliśmy ich tylko na krótkim nagraniu, zanim zniszczyli kamery. Do tej pory odezwali się tylko raz. Zadzwonili na 112.

W co drugim zdaniu „do tej pory”, pomyślał Hultin, po czym od razu naszła go refleksja, że nie o tym powinien teraz myśleć.

Komendant główny włączył magnetofon.

– *We are holding nine people hostage, and we have two hundred pounds of dynamex* – powiedział zniekształcony głos łamaną angielszczyzną.

Hultin uniósł brew i powiedział:

– Nie mają roszczeń?

– Weszli i od razu wzięli zakładników – powiedział komendant główny. – To trochę nietypowe, ale typowe napady na banki to już przeszłość. Widać jakaś nowa metoda.

– Widać są przedsiębiorczy – powiedział Waldemar Mörner i pogładził się po blond peruce.

– Czy to tylko moje uprzedzenia, czy słyszałem rosyjski akcent? – zapytał Hultin.

– Istotnie – doszedł go głos zza pleców.

Przy stojącym nieco z boku, za drzwiami, stole siedziało kolejnych sześć osób. Głos należał do mężczyzny w wyjątkowo grubych okularach.

– Pozwól, Jan-Olov – wtrąciła się Kerstin Holm. – Ściągnęliśmy tu kilku ekspertów: materiały wybuchowe, urbanistyka, informatyka i teletechnika oraz języki. Jest też dyrektor i szef ochrony banku. Będzie jeszcze okazja, żeby się panowie przedstawili.

– Kurt Ehnberg – powiedział mężczyzna w okularach ze

szkłami grubymi jak denka od butelek. – Specjalista w dziedzinie fonologii na Uniwersytecie Sztokholmskim. Słyszę elementy charakterystyczne dla akcentu rosyjskiego. Moskwa i okolice.

Hultin skinął głową, obrócił się z powrotem do sztabu kryzysowego i powiedział:

– Mógłbym zobaczyć to nagranie?

Kerstin Holm odtworzyła film na stojącym najbliżej monitorze. Zegar w dole ekranu pokazywał, że nagranie trwa sześć sekund. Dwóch mężczyzn w czarnych kominiarkach wbiega do banku, kilku klientów rzuca się na podłogę, widać ogień z pistoletów maszynowych.

I ciemność.

Młody mężczyzna wstał od stołu stojącego w głębi pokoju. Hultin rozpoznał w nim najlepszego informatyka w policji. Nie pamiętał tylko jego nazwiska.

– Wyodrębniliśmy jedyny użyteczny kadr – odezwał się bezimienny, który najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, żeby nim pozostać, i wcisnął klawisz na klawiaturze.

Na ekranie ukazał się rozpixselowany obraz ogromnej torby wypełnionej plastikowymi opakowaniami, do których przytwierdzone były jakieś rurki.

– Zgadza się z tym, co mówił – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania. – W tych opakowaniach mogą się mieścić dwudziestokilogramowe ładunki dynamexu. Dwie takie torby i mamy te ich *two hundred pounds*. Kable sugerują, że rozłożyli ładunki wzdłuż ścian banku. Siła wybuchu będzie bardzo duża.

– Jak duża?

Kolejny bezimienny mężczyzna, brodata wysoka postać, wyłonił się z tła ze słowami:

– W najgorszym razie wyleci połowa Östermalmu. My na pewno.

Hultin skinął głową. Konsultacje z dodatkiem specjalnym z tytułu podwyższonego ryzyka, pomyślał. Nikt jakoś o tym nie wspomniał. Myślał, że będzie tęsknić za sauną, tak jednak nie było.

– Rozumiem, że nikt nie jest ranny – powiedział.

– Nic nam o tym nie wiadomo – powiedział komendant główny.

– Próbowaliście nawiązać kontakt?

Komendant główny wskazał jaskrawoczerwony aparat telefoniczny stojący pośrodku biurka.

– Bezpośrednie łącze – wyjaśnił. – Gdy podniosę słuchawkę, u nich zadzwoni telefon, i vice versa. W pokoju obok, obsadzonym przez siły szybkiego reagowania, znajduje się precyzyjna kamera i mikrofon kierunkowy. Mikrofon wychwyił dźwięk dzwoniącego telefonu. W środku rzeczywiście słyhać dzwonek. Nikt nie odbiera, ale nie uszkodzili aparatu ani nie wyrwali kabla. Skontaktują się z nami.

Hultin pokiwał głową.

– Co wiemy o zakładnikach? – zapytał.

– Czterech pracowników banku, czterech klientów. Znamy tożsamość pracowników, ale nie klientów. Chyba że mamy coś nowego?

– Nie bardzo – odpowiedział bezimienny młody technik zza drugiego biurka. – Ostatnia operacja bankowa została zarejestrowana o godzinie 10.39 na Roberta Grahna, 640303. Nie wiemy jednak, czy zdążył wyjść, czy wciąż jest w środku. Poprzednią transakcję zarejestrowano o 10.34 na Gunille Aronsson. Ponieważ napastnicy pojawili się dokładnie o 10.40, prawdopodobnie zdążyła wyjść. O pozostałych nic nie wiemy. Pracownicy to Eva-Lisa Lilja, 27 lat, Emma Karlsson, 25 lat, Nils Bernhardsson, 46 lat, kierownik oddziału, i Ingemar Lantz, 44 lata. Żadne z nich nie figuruje w naszych kartotekach, podobnie jak potencjalny zakładnik Robert Grahn.

– Dziękuję – powiedział Hultin. – Co to właściwie jest za bank? Avtalsbanken?

– Andelsbanken – poprawiła go Kerstin Holm. – Głównie bank internetowy, mały, dosyć nowy. Mają kilka oddziałów w Europie. Kapitał norweski. Oddział na Karlavägen, jedyny w Szwecji, otworzyli niecały rok temu. Nigdy wcześniej nie było

na niego napadu.

– Mają tam skarbiec?

– Tutaj są plany pomieszczeń – powiedziała Kerstin Holm, klikając myszką. – Być może dyrektor banku powie coś więcej na ten temat.

Elegancko ubrany mężczyzna w średnim wieku wstał zza drugiego biurka i odezwał się w dobrze kamuflowanym norweskim:

– Haavard Naess, dyrektor generalny Andelsbanken.

– Proszę powiedzieć coś więcej o lokalu – powiedział Hultin.

– Sto osiemdziesiąt metrów kwadratowych – powiedział Haavard Naess, pokazując na ekran. – Łącznie jedenaście pomieszczeń, z czego największa jest sala główna. Tak, mamy skarbiec, znajduje się na końcu, a tutaj jest jeszcze aneks kuchenny, toaleta męska i damska z prysznicem, większy pokój pracy biurowej, pokój dyrektora regionalnego, jak również cztery mniejsze pokoje spotkań indywidualnych, magazyn materiałów biurowych, serwerownia. A tu są skrytki bankowe.

Hultin spojrział na rysunek.

– Jak pan sądzi, gdzie są zakładnicy i napastnicy?

– Obstawiałbym pomieszczenie ze skrytkami – odezwał się Haavard Naess. – Znajduje się za ciężkimi żelaznymi drzwiami, jest całkowicie izolowane.

– Co myślicie? – zapytał Hultin.

Jako pierwszy zareagował dowódca szybkiego reagowania.

– Bardzo możliwe – przytaknął. – Ale to jest duży lokal bez okien, z wyjątkiem tych, które wychodzą na Karlavägen. W zasadzie mogą być wszędzie. Kiepsko to wygląda. Zwłaszcza że wszystkie kamery zostały uszkodzone.

– Nie macie tam jakiejś sprytnej kamery do podglądania pracowników? – zapytał Hultin.

Haavard Naess nie dał się sprowokować. Pokręcił głową i powiedział:

– Nie.

– Czterech pracowników na stu osiemdziesięciu metrach kwadratowych to raczej niewiele.

– Zdecydowaliśmy się na ekstensywną strukturę

zatrudnienia. Jesteśmy przede wszystkim bankiem internetowym.

– Ekstensywną?

– W przeciwieństwie do intensywnej – wyjaśnił Haavard Naess i nie drgnęła mu przy tym nawet powieka.

Hultin był pod wrażeniem norweskiego opanowania. On sam trochę się zaniedbał w tym temacie.

Westchnął i spojrzął na zebranych wokół stołu.

– Co podejrzewacie? – zapytał. – Braliście pod uwagę terrorystów?

– Tak – powiedział Waldemar Mörner w tym samym momencie co Kerstin Holm:

– Nie.

– A pozostali? – powiedział Hultin.

– Nie – powiedział komendant główny.

– Tak – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania.

– Nie bardzo – powiedziała komendant wojewódzka.

Mniej więcej tego się spodziewałem, pomyślał Hultin.

– Dlaczego? – zapytał.

– To desperacki napad – odezwał się dowódca sił szybkiego reagowania. – Z góry skazany na niepowodzenie. Niby jak mieliby teraz uciec z pieniędzmi?

– Będą negocjować – powiedział komendant główny. – Zgadzam się, że to nie jest zwykły napad, ale tu z pewnością chodzi o pieniądze. Żeby dostać się do pieniędzy w banku, przy dzisiejszych standardach bezpieczeństwa, potrzebna jest nowa strategia.

– Znamy ją – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania.

– Napada się na konwoje przewożące gotówkę. Tylko wtedy jest ona dostępna, nie gdy już znajdzie się w banku. Współczesne skarbcze zamykają się automatycznie, gdy zachodzi nawet najmniejsze podejrzenie napadu.

– Na razie wszystko wskazuje na to, że to Rosjanie – odpowiedział komendant główny – a nie Czeczeni albo Arabowie. Rosjanie to rzadko terroryści, za to często mają powiązania z mafią. Zauważcie, że nie postawili żadnych politycznych żądań.

– Jeszcze nie – powiedział Waldemar Mörner. – Jeszcze z nimi nie rozmawialiśmy. Moim zdaniem to terroryści.

– Terroryści wybierają zwykle bardziej symboliczne cele – powiedziała Kerstin Holm. – Nie jakiś norweski bank internetowy w Szwecji, tylko Bliźniacze Wieże, ambasady i kurorty turystyczne.

– Jakie środki są teraz w banku? – spytał Hultin.

– Jakies pięćdziesiąt tysięcy w kasach – powiedział Haavard Naess. – Poza tym szesnaście milionów w skarbcu i depozyty o nieznannej wartości. Do skarbcza wejdą bez problemu, kierownik oddziału ma dostęp.

– To znaczy, że mogą wyjść stamtąd z co najmniej szesnastoma milionami, osłaniając się zakładnikami.

– Tak myślę.

Jan-Olov Hultin usiadł po raz pierwszy i wyjrzał przez okno. W dole widać było bank. Pogrążony w ciszy i oświetlony łagodnymi promieniami niskiego, przedwiosennego słońca. Wokół banku panowało zamieszanie, on sam przypominał jednak oko cyklonu, nieruchome źródło i przyczynę całego zamieszania. Hultin próbował podnieść wzrok kilka pięter wyżej, żeby sprawdzić, jak wyglądała okolica, ale z oczywistych przyczyn było to niemożliwe. Musiał skorzystać z komputera.

– Proszę powiedzieć coś więcej o okolicy – powiedział, gdy informatyk powiększał zdjęcie lotnicze Östermalmu.

Nikt nie zabrał w tej sprawie głosu. Wreszcie odezwała się Kerstin Holm:

– Larsson?

Coś poruszyło się przy stojącym z boku biurku, gdzie specjaliści tworzący panel ekspercki drżeli ze strachu o własne życie, próbując zająć myśli wizualizacjami faktur opiewających na grube sumy, wystawionych za użyteczną społecznie pracę. Mężczyzna o posiniałej, przekrwionej skórze i w za ciasnym garniturze powiedział:

– Olle Larsson, miejski wydział urbanistyki. Proszę wybaczyć.

– Skoro już tu siedzicie, to chciałbym, żebyście byli obecni również myślami – powiedział Hultin.

– Jak już mówiłem – zaczął Larsson, podnosząc się z miejsca. Dowłókł się do ekranu komputera stojącego na większym biurku i mówił dalej: – Ta część nazywa się, jak na ironię, Gnistan – Iskra, zabudowa pochodzi z końca dziewiętnastego wieku, architekt Johan Laurentz. Karlavägen zaprojektowano jako część systemu esplanad. Strindberg, może pamiętacie: „Burzą, by wpuścić światło i powietrze / Czego więcej potrzeba?”. Koncepcja sztokholmskiej sieci esplanad wywodzi się z Rosji i Finlandii. Esplanada to szeroka ulica z alejami spacerowymi pośrodku, na której ruch uliczny odbywa się po zewnętrznych stronach. Karlavägen wzorowana jest bezpośrednio na bulwarach petersburskich, a plany urbanistyczne Alberta Lindhagena z lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku – na współczesnych projektach regulacyjnych miast fińskich. Ten sposób planowania widzimy już w osiemnastym i na początku dziewiętnastego wieku w Rosji.

– Nie o to pytałem – powiedział Hultin i spojrzał uważnie na mężczyznę, który wyglądał, jakby ktoś go zaszył w zbyt ciasnym garniturze i jakby w każdej chwili mógł pęknąć.

– Bardzo was nie zaskoczę – powiedział Olle Lasson, na którym uwaga nie zrobiła najwyraźniej większego wrażenia. – Kwartale zabudowy są raczej ciasne, Skeppargatan i Grevgatan to stosunkowo niewielkie ulice, ale ponieważ znajdujemy się na Östermalmie, między budynkami jest i tak sporo miejsca. Jeśli pyta mnie pan, którą część powinniśmy ewakuować w pierwszej kolejności – proponuję cały kwartał Gnistan w obrębie ulic Karlavägen – Skeppargatan – Kommendörsgatan – Grevgatan.

Hultin przyglądał mu się przez krótką chwilę, skinął głową i zwrócił się do brodatego eksperta od materiałów wybuchowych:

– Wróćmy do kwestii siły wybuchu – powiedział. – Nie jestem do końca usatysfakcjonowany tym „pół Östermalmu”. To przecież solidne kamienice, budowane w czasach, kiedy jeszcze pojęcie zawodowej odpowiedzialności architekta miało jakieś znaczenie. Jaka jest pańska realistyczna ocena?

– Pół Östermalmu – powiedział brodaty.

– I za to chce pan wystawić fakturę?

Brodaty ocknął się. Najwyraźniej przyzwyczajony do przechodzenia z mównicy na mównicę i powtarzania wciąż tego samego, za co na konto jego firmy konsultingowej regularnie spływały pieniądze, musiał naprawdę się zdziwić, że komuś przyszło do głowy wymagać od niego czegoś więcej. W jednej chwili otrząsnął się z zalegającego na nim od dwudziestu lat kurzu, odmłodził i nabrał wigoru. Wyrwał komputer z rąk bezimiennego eksperta od informatyki i energicznie zabrał się do obliczeń, sprawdzania czegoś w internecie, tak że wkrótce przedstawił bardziej dokładny wynik.

– Opróżniłbym połowę kwartału Gnistan i najbliższe numery po drugiej stronie odpowiednio Grevgatan i Skeppargatan. Nie musimy rozciągać ewakuacji na drugą stronę Kommendörsgatan. Zamknąłbym również najbliższe sklepy w zagrożonej pierzei. Na wszelki wypadek ewakuowałbym pobliskie szkoły, Carlssons i Östra Real. Biorąc pod uwagę, że Karlavägen jest tak szeroka, wystarczyłoby ostrzec osoby mieszkające i pracujące po naszej stronie, a do mediów skierowałbym ostrzeżenie typu: trzymać się z dala od kwartału na zachód od Karlaplan. Lub coś w tym stylu.

– Dziękuję – powiedział Jan-Olov Hultin i rzeczywiście miał to na myśli. – Co mówiliście na temat ewakuacji przed moim przyjściem?

– Mniej więcej to samo – odezwała się komendant wojewódzka. – Dobrze jednak wiedzieć, gdzie jest epicentrum. Podsumowując: całkowita ewakuacja centralnej strefy zagrożenia, następnie stopniowa ewakuacja stref sąsiednich. Nie chcemy wybuchu paniki.

– Koncentryczna neutralizacja paniki – powiedział Waldemar Mörner ze śmiertelną powagą.

Dowódca sił szybkiego reagowania zebrał się na wypowiedź:

– Nic nie wskazuje na to, żeby mieli bez ostrzeżenia wysadzić bank w powietrze. Zamknęli się tam z zakładnikami, a dzięki materiałom wybuchowym ich zakładnikiem jest też cały Östermalm. To jest bezpośrednie przełożenie. Nie

spodziewałbym się tutaj jakiegoś desperackiego wybuchu, naprawdę trudno mi to sobie wyobrazić. Powinniśmy mieć czas na ewakuację.

– Zarządzam natychmiastową ewakuację – powiedziała komendant wojewódzka i chwyciła za telefon.

W trakcie jej rozmowy emerytowany inspektor policji Jan-Olov Hultin zastanawiał się, jak do tego doszło, że od razu przejął rolę dowodzącego. Czy to się stało samo, czy planowali to od samego początku?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Spojrzał na swoją następczynię. Kerstin Holm ładnie dziś wyglądała i choć nie miał pełnego obrazu zdarzeń towarzyszących ubiegłorocznej nocy świętojańskiej, wydawało mu się, że nie mógł lepiej wybrać. Tak jak podejrzewał, udało jej się wychować Jona Andersona na godnego następcę Paula Hjelma. On sam nie dałby sobie z tym rady. Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem. Poczul ciepło, jakiego od dawna już nie czuł. Dlaczego tak wspaniała kobieta nie mogła znaleźć kogoś, z kim mogłaby dzielić życie? Nie rozumiał. Przez chwilę zastanawiał się, jak to jest żyć samemu. Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Co by było, gdyby Stina umarła? Na pewno stałby się strasznym dziwakiem. Dziwakiem z Ravalen...

Co prawda nie mógł tego wiedzieć, ale myśli Kerstin Holm krążyły niemal wokół tego samego. Hultin dobrze wyglądał. Tak wygląda człowiek, który przez całe życie ma kogoś u swojego boku, kogoś, z kim może się dzielić swoimi radościami i smutkami. A ona? Czy było po niej widać, że jest sama, że nie ma nikogo, z kim mogłaby rozmawiać, z kim mogłaby żyć, kochać się? Oczywiście był Anders, jej syn, ale nie było nikogo dorosłego. Od czasu zawodu, jaki spotkał ją ubiegłego lata, nie miała siły, a może po prostu odwagi, żeby zrobić pierwszy krok w stronę płci przeciwnej. Zdrada ją obezwładniła. Coraz częściej ogarniało ją przerażenie, żal, tęsknota. Tęskniła za czymś solidniejszym, na czym mogłaby się oprzeć, na czym mogłaby spocząć, w co mogłaby się wtulić, wcisnąć. Tęskniła za dotykiem mężczyzny, za męskimi dłońmi. Choć nie za każdą cenę i nie na czyichś warunkach. Trudno to było pogodzić. Być

może nie potrafiła już *spotkać się w połowie drogi*.

Ich rozważania przerwały hałasy dobiegające z korytarza. Komendant wojewódzka policji zasłoniła dłonią słuchawkę, westchnęła i pokręciła głową.

– Dziennikarze – powiedziała stłumionym głosem. – Musimy zawołać ochronę.

Drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich barczysty policjant w wieku około dwudziestu, dwudziestu pięciu lat. Coś wciskało go do środka z niebywałą siłą. Hultin zdążył jeszcze pomyśleć: aha, faza druga operacji terrorystycznej – likwidacja sztabu. Myśl zniknęła jednak, gdy doszły go odgłosy, które mimo nerwowego tonu przypominały rozmowę:

– Odpowiesz za napaść na funkcjonariusza, palancie! Nie wejdiesz bez legitymacji! – ryknął wielki policjant.

– Zapomniałem! – krzyknął znajomy, choć dziwnie zmieniony głos. Hultin jeszcze nigdy go takim nie słyszał. Co to było? Panika?

Kerstin Holm dopadła policjanta, położyła dłoń na nabrzmiałym od adrenaliny i testosteronu ramieniu, tak że skurczyło się o jakieś dwadzieścia centymetrów.

– W porządku – powiedziała. – Dziękuję. Wróc na miejsce.

Mężczyzna patrzył na nią przez chwilę, a potem oddalił się, obezwładniony jej pięknem. Na progu pozostał wyraźnie chudszy osobnik w plastikowych oprawkach i garniturze od Armaniego.

– Tam jest moja żona – powiedział drżącym głosem.

– Żona? – zdziwiła się Kerstin Holm.

Paul Hjelm wymachiwał bezradnie rękami, miał odmieniony głos:

– Moja była żona, moja eks. Cilla. Cilla.

Hultin wstał i podszedł do swojego dawnego ucznia.

– Cilla jest w środku? Jako zakładniczka?

Hjelm patrzył tępo na Hultina, jakby jego widok w jakiś tajemniczy sposób koił zszargane nerwy.

– Co ty tu robisz? – zdziwił się.

Co za radosne powitanie.

– Konsultuję – odpowiedział ze spokojem Hultin. – Dlaczego

wydaje ci się, że Cilla tam jest?

– Dostałem SMS-a: „pomocy był napad cilla”.

– O której?

Hjelm zamrugał oczami.

– O dziesiątej czterdzieści dwie – powiedział cicho.

Hultin skinął głową.

– To by się zgadzało – powiedział. – Nie możemy jednak teraz tego potwierdzić. Nie mamy z nimi kontaktu – dodał, pokazując na milczący, jaskrawoczerwony aparat telefoniczny na biurku.

– Odpowiedziałeś? – zapytała Kerstin Holm.

– Na SMS-a? – zapytał Hjelm. – Nie.

– To dobrze. Nie powinniśmy zakładać, że miała możliwość ściszyć telefon, choć znając ją, będzie próbowała to zrobić.

Znasz ją, Kerstin, pomyślał Paul. Pewnie znacznie lepiej niż ja.

– A więc mamy tam kogoś? – powiedział komendant główny z nadzieją w głosie.

– Kurwa, to moja żona – powiedział Hjelm.

– Była żona – poprawiła go Holm.

Jan-Olov Hultin uznał, że to dobra okazja, by się wtrącić:

– Czy mogę zaproponować, żebyśmy poszerzyli sztab kryzysowy o Drużynę A? I przenieśli się do sali konferencyjnej? Potrzebujemy świeżych umysłów.

Lewa połowa twarzy dowódcy sił szybkiego reagowania wykrzywiła się, bezimienny technik wzdrygnął się na myśl o przenoszeniu całego sprzętu, ale nikt nie zaprotestował. Po rozszerzeniu o panel ekspertów sztab osiągnął całkiem pokaźne rozmiary.

Właśnie wychodzili z pokoju, gdy czerwony telefon na biurku zadzwonił.

Zabrzmiało to bardziej jak stukot.

JAK WYGLĄDAJĄ myśli pozbawione języka? Stan umysłu, w którym brakuje słów? Znajdowała się w nim już od dłuższej chwili, nie wiedziała tylko, od jak długiej. Nie była pewna, czy upłynęły dwie doby, czy dwie minuty. Miała wrażenie, jakby język uszedł z niej wraz z tymi czterema krótkimi wyrazami. Nic nie zostało.

Najpierw napisała „pomocy”. Leżała na podłodze, z policzkiem przyciśniętym do ziemi, trudno jej więc było cokolwiek napisać. Pomóż mi. Ratuj. Nie sądziła, że kiedykolwiek będzie musiała kogoś o to prosić, zwłaszcza mężczyznę, a już szczególnie byłego męża. Przez ostatni rok radziła sobie sama.

Potem napisała „był napad”. Bardzo szybko to sobie uświadomiła. Zamaskowani napastnicy byli w środku nie dłużej niż kilka sekund, gdy dotarło do niej, z całkowitą jasnością, co się za chwilę wydarzy. Pierwszą, równie wyraźną myśl o rychłym końcu zastąpiło przekonanie, że będzie musiała jeszcze wiele godzin wegetować na granicy życia i śmierci. Możliwe, że czekało ją poniżenie, gwałt, tortury, może syndrom sztokholmski, a potem trauma na całe życie, może śmierć na skutek eksplozji albo strzału i powolnego wykrwawienia. Wszystko to musiała zawrzeć w krótkim, niepozornym słowie „napad”.

Na koniec dopisała „cilla”. Dziwne, ale poczuła, że musi się podpisać. Pomyślała, że Paul może nie mieć numeru jej komórki – że usunął ją z pamięci telefonu. A może się podpisała, żeby upewnić samą siebie, że istnieje. Że wciąż ma imię, tożsamość.

Wraz z pojawieniem się na wyświetlaczu jej imienia język zniknął.

Leżała między fotelami dla klientów – z twarzą przy marmurowej, lodowatej posadzce, jakby przymarzła do niej w dziwnej pozycji. W tej pozycji wystukiwała na klawiaturze

telefonu kolejne litery wiadomości, ściszyła dźwięk, wysłała SMS-a – i straciła język.

Na pewno myślała o czymś, gdy spadały na nią odłamki szkła i sufitu, gdy od wystrzałów zdawały się pękać bębunki, gdy świat się trząsał w posadach. Jej myśli na pewno biegly jak szalone, gdy znalazła się w stłoczonej masie ludzkiej między pracownikami banku i pozostałymi klientami. Musiała jakoś zareagować na zapach uryny i odchodów. Bardzo wiele myśli musiało przebiec jej przez głowę, gdy szła popychana korytarzem, przez biuro, aż do sterylnego pomieszczenia wypełnionego skrytkami.

W jej głowie musiały tłoczyć się myśli.

Tyle tylko, że nie było w nich słów.

Czy przez to były mniej wyraźne? Wydawało się jej, że wręcz przeciwnie. Miała wrażenie, że widzi ich strukturę – argument, dowód, wniosek, postanowienie, refleksja, odczucie – wszystko było obecne, choć niewyrażone słowami. Było to bardzo dziwne. Jakby mimo wszystko to nie umiejętność posługiwania się językiem decydowała o tym, że jesteśmy ludźmi.

Co sprawiło, że język wrócił? Być może był to dotyk. Wyższy z napastników podszedł do niej i położył rękę na jej ciele, chłodno, beznamyślnie. Wziął jej torebkę i miękką niebieską paczkę z urodzinową sukienką dla Tovy i rzucił je na stertę innych rzeczy. Dotknął jej piersi w sposób pozbawiony erotyzmu – czy agresji. Miał ostry, ciężki oddech, wyczuwalny nawet przez kominiarkę. Był całkowicie skupiony. To, że w jego oczach była przedmiotem, nie kobietą, uspokajało ją i niepokoiło jednocześnie.

Nie zauważył telefonu. Trzymała go w wyciągniętej ku górze dłoni, a on nawet jej nie sprawdził. Co prawda mocno ją zaciskała, a telefon był dość mały, mimo to powinien był go zauważyć. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle – z całą pewnością był to jednak jakiś znak. Dowód, że nie był do końca profesjonalistą. Wydawało się to dziwne, bo wszystko inne wyglądało bardzo profesjonalnie. Widać było, że akcja była starannie zaplanowana.

Kiedy przycisnął ją do podłogi, udało jej się wsunąć telefon

pod udo. Pierwsze, co pomyślała, kiedy już wróciły jej słowa, to „królowna na ziarnku grochu”.

Najpierw napastnicy zabarykadowali drzwi wejściowe i umieścili ładunki wybuchowe wzdłuż ścian. Potem zamalowali czarnym sprejem okna wychodzące na Karlavägen, wyjęli jeszcze więcej broni z torby i zaczęli rozmieszczać zakładników. Sadzali ich w osobnych pomieszczeniach, pod ścianami, ręce skuwali kajdankami i na koniec zostały im już tylko dwa wolne miejsca przy drzwiach pomieszczenia ze skrytkami. Wtedy skończyły im się kajdanki. Niski zamaskowany mężczyzna warknął na tego wyższego, chyba po rosyjsku. Potem już do tego nie wracali. W ogóle niewiele ze sobą rozmawiali.

Jedną z dwóch, dla których zabrakło kajdanek, była Cilla. Musiały jej wystarczyć słowa:

– *Move an inch and you're dead.*

Wiedziała, że była jedną z dziewięciorga zakładników. W pomieszczeniu ze skrytkami było ich czworo: najdalej w głębi kobieta i mężczyzna, pracownicy banku, spięci kajdankami i oddaleni trzy metry od siebie, dalej starsza kobieta, którą czuć było moczem i która bez przerwy zanosila się płaczem, choć nie wydawała przy tym żadnego dźwięku, a kolejne dwa metry dalej w kierunku otwartych grubych, metalowych drzwi leżała Cilla. Miała względnie dobry widok na lewo, w kierunku większego pomieszczenia biurowego, w którym znajdowali się napastnicy, i nieco gorszy na prawo, do sali głównej, przerażająco pustej, jeśli nie liczyć młodej dziewczyny z personelu. Siedziała przykuta kajdankami do kasy blisko drzwi wejściowych, jakby na pierwszym przyczółku obrony. Płakała cicho, zawodząc; Cilla widziała ją od tyłu, przykucniętą między odłamkami szkła na podłodze z ręką wyciągniętą ku górze. Doświadczenie lekarskie podpowiadało Cilli, że kobieta niedługo zemdleje.

Nie wiedziała dokładnie, gdzie znajdowała się pozostała czwórka zakładników, ale domyślała się, że rozmieszczono ich w boksach, w których obsługiwano VIP-ów. Widziała, że w większym pomieszczeniu biurowym, w którym siedzieli napastnicy, zajęci szukaniem czegoś w swoich torbach, nie było

żadnego zakładnika. Możliwe, że nie chcieli, żeby ktoś im przeszkadzał. Co jakiś czas ten niższy wysyłał wyższego na obchód lokalu, żeby sprawdzić, czy zakładnicy są na swoich miejscach. Rzadko odkładał pistolet maszynowy.

Niedługo potem usłyszała, jak niższy podnosi słuchawkę i mówi łamanym angielskim:

– *We are holding nine people hostage, and we have two hundred pounds of dynamex.*

Po pewnym czasie, nie wiedziała, jak długim, zadzwonił jeden z telefonów. Widziała, jak napastnicy na niego spojrzeli. Niższy pokręcił głową, patrząc na wyższego. Wyższy skinął głową. Potem telefon dzwonił w równych odstępach czasu. Napastnicy nie odbierali. Wyglądało, jakby na coś czekali. W którymś momencie doszedł ich dźwięk megafonu na Karlavägen. Napastników wzywano, by odebrali telefon, i informowano, że wystarczy, że podniosą słuchawkę, by skontaktowali się z kierownictwem policji.

Tego samego dnia zaczęła się wojna w Iraku i Cilla zastanawiała się, jak szwedzkie media podzieliły czas antenowy. Napad musiał być, mimo wszystko, numerem jeden. Nie żeby była ekspertem w dziedzinie materiałów wybuchowych, ale *two hundred pounds of dynamex* brzmiało całkiem poważnie. Jak duża część Sztokholmu miała wylecieć w powietrze wraz z Cillą Hjelm?

Pomyślała o Norrmalmstorg – oddalonym zaledwie o kilka minut spacerem. Między 23 a 28 sierpnia 1973 roku w Sveriges Kreditbank przy Norrmalmstorg rozegrał się trwający pięć dób dramat. To wtedy ukuto termin „syndrom sztokholmski” na określenie sytuacji, gdy zakładnicy biorą stronę porywaczy i bronią ich przed resztą świata. Spojrzała w stronę zamaskowanych mężczyzn i pomyślała, że będzie musiało minąć bardzo dużo czasu, zanim zdecyduje się stanąć po ich stronie.

Czas pokaże.

Jej ciało zapadało w sen. Powoli się obróciła. Napływ krwi wywoływał ból. Jakby już samo życie powodowało cierpienie.

Po raz pierwszy rozejrzała się po pomieszczeniu. Czas

wydawał się znów płynąć normalnie, znów było „najpierw” i „potem”. *Najpierw* spojrzała w stronę dwóch napastników, *potem* spojrzała na współwięźniów siedzących pomiędzy bankowymi skrytkami.

Na każdej z dwóch dłuższych ścian przymocowano po jednym plastikowym pakunku. Półprzezroczyste opakowania przyklejono nad rzędami skrytek; pod folią rysowały się kształty lasek dynamitu.

Lub raczej lasek dynamexu.

Oboje nienagannie ubranych pracowników banku siedziało przywiązanych do regałów ze skrytkami pod ścianą w głębi pokoju. Wyglądali, jakby nie zwracali uwagi na to, co się dzieje wokół nich; być może po prostu postępowali zgodnie z instrukcją na wypadek napadu. „Zaleca się spokój. Wszystko będzie dobrze”.

Znajdująca się najbliżej niej kobieta była wyjątkowo aktywna. Miała około siedemdziesięciu, siedemdziesięciu pięciu lat, typowa starsza pani z Östermalmu, niegdyś prowadząca bujne życie towarzyskie, dziś przez życie opuszczona. Prawdopodobnie matka kilkorga dzieci i pani domu, wdowa po przedsiębiorcy. Bez problemów finansowych, ale też bez określonego celu w życiu. Być może przez Cillę przemawiały uprzedzenia, ale widziała to zbyt często, by teraz tego nie zauważyć. Tak wyglądała większość jej klientek. Od jakiegoś czasu nie miała już pacjentów, tylko klientów.

W oczach kobiety widać ból, płakała. Kiedy spotkały się wzrokiem, wyszeptła:

– Przepraszam.

Cilla poczuła, że marszczy brwi. Widząc to, kobieta dodała:

– Posiusiałam się. Przepraszam.

– Matko – wyszeptła Cilla. – To przecież wyjątkowa sytuacja. Mnie zupełnie odjęło mowę.

– Mam na imię Barbro – wyszeptła kobieta. – Myśli pani, że zginiemy?

– Nie, skąd – skłamała Cilla. – Nie, jeśli zachowamy spokój.

– Myśli pani, że to Al-Kaida? Chodzi o Saddama?

– *Shut the fuck up!*

Wyższy z napastników wyrósł jak spod ziemi zaledwie kilka metrów od Cilli. Podniosła na niego wzrok i rozpoznała jego spojrzenie, szeroko rozstawione, wąskie, szare oczy wpatrujące się w nią ze szczeliny w obcisłej, czarnej kominiarce. Spojrzała na karabin maszynowy i pomyślała: czy zaraz mnie nim uderzy, czy uszkodzi mi twarz tak bardzo, że będę musiała poddać się operacji na własnym oddziale chirurgii plastycznej? Zamknęła oczy. Kiedy znów je otworzyła, jego już nie było.

Wrócił jakieś pół minuty później, jednak przeszedł tylko przez drzwi, prowadząc przed sobą elegancko ubranego mężczyznę w średnim wieku, pracownika banku. Weszli do biura, widziała ich kątem oka, niższy z napastników powiedział:

– *We need to get into the vault. Key, please.*

Bankier się nie poruszył. Wyglądał, jakby nie zrozumiał ani słowa. Może on też stracił język, pomyślała Cilla. W końcu jednak ze stoickim spokojem podał klucz mężczyźnie w kominiarce. Być może potrzebował chwili, żeby przypomnieć sobie instrukcje.

– *Thank you* – powiedział niższy zamaskowany mężczyzna i skinął na wyższego kolegę, który odprowadził bankiera na miejsce gdzieś w głębi oddziału.

Dyrektor banku, pomyślała Cilla.

Czy jeszcze istnieli dyrektorzy banków?

Wyższy napastnik wrócił, wziął klucz od skarbcia i pustą torbę na ramię od tego niższego, a potem wrócił z pełną torbą. Procedura się powtórzyła.

Napełnili torby pieniędzmi. Cilla pomyślała znowu: czy to dobry, czy zły znak?

Może mimo wszystko dobry. Może był to znak, że chcą żyć dalej, że nie są terrorystami, zamachowcami samobójcami, którzy wierzą, że zostaną wynagrodzeni w innym, lepszym świecie. Choć z drugiej strony te pieniądze mogły kosztować zakładników życie.

Wciąż szukała znaków. Próbowwała wyczytać przyszłość z terażniejszości. To był jej sposób na przetrwanie. O co chodziło napastnikom? Jaki mieli cel? Dlaczego nie zdecydowali się na

zwykły napad: rach-ciach i po krzyku?

Czas płynął. Niższy napastnik spojrział na zegarek. Telefon przestał dzwonić. Dlaczego? Czy zerwali kontakt ze światem zewnętrznym? Czy to policja przestała dzwonić? Raczej to drugie – nie zauważyła, żeby napastnicy odcinali jakies przewody. Pomyślała, że powinna była bardziej się interesować pracą byłego męża, wówczas może wiedziałaby, dlaczego telefon przestał dzwonić. Przecież nie mogli ich tak po prostu zostawić. Z drugiej strony tak właśnie się czuła: jakby zostali sami we wszechświecie, a jedynym świadectwem życia na Ziemi była grupa pobladłych Szwedów przywiązanych do wystających ze ścian elementów oraz dwóch zamaskowanych, mówiących w obcym języku napastników, niższy, który był mózgiem, i wyższy, który był masą mięśniową. Dwóch ludzi mających całkiem inny stosunek do ludzkiego życia.

Spojrziała na Barbro, która przestała płakać i wyglądała, jakby zapadła w śpiączkę. A jeśli staruszka miała rację? A jeśli wcale nie przez przypadek to wszystko stało się tego samego dnia, kiedy rozpoczęła się wojna w Iraku? Próbowала sobie przypomnieć, co czuła, kiedy rano w telewizji zobaczyła spadające bomby. O nie, nie znowu, to była jej pierwsza reakcja. Nie jeszcze jedna zemsta na świecie arabskim za 11 września. Nie kolejna wojna o ropę. To była pierwsza reakcja. I zaraz potem: Irak to duży kraj, ponad dwadzieścia milionów ludzi, którzy cierpią pod rządami dyktatora – może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli się go pozbędą? Kim jesteś, żeby odmawiać im wolności? Nie mogła się zdecydować. Czuła się jak osioł między dwoma żłobami z sianem.

Jakby to miało teraz jakieś znaczenie. Teraz liczyło się tylko, żeby ująć stąd z życiem. Wielka wojna miała swoją skromną odsłonę w Sztokholmie.

Zastanawiała się, kim jest. Cilla Hjelm. Nie była już postacią ze sztafażu. Nagle znalazła się w centrum wydarzeń. Energiczna kobieta w kwiecie wieku, kierownik oddziału najbardziej renomowanego szwedzkiego prywatnego szpitala, singielka, inteligentna, towarzyska, zadbana. Kobieta, która nie potrzebowała niczyjej pomocy, która do nikogo nie musiała

pisać „pomocy”. I która z pewnością cieszyłaby się nie małym powodzeniem, gdyby tylko choć trochę interesowała się płcią przeciwną.

Jednocześnie osoba pozbawiona zainteresowań, bez pomysłu i nadziei, skostniała, wyschnięta.

Skąd te myśli? Dlaczego zaczynam myśleć jak Paul?

Paul. Jego twarz. Widziała ją jak przez mgłę. Lata spędzone obok siebie rozmywają rysy twarzy. Co widzę, kiedy o nim myślę? Widzę mój obraz jego osoby, nigdy jego samego, i nie sposób tego uniknąć. Nie potrafimy zwyczajnie się widzieć. Czy tak musi wyglądać ludzkie życie?

Dlaczego o nim w ogóle myślę? Przestań, natychmiast.

Nowy obraz. Aha. Pojawił się nagle. Nie powinno go tam być, powinien zniknąć, wyrwany z korzeniami, na zawsze usunięty ze świadomości. Być może pojawił się, bo nie była to już jej własna świadomość, tylko świadomość zakładnika. Jeszcze nigdy takiej nie miała. Działała inaczej, produkowała inne obrazy.

Okno.

Okno od zewnątrz.

Niewyraźne ruchy w środku. Jak w macicy. Półprzezroczysta powłoka napina się i pulsuje. Coś chce się wydostać. Na zewnątrz. Wyjść.

Dlaczego właśnie teraz, w tych warunkach? Leżała na podłodze, z telefonem wciśniętym w prawe udo, i obserwowała napastników, którzy kilka metrów dalej krążyli z pustymi torbami w lewo i z naładowanymi – w prawo.

Naładowanymi? Nawet jeśli dzięki temu udało jej się oddalić obraz falującej szyby, słowo nie wydawało się najtrafniejsze. Nie kiedy ściany wokół niej oblepiały te plastikowe opakowania z wystającymi rurkami. Dynamex? Czym, do cholery, był dynamex? Pewnie jakimś rodzajem dynamitu, raczej silniejszym od zwykłego dynamitu. Przez krótką chwilę widziała coś, czego nie powinna była oglądać: fragmenty własnego ciała leżące na ziemi. Zobaczyła swoje jelita, wątrobę rozmazaną na osmolonej ścianie i swoją zmasakrowaną twarz. Nałożył jej się na to obraz z niedawnej operacji kobiety, która

chciała podnieść kości policzkowe, widok jej ponacinanej twarzy, w której chirurg przesuwiał dłutem jak w galarecie.

Przestań, przywołała się w myślach do porządku. Przymknęła oczy i znów pojawił się obraz okna. Falowało i wyginało się, jakby nie chciało, żeby ktoś przez nie zaglądał. Nie miała zobaczyć tego, co było za nim. A może przeciwnie – może chodziło właśnie o to, żeby zobaczyła. Jej dusza walczyła, nie chciała umrzeć. Bo rozumiała, że widzieć znaczyło umrzeć. I właśnie gdy walka dobiegała końca, gdy fale na szybie zaczęły się kłaść jak morskie fale po sztormie, gdy gładka powierzchnia zaczęła się uspokajać jak śmierć zatrzymana na fotografii, właśnie wtedy rozległ się głos i rozbił cały ten obraz:

– *I wish to speak to the man in charge.*

Niższy napastnik siedział w pomieszczeniu biurowym ze słuchawką przy uchu, ze wzrokiem utkwionym w zegarku.

W tej samej chwili Cilla Hjelm poczuła wyraźny, natarczywy ból w tylnej części uda, wywołany przez wibracje telefonu, który zlał się z wizją śmierci, by po chwili wrócić do niej w całej swojej przejrzystości.

Kilka sekund później kaszlnęła, żeby zagłuszyć ledwo słyszalne piknięcie.

W BIURZE AGENCJI NIERUCHOMOŚCI po drugiej stronie Karlavägen rozległ się jakiś dziwny dźwięk. Nie zabrzmiało to jak zwykły dzwonek, elektroniczna melodyjka współczesnego telefonu. Przypominało raczej stukot, jakby znaleźli się z powrotem w latach czterdziestych ubiegłego wieku i mieli być świadkami rozmowy między dwoma światami ogarniętymi wojną.

Grupa ekspercka zdążyła już wyjść z pokoju, kobiecy duet składający się z komendant wojewódzkiej i Kerstin Holm zatrzymał się w progu, dowódca sił szybkiego reagowania i Waldemar Mörner, którzy właśnie podnieśli się z krzeseł, opadli na nie z powrotem. Stojący najbliżej telefonu Jan-Olov Hultin spojrział na komendanta głównego policji, który odruchowo pogładził się po łysej czaszce i lekko się skrzywił.

Kolejny dzwonek. Brzmiał jeszcze bardziej archaicznie.

Chcąc uchronić ich przed przeniesieniem w dziewiętnasty wiek, Paul Hjelm przecisnął się do biurka, na którym stał telefon, i pierwszy podniósł słuchawkę.

– *Yes?* – powiedział ostro.

Głos w słuchawce odpowiedział:

– *I wish to speak to the man in charge.*

Hjelm zasłonił dłonią zabytkową słuchawkę i powiedział głośno i wyraźnie:

– Chce rozmawiać z szefem.

Przez chwilę zaległa cisza. Nikt się nie poruszył.

Paul Hjelm zamachał słuchawką:

– Kto tu jest, kurwa, szefem? – zapytał dramatycznym szeptem.

Komendant główny policji stał, ciągle gładząc się po łysinie.

– Zależy, jak na to spojrzeć – powiedział.

– Cieszcie się, cholera, że nie ma z nami dziennikarzy – syknął Hjelm.

Komendant wziął do ręki słuchawkę, przez chwilę się jej

przyglądał, a potem podał dalej Hultinowi.

– Szef zespołu negocjatorów – powiedział.

Zanim Jan-Olov Hultin wyciągnął rękę, zdążył jeszcze pomyśleć: cóż za głęboka wiara w moje możliwości. Od roku nie mieli ze mną kontaktu, a gdybym tak na skutek postępującej miażdżycy zdzieciniał, a od nadmiaru sauny stracił wigor i bystrość umysłu? Mają cholerne szczęście, pomyślał na koniec i złapał słuchawkę.

– *This is chief inspector Jan-Olov Hultin.*

– *Are you the man in charge?* – zapytał głos podejrzliwie. Ponieważ bezimienny informatyk zakradł się do pokoju i podłączył głośniki, głos rozległ się po całym pokoju.

– *Yes* – powiedział Hultin stanowczo. – Czego chcecie?

– Chcemy wyjść stąd z pieniędzmi. Mamy dziewięćdziesiąt zakładników i ładunki wybuchowe rozmieszczone w całym banku.

– Jesteśmy tego świadomi – powiedział Hultin. – Rozumiem, że macie plan.

Zasłonił słuchawkę dłonią i wyszeptał do komendant wojewódzkiej policji:

– Na jakim etapie jest ewakuacja?

Komendant wojewódzka policji uniosła palec wskazujący, a jej usta złożyły się do bezgłośnego „chwileczkę”. Odwróciła się plecami i wybrała numer na telefonie komórkowym.

– Tak – odpowiedział głos w słuchawce. – Mamy plan. Nasz plan zakłada, że wyjdziemy stąd z pieniędzmi bez niepotrzebnego rozlewu krwi i wysadzania połowy miasta w powietrze.

Hultin rozejrzał się po pokoju z pytającym wyrazem twarzy. Dowódca sił szybkiego reagowania zmarszczył w odpowiedzi czoło.

– To znaczy, że nie macie planu? – zapytał konsultant pełniący obowiązki szefa zespołu negocjatorów.

– Właśnie to jest nasz plan – odpowiedział głos w słuchawce.

– Nie rozumiem – powiedział Hultin, choć nie była to prawda. Rozumieli też Hjelm i Holm, widział to po ich oczach. Tyle już razy wymieniali się spojrzeniami, że trudno było

cokolwiek ukryć. Rozumieli się bez słów. Kerstin Holm skinęła lekko głową, ale nic nie powiedziała.

Odezwał się za to napastnik, w jego angielskim słyhać było rosyjski akcent:

– Komu najlepiej wychodzi ratowanie zakładników?

Hultin nic nie odpowiedział.

– No jak to, przecież wam – powiedział po chwili jego rozmówca. – Policji. Szwedzkiej policji. Nie jesteście jak rosyjskie siły bezpieczeństwa, które bez skrupułów atakują gazem wszystkich jak leci, napastników i zakładników.

– Masz na myśli Czeczenów w teatrze na Dubrowce?

– Jak miło rozmawiać z wykształconym policjantem.

– Cały świat o tym słyszał.

– Tylko kto używał nazwy Dubrowka?

– Racja – szepnął Waldemar Mörner i został stanowczo uciszony przez pięć osób jednocześnie.

Hultin wyprostował emerycką szyję, próbując przejąć inicjatywę:

– Co dokładnie masz na myśli?

– Nie próbujcie nawet używać gazu. Ładunki wybuchowe możemy zdetonować w ułamku sekundy.

– Dobra. Co planujecie?

Mężczyzna się roześmiał.

– Dobrze wiesz, Hultin.

Nie powiedział Ålltin ani nawet Hältinn, pomyślał Hultin. Perfekcyjna szwedzka wymowa.

– Wolałbym, żebyś ty to powiedział – odparł.

Napastnik podniósł nieco głos i odrzekł bardzo wyraźnie:

– Nasz plan przewiduje, że to policja opracuje plan.

Hultin rozejrzał się po pokoju. Dowódca sił szybkiego reagowania uczynił wymowny gest dłonią. Gest, który znaczył „zapomnij o tym”. W najlepszym wypadku. W najgorszym: „nie żyjesz”.

– Ciekawa propozycja – zaczął ostrożnie Hultin.

– Jesteście w tym najlepsi.

– Jeszcze lepiej wychodzi nam łapanie bandytów.

– Ha, ha – roześmiał się mężczyzna i dodał po chwili

zmienionym głosem: – Ze strategicznego punktu widzenia najważniejsze jest to, żeby zakładnicy wyszli z tego cało, a te piękne budynki nie uległy zniszczeniu. Nie chcecie chyba, żeby zawalił się system strindbergowskich esplanad? Znajdźcie jakiś sposób. Może coś wymyślicie podczas ewakuacji. Właśnie, kończycie już?

Hultin spojrział najpierw przez okno – na drugą stronę Karlavägen, pomiędzy zamrożonymi drzewami, i patrzył, jak przez bramy ewakuowanych budynków wylewają się strumienie ludzi. Nie był to codzienny widok. Potem spojrział na komendant wojewódzką policji. Wszystkie palce podniosła w wyteżonym geście.

Dziesięć minut czy złapał ją skurcz? – zastanowił się Hultin, a na głos powiedział:

– Jeszcze chwila.

– To dobrze – powiedział mężczyzna i odłożył słuchawkę.

W tej samej chwili coś piknęło. Dwukrotnie. Hultin zmarszczył brwi, zresztą nie tylko on. Co to był za dźwięk?

Czy to jest piknięcie, jakie słyszy się tuż przed eksplozją stu kilogramów dynamexu?

Nie, to eksplodował Paul Hjelm. Zaczął w amoku przeszukiwać wszystkie kieszenie swojego garnituru od Armaniego. Wreszcie znalazł telefon, spojrział na wyświetlacz i pokręcił zrezygnowany głową.

– Co to jest? – powiedział głośno.

Kerstin Holm podeszła do niego i zajrzała mu przez ramię.

– Dostałeś MMS-a.

– Co, kurwa?

– Multimedia Messaging Service, w odróżnieniu od Short Message Service, SMS. Służy do przesyłania zdjęć, grafiki, dźwięków.

Komendant główny policji klasnął w dłoń:

– Czy możemy możliwie szybko przenieść się do sali konferencyjnej?

– Ile czasu potrzebujemy na przerzucenie sprzętu? – zapytał Hultin bezimiennego technika.

– Pięć minut – odpowiedział. – Jeśli ktoś mi pomoże.

Pokój opustoszał. Zostali tylko Hjelm i Holm. Po chwili klikania w klawiaturę Kerstin udało się wyświetlić wiadomość.

Było to zdjęcie.

Dopiero po chwili zrozumieli, co takiego widzą na małym wyświetlaczu. Było to zdjęcie mężczyzny siedzącego za biurkiem. Mężczyzny o całkowicie czarnej twarzy.

– Murzyn? – zdziwił się Hjelm.

– Nie wydaje mi się. – Kerstin Holm potrząsnęła głową. – Zobacz, co trzyma w ręce.

Paul Hjelm zmrużył oczy, żeby wyostrzyć wzrok. W końcu zobaczył.

To była słuchawka.

Cilla i ta jej cholerna komórka, pomyślał Paul Hjelm i poczuł, jak zalewa go fala ciepła.

DŹWIĘKI POWOLI ZANIKAŁY. Nie były to nawet dźwięki, raczej jakiś znak obecności, znak, że coś się działo. Fragmenty rozmów, które docierały tu, a potem rozchodziły się po podłodze pod jego stopami, wyjątkowo czystej, ledwo wyczuwalne drżenie drzwi i okien, zamykanych w pośpiechu, jakoś inaczej niż zwykle. W powietrzu czuć było napięcie.

Ukryty za kontenerami na śmieci czuł w ciele coś, o czym myślał, że już dawno to zapomniał, choć wiedział, że to niemożliwe, bo nie zostało wyuczone jak każda inna umiejętność. Raczej wszczepione, wdrukowane, wytatuowane. Wewnętrzny barometr, intuicja pozwalająca wyczuć najlżejsze zmiany ciśnienia, często również te niewyczuwalne fizycznie.

Teraz stawały się coraz słabsze.

Spojrzał na przegub ręki i stwierdził, że jego wewnętrzny zegar się nie mylił. Może chodził trochę wolniej, ale wciąż w granicach tolerancji. Czekał już tylko na jedno. I to w ciągu najbliższych minut.

Nie musiał chować się głębiej za kontenery. Siedział dokładnie w tej samej pozycji co dwie godziny temu. Dzięki doskonałemu przygotowaniu jego nogi nie zdrętwiały. Tętno spadło, oddech się uspokoił, aktywność mózgu zmalała do minimum, wszelkie ruchy zamarły. Wegetacja. Całkowita bierność poprzedzająca ekstremalną aktywność. Ziarnko słonecznika w skutej lodem ziemi.

Niedługo nadejdzie wiosna.

Drzwi do śmietnika otworzyły się na krótką chwilę. Nie mógł go widzieć, ale wyczuwał wzrok, który przebiegł po pomieszczeniu. Wzrok policjanta. Powietrze drgnęło. Usłyszał krótki okrzyk:

– Jest tu ktoś?

Gdybyś potrafił wyczuwać niuanse ciśnienia, aspirancie, od razu wiedziałbyś, że tak, pomyślał mężczyzna z zegarkiem. Potem drzwi się zatrzasnęły.

Raczej nie uczą was tego w szkole, pomyślał po chwili. Potem

już nic nie myślał. Przymknął oczy i odganiał wszystko, co choćby trochę przypominało myśl.

W ciągu tych sześciuset sekund, które minęły, widział tylko jasnowłosą kobietę, która stoi wpatrzona w lazuruwą zatokę z chustą na ramionach i nagle obraca się i patrzy mu w oczy, a w jej spojrzeniu widzi coś na kształt szczęścia.

W kolejnym ujęciu widzi jej siną twarz i oczy, które niemal wyszły z oczodołów.

Minęło dziesięć minut bez jakiegokolwiek zmiany atmosfery.

Tej na zewnątrz.

Podniósł się bezgłośnie i sprawdził godzinę.

Już czas.

Podszedł do drzwi, otworzył je ostrożnie, przeszedł przez pralnię i wyszedł na klatkę.

Dawniej przeskakiwałem cztery stopnie naraz, pomyślał i zrobił długi krok, żeby sięgnąć stopą cztery stopnie wyżej. I jeszcze cztery. I jeszcze.

Na pierwszym piętrze stał w oknie niewielki, ale dumny lew z przełomu wieków. Uśmiechnął się pod nosem, próbując policzyć, ile to razy dla zabawy drapał go pod brodą, i pomyślał:

Jakby czas się zatrzymał.

Jakby dało się zmienić przeszłość.

DUŻY DOM STOJĄCY NA UBOCZU. Pięć pięter, płaski teren, wokół żadnych budynków. Na razie nic się nie dzieje, jakby film się zatrzymał. W kadrze pojawia się jakiś ptak – wrona, a może kawka – i leci w kierunku domu. Coś się dzieje. Budynkiem wstrząsa dreszcz, wygląda, jakby dostał czkawki. Z okien wydobywają się niewielkie kłęby dymu i po chwili budynek zapada się do środka, jakby został wessany przez siłę drzemiacą gdzieś głęboko w jego wnętrzu. Dom rozpada się na kawałki, wszystko dzieje się w kompletnej ciszy, przysłonięte chmurą dymu. Po chwili zostaje po nim już tylko kupa gruzu.

– Ciekawe, co się stało z wroną – powiedział Jorge Chavez.

Jeszcze do niedawna emerytowany inspektor kryminalny Jan-Olov Hultin nacisnął klawisz na klawiaturze komputera i obraz za jego plecami zniknął. Z niebывалą zdolnością do ignorowania tego, co należy ignorować, powiedział:

– Tak mogą wyglądać pośrednie efekty niekontrolowanego rozrostu miast. To, co widzieliście, to pusty budynek mieszkalny na obrzeżach Åmål, miesiąc temu. Wszyscy wyprowadzili się do Sztokholmu.

– Rozumiem, że zobaczyliśmy to nie bez powodu – powiedział Arto Söderstedt.

Drużyna A siedziała razem z grupą ekspertów i sztabem kryzysowym w sali konferencyjnej agencji nieruchomości. Wielkość pomieszczenia znacznie przekraczała rozmiary ich własnej centrali dowodzenia. Co więcej, mieli nieograniczony dostęp do butelek z różnymi rodzajami wody mineralnej. Nieograniczone zasoby i nieograniczona wolność wyboru.

– Do wysadzenia tego budynku użyto sześćdziesięciu kilogramów dynamexu – powiedział Hultin. – Napastnicy mają ich sto. Tak dla pokazania proporcji.

Efekt został osiągnięty. Potrzebowali chwili, żeby oswoić się z tą informacją.

Dziwnie się czuł, patrząc znów na Drużynę A. Jakby czas się

zatrzymał. Jakby dało się zmienić przeszłość. Przez chwilę zawisł pomiędzy przeszłością a teraźniejszością.

– Zanim zaczniemy: czy ktoś z was uważa, że napastnicy mogą nagle zacząć eliminować zakładników i że w związku z tym powinniśmy się naprawdę pospieszyć? – zapytał.

Spojrzeni po sobie, ale nic nie powiedzieli. Potem zgodnie pokręcili głowami.

Hultin kiwnął głową i wcisnął klawisz na klawiaturze. Ściana za jego plecami rozświetliła się. Tym razem nie był to kadr, lecz zdjęcie. Co prawda w niskiej rozdzielczości i dosyć ciemne, ale i tak widać było wyraźnie, że mieli przed sobą zdjęcie z wnętrza banku. Zamaskowany mężczyzna siedział za biurkiem ze słuchawką przy uchu. Na prawo od niego widać było fragment drugiego napastnika z karabinem maszynowym w ręku. Na lewo od biurka stała wypełniona po brzegi sportowa torba. Wystawało z niej kilka banknotów pięćsetkoronowych.

Wśród zgromadzonych dało się wyczuć lekkie poruszenie.

– Przecież tam nie było kamer – zdziwił się Viggo Norlander.

– Otóż to: nie było – powiedział Hultin. – Teraz już są.

– Jak to możliwe? – nie odpuszczał Norlander.

– To długa historia.

– Chętnie ją poznamy – powiedział Arto Söderstedt.

Hultin skrzywił się, a Paul Hjelm podniósł się ze swojego miejsca po drugiej stronie wielkiego okrągłego stołu konferencyjnego. Byli jak rycerze okrągłego stołu. Który z nich był królem Arturem, wciąż było niejasne, ale że Hjelm był Parsifalem, to nie ulegało wątpliwości. Zdrajca. Albo Bediverem, który oddał Excalibur w ręce Pani Jeziora po wielkiej bitwie.

– Właśnie się zastanawiałem, co tu robi gwiazda BSW – powiedział Jorge Chavez. – Chcecie powiedzieć, że w środku siedzi ktoś z naszych i robi fotki? A może to wszystko sprawka policji?

Paul Hjelm najwyraźniej nie miał nastroju do żartów. Chavez pomyślał, że jego najlepszy przyjaciel nie jest w najlepszej formie. Ubrana w garnitur od Armaniego postać miała w sobie coś, czego nigdy wcześniej nie widział.

– Jedną z zakładniczek jest moja była żona, Cilla – powiedział Hjelm bezbarwnym głosem. – Ma aparat w komórce.

Po audytorium przeszedł szmer. Osobisty, współczujący ton musiał zastąpić wszystkie słowa, wszystkie gesty i dotknięcia, na które chwilowo nie było czasu. Musieli działać.

– Ktoś chciałby skomentować to zdjęcie? – zapytał Hultin głosem pozbawionym emocji.

– Zbierają gotówkę – powiedziała Kerstin Holm. – Rzeczywiście liczą na to, że uda im się stamtąd wyjść.

– To oznacza, że powinniśmy być przygotowani na wyprowadzenie zakładników – powiedział Arto Söderstedt – prawdopodobnie na Arlandę. Jesteśmy na to gotowi?

– Wrócimy do tego, gdy już wysłuchamy rozmowy z napastnikami – powiedział komendant główny policji.

– Coś jeszcze? – zapytał Hultin. – Gdzie siedzą? Naess?

Dyrektor generalny Andelsbanken przyjrzał się uważnie zdjęciu i obrócił się do swojego szefa ochrony, szorstkiego mężczyzny koło pięćdziesiątki, z ogoloną głową, prawdopodobnie byłego wojskowego. Mężczyzna odezwał się po chwili, ale jego norweski nie był już tak kosmopolityczny i wygładzony jak norweski jego przełożonego. Z jego gardła wylał się potok słów brzmiących jak połączenie albańskiego z baskijskim. Z egzotyczną domieszką języków bantu.

– Że co?! – krzyknęło naraz co najmniej pięć osób.

– Mogę przetłumaczyć – zaproponował Haavard Naess. – Geir pochodzi z Langøi.

To wszystko wyjaśnia, pomyślał Hultin, ale na głos powiedział:

– Czy możemy wyświetlić rzut?

Młody technik, który siedział najbliżej Hultina, kliknął w klawiaturę swojego laptopa i na ścianie obok zdjęcia pojawił się plan banku.

– Napastnicy są w pomieszczeniu, które na planie oznaczyliście numerem pięć – powiedział Naess, pokazując palcem. – Pomieszczenie biurowe z tyłu, w głębi budynku.

Ściągnięte usta szefa ochrony banku wyartykułowały kolejną

serię nieindoeuropejskich sylab.

– Zdjęcie – przetłumaczył Naess – zrobione zostało prawdopodobnie z poziomu podłogi w pomieszczeniu numer cztery, to znaczy w tym ze skrytkami.

Hultin pokazał na plan.

– Tutaj – powiedział, jakby cyfra cztery wymagała natychmiastowego wyjaśnienia.

– Najbardziej niedostępne pomieszczenie – odezwał się dowódca sił szybkiego reagowania z tradycyjnie już zmarszczonym czołem. – Zakładników rozmieszczono pewnie na drodze do tego pokoju. Są żywymi tarczami. Potrzebujemy więcej zdjęć.

– Nie mam zamiaru prosić jej o więcej zdjęć – wybuchnął wciąż stojący Hjelm. – I tak już ryzykowała życie dla jednego SMS-a i MSS-a.

– MMS-a – poprawiła go cicho Kerstin Holm.

– Powinniśmy się nad tym zastanowić – powiedział Hultin. – Nie przeczę, byłoby doskonale, gdybyśmy mieli więcej zdjęć.

– Jak to możliwe, że Cilla może w ogóle robić zdjęcia? – zapytał Chavez. – Dlaczego nie rozdeptali jej komórki?

– Czy to możliwe, żeby dwie osoby *wniosły* sto kilogramów dynamexu? – zapytał Arto Söderstedt tonem, który sugerował, że nie spodziewa się odpowiedzi ani nawet żadnej reakcji.

Nie mylił się.

– Zaskakujący brak profesjonalizmu – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania. – Fakt, że nie zauważyli telefonu, oznacza, że nie wiedzą nawet, jak przeprowadzić rewizję osobistą.

– Do tego broń, kilka pustych toreb i farbę w spreju – mówił dalej Söderstedt. – Cały czas przy tym strzelając.

– Farba w spreju? – zdziwił się Viggo Norlander.

– Okna zostały zamalowane czarnym sprejem – powiedział bez większego zainteresowania dowódca sił szybkiego reagowania.

Za to Geir się ożywił. Zagulgotał.

– Jeśli ktoś nie potrafi przeprowadzić rewizji, to raczej nie był w rosyjskiej armii – przetłumaczył Naess. – A już tym

bardziej w rosyjskiej mafii.

– No to kim oni są? – zapytała Sara Svenhagen. – Policjantami?

– Amatorami – powiedział Geir zupełnie wyraźnie.

Wszyscy zamilkli zaskoczeni. Odetchnęli z ulgą, gdy kolejna tyrada szefa ochrony okazała się równie niezrozumiała co poprzednie. Porządek został przywrócony. A Naess przetłumaczył cierpliwie:

– Ta sama amatorszczyzna co w rozmowie telefonicznej.

– Przejdźmy zatem do nagrania rozmowy – powiedział Hultin, próbując odzyskać nieco autorytetu utraconego na rzecz norweskiego posągu. I dalej tym samym tonem: – Na początek kilka pytań dotyczących bezpośrednio zdjęcia. Pytanie numer jeden: czy powinniśmy skontaktować się z Cillą i poprosić ją o więcej zdjęć? Co ryzykujemy, co możemy zyskać? Pytanie numer dwa: jeśli odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi „tak”, to w takim razie jakie zdjęcia nas interesują? Pytanie numer trzy: czy da się coś jeszcze wyciągnąć z tego zdjęcia?

– Arto, sugerujesz, że ładunki wybuchowe były już na miejscu? – wtrąciła nagle Kerstin Holm. – W banku?

– Spróbujmy się skupić na jednym temacie – powiedziała komendant wojewódzka policji zrezygnowanym głosem.

– Możemy rzucić monetą – powiedział Söderstedt, całkowicie ją ignorując. – Chyba się zgodzicie, że to kieruje nowe światło na sprawę. Może to ktoś z wewnątrz banku?

– Tak na marginesie to się nazywa *brainstorming* – powiedziała Kerstin Holm do komendant wojewódzkiej policji.

– Kulturowany przez Drużynę A od początku jej istnienia.

– Za dużo piłek naraz – skrzywił się komendant główny.

– Wolę dużo piłek w powietrzu niż dwie między nogami – skrzywiła się jeszcze bardziej Holm.

Komendant główny zaniemówił.

– Dopiero teraz zatęskniłem za sauną – powiedział Hultin.

Z ust Geira popłynęła fala niezrozumiałych dźwięków, które bezbarwny głos automatycznie przetłumaczył na:

– Ruscy z bronią to zawsze fachowcy. Ci tutaj to nie są Ruscy z bronią.

– No to kim oni są?! – wykrzyknął, ku swojemu zdziwieniu, Hultin. Pomyślał o idealnej wymowie swojego nazwiska, które zabrzmiało w słuchawce czerwonego telefonu.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Geir poprzez Naessa – ale coś tu się nie zgadza.

Hultin pomyślał: albo nie mają broni, albo nie są Rosjanami.

Dlaczego miałby wierzyć Geirowi, z tym jego uśmiechem na twarzy, na której widok zadrżałby niejeden zbój? Najwyraźniej cała ta sytuacja go bawiła, choć przecież to właśnie jego rodzinny bank był zagrożony, jego terytorium zostało zajęte przez wroga.

Co prawda mówi się, że dobre samopoczucie gwarantuje ostrość widzenia.

Poza tym – Geir? Kto daje tak na imię facetowi, przed którym człowiek instynktownie staje na baczność, by zawołać „tak jest, generale!”. Tak to można sobie nazwać złotowłosego sprintera, na którego widok roztkliwiają się nawet stare zgredy.

Nie, pomyślał w końcu stary zgred: to, czego brakuje, to porządek i poszanowanie dla starszych rangą.

Być może Geir odczytał jego myśli.

– Przejdźmy do pytań – powiedział.

– Jeśli ktoś je jeszcze pamięta – powiedział Chavez.

Pamiętała Sara Svenhagen, jego żona. Od narodzin Isabel jego głowa była ciężka od niewyspania.

– Nie sądzę, żeby Cilla zrobiła zdjęcie, nie wyłączając wcześniej dzwiku w telefonie i nie mając pewności, że jest dobrze schowany – powiedziała.

– Twoim zdaniem nie ryzykujemy, wysyłając do niej wiadomość? – zapytał Hultin.

– Nie.

– Paul?

Paul Hjelm stał wciąż w tym samym miejscu, napięty jak struna. Spojrzał w oczy Sarze Svenhagen. Jej widok sprawiał, że niezależnie od sytuacji był w stanie się zmobilizować i dać z siebie wszystko. Przytrzymała go wzrokiem, aż w końcu usiadł i powiedział:

– Nie.

Pierwszy raz od kilku godzin poczuł, że w jego duszy otwiera się przestrzeń, którą może wypełnić wyzwalająca energia muzyki. Wprawdzie było to *Requiem* Mozarta – już pierwsze jego dźwięki pozwalały odegnać okrywający go cień śmierci.

Takie było zadanie mszy żałobnej: aby w obliczu śmierci oddalić śmierć.

– Co więcej – dodał Hultin – wymiana informacji może mieć dobry wpływ na jej psychikę. Przy okazji znajdzie się miejsce na parę ciepłych słów.

– Nie jestem pewien, czy chce ich akurat ode mnie – powiedział Hjelm, a uważny słuchacz doszukiwałby się w jego słowach melodyki *Kyrie eleison. Christe eleison. Kyrie eleison.*

Panie, zmiłuj się nad nami. Chryste, zmiłuj się nad nami.

Kerstin Holm usłyszała to i uśmiechnęła się.

– Pomimo wszystko chciałbym, żebyś to właśnie ty się tym zajął – powiedział Hultin.

– Ktoś ma jakieś zastrzeżenia? – zapytał komendant główny, który chyba nadal był bardziej zdziwiony niż wściekły czy rozżalony z powodu komentarza Kerstin Holm na temat piłek między nogami. Być może po raz pierwszy od dawna poczuł ich obecność.

Jakkolwiek było, nikt nie miał zastrzeżeń.

– Czy możemy w takim razie przejść do pytania numer dwa? – zapytał Hultin.

Z głębi sali konferencyjnej dało się słyszeć nieśmiało chrząknięcie. Rycerze okrągłego stołu spojrzeli po sobie. Ich spojrzenia zatrzymały się na dostojniku o spuchniętej i przekrwionej twarzy ubranym w stanowczo zbyt ciasny garnitur, a konkretnie na Ollem Larssonie z miejskiego wydziału urbanistyki.

– Proponowałbym połączyć pytanie numer dwa z pytaniem numer trzy – odezwał się mentorskim tonem.

Tylko jak to szło? – zastanowił się Hultin i wspaniałomyślnie odrzekł:

– Proszę bardzo.

– Pozwólcie, że najpierw zamienię ich kolejność – zaczął Larsson. – Pytanie numer trzy: czy da się coś jeszcze wyciągnąć

z tego zdjęcia? Być może. Właśnie to powinniśmy sprawdzić. Czy możemy prosić o zbliżenie tła? Fragmentu sufitu po lewej.

Bezimienny technik zastukał energicznie w laptop i na ekranie pojawiło się zdjęcie, które co prawda było powiększone, ale też bardziej rozmazane.

– Aparaty w komórkach nie mają niestety zbyt wysokiej rozdzielczości – przeprosił.

– Jeszcze nie – powiedziała Kerstin Holm, a bezimienny spojrział na nią z wdzięcznością, bo miał świadomość, że nie tylko jest bezimienny, lecz również niedostatecznie przez wszystkich doceniany.

Obdarzony z kolei szlachetnym nazwiskiem znamienity rycerz Larsson, którego zbroja wydawała się niestety wykuta dla dużo bardziej krzepkiego kawalera, rozpoczął kolejną przemowę:

– Zwykła kratka wentylacyjna, jak wszyscy widzą. Nawiew powietrza. Wydaje mi się, że starszy model, ale musiałbym się upewnić, więc odpowiadając na pytanie numer dwa: jakiego rodzaju zdjęcia nas interesują? Odpowiedź brzmi: jeśli to możliwe, zbliżenie czerpni.

– Jasne! – zdenerwował się dowódca sił szybkiego reagowania. – Zaryzykujmy życie dziewięciu zakładników na potrzeby ewentualnych przyszłych remontów.

Larsson był widać doświadczonym wykładowcą, który nie dawał się wyprowadzić z równowagi podobnymi obiekcjami, tylko zwyczajnie na nie odpowiadał.

– Jeśli mamy tu do czynienia ze starszym modelem, a więc mniej więcej z okresu powstania budynku, wtedy przestrzeń szybu wentylacyjnego oznaczonego na planie numerem osiemnaście nie jest wydzielona i w związku z tym znacznie większa, niż gdyby to był nowszy model. Model kratki wskazuje nam szerokość szachtu wentylacyjnego.

– Aha – odezwali się właściciele najsprawniejszych umysłów na sali. A przynajmniej organy mowy, którymi te umysły zawiadywały.

– O jakiej szerokości mówimy? – zapytał Hultin, dysponujący z pewnością jednym z takich umysłów.

– Nowa: dwadzieścia centymetrów. Stara: do pół metra. W sam raz na małego policjanta.

– Małego policjanta? – powiedziała Lena Lindberg szorstko.

– Czyli na kobietę?

– Albo tego tam – powiedział Olle Larsson i wskazał akademickim palcem Jorge Chaveza.

Zamglone z niewyspania oczy Chaveza otworzyły się szeroko i patrzyły, niczego nie rozumiejąc, na tę dziwną postać, która wylewała się ze swojego garnituru jak ludzik Michelina.

– Ja? – wydusił.

– Czy czołgając się w kanale wentylacyjnym, nie powoduje się głośnego trzeszczenia? – wtrącił Söderstedt.

– Dlaczego nie? – powiedziała Sara Svenhagen. – Przecież jesteś małym policjantem.

– Ty też byłaś – powiedział Chavez. – Zanim zaszłaś w ciążę.

– Co?! – krzyknęła Sara.

– Moim zdaniem powinniśmy się zastanowić, czy nie jest to raczej zadanie dla policjantki – powiedziała Lena Lindberg.

– To jeszcze nie jest zadanie – powiedział Hultin. – Powinieneś jednak, Paul, przesłać zapytanie do Cilli.

– Halo – powiedział Söderstedt. – Nie słychać mnie?

– Zaraz, drodzy państwo! – wykrzyknęła komendant wojewódzka policji. – Może nie wszyscy naraz!

Hultin tym razem musiał jej przyznać rację.

– Na razie kończymy – powiedział. – Potrzebujemy potwierdzenia, czy ten kanał wentylacyjny daje nam jakąś możliwość. Jeśli tak, wrócimy do rozmowy o tym, czy i jak sensownie wprowadzić tamtędy kamerę.

– W wiadomości do naszego kontaktu w siedzibie banku powinna się znaleźć ogólna prośba o przesłanie większej liczby możliwie zróżnicowanych ujęć – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania.

– Paul? – powiedział Hultin.

Hjelm skinął głową. W jego wnętrzu rozbrzmiewało żalobne *Quantus tremor est futurus*.

– Posłuchajmy w takim razie rozmowy – powiedział Hultin i skinął głową w stronę technika. – Czy mógłbym prosić o

absolutną ciszę?

Technik odtworzył nagranie:

– *I wish to speak to the man in charge.*

– *This is chief inspector Jan-Olov Hultin.*

– *Are you the man in charge?*

– Yes. Czego chcecie?

– Chcemy wyjść stąd z pieniędzmi. Mamy dziewięćdziesiąt zakładników i ładunki wybuchowe rozmieszczone w całym banku.

– Jesteśmy tego świadomi. Rozumiem, że macie plan.

– Tak. Mamy plan. Nasz plan zakłada, że wyjdziemy stąd z pieniędzmi bez niepotrzebnego rozlewu krwi i wysadzania połowy miasta w powietrze.

– To znaczy, że nie macie planu?

– Właśnie to jest nasz plan.

– Nie rozumiem.

– Komu najlepiej wychodzi ratowanie zakładników? No jak to, przecież wam. Policji. Szwedzkiej policji. Nie jesteście jak rosyjskie siły bezpieczeństwa, które bez skrupułów atakują gazem wszystkich jak leci, napastników i zakładników.

– Masz na myśli Czeczenów w teatrze na Dubrowce?

– Jak miło rozmawiać z wykształconym policjantem.

– Cały świat o tym słyszał.

– Tylko kto używał nazwy Dubrowka?

– Co dokładnie masz na myśli?

– Nie próbujcie nawet używać gazu. Ładunki wybuchowe możemy zdetonować w ułamku sekundy.

– Dobra. Co planujecie?

– Dobrze wiesz, Hultin.

– Wolałbym, żebyś ty to powiedział – odparł.

– Nasz plan przewiduje, że to policja opracuje plan.

– Ciekawa propozycja – zaczął ostrożnie Hultin.

– Jesteście w tym najlepsi.

– Jeszcze lepiej wychodzi nam łapanie bandytów.

– Ha, ha. Ze strategicznego punktu widzenia najważniejsze, żeby zakładnicy wyszli z tego cało, a te piękne budynki nie uległy zniszczeniu. Nie chcecie chyba, żeby zawalił się system

strindbergowskich esplanad? Znajdźcie jakiś sposób. Może coś wymyślicie podczas ewakuacji. Właśnie, kończycie już?

– Jeszcze chwila.

– To dobrze.

Nagła cisza wbiła wszystkich w siedzenia. Ustały nawet odruchy bezwarunkowe. Minęło dobrych kilkanaście sekund, zanim odezwał się Jon Anderson:

– Nawet nie próbuje zabrzmieć groźnie.

– To prawda – powiedział Hultin. – Pewnie sądzi, że rozbity bank, dziewięcioro zakładników i sto kilogramów dynamexu mówią same za siebie.

– „Strindbergowskie esplanady” – Arto Söderstedt zawiesił głos. – I jeszcze: „tylko kto używał nazwy Dubrowka?”. To nie jest jakiś tam zwykły napastnik.

– Nie wiem, czy wciąż tacy istnieją – zamyslił się komendant główny.

W głowie Paula Hjelma coraz głośniejsz dudniła msza żałobna. Istniała granica, czuł to wyraźnie, za którą muzyka traciła zdolność zaklinania śmierci, podtrzymywania i uwznioślenia pozostałych resztek życia, lecz sama stawała się wezwaniem śmierci. Mozart naturalnie bawił się tą granicą – przez cudowną melodię *Requiem* przedzierało się potężne uderzenie, które momentami dochodziło pod samą powierzchnię, wywołując dreszcz na całym ciele. Najbardziej wtedy, gdy dźwięk stawał się głośniejszy – a w głowie Hjelma narastał z każdą chwilą rozmowy prowadzonej przez Hultina z napastnikiem. Musiał wyjść do toalety.

– Mimo wszystko łatwiej jest z szaleńcami – powiedział. – Potrafią być co prawda nieprzewidywalni, ale da się nimi sterować. A spróbujcie zapanować nad tym.

Kerstin Holm, która siedziała obok Hjelma, położyła mu rękę na dłoni i szepnęła: „Wyjdzie z tego”. Hultin skrzywił się za biurkiem i powiedział:

– Poniekąd lepiej mieć szczerą i prostą relację z przestępcą... Zabrzmiało to jednak dosyć trywialnie.

Po chwili spróbował bardziej zdecydowanie:

– Czy możemy spróbować się dowiedzieć, kim są ci ludzie?

Nie wydaje się, żeby było ich więcej niż dwóch, tak przynajmniej wynika z nagrania z kamery, zanim ją roztrzaskali, i z tego zdjęcia. Musimy to jeszcze potwierdzić. Zawrzyj to w twoim SMS-ie, Paul. Halo, jesteś tu?

Hjelm wydawał się nieobecny. Hultin widział, że wkrótce utraci ostrość widzenia, cała sytuacja go przytłoczy. Nie mógł mieć o to do niego pretensji. Potrzebowali go jednak. Podjął decyzję.

– Kerstin – powiedział.

Kerstin Holm spojrzała na niego, a w jej oczach było coś więcej niż tylko czysty profesjonalizm.

Czy popełniam błąd? – pomyślał Hultin. Czy fakt, że osoba blisko związana z Drużyną A jest bezpośrednio zaangażowana w sprawę, nie wymusza przeorganizowania sztabu? Lub też, mówiąc mniej oficjalnie: czy naprawdę powinni tu być?

Czy on sam powinien tu być?

Czas już wracać do domu, do sauny, pomyślał w jednej sekundzie, żeby już w następnej dodać w myślach: tylko osobiste zaangażowanie daje prawdziwą ostrość widzenia.

Praca policji daje najlepsze efekty, gdy liczy się coś więcej niż tylko sprawna realizacja harmonogramu.

Gdy chodzi o elementarne ludzkie sprawy.

– Tak? – zapytała Kerstin Holm. – Jan-Olov? Halo?

Wszyscy jesteśmy mniej lub bardziej nieobecni, pomyślał Hultin gorzko. W sytuacji, która wymaga całkowitej obecności i jasności umysłu.

Zimny prysznic.

– Kerstin – powiedział. – Idź z Paulem do pokoju obok i ułóżcie wiadomość do Cilli. Przed wysłaniem dajcie nam ją do przeczytania. Oto pytania, które powinna zawierać: ilu jest napastników? Czy może zrobić zbliżenie kratki wentylacyjnej w pomieszczeniu, w którym siedzą napastnicy? Czy w ogóle może nam przesłać dodatkowe zdjęcia? Czy powinniśmy zapytać o coś jeszcze? Jakies pomysły?

– Czy napastnicy przebywają w jednym miejscu? – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania, który wyglądał na coraz bardziej zniecierpliwionego. – Gdzie są zakładnicy?

Gdzie są materiały wybuchowe? I przede wszystkim: jak się je odpala? Napastnik twierdzi, że mogą je zdetonować „w ułamku sekundy”. Jak?

– Zapamiętałaś? – zapytał Hultin Kerstin Holm, która w odpowiedzi kiwnęła głową i powiedziała:

– Pytanie tylko, ile mamy zawrzeć w pierwszej wiadomości. Żeby to nie przerosło Cilli.

– Zostawiam to wam – powiedział Hultin. – Wszystko to są jednak ważne pytania. Potrzebujemy jak najpełniejszego obrazu sytuacji. Coś jeszcze?

– Czy moglibyśmy rozważyć otwartą linię, żeby mieć możliwość podsłuchiwania rozmów napastników? – zapytała Sara Svenhagen.

– Nawet naszym precyzyjnym mikrofonem nie udało się wychwycić żadnych rozmów – powiedział szorstko dowódca sił szybkiego reagowania. – Telefon komórkowy w odległości – ile to może być? – sześciu, siedmiu metrów niczego nie wychwyci.

– Może nie rozmawiają – powiedział Viggo Norlander.

– Może *nie potrzebują* rozmawiać – powiedział Arto Söderstedt. – Może mają już wszystko dokładnie zaplanowane.

– Tak mi tylko przyszło do głowy – powiedziała Sara Svenhagen.

– I słusznie – powiedział Hultin. – Miejcie to z tyłu głowy. Idźcie już.

Paul Hjelm i Kerstin Holm wyszli.

– Wróćmy do mojej rozmowy z napastnikami – powiedział Hultin. – Coś jeszcze przychodzi wam do głowy? Kim oni są? O co im chodzi? Jakieś obserwacje lingwistyczne, Ehnberg?

Kurt Ehnberg, w okularach o szklach grubych jak denka od butelek i ze specjalizacją w dziedzinie fonologii na Uniwersytecie Sztokholmskim, kiwnął krótko głową.

– Akcent jest rosyjski i potwierdza to, co wcześniej powiedziałem o regionie moskiewskim. Jego angielski sugeruje, że często ma okazję mówić w tym języku. Socjolekt intelektualisty: „Jak miło rozmawiać z wykształconym policjantem”. Odwołanie do Strindberga i do systemu bulwarów, jak również wymowa nazwiska Hultin sugerują

jakaś wiedzę o Szwecji i języku szwedzkim.

– Socjolekt? – zdziwił się Viggo Norlander.

– Straganiarz – powiedział Arto Söderstedt.

– Brak profesjonalizmu, jak powiedzieliśmy wcześniej – powiedział Hultin. – Ale czy ten brak profesjonalizmu nie ma jakiejś drugiej strony?

– Zastanawiałam się nad tym – powiedziała Sara Svenhagen.

– Z jednej strony mamy brak umiejętności przeprowadzenia podstawowej rewizji osobistej i dosyć ekscentryczny pomysł, że policja ma opracować plan ucieczki. Z drugiej strony uprzejmy i swobodny język, udany napad z użyciem broni palnej, pojmanie zakładników bez zadawania ran, uzyskanie dostępu do skarbcza, zamalowane na czarno okna, profesjonalna broń i nieprawdopodobna ilość materiałów wybuchowych.

Hultin skinął głową i powiedział:

– Czyli wracamy do rosyjskiej mafii i dawnego KGB?

– Czy zostali wysłani, żeby sprawdzić nową metodę napadu na bank? – powiedział Jon Anderson. – Mafia sonduje nowy teren?

– Czy mają kamizelki kuloodporne? – powiedział nagle komendant główny, pokazując na zdjęcie. – Wyglądają jak napompowani.

Oczy zebranych znów zwróciły się na zdjęcie na ścianie. Rzeczywiście, miał rację. Tak właśnie wyglądali.

– Wydaje mi się, że powinniśmy zrewidować pogląd o braku profesjonalizmu – powiedział Hultin. – To są profesjonaliści.

– Czy nie przeoczyliśmy czegoś w waszej rozmowie? – zapytał Arto Söderstedt.

Dowódca sił szybkiego reagowania miał dosyć. Wstał i powiedział głośno, ledwo tłumiąc złość:

– Nie wątpię, że tego rodzaju koronkarstwo sprawdza się wewnątrz jednostki do zwalczania przestępstw o charakterze międzynarodowym. Nie zapominajmy jednak, że zakładnikom czas ucieka. Za chwilę połowa Östermalmu może wylecieć w powietrze. Musimy opracować konkretny plan działania. Musimy się przygotować na... uderzenie.

Jan-Olov Hultin wbił w niego wzrok tak wymownie, że

dowódca miał kłopoty z utrzymaniem pozycji pionowej.

– Właśnie przeprowadzając szturm bez odpowiedniej wiedzy, ryzykujemy wysadzenie połowy Östermalmu – powiedział Hultin uszczypliwie.

– Mimo wszystko – wydusił dowódca sił szybkiego reagowania – powinniśmy mieć wyraźny plan B, i to natychmiast, na wypadek gdyby przyszło im do głowy zacząć strzelać do zakładników.

– Przede wszystkim musimy mieć potwierdzenie, że rzeczywiście mogą zdetonować ładunki w „ułamku sekundy”.

– Powinniśmy byli działać szybciej – nie ustępował dowódca sił szybkiego reagowania. – Gdy tylko się zorientowaliśmy, że mamy tę kobietę w środku, należało z niej wydobyć dokładny opis sytuacji.

– Nie mam zamiaru podejmować pochopnych decyzji. Poza tym potrzebujemy nagrania w czasie rzeczywistym, więc pytanie o szerokość kanału wentylacyjnego jest jak najbardziej zasadne.

Powietrze iskrzyło między dowódcą sił szybkiego reagowania a Hultinem, błękitna luna, jak podczas wylądowania elektrycznego. Potem pociemniało im w oczach, a dowódca sił szybkiego reagowania opadł z powrotem na krzesło. Hultin chętnie zrobiłby to samo.

– Okej – powiedział i poczuł zmęczenie. – Nasz plan działania jest uwarunkowany szerokością kanału. Załóżmy, że kanał wentylacyjny jest wystarczająco szeroki dla „małego policjanta”. Czy w takim razie byłbyś gotów, Jorge, wczołgać się do niego i zamontować tam małą kamerę?

– Zgłaszam się na ochotnika – powiedziała Lena Lindberg i dodała: – Nie mam dzieci.

Sara Svenhagen się zaśmiała, krótko i przelotnie.

Hultin spojrział na Lenę Lindberg, którą spotkał tylko raz i tylko przez krótką chwilę na swoim pamiętnym przyjęciu z okazji przejścia na emeryturę niecały rok wcześniej. Nie zobaczył tej samej jasnowłosej, rozgadanej dziewczyny w kolczykach, na którą wtedy zwrócił uwagę. Gdzieś w kącikach jej przenikliwych oczu czaiło się coś jeszcze – coś

niebezpiecznego. Nie potrafił tego inaczej opisać, a już tym bardziej racjonalnie wytłumaczyć. Mimo to wiedział, że podjął słuszną decyzję.

– Pytałem Jorge – powiedział.

– Wiesz, jak to się nazywa? – syknęła Lena Lindberg.

– Wiem, co masz na myśli.

– To się nazywa dyskryminacja płciowa.

– Tu nie chodzi o płęć – powiedział Hultin i od razu usłyszał, jak sztucznie to zabrzmiało.

– Naturalnie mogę się w czynny sposób przyczynić do dyskryminacji płciowej – powiedział łagodnie Jorge Chavez. – Zdaje się jednak, że przed chwilą słyszałem jeszcze jeden głos protestu.

– No proszę – powiedział Arto Söderstedt. – A jednak docierają tam jakieś fale dźwiękowe.

Hultin obrócił się do swojego ulubionego Fina.

– Zapytałeś: „Czy czołgając się w kanale wentylacyjnym, nie powoduje się głośnego trzeszczenia?”

– Ciekawe – powiedział Söderstedt. – Czyli jednak mnie słycahać? Dobrze wiedzieć, że jeszcze żyję. W takim razie musi być jakiś inny powód ignorowania mnie.

– Istotnie – powiedział Hultin. – Za chwilę do tego wrócę. Ale po kolei.

– Najmniejszy szmer – powiedział Chavez – i w kanale wentylacyjnym pojawi się lufa karabinu maszynowego. Jedna krótka seria i Isabel nie będzie miała ojca.

– Ja się nie boję – powiedziała Lena Lindberg.

Teraz Hultin zobaczył, co takiego czaiło się w jej spojrzeniu. Teraz mógł to nazwać. To było pragnienie śmierci.

– Właśnie o to chodzi – zauważył tylko.

Komendant główny policji powiedział:

– Naturalnie zapewnimy całkowite wyciszenie i wszelkie inne konieczne zabezpieczenia.

– Skoro tak – powiedział Chavez, wzruszając ramionami. – Dobra.

– Policjant nie może całkiem przestać się bać – powiedział Hultin, obrócił się z powrotem do Arto Söderstedta i mówił

dalej: – Wydaje ci się, że nikt cię nie słyszał, Arto, ale ja cię słyszałem. Kiedy myślałeś, że nikt cię nie słyszy, powiedziałaś: „Czy to możliwe, żeby dwie osoby *wniosły* sto kilogramów dynamexu?”. „Chyba się zgodzicie, że to rzuca nowe światło na sprawę?”. „To nie jest jakiś tam zwykły napastnik”. „Może nie potrzebują rozmawiać. Może mają już wszystko dokładnie zaplanowane”. Nazwałeś też Viggo „straganiarzem”.

– Wariat – powiedział Viggo Norlander.

– Na koniec – nie przerywał Hultin – powiedziałaś: „Czy nie przeoczyliśmy czegoś w waszej rozmowie?”.

– O rany – powiedział Arto Söderstedt. – Właśnie mi przypomniałeś, jak świetnym byłeś szefem.

– Lizusostwo nic ci nie da. Jeśli dobrze cię znam, Arto, masz już swoją teorię, ale z jakiegoś powodu wydzielasz ją nam małymi porcyjkami. Skończ z tym. Zacznijmy od końca, od twojego: „Czy nie przeoczyliśmy czegoś w waszej rozmowie?”. Co, twoim zdaniem, przeoczyliśmy w mojej rozmowie z napastnikiem?

Söderstedt zamrugał oczami i powiedział:

– Na jakim etapie jest ewakuacja?

Komendant wojewódzka policji, która wyglądała, jakby zapadła w śpiączkę, zerwała się z krzesła i krzyknęła:

– Ewakuacja zakończona!

Zakończona? – zamyślił się Hultin.

– Nie – powiedział Söderstedt. – Cytuję tylko napastnika. Zapytał o to niby mimochodem. „Właśnie, kończycie już?”. Ty, Jan-Olov, odpowiedziałaś: „Jeszcze chwila”, po czym on skończył rozmowę, mówiąc: „To dobrze”. Dlaczego miałyby się interesować ewakuacją?

– No właśnie, dlaczego?

– Nie wiem, ale coś jest na rzeczy. Napastnicy ze sobą nie rozmawiają, jeden z nich mówi doskonale po angielsku i wydaje się bardzo inteligentny. Do tego bez problemu wnoszą do banku sto kilogramów dynamexu. Poza tym interesują się przebiegiem ewakuacji, choć starają się to ukryć.

– I tobie się to składa w całość?

– Nie – powiedział Söderstedt. – Właśnie to mi przeszkadza.

To się układa w całkiem inny obraz niż zwykły napad na bank, ale nie jest to *spójny* obraz. Musimy być gotowi na niespodzianki. Jest ich więcej.

– W banku?

– Najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem faktu, że udało im się jednocześnie spowodować taki chaos i wnieść ponad sto kilogramów materiałów wybuchowych, jest to, że duża część materiałów była już na miejscu. I że napad jest częścią większego planu.

– To znaczy, że zamieszany jest w to ktoś z wewnątrz?

Söderstedt uśmiechnął się pod nosem i powiedział:

– Prawda, że to rzuca nowe światło na sprawę?

Z miejsca podniósł się Geir, szef ochrony Andelsbanken, i rozemocjonowany wyrzucił z siebie całkowicie niezrozumiały zestaw słów. Rycerze okrągłego stołu patrzyli na niego osłupiali.

– Co on powiedział? – zapytał w końcu Hultin.

Dyrektor generalny Andelsbanken Haavard Naess okazał po raz pierwszy coś, co można było nazwać emocjami. Zmarszczył brwi i powiedział z emfazą:

– Pieprzeni Szwedzi!

SŁOWA POCIESZENIA, pomyślał Paul Hjelm i poczuł, jak obezwładnia go ból. Słowa pocieszenia dla Cilli. Przez ostatni rok prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiali – a wcześniej głównie milczeli. Teraz ona była zakładniczką i przeżywała prawdziwy koszmar. A jego zadaniem było w wyważony sposób przekonać ją do wykonania określonych zadań, *wykorzystać* to, że znalazła się w tej sytuacji – i jeszcze napisać kilka cholernych „słów pocieszenia”.

I wszystko w formie SMS-a. Jeszcze kilka lat temu to pojęcie niemal nie funkcjonowało; teraz nad światem zawisła gęsta sieć wiadomości tekstowych, pisanych przez wielokrotne wciskanie klawiszy na klawiaturze i mających postać skrótowych, równoważnikowych mikrotekstów. Cztery naciśnięcia klawisza z numerem siedem tylko po to, żeby napisać zwykłą literę „s”. Nie mówiąc już o pięciu naciśnięciach dwójki, po to by uzyskać „ć”, i nie mniej niż sześciu naciśnięciach, po to by napisać „ż”. Czy jak to tam było.

Co prawda dostał do pomocy eksperta. Razem z Kerstin Holm miał napisać do byłej żony, którą kiedyś z nią zdradził, „kilka słów pocieszenia”. Teraz miała zostać zdradzona w zupełnie inny sposób. To była perwersja.

Kerstin siedziała z drugiej strony biurka, próbując zapanować nad mimiką. Jak wyraźne oznaki współczucia powinna okazywać? Jak głęboko powinna się przejąć? Gdzie biegła granica między prawdziwym współczuciem a fałszywym i wreszcie w ogóle jego brakiem? Z mszy żałobnej, która dudniła we wnętrzu Paula, tak że czuł, że za chwilę rozsadzi mu bębenki, nie docierał do niej ani jeden dźwięk.

Nawet najśłabszy, pojedynczy dźwięk.

A przecież kiedyś byli sobie tak bliscy, że ich mózgi działały, jakby były połączone.

A teraz? Jeszcze nigdy dzielący ich mur – ten, który przez całe życie próbuje się zburzyć – nie był grubszy i trudniejszy do przeskoczenia.

Kerstin. Spojrzał jej w oczy. Ciemne, żywe oczy w delikatnej twarzy obramowanej przyciętymi na pazia, niemal czarnymi włosami. Co jeszcze się w nich kryło?

Oczy, w których mimo tego, co widziały, nie znać było chłodu.

Co by było, gdybyśmy zostali parą? Jak wówczas wyglądałoby moje życie?

Nie o niej powinien teraz myśleć.

Skoro jednak miał myśleć o Cilli, która siedziała zamknięta w banku – przekonywał sam siebie – skoro miał choć w minimalnym stopniu wczuć się w jej sytuację i nawiązać z nią kontakt, powinien to zrobić przez kontakt z drugim człowiekiem, który kiedyś – ten jeden jedyny raz – był mu niemal tak samo bliski jak ona. A może nawet bliższy?

Nie. Nie bliższy. Cilla. Tyle lat spędzonych ze sobą. Lat *wspólnego* życia. Dwoje niemal dorosłych dzieci, fantastyczni Danne i Tova. Czy rzeczywiście prowadziliśmy wspólne życie? Czy nie mieszkaliśmy pod wspólnym dachem, nie mijaliśmy się codziennie, a mimo to nie żyliśmy w dwóch zupełnie osobnych światach?

Przecież się kochaliśmy, cokolwiek to znaczy. Tyle nas łączy.

Nie dostrzegaliśmy się jednak.

– Może na początek „Cilla”? – zapytał Paul Hjelm.

Kim jesteś? – pomyślała Kerstin Holm. Żyjemy obok siebie, mijamy się, rozmawiamy ze sobą, patrzymy sobie w oczy, wciąż jednak jesteśmy sobie obcy. Nie sposób tego uniknąć.

Stoję rano przed lustrem, pomyślała. A ty, mój syn, stoisz obok mnie. Widzę, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni. Widzę, że mamy te same geny. Masz mój uśmiech. Ja mam twój. Jesteśmy ze sobą bardzo blisko, a mimo to nigdy nie wiem, nigdy na pewno, o czym myślisz, co czujesz. Tak niewiele można przekazać za pomocą języka.

A ty, Paul, kim jesteś? Jeden jedyny raz udało ci się przedostać przez moją ochronną powłokę. Byłeś pierwszym, któremu wyjawiałam moją prawdę, moją mroczną tajemnicę, a ty mimo wszystko zostałeś. Chociaż była to tylko niewielka część prawdy.

Nigdy nie poznam samej siebie.

Potem się skończyło. Dlaczego się skończyło? Czy to było zbyt skomplikowane? Siedzisz tu w swoim garniturze od Armaniego, jesteś wolny, odmieniony, a mimo to nic się nie zmieniłeś. Jesteś tym samym mężczyzną, który lata temu zawładnął moją duszą. Nie potrafię ci umknąć, *nie chcę* ci umknąć. Jesteś moją ostoją, ale kim tak naprawdę dla mnie jesteś? Jaką rolę odgrywasz w moim życiu? Co tak naprawdę do ciebie czuję?

Pomyślała: jestem tak samo zagubiona i samotna jak Cilla w banku. Chcę tylko wydostać się stąd żywa. Oddychać świeżym powietrzem. Leżę na podłodze w pomieszczeniu ze skrytkami i patrzę na napastników w biurze kilka metrów dalej. I nie rozumiem, czego ode mnie chcą ci mężczyźni bez twarzy, dlaczego wtargnęli w moje życie i zmienili je w tak drastyczny sposób. Leżę tam, ściskając telefon, i dociera do mnie, że mieści się w nim cały świat, że dzięki niemu mogę się z tym światem połączyć. Że ktoś stamtąd może chcieć połączyć się ze mną. Czekam. Muszę dostać potwierdzenie, że wciąż istnieję. Nie przychodzi. Napisałam do człowieka, który kiedyś był mi najbliższy, który zawiódł mnie tak bardzo, jak ja zawiódłam jego, a mój gest pojednania odbija się pustym echem. Z każdą sekundą czuję się coraz bardziej samotna. Czuję, że za chwilę świat rozpadnie się na kawałki, a ja zostanę sama na całą wieczność.

– Powinniśmy napisać: „Jestem przy tobie” – powiedziała Kerstin Holm.

„Jestem przy tobie”, pomyślał Paul Hjelm. Czy kiedykolwiek „byłem przy tobie”? Co ona przez to rozumie? Czy nie odbierze tego raczej jako szyderstwa? Nie, przecież wysłała tego SMS-a *do mnie*. Jestem dla niej jedynym bliskim policjantem, ale czy to wszystko? Czy tylko dlatego to zrobiła? Wiem, że Kerstin tak tego nie widzi – nie wiem, co o tym sądzi, ale jestem pewien, że dla niej to jest gest pojednania w obliczu śmierci. Tylko czy i ja tak to widzę?

Naturalnie mógł to być zwykły zbieg okoliczności. Mój numer wyświetlił się jej jako pierwszy w komórce. Lecz w takim razie czy to rzeczywiście był przypadek? Kieruję się logiką, jestem

racjonalny i analityczny – dokładnie taki, jakiego nie znosiła mnie najbardziej: ubzduriała sobie, że zadzieram nosa, a ja próbowałem tylko zrozumieć, czego chce. Naprawdę.

Przeleciało mu przez myśl, że te dwie wiadomości zostały wysłane w zupełnie innym celu: pierwsza – SMS – była wołaniem o pomoc; druga – MMS – była tego czystym zaprzeczeniem, wysłała go kobieta, która odzyskała władzę nad swoim życiem i powiedziała: teraz to *ja* mogę wam pomóc.

Zastanawiam się, czy ja, Paul Hjelm, w ogóle gram jakąś rolę.

Zastanawiam się, czy ja, Paul Hjelm, kiedykolwiek grałem jakąś rolę.

W życiu Cilli.

Przekazać instrukcje w zrozumiały i logiczny sposób, ale tak, żeby nie zabrzmiały chłodno w uszach Cilli – czyli jak? Prosto, ale żeby nie było wątpliwości, że ma ważną rolę do odegrania – jak?

„Kilka kwestii”? Nie, za bardzo po akademicku. Może lepiej – „zadań”?

– Co sądzisz o sformułowaniu „kilka zadań”? – zapytał Paul Hjelm. – Z dwukropkiem, a potem od numerów.

Kerstin Holm widziała, jak napierają na niego obrazy, wspomnienia z ich długiego życia razem, wspomnienia Cilli, jej twarzy, na której kolejno malowała się czułość, ból, wściekłość, obojętność, strach, ekstaza – widziała też wyraźnie, jak próbuje je odtrącić, za pomocą rozsądku i udawanej chłopskiej logiki. Przecież nie wiedział nawet, jak wygląda rzepa, niby jakim cudem mógłby mieć dostęp do ludowych mądrości? Choć musiała mu przyznać, że najlepiej myślał w sytuacjach stresowych.

A ja? Czy nie odczuwam czegoś w rodzaju *Schadenfreude*? Gdy ja tonęłam w bieżących sprawach Drużyny A, on piął się w górę i stał się atrakcyjnym, niezależnym, nieco rozwiązyłem i wyjątkowo dobrze opłacanym urzędnikiem wyższego stopnia.

On starzeje się z przyjemnością, a ja z odrazą.

Dobrze mu tak.

Przeszłość się mści.

– A może tak – powiedziała Kerstin Holm: – „Jeden. Jak

detonuje się ładunki?”.

Kerstin, zamieniasz się w Cille, i wydaje mi się, że masz tego świadomość. Twój wzrok ciemnieje, zapada się. A może to tylko moja wyobraźnia – czy też moja wola – tworzy ten obraz? Co tak naprawdę cię we mnie irytowało, Cillo? Twoje drobne kroki, trochę dziwne jak na pielęgniarkę. Twój skrywany uśmiech, gdy próbowałaś nie śmiać się z moich dowcipów. Twoja nieprzeciętna siła, niezmierny upór. Twoja namiętność, gdy byliśmy blisko. Skończyła się, skończyło się wszystko, w czym był jeszcze żar. A może jednak pod powierzchnią tlił się jeszcze ogień?

Słyszę bicie twojego serca z wnętrza banku, czuję twój ból. Tylko czy na pewno? Czy potrafię wyobrazić sobie, co czujesz?

Potrafię w każdym razie wyobrazić sobie, co widzisz.

– „Dwa” – powiedział Paul Hjelm. – „Ilu jest napastników?”.

Nie wiem, czy w ogóle jestem w stanie odczuwać wyrzuty sumienia, pomyślała Kerstin Holm. Idealizujesz w myślach Cille i zapominasz, że od niej uciekłeś. Z podkulonym ogonem. Cilla jest od ciebie mądrzejsza życiowo, nie poradziłaś sobie z tą mądrością. Zmęczyła cię proza życia, chciałeś czegoś więcej. Wydawało ci się, że możesz zmienić świat. Ona tak nie myślała. Ona żyła głęboko zanurzona w codzienności i ją oswoiła. Ty potrzebujesz więcej kolorów i chcesz móc je sam wybierać. To jest twoja siła i twoja słabość, Paul.

Nigdy, przenigdy nie uda ci się poczuć tego, co czuje ona w tamtym miejscu. Choć wydaje ci się, że potrafisz.

– „Trzy” – powiedziała Kerstin Holm. – „Czy możesz zrobić zbliżenie kratki wentylacyjnej nad biurkiem z telefonem?”.

Trochę za długie, pomyślał Paul Hjelm. Ja bym to napisał krócej.

Zawsze tak myślę.

Skąd się we mnie bierze ta potrzeba bycia najlepszym? To pragnienie, które od samego początku pchało naszą cywilizację do przodu – prosto we mgłę.

I które zaprowadziło Cille do tego banku.

Bo przecież gdybym od ciebie nie odszedł, nie siedziałabyś tam teraz z pistoletem przystawionym do twarzy, otoczona

ładunkami wybuchowymi. Tego akurat jestem pewien.

– „Cztery” – powiedział Paul Hjelm. – „Czy możesz zrobić więcej zdjęć?”. I jeszcze coś na koniec. Co powiesz na: „Wytrzymaj. Paul”?

„Wytrzymaj”, pomyślała Kerstin Holm i poczuła, jak ogarnia ją coś na kształt rozczulenia. Pamiętam, jak wyskoczyło ci na policzku znamię, czerwona plamka, która nie chciała przestać rosnąć, i bałeś się, że pokryje całą twarz. Z czasem jednak przybrała kształt serca i została.

Dziś ledwo ją widać.

Czasem czuję się zmęczona grą, którą ludzie bezustannie ze sobą prowadzą. Czy to nie raczej wojna? Nieprzerwana wojna pozycyjna?

Czy przemoc nie służy również temu, żeby powiedzieć: „Spójrz na mnie”?

– Gotowe – powiedziała Kerstin Holm. – Nie było aż tak źle, prawda?

NIEWIELKI POKÓJ NA KOMENDZIE na Kungsholmen, nazywany ironicznie centrum dowodzenia, świecił pustkami. W środku coś się jednak działo. Grał telewizor.

Przemawiał w nim prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki:

– Rodacy, wydarzenia w Iraku wkroczyły w fazę decydującą. W ciągu ostatnich dwunastu lat Stany Zjednoczone i inne kraje podejmowały chwalebne i cierpliwe działania w celu pokojowego rozbrojenia irackiego reżimu. Reżim ten zobowiązał się ujawnić i zniszczyć całą posiadaną broń masowego rażenia, co było warunkiem zakończenia wojny w roku 1991. Od tamtej pory przez 12 lat świat zajmował się dyplomacją. Uchwaliliśmy kilkanaście rezolucji w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, wysłaliśmy setki inspektorów, aby dopilnowali rozbrojenia Iraku. Nadużyto naszej wiary w pokojowe rozbrojenie. Reżim iracki wykorzystał dyplomację do zyskania na czasie i zdobycia przewagi. Konsekwentnie ignorował rezolucje Rady Bezpieczeństwa nakazujące mu pełne rozbrojenie. Przez lata inspektorzy ONZ byli zastraszani, podsłuchiwani i systematycznie oszukiwani. Wysiłki na rzecz pokojowego rozbrojenia irackiego reżimu załamywały się raz po raz, ponieważ nie mamy do czynienia z ludźmi miłującymi pokój.

Informacje zdobyte przez tę administrację i inne rządy nie pozostawiają wątpliwości, że iracki reżim nadal posiada i ukrywa jedną z najbardziej śmiertelnych broni, jaka kiedykolwiek została wymyślona. Ten reżim wykorzystywał tę broń w przeszłości przeciwko sąsiadom i ludności Iraku.

Ten reżim ma już na koncie nieodpowiedzialną agresję przeciwko krajom Bliskiego Wschodu. Ten reżim szczerze nienawidzi Ameryki i naszych przyjaciół, wspomagał, szkolił i dawał schronienie terrorystom, także tym z Al-Kaidy.

Zagrożenie jest realne – za pomocą broni chemicznej,

biologicznej, a być może pewnego dnia nuklearnej pochodzącej z Iraku terroryści mogą dopiąć swego jawnego celu i zabić tysiące albo setki tysięcy niewinnych ludzi w naszym kraju i gdzie indziej.

Stany Zjednoczone i inne kraje niczym nie zasłużyły sobie ani nie sprowokowały tego zagrożenia, ale zrobimy wszystko, aby je zażegnać. Zamiast dryfować w kierunku tragedii, obierzemy kurs na zapewnienie sobie bezpieczeństwa. Zanim nadejdzie dzień katastrofy, zanim nie będzie za późno na działanie, groźba zostanie usunięta.

Stany Zjednoczone mają suwerenne prawo użyć siły militarnej dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Ten obowiązek spoczywa na mnie jako na głównodowodzącym siłami zbrojnymi na mocy przysięgi, którą złożyłem i której zamierzam dotrzymać.

Uznając zagrożenie dla kraju, Kongres Stanów Zjednoczonych poparł w ubiegłym roku przeważającą liczbą głosów użycie siły wobec Iraku. Ameryka próbowała współpracować z Narodami Zjednoczonymi dla sprostania temu zagrożeniu, ponieważ chcieliśmy rozwiązania pokojowego. Wierzymy w misję Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jednym z celów powołania ONZ po drugiej wojnie światowej było aktywne przeciwstawienie się zawczasu agresywnym dyktatorom, zanim zaatakują bezbronnych i zniszczą pokój.

W przypadku Iraku Rada Bezpieczeństwa przystąpiła do działania już na początku lat 90. Na mocy nadal obowiązujących rezolucji 678. i 687. Stany Zjednoczone i ich sojusznicy mają prawo użyć siły w celu oczyszczenia Iraku z broni masowego rażenia. Nie jest to więc kwestia prawa, lecz kwestia woli.

We wrześniu ubiegłego roku w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ wzywałem narody świata do wspólnych działań w celu usunięcia zagrożenia. 8 listopada Rada Bezpieczeństwa jednogłośnie uchwaliła rezolucję 1441. uznającą, że Irak materialnie łamie swoje zobowiązania, i zapowiadającą surowe konsekwencje, jeśli się natychmiast i całkowicie nie rozbroi.

Dziś żaden naród nie może twierdzić, że Irak się rozbroił. I nie rozbroi się, dopóki Saddam Husajn będzie u władzy. Przez ostatnie cztery i pół miesiąca Stany Zjednoczone wraz z naszymi sojusznikami pracowały w Radzie Bezpieczeństwa nad wyegzekwowaniem jej uporczywych żądań. Niestety, niektórzy członkowie Rady zapowiedzieli publicznie, że zawetują każdą rezolucję wymuszającą rozbrojenie Iraku. Te rządy podzielają naszą ocenę zagrożenia, ale nie naszą determinację, by je zażegnać. Niemniej jest wiele krajów zdecydowanych działać przeciw zagrożeniu dla pokoju i szeroka koalicja na rzecz spełnienia żądań społeczności międzynarodowej właśnie powstaje. Skoro Rada Bezpieczeństwa ONZ nie sprostała swoim obowiązkom, to my sprostamy swoim.

W ostatnich dniach niektóre rządy na Bliskim Wschodzie włączyły się w te działania. Wezwały one publicznie i prywatnie irackiego dyktatora do opuszczenia kraju, aby rozbrojenie mogło się dokonać pokojowo. Jak dotąd odmówił. Dziesięciolecia oszustw i okrucieństwa zbliżają się do końca. Saddam Husajn i jego synowie muszą opuścić Irak w ciągu 48 godzin. Odmowa spowoduje konflikt militarny, o którego terminie rozpoczęcia sami zadecydujemy. Dla własnego bezpieczeństwa wszyscy obcokrajowcy, w tym dziennikarze i inspektorzy, powinni natychmiast opuścić Irak.

Wielu Irakijczyków słucha mnie w tej chwili dzięki tłumaczonej transmisji radiowej i mówię teraz do nich: jeśli będziemy zmuszeni podjąć działania wojenne, będą one wymierzone przeciwko przestępcom, którzy rządzą waszym krajem, a nie przeciwko wam. Kiedy nasza koalicja odbierze im władzę, dostarczymy wam potrzebnej żywności i lekarstw. Rozbijemy aparat terroru i pomożemy wam zbudować nowy Irak, kwitnący i wolny. W wolnym Iraku nie będzie więcej zbrojnej agresji przeciw sąsiadom, nie będzie fabryk trucizny, egzekucji dysydentów, nie będzie tortur i gwałtów. Tyran zostanie wkrótce obalony. Dzień waszego wyzwolenia jest blisko.

Saddamowi Husajnowi skończył się czas u władzy. Irackim wojskowym skończył się czas na honorową obronę waszego

kraju. Ale jest czas na wpuszczenie bez walki wojsk koalicyjnych w celu usunięcia broni masowego rażenia. Nasza armia da jednostkom irackim jasne instrukcje, co mają zrobić, by uniknąć ataku i zniszczenia. Wzywam irackich żołnierzy i służby specjalne: kiedy wojna wybuchnie, nie walczcie za umierający reżim, który nie jest wart ofiary waszego życia.

Wszyscy Irakijczycy powinni wysłuchać tego ostrzeżenia: w razie konfliktu wasz los zależy od waszych działań. Nie niszczone szybów naftowych, które są źródłem bogactwa należącym do wszystkich Irakijczyków. Nie wykonujcie rozkazów użycia broni masowego rażenia przeciwko komukolwiek, w tym Irakijczykom. Zbrodnie wojenne zostaną osądzone, zbrodniarze wojenni – ukarani, a słowa „Ja tylko wykonywałem rozkazy” nie będą usprawiedliwieniem.

Jeśli Saddam Husajn wybierze zbrojną konfrontację, naród amerykański może być pewien, że zrobiono wszystko, by uniknąć wojny, i zostanie zrobione wszystko, by w niej zwyciężyć. Amerykanie znają cenę wojny, bowiem płacili ją w przeszłości. Na wojnie nic nie jest pewne z wyjątkiem tego, że ponosi się ofiary.

Jedynym sposobem ograniczenia szkód i trwania wojny jest zastosowanie całej naszej siły militarnej i jesteśmy gotowi to zrobić. Jeśli Saddam Husajn spróbuje trzymać się władzy, stanie się śmiertelnym wrogiem aż do końca. On i organizacje terrorystyczne mogą w akcie desperacji próbować przeprowadzić terrorystyczne zamachy na naród amerykański i jego sojuszników. Te ataki nie są nieuniknione, ale możliwe. Jednak nie możemy żyć w lęku przed szantażem. Zagrożenie terrorystyczne dla Ameryki i świata osłabnie, gdy Saddam Husajn zostanie rozbrojony.

Nasz rząd jest w stanie podwyższonej czujności i tak jak szykuje się do zwycięstwa w Iraku, tak też podejmuje działania dla obrony ojczyzny. W ostatnich dniach amerykańskie władze wydalili z kraju osoby związane z irakijskimi służbami wywiadowczymi. Zarządziłem dodatkowe zabezpieczenie naszych lotnisk i wzmożenie patroli straży przybrzeżnej w większych portach. Departament Bezpieczeństwa Narodowego

ściśle współpracuje z lokalnymi władzami w celu zapewnienia zbrojnej ochrony kluczowych obiektów w całym kraju.

Jeśli wróg uderzy na nasz kraj, jego celem będzie wzbudzenie paniki i osłabienie morale obywateli. Nie uda mu się. Żadne jego działanie nie zmieni naszego postępowania ani nie osłabi determinacji. Jesteśmy narodem pokojowym, ale nie kruchym, i nie damy się zastraszyć bandytom i mordercom. Jeśli nasi wrogowie ośmielą się nas zaatakować, poniosą straszliwe konsekwencje.

Przystępujemy do działania, bo ryzyko bierności jest gorsze. Każdy kolejny rok zwiększałby wielokrotnie zagrażający całemu wolnemu światu śmiertcionośny potencjał Iraku. Saddam Husajn i jego sprzymierzeńcy terroryści mogliby wybrać najdogodniejszy dla siebie moment ataku. Decydujemy się wyjść naprzeciw temu rodzącemu się zagrożeniu teraz, zanim pojawi się na naszym niebie i w naszych miastach.

Sprawa pokoju wymaga od wszystkich wolnych narodów zrozumienia nowej i niezaprzeczalnej rzeczywistości. Niektóre z nich w XX wieku usiłowały ułagodzić morderczych dyktatorów, aż ci urosli w siłę i dopuścili się ludobójstwa i rozpętali wojnę światową. W wieku XXI, kiedy źli ludzie knują chemiczny, biologiczny i nuklearny terror, taka polityka łagodzenia mogłaby przynieść zniszczenia nieznanych dotąd rozmiarów. Terroryści i terrorystyczne państwa nie ujawniają swoich zamiarów wprost w formalnych deklaracjach. Odpowiadanie na te groźby dopiero po pierwszym ataku nie jest obroną, lecz samobójstwem. Bezpieczeństwo świata wymaga natychmiastowego rozbrojenia Saddama Husajna.

Tak samo jak egzekwujemy słuszne żądania świata, tak dotrzemy zobowiązań naszego kraju. W przeciwieństwie do Saddama Husajna wierzymy, że naród iracki zasługuje na wolność i potrafi z niej korzystać. Wolni od Saddama Husajna Irakijczycy mogą się stać wzorem dla całego Bliskiego Wschodu jako naród żywotny, niezależny i rządzący się sam.

USA wspólnie z innymi państwami będą współpracować w celu zapewnienia wolności i pokoju w tym regionie. Nie zostanie to osiągnięte natychmiast, ale z czasem – tak.

Pragnienie wolności jest właściwe wszystkim narodom, jej siła przewycięży nienawiść i przemoc oraz skieruje ludzkie talenty na służbę pokojowi.

Taką przyszłość wybieramy. Wolne narody mają obowiązek bronić ludzi i jednoczyć się wobec przemocy. Dziś Ameryka i jej sojusznicy przyjmują na siebie ten obowiązek, tak jak robili to w przeszłości.

Dobrej nocy i niech Bóg wciąż błogosławi Ameryce.²

2. „Spełnimy nasz obowiązek”. Telewizyjne przemówienie George’a W. Busha w Białym Domu w nocy z poniedziałku na wtorek, „Gazeta Wyborcza” nr 66, wydanie z dnia 19.03.2003 ŚWIAT, str. 6, tłum. Łukasz Grzymisławski, Paweł Chrząszcz.

PIĄTEK, 5 GRUDNIA 1941 R., GODZINA 23

Połtawa. Co za przekleństwo.

Gdy ostatnio pisałem, była noc świętojańska, a już wkrótce będą święta. Jedyne, co wiem na pewno, to to, że marzniemy. Mówią, że Führer nie chce tego nazywać „zimowymi działaniami wojennymi”.

Jest tutaj. Przyjechał przedwczoraj. Widziałem go, po raz pierwszy w życiu i pewnie również ostatni. Może powinniśmy przynajmniej zadrzeć z zachwytu, ale nasze ciała już tego nie potrafią, nie po trudach ostatniego półrocza.

Kiedy przyszedłem do sztabu, żeby przekazać list, siedział z feldmarszałkiem von Rundstedtem na kanapie. Rzucił mi krótkie spojrzenie. Nie wiedziałem, jak powinienem się zachować. Zrobiłem to, czego oczekuje się od ordynansa: udawałem, że niczego nie zauważyłem. Naszym zadaniem jest niczego nie widzieć, niczego nie słyszeć, a już przede wszystkim niczego nie mówić.

Hitler w Połtawie.

Spojrzenie miał posępne, jego ramiona opadały, jakby spoczywał na nich ciężar całego świata. Może rozmyślał nad niezwykłą historią z bazą wojskową w Połtawie, spod której pierwszy nowożytny władca, który zdołał wtargnąć do Rosji, król Szwecji Karol XII, został odparty w 1709 roku. A może wcale nie. Coś się dzieje – możliwe, że 6. Armia dostanie nowego dowódcę. W szeregach rośnie niezadowolenie.

Z początku szło dobrze, na wszystkich frontach operacji Barbarossa. Grupa Armii „Północ” dotarła szybko do Leningradu, Grupa Armii „Środek” z zaskakującą szybkością przedzierała się do Moskwy, a my, Grupa Armii „Południe”, byliśmy w doskonałych humorach, po zwycięskiej bitwie o Kijów 21 września. „Najważniejszy dzień w historii świata”, chęłpił się Hitler. Czuliśmy, że Ukraina jest już nasza, a droga do złóż ropy na Kaukazie – otwarta.

Są jednak tacy, którzy twierdzą, że przerzuty wojsk z północy do Kijowa zniweczyły plany zdobycia Moskwy. Droga Napoleona do upadku. Nigdy nie zajmiemy Moskwy.

A może to zwykle czarnowidztwo.

Nasza Grupa Armii „Południe” również była zmuszona do odwrotu. Dziewiętnastego listopada, zaledwie dwa tygodnie temu, nasza szpica, 1 Armia Pancerna von Kleista, została zmuszona do wycofania się z Rostowa nad Donem. Zdobyli most na Donie, ostatnią przeszkodę przed Kaukazem, jeśli nie liczyć drobiazgów takich jak Wołga czy Stalingrad. Ale Timoszenko szybko zmusił von Kleista do odwrotu.

Pierwszy niemiecki odwrót od początku wojny.

Nic z tego nie ma dla mnie większego znaczenia. Liczy się tylko to, czy przeżyjemy zimę. Zima w Połtawie. Bezkrzesny kraj, błoto po horyzont. Wszystko jest mokre, lepkie, brudne, a niedługo zima zacznie się naprawdę. Będzie bardzo ciężko.

Nie doceniliśmy Iwana. Wydawało nam się, że radziecki żołnierz jest apatyczny i słaby, a nawet ograniczony umysłowo. Tymczasem jak oni walczą! I jak masowo się poświęcają. To przerażające. Ludność cywilna? Łupimy bez opamiętania. Kaleczymy, gwałcimy, poniżamy. Jedyne, czego ze sobą nie przynosimy, my, cywilizowani Europejczycy, to cywilizacja.

Nie biorę w tym oczywiście udziału, ale też nie robię nic, żeby temu zapobiec. „Wehrmacht to nie nazizm”.

Wciąż zbiera mi się na wymioty.

Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zbiera mi się na wymioty.

Tylu ludzi wokół i nikt już nie jest człowiekiem. Ofiary, kaci, wszyscy bez wyjątku utracili swoje człowieczeństwo.

Postanowiłem, że już nigdy nie wrócę do pisania dziennika, ale pisanie przywraca mi człowieczeństwo. Takie, jakim kiedyś było.

Tylko dlatego piszę. Żeby przypomnieć sobie, że kiedyś byłem człowiekiem.

Myślę o psach, o których opowiadały nam dywizje pancerne. Podobno, gdy wybiegły na nich po raz pierwszy,

wybuchnęli śmiechem: pokraczne czworonogi przepasane dziwacznymi pasami ze sterczącą w górę anteną. Myśleli, że to jakiś żart, wschodni czarny humor. Okazało się jednak, że te zwierzęta nauczono, żeby szukać jedzenia pod dużymi pojazdami. Wbiegały więc pod czołgi, a wtedy antena uderzała o podwozie i detonowała ładunek wybuchowy.

Psy Pawłowa, chodzące bomby.

Najbardziej jednak zastanawia mnie zużycie paliwa. Wojna odkręca kurek z paliwem. Kolumny wozów opancerzonych i samochodów, nie mówiąc już o potężnych flotach Luftwaffe. Zużywamy nieprawdopodobne ilości paliwa po to, żeby dotrzeć do paliwa. Być może mówi to coś o naszych czasach.

Już teraz walczymy o ropę. Nawet nie chcę myśleć, jak to będzie wyglądać, gdy ropa zacznie się kończyć. Jak wówczas będą wyglądać wojny? Za sto, a może nawet za pięćdziesiąt lat?

Gdybym tak znów mógł zajmować się badaniami... Z początku zupełnie o nich zapomniałem, liczyła się tylko teraźniejszość, walka, przeżycie, ale im bardziej powietrze jest przesączone węglowodorem i odpadami spalania, tym częściej rozmyślam o moich badaniach.

To stulecie nie może się tak skończyć. Mogę je zmienić. Jeśli dany mi będzie czas.

Jeśli przeżyję zimę w tym piekle ze śniegu, lodu, wilgoci i błota.

Jeśli przeżyję Połtawę.

Jeśli dane mi będzie cię poznać, synku.

To dla ciebie piszę.

Żebyś nigdy nie utracił swojego człowieczeństwa.

MIAŁA NADZIEJĘ, ŻE WYGLĄDA, jakby się modliła. Tak jednak nie było. Do czego niby miałyby się modlić? Być może właśnie w takich chwilach odnajduje się Boga.

Żeby potem zamienić go w diabła.

Napastnicy mało ruszali się z miejsca. Jeszcze mniej rozmawiali. Wyższy coraz rzadziej chodził na swoje budzące strach zakładników obchody, coraz rzadziej przystawiał jej pistolet do skroni. Od czasu do czasu niższy patrzył na zegarek. Widziała go niemal przez cały czas, widziała jego oczy w oddali, widziała ich chłód – nie, to było zbyt duże uproszczenie. Raczej determinację. Odartą z uczuć determinację.

Nie, Cilla Hjelm nie modliła się, lecz siedziała po turecku ze złożonymi rękoma, żeby ukryć telefon leżący na podłodze. Dlaczego to tak długo trwało? Może Paul zostawił telefon w domu? Może go wyłączył? Powoli ogarniała ją rozpacz, wiedziała, że prędzej czy później nadejdzie moment, kiedy poczuje się całkowicie osamotniona. Jak Barbro. Starsza kobieta klęczała na czworakach obok niej i drżała na całym ciełe. Cilla próbowała ułożyć ją z powrotem na ziemi, ale kobieta wyrwała się i wróciła do pozycji z głową w dół, niekorzystnej dla kręgów szyjnych, jakby dawała jej ona poczucie bezpieczeństwa.

Staruszka w każdym razie niczego nie widziała. Nie miała jednak pewności co do pracownika banku siedzącego w głębi pokoju między skrytkami. Młoda kobieta wyglądała, jakby zapadła w śpiączkę – zalecaną przez podręcznik dla personelu banku na wypadek napadu, ale pracownik banku coraz intensywniej jej się przyglądał. Czy robi coś głupiego? Bo przecież prędzej czy później zrozumie, że wcale się nie modli. Co wtedy zrobi? Postara się o dodatkowe punkty u napastników?

Nie, pomyślała.

Nic do niej nie przyszło. Nie dostał jej wiadomości. To stary

numer telefonu, nie ma takiego numeru.

Zginę.

Co to była za dziwna rozmowa niższego z napastników z policją? Czy to możliwe, że rzeczywiście powiedział „Hultin”? Przecież Jan-Olov Hultin, były szef Paula, przeszedł na emeryturę jakiś rok temu? Dlaczego napastnik rozmawiał z Hultinem? Jeśli ściągnęli go tam specjalnie, to musiała być z nim również Kerstin Holm i Paul. Pewnie siedzieli gdzieś obok, cała cholerna Drużyna A, wszyscy jej dawni przyszywani znajomi. A Paul zostawił komórkę w domu. Cały on, kurwa.

W tej samej chwili przyszła wiadomość. Bez najmniejszego dźwięku. „Masz wiadomość”. Ruchem możliwie najlepiej pasującym do rytmu modlitwy nacisnęła przycisk i otworzyła wiadomość.

Przebiegło jej przez myśl, że naprawdę się modli.

Nie wiedziała tylko, do kogo ani do czego.

„Cilla. Jestem przy tobie. Kilka zadań: 1) Jak odpala się ładunki? 2) Ilu jest napastników? 3) Czy możesz zrobić zbliżenie kratki wentylacyjnej nad biurkiem? 4) Czy możesz zrobić więcej zdjęć? Wytrzymaj. Paul”.

Spodziewała się, że w jakiś sposób ją to zaboli. Postanowiła nawet, że się obrazi. Próbowała znaleźć w wiadomości coś, co mogłoby ją urazić. Nie znalazła. Nic a nic. „Wytrzymaj?”. Nie, to było krótkie i treściwe. W stylu Paula. Ani śladu spóźnionej czułości. Ale „Jestem przy tobie”? Paul nigdy by tak nie napisał. Ktoś mu pomagał. Pewnie Kerstin Holm. Tandem kreatywny.

Który działał już w czasie, gdy Paul był jeszcze żonaty. Z nią, z Cillą.

Nie, nawet na to nie potrafiła się zdenerwować. To przecież oczywiste, że współpracowali. Poza tym lubiła Kerstin.

A więc tak zwane zadania.

Cilla spojrzała na napastników. Coś się działo, rozmawiali bez słów. Niższy pokazał głową w kilku kierunkach. Wyższy szukał czegoś w jednej z toreb i w końcu wyjął z niej jakieś narzędzie, coś jak śrubokręt.

Nie zauważyła, żeby któryś z nich trzymał w ręku jakieś urządzenie przypominające detonator.

„1)” – napisała. – „Nie wiem. Nie widać”.

„2)” – napisała. – „2”.

Gdy podniosła wzrok, spojrzała prosto w oczy większego napastnika.

Czym właściwie jest strach? Jak opisać prawdziwy, czysty lęk przed śmiercią, który w ciągu sekundy przeszył ciało Cilli – sekundy ciągnącej się w nieskończoność? Przedsionek śmierci, przebłysk tego, co nienazwane. Migawka ze świata, do którego za życia wstęp mają tylko nieliczni, a ci, którzy raz go widzieli, już nigdy nie są tacy jak wcześniej.

Wstrzymane funkcje życiowe.

Coś kazało jej zacisnąć palce wokół komórki. Pochyliła głowę i zamknęła oczy. Czekala już tylko na śmierć.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Kiedy znów otworzyła oczy, dalej na nią patrzył. Stał zaledwie dwa metry od niej z pistoletem maszynowym wycelowanym w podłogę. Spojrzenie, które z początku wydało jej się szare i chłodne, nagle stało się ciepłe i jasne. Skinął krótko w jej kierunku i w tej samej chwili zrozumiała, że jest chrześcijaninem. Jednocześnie nasza ją myśl:

Nie zabijają nas.

Jak gdyby religia chroniła przed przemocą, a nie była jej źródłem.

Napastnik oddalił się, ale został po nim dziwny spokój. A może to pierwsze symptomy syndromu sztokholmskiego. Może to właśnie był moment, w którym zakładnik nawiązuje nic porozumienia z przestępcą? Wiedziała, że wysoki nie wróci tą samą drogą, odważyła się więc zrobić kilka zdjęć spod zgiętych kolan. Podniosła wzrok i rozejrzała się po pomieszczeniu ze skrytkami. Barbro i młoda pracowniczka banku nie zwróciły najmniejszej uwagi na ciche kliknięcia, które w jej uszach dudniły niczym gromy, ale pracownik banku patrzył na nią z wyraźnie rosnącą irytacją. Wszystko widział. Przyłożyła palec wskazujący do ust – krótki, jednoznaczny gest, jak miała nadzieję – ale on wyglądał, jakby miał zacząć krzyczeć.

Nie zrobił tego jednak.

Odwróciła wzrok w stronę biura. Napastnicy niczego nie

zauważyli – byli zajęci czymś innym. Wysoki wrócił. Położył pistolet na biurku przed tym niższym, który wykonał jakiś zdawkowy gest, chwycił narzędzie i zniknął z pola widzenia Cilli. Droga wolna.

Pomyślała, że przejrzy szybko zdjęcia, zanim zajmie się trzecim, najtrudniejszym zadaniem. Kiedy znów spojrzała na telefon i zobaczyła, jak godzina na zegarku na ekranie przeskakuje na 13.45, kątem oka dostrzegła ruch.

Niższy skinął energicznie na wyższego. Jak dotąd to był jego najwyraźniejszy gest.

*

Tarcza zegarka pokryła się kurzem. Nie miało to większego znaczenia. I tak wiedział, że już czas.

W pokoju unosił się pył przypominający dym. Jak na dawnym polu bitwy. Mężczyzna z zegarkiem odłożył na bok kilof i podszedł do laptopa na biurku. Odchylił ekran i czekał, aż komputer się uruchomi.

Dwa kliknięcia, kilka kodów, udało się.

Przyklęknął, zdjął rękawice, zsunął maskę na szyję i przetarł tarczę czubkiem palca wskazującego. Sekundnik tykał równie dokładnie jak przez ostatnie czterdzieści pięć lat.

Była 13.44.50. Mężczyzna z zegarkiem nabrał głęboko powietrza i wstrzymał oddech.

Zostało pięć sekund, pomyślał i rozpoczął odliczanie na głos.

– Cztery, trzy, dwa, jeden.

– Zero – powiedział i wcisnął enter.

Odczekał, aż cienki jak nić sekundnik przesunie się na lewą stronę tarczy, i dopiero wtedy wypuścił powietrze.

Praca i kapitał, pomyślał i uśmiechnął się krzywo.

Czas wrócić do pracy.

*

Z zaskoczeniem stwierdziła, że zdążyła zrobić aż dziewięć zdjęć. Już po wszystkim wydawało się to głupotą graniczącą z samobójstwem. Ale stało się, teraz musiała już tylko wybrać te najlepsze. To był dobry moment. Wysoki napastnik usiadł na

biurku naprzeciwko niskiego i po raz pierwszy zobaczyła wyraźnie, że ten drugi się uśmiechał; dolna część kominiarki wyraźnie się naprężyła. Ich ubrane w rękawiczki dłonie spotkały się nagle w powietrzu w geście *high five*.

Macie gdzieś pieniądze, pomyślała zaskoczona.

Gdy nawykłymi do komórki palcami przerzucała zdjęcia, pomyślała: Dlaczego nie mają planu? Co mieli na myśli, mówiąc, że to policja ma się wszystkim zająć?

Cztery ze zdjęć do niczego się nie nadawały: widać było na nich sufit, skrytkę, a nawet zgięcie kolana. Ale pięć pokazujących różne ujęcia wnętrza banku wydawało się do zaakceptowania, co prawda przekrzywione i niewyraźne, ale z pewnością do wykorzystania przez policję.

Coś jej nie pasowało. Torby z pieniędzmi. Czy nie zamierzali ich wziąć? Czy mieli zamiar je wysadzić? Wyobraziła sobie fragmenty banknotów i ludzkiego mięsa unoszące się nad Östermalmem.

Nie chciała, żeby ciepłe, jasne, *chrześcijańskie* spojrzenie wyższego napastnika przemieniło się w jej myślach w spojrzenie ekstremisty, dlatego skupiła się na ostatnim zadaniu. Ustawiała zbliżenie w aparacie, zastanawiała się, jakie będzie najbardziej odpowiednie. Jej serce biło tak mocno, że ramię podskakiwało przy każdym jego uderzeniu. Spojrzała w stronę pracownika banku, który wyszeptał: „Wariatka!”, robiąc w jej kierunku wymowne gesty, ale przed oczami miała już coś zupełnie innego, jakby jej oczy przestały do niej należeć.

Śmierć zatrzymana na fotografii.

Okno. Okno z zewnątrz. Niewyraźne ruchy w środku. Jak w pęcherzu płodowym. Półprzezroczysta powłoka napina się i pulsuje. Coś chce się wydostać. Na zewnątrz. Wyjść. Fale na szybko zaczynają się kłaść jak morskie fale po sztormie, gładka powierzchnia się uspokaja; jak śmierć zatrzymana na fotografii. W środku rusza się dziecko. Mały chłopiec. Szyba znów zaczyna falować. Ktoś ciągnie i szarpie za przeszklone drzwi. Z zewnątrz. Chłopiec stoi przy kuchence, ma jakieś trzy lata, kręci kurkami. Potem wspina się na taboret przed kuchenką.

Gdy unosi telefon, zamyka oczy. Mija potwornie dużo czasu, zanim obiektyw namierzy tę pieprzoną kratkę wentylacyjną.
Zadanie trzecie, myśli i o mało co nie wymiotuje.

PIEPRZONY KANAŁ, pomyślał Jorge Chavez i czołgał się dalej. Nic jeszcze nie widział, ciągle miał przed sobą zakręt. Możliwe, że już się do niego zbliżał, ale nie miał pewności, bo w tym świetle niewiele było widać.

Przede wszystkim jednak myślał o tym, czy było go słyhać.

To nie jestem ja, pomyślał. To Arto, który ma powtórkę ze swojego „Europa blues” i czołga się w zsywie na śmieci. To nie mogę być ja. To moja córka, Isabel, która rok temu przeciskała się przez wąski kanał. Nie była jednak przy tym cicho.

To znaczy, że to nie ona.

Kto w takim razie czołga się w tych klaustrofobicznych kanałach, z obietnicą rzuconą nieostrożnie przez komendanta głównego, dzwoniącą w uszach tak głośno, że nawet nie słyszę samego siebie?

„Naturalnie zapewnimy całkowite wyciszenie i wszelkie inne konieczne zabezpieczenia”.

Okej, a więc to jednak ja.

Nie tak dawno temu Chavez widział w telewizji dokument ze swoich rodzinnych stron. Był gotów się założyć, że to Chile, ale równie dobrze mogły to być Peru albo Boliwia. Dokument opowiadał o pracownikach kopalń wczołgujących się do podziemnych korytarzy, które z każdym metrem robiły się coraz węższe, a w którymś momencie urywały się i trzeba je było wykuwać dalej. Bardzo często dochodziło do zawałów i ludzie ginęli, zakopani żywcem. Stało mu to teraz przed oczami, bo po raz pierwszy miał nagły atak klaustrofobii. Choć generalnie nie miewał stanów lękowych, to akurat klaustrofobię, lęk przed uwięzieniem, dobrze rozumiał.

W zasadzie nawet się nie czołgał, tylko sunął na tym dziwnym pojeździe, który według techników z Komendy Głównej „gwarantował bezgłośność i absolutne bezpieczeństwo”.

Ryzyko zaważenia się nie było zbyt duże, a mimo to ryzykował, że ta wycieczka skończy się jego własnym

pogrzebem.

Odpowiedź Cilli z wnętrza banku została przyjęta z wielkim entuzjazmem. Sześć zdjęć było prawdziwym osiągnięciem. Ten wariat Paul wyglądał, jakby był dumny. Pewnie jednak myślał: jak można zostawić taką kobietę?

Tak w każdym razie myślał Jorge Chavez.

– A więc jest ich tylko dwóch – powiedział Jan-Olov Hultin, w czasie gdy technik przygotowywał projekcję zdjęć. – Jaki to ma wpływ na naszą teorię współpracy z kimś z wewnątrz? Arto?

Söderstedt podrapał się po białych jak kreda włosach i powiedział:

– Niestety ani jej nie potwierdza, ani jej nie zaprzecza.

– Naprawdę?

– Byłoby głupotą się ujawniać – powiedział Söderstedt i spojrział kątem oka na Hjelma. – Jeśli rzeczywiście mają zamiar wypuścić zakładników. To dobry znak.

Za plecami Hultina ukazało się pierwsze zdjęcie. Dwóch pracowników banku w pomieszczeniu ze skrytkami; starszy mężczyzna i młoda kobieta. Kobieta wyglądała na nieobecną, mężczyzna na przerażonego. Oboje siedzieli przykuci kajdankami do ściany. Na kolejnych dwóch zdjęciach był ten sam motyw, choć na jednym z nich widać było jeszcze starszą kobietę na czworakach, w dziwnej pozycji z pochyloną głową.

– Co z nią? – zdziwił się Hultin.

– Chyba próbuje skierować krew do głowy, żeby nie stracić przytomności – powiedział Jon Anderson.

– Albo próbuje znaleźć bezpieczną pozycję – powiedziała Sara Svenhagen.

– Że co? – zdziwił się Chavez. – Na pieska?

– Skąd mam wiedzieć – syknęła Sara. – Może daje jej to poczucie bezpieczeństwa, może tak rodziła.

Kolejne zdjęcie było dosyć ciemne, ale najprawdopodobniej pokazywało zarys głównej sali bankowej. Zobaczyli młodą kobietę, zapewne pracownicę banku, w pozycji siedzącej, przywiązaną za nadgarstek do blatu. Wyglądała, jakby straciła przytomność.

Geir wydał z siebie zestaw niezrozumiałych dźwięków.

– Główna sala banku, kiepskie światło i pod kiepskim kątem – przetłumaczył Haavard Naess.

– Dziękuję – powiedział Hultin bezbarwnym głosem.

Przedostatnie w kolejności zdjęcie było w zasadzie kopią pierwszego, z jednym z napastników przy biurku. Pod nieco innym kątem.

W końcu pojawiła się kratka wentylacyjna w idealnym powiększeniu.

– Larsson? – powiedział Hultin.

Olle Larsson, wielki architekt miejski w mikroskopijnym garniturze, powiedział:

– Owszem, jest to kratka starego typu. Można wejść do szachtu wentylacyjnego.

Cholera, pomyślał Chavez, próbując zrobić odważną minę.

– Wciąż jeszcze, kurwa, nie wiemy, jak detonują ładunki! – krzyknął dowódca sił szybkiego reagowania. – Nie mamy najważniejszego!

Hultin rzucił przelotne spojrzenie w stronę Hjelma, który nie wyglądał, jakby miał zamiar odpowiedzieć. Hultin powiedział:

– W słowach Cilli: „Nie wiem. Nie widać”, jest przecież informacja. Co znaczy, że niczego nie widać? Ktoś ma jakieś propozycje?

– Żadnych – powiedziała Lena Lindberg. – Detonator jest pewnie po prostu ukryty.

– W każdym razie warto było spróbować – powiedział Arto Söderstedt.

– Oczywiście zaraz przeprowadzimy dokładniejszą analizę tych zdjęć – powiedział Hultin, pokazując na technika – ale teraz chciałbym się zająć czymś innym.

– Aha? – powiedział technik wyraźnie zaniepokojony.

– Teraz pomożesz nam wdrożyć „bezglówność i wszystkie możliwe warunki bezpieczeństwa”.

I tak Jorge Chavez sunął teraz kanałem wentylacyjnym na jakimś latającym spodku. Lub przynajmniej jeżdżącym. Bezimienny technik współpracował na odległość z trzema jeszcze bardziej bezimiennymi kolegami na komendzie i wpadli

na genialny pomysł. Tak im się przynajmniej wydawało.

Efekt współpracy przyleciał helikopterem z laboratorium technicznego na Kungsholmen do agencji nieruchomości na Karlavägen na Östermalmie.

Na polecenie Waldemara Mörnera.

Okej, to urządzenie może i działało praktycznie bezgłośnie. Problem w tym, że Chavez nie potrafił tego ocenić. W jego uszach pobrzmiwało echo obietnicy. Sformułowanie „wszystkie możliwe środki bezpieczeństwa” oznaczało w praktyce kamizelkę kuloodporną i kuloodporny kask, który był tak ciasny, że powodował pewien rodzaj sprzężenia zwrotnego w przewodzie słuchowym.

– Jak bardzo kuloodporny jest kask? – zapytał.

– Jeśli mają zwykłe pistolety maszynowe, będzie okej – powiedział technik, choć bez większego przekonania.

– A jeśli mają cięższą broń? – zapytał Chavez.

– Pamiętaj, że statek nie wydaje dźwięków.

Z tymi słowami otuchy dzwoniącymi w uszach pasażer „statku” dotarł do zakrętu. W zasadzie miał on dziewięćdziesiąt stopni i Chavez bardzo powoli się obrócił, kładąc się jednocześnie na boku, żeby móc wygiąć ciało pod kątem prostym, nie spadając z płynącego w ściśle określonym kierunku pojazdu. Gładko minął zakręt, nie powodując żadnych wyraźnych dźwięków, a gdy jakieś dziesięć metrów przed sobą zobaczył kratkę wentylacyjną, nie stwierdził żadnych sygnałów świadczących o tym, że ktoś go słyszał. Ale czy mógł być pewien?

Położył się znów na brzuchu i sunął przez kanał wentylacyjny, powoli, powolutku, metr po metrze. Im bliżej się znajdował, tym ryzyko było większe, tyle wiedział na pewno.

– Widzimy cię – usłyszał głos Hultina z wnętrza kasku. – Zostało ci siedem metrów. Dwie osoby, trzy metry pod tobą i cztery w głąb pokoju. Obaj napastnicy są na miejscu.

A wy skąd to, kurwa, wiecie? – pomyślał Chavez, ale nie zamierzał odpowiadać. Nie zanim będzie musiał powiedzieć: *dostałem*.

– Mamy już kamerę termowizyjną – wyjaśnił Hultin, jakby

czytał w jego myślach.

Chavez o mało nie zachichotał. Säpo, pomyślał. A ci gdzie się podziewali?

– Cała finezja – powiedział technik – polega na tym, że możemy cię stamtąd wyciągnąć dosłownie w każdej chwili. Potrzebujemy zaledwie kilku sekund.

„Statek” zamocowany był do liny, która ciągnęła się wzdłuż kanału wentylacyjnego, aż do wylotu po stronie ulicy Grevgatan, gdzie elektryczna wyciągarka tylko czekała na sygnał. On sam był do niego przypięty kilkoma stylowymi skórzanymi paskami.

– Do twarzy ci – powiedziała Sara, obdarzając go nieco dwuznacznym uściskiem. Zastanawiał się, co tak naprawdę czuje jego żona. Myślał o tym od czasu do czasu. Częściej, niż powinien.

Było mu strasznie ciasno. Czuł, że lada moment dostanie napadu klaustrofobicznego lęku; był na granicy. Słyszał, jak jego oddech roznosi się głośnym echem, a lekkie odbicia rękoma od murowanych ścian kanału *musiało* być słyhać. Na pewno.

Nie wiedział, czy rzeczywiście jest gorąco – nie powinno być gorąco, leżał w podkoszulku w kanale nawiewającym świeże, późnozimowe powietrze – mimo to pocił się jak nigdy dotąd.

Raczej nie było gorąco. Zalewał go zimny pot.

Przesuwał się. Powoli, ale cały czas do przodu. Rysunek kratki wentylacyjnej stawał się coraz wyraźniejszy. Żadnych odgłosów z drugiej strony, ani jednego dźwięku, który mógłby go zagłuszyć. Jeden jedyny błąd, jedno szurnięcie nogą o ścianę mogło zmienić wszystko w życiu wielu osób, jego również.

Zaczęły go boleć ramiona. Miał je wyciągnięte do przodu – z boku nie było na nie miejsca – a w wyprostowanej, nieruchomej pozycji ciało drętwiało. Niedobrze. Zatrzymał się i poruszył palcami. Krew z powrotem napłynęła do rąk. Posuwał się dalej.

Zostały jeszcze trzy metry. Teraz absolutna cisza.

Powoli, powoli, ostatnie metry. Jak do tej pory bez większych wpadek. Niczego nie upuścił, nie trzeszczało mu obuwie, na nic

przypadkowo nie najechał.

Ciągle lał się z niego zimny pot.

Pomiędzy lamelami kratki wentylacyjnej widać było tylko biel. Nic, tylko biel. Żadnych punktów odniesienia.

Był na miejscu. Zatrzymał się dziesięć centymetrów od kratki. Leżał przez chwilę w bezruchu.

– Są obaj – usłyszał w uchu głos Hultina. – Siedzą, nie ruszają się.

Chavez odczekał chwilę. Następnie przesunął lewe ramię w kierunku głowy i wsunął prawą rękę do kieszeni na rękawie kurtki. Bezszelestnie wyjął z niej małą kamerę. Przytrzymał ją w ręku, zdjął osłonę z obiektywu, przykręcił statyw i zdarł taśmę ochronną zabezpieczającą warstwę kleju na stopce. Mógł iść o zakład, że było go słyhać.

– Podłączamy – powiedział Hultin.

Z boku kamery zaświeciła słaba lampka. Chavez podsunął ją ostrożnie do kraty.

– Zaczekaj – powiedział Hultin.

Kamera obróciła się bezdźwięcznie wokół swojej osi.

– Obróć trochę w lewo.

Obrócił trochę w lewo i poczuł, jak znowu drętwieją mu ręce.

– Teraz ich widzimy – powiedział Hjelm wewnątrz kasku. – Spróbuj obrócić ją trochę w dół, nie kładąc na boku.

Spróbował. Wydawało mu się, że zadrżała, że zalał ją zimny pot, ale Hultin powiedział:

– Dobra. Przyczep ją tam.

Docisnął taśmę do muru tuż nad kratką i odetchnął. Udało się. Teraz musi się już tylko stąd wydostać.

– Zaczekaj – powiedział Hultin. – Coś się poruszyło.

Chavez zastygł w miejscu. Przypomniało mu się przysłowie.

Nie mów hop, póki nie przeskoczysz.

Hop? – zastanowił się.

– Ten większy idzie w twoją stronę – powiedział Hultin. – Tylko spokojnie. Okej, wyszedł z kadru. Jest tuż pod tobą. Cisza.

Wielka cisza. Był sam, pozostawiony sam sobie. Chavez przywołał w myślach obraz leniwie płynącego strumienia z

leżącą pośrodku kłodą. Była śliska. Ktoś po niej szedł, stracił równowagę, zaczął wymachiwać rękami, stopy uciekały mu na boki. Chwilę później ruchy rąk się uspokoiły, stopy stanęły pewnie, a stojący na kłodzie odważył się na skok. I krzyknął:

– Hop!

Co do cholery?

– Wciąż tam jest – powiedział Hultin. – Nie widzimy go. Kamera na podczerwień ledwo go łapie. Schyla się.

Dobrze, że się nie wspina, przeleciało Chavezowi przez myśl. Czuł, jak płynie po nim zimny pot.

– Silne źródło ciepła – powiedział Hultin. – Punktowe.

Cholera jasna, pomyślał Chavez i przymknął oczy. I wtedy poczuł zapach.

Zapach dymu.

Najpierw szok, wyobrażał sobie, że płonie w kanale wentylacyjnym, że ogień wgryza się w jego ciało, trawi je, a on nawet nie może się poruszyć. To nawet gorsze, niż zostać pogrzebanym żywcem.

Takie cierpienie trudno sobie w ogóle wyobrazić.

Isabel, pomyślał. Sara. Moja rodzina.

Ból, pomyślał. Wrota krainy śmierci.

Potem poczuł coś jeszcze. Zapach dymu nabrał konkretnych właściwości. Znał skądś ten zapach.

Pachniało tytoniem.

Czarnym rosyjskim tytoniem.

Minęła dłuższa chwila, zanim Jorge Chavez odważył się znów odetchnąć.

– CHCESZ POWIEDZIEĆ, że podszedł do kratki, żeby zapalić papierosa? – zdziwił się Viggo Norlander.

– Na to wygląda – powiedział Jan-Olov Hultin. – Może ten mały ma uczulenie.

– Pechowo – odezwał się Arto Söderstedt. – Akurat tego miejsca, w którym jeden z nich odsłania twarz, kamera nie widzi.

– Teraz mamy już jednak całkiem niezły obraz – powiedział Hultin, pokazując na ścianę za swoimi plecami. Przy biurku siedziało dwóch zamaskowanych mężczyzn, plecami do kamery – niski na krześle, a wysoki na biurku. Wysoki miał w rękę pistolet maszynowy. Wyglądało to jak zatrzymany kadr.

– Czemu oni tak siedzą? – odezwał się komendant główny.

– A co mają robić? – powiedział Hultin. – To Rosjanie. Grają w szachy. Czekają na nasz ruch.

– Niepokoi mnie ich zachowanie – odezwał się dowódca sił szybkiego reagowania, już spokojniej. – Widać nie zależy im aż tak bardzo, żeby stamtąd wyjść. Ich zachowanie zaczyna przypominać postępowanie terrorystów. Raj już czeka. Musimy, kurwa, wiedzieć, jak detonują dynamex. Musimy się przygotować do szturm.

– Dlaczego nie widać materiałów wybuchowych? – spytała Kerstin Holm.

– Na zdjęciach z pomieszczenia ze skrytkami widać co najmniej jedną paczkę – powiedział komendant główny. – Być może dwie. Jeszcze do tego wrócimy. Są tam jednak na pewno.

– Prawda, że widać było jeszcze jedną w sali głównej? – zapytała Lena Lindberg.

– Tylko dlaczego nie w biurze? – upierała się Kerstin Holm.
– Jest przecież największe.

Jan-Olov Hultin spojrział na swoją następczynię z głęboką troską.

– Chcesz coś powiedzieć, Kerstin? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała Holm. – Nie wiem tylko dokładnie co. Jeszcze nie.

– Ciągłe to samo – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania, wciąż próbując opanować emocje. Ciągłe to „jeszcze nie”. Nie mamy tyle czasu.

Dało się słyszeć słaby głos:

– W razie szturmu pierwsza zginie Cilla.

Spojrzeni na Paula Hjelma. Wydawał się wycieńczony, jakby opuściły go wszystkie siły.

Jan-Olov Hultin oparł się o brzeg biurka i powoli nasunął na grzbiet nosa swoje wielkie okulary. Przywodziło to na myśl ciężarówkę wjeżdżającą po stromym zboczcu.

– Zanim w ogóle zaczniemy rozważać możliwość szturmu, musimy odpowiedzieć sobie na zasadnicze pytanie: jak detonuje się te ładunki? Czy możemy jeszcze raz zobaczyć zdjęcia Cilli?

Bezimienny technik westchnął głęboko i zaczął stukać w klawiaturę laptopa. Za plecami Hultina zamiast projekcji na żywo, która wyglądała jak kadr z filmu, wyświetliło się zdjęcie z wnętrza pomieszczenia ze skrytkami. W jego centrum widać było dwóch pracowników banku. Na regale ze skrytkami pod ścianą z lewej strony zobaczyli przymocowane półprzezroczyste plastikowe opakowanie. Prześwitywało przez nie coś, co przypominało laski dynamitu. Wzdłuż skrytek po prawej stronie można było dostrzec podobne opakowania.

– Czy możemy zobaczyć zdjęcie z sali głównej? – zapytał Hultin.

Obok pierwszego zdjęcia pojawiło się drugie, dużo ciemniejsze. Widać było na nim niewyraźne zarysy kobiecej postaci w dziwnej pozycji. Nadgarstek miała przywiązany do blatu wysoko nad głową. Dwa metry od niej dało się zauważyć jeszcze jedną paczkę na ścianie.

– Co na tej podstawie można powiedzieć o sposobie detonowania ładunków? – zapytał Hultin, wbijając wzrok w brodatego eksperta od materiałów.

Ten wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Niestety niewiele. Strzelam, że opakowania ważą po

dwadzieścia kilogramów, wygląda na to, że są podobnych rozmiarów. Jeśli tak jest, powinno ich tam być pięć. Dwa w pomieszczeniu ze skrytkami, żadnego w pomieszczeniu biurowym, jedno potwierdzone w głównej sali. Prawdopodobnie są tam jeszcze dwa. Nie widać przewodu łączącego opakowania, co oznacza zdalną detonację. Wygląda na to, że wszystkie paczki eksplodują jednocześnie.

– A zdalna detonacja oznacza...?

– W zasadzie cokolwiek. To może być detonator wielkości paznokcia małego palca.

– Przyjrzyjmy się w takim razie biurku – powiedział Hultin i kiwnął w stronę technika.

Martwy kadr zastąpiła relacja na żywo. Sala bankowa miała chłodny, typowo biurowy wystrój. Żadnych ozdób na ścianach. Ale na środku przeciwległej ściany znajdowało się okno na korytarz, a po jego prawej stronie widać było drzwi. Z dużym prawdopodobieństwem można było założyć, że ktoś tam siedzi. Ktoś z telefonem w ręku.

Napastnicy nie ruszali się z miejsca. Wyższy założył nogę na nogę. To był jedyny ruch. Na biurku stały dwie torby sportowe wypełnione gotówką, a na podłodze obok jeszcze dwie. Wyższy napastnik trzymał w ręku karabin maszynowy, a na biurku obok niższego leżał pistolet. Jego spoczywające na blacie dłonie w rękawiczkach przywodziły na myśl dłonie pianisty tuż przed rozpoczęciem koncertu. Nie wyglądało, jakby coś w nich trzymał. Na przykład detonator.

– To on musi mieć detonator, prawda? – zapytał Hultin w powietrze.

Audytorium nie miało zastrzeżeń.

– Zrób zbliżenie – powiedział Hultin i technik zrobił zbliżenie. Oko kamery przesunęło się powoli nad biurkiem.

W drzwiach stanęli Jorge Chavez i Sara Svenhagen i ruszyli w stronę swoich miejsc. Zgromadzeni kiwnęli głowami w stronę Chaveza, którego wyczyn był równie nadzwyczajny co stopień przemoczenia jego ubrań. Jakby płynął przez szyb wentylacyjny wplaw, a nie „statkiem”.

– Nowo narodzony – wyjaśniła Sara.

– Dobra robota – powiedział Hultin tonem pozbawionym emocji.

– Chyba zacznę palić – powiedział Jorge i usiadł, pokazując na ścianę. – Macie coś?

– Szukamy – odpowiedział krótko Hultin.

– Nie mów tylko, że cała robota na nic! – zawołał Chavez i został natychmiast uciszony przez przytłaczającą większość.

Oko kamery przesunęło się powoli nad blatem biurka, nad głowami napastników, nad ich kieszeniami.

– Nie – odezwał się specjalista od materiałów wybuchowych.

– Nic tu nie ma.

– Musi być – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania, którego w mękach wypracowana cierpliwość zaczęła szybko topnieć.

– Może być wszędzie – powiedział Jon Anderson. – Może go, kurwa, mieć w odbycie.

– Zwieracz jako detonator – podpowiedziała Lena Lindberg.

Waldemar Mörner się roześmiał.

– To chyba nie jest najlepszy czas na tego typu żarty – oburzyła się komendant wojewódzka.

– Ja nie żartuję – odpowiedziała Lena Lindberg niemal tak samo zdenerwowana. – Możliwe, że nigdy nie znajdziemy tego cholernego urządzenia. Mają nad nami przewagę i wiedzą o tym.

– A może wcale nie – powiedzieli Kerstin Holm i Arto Söderstedt. Jednocześnie.

Spojrzeli po sobie zaskoczeni. Hultin przyjrzał im się uważnie. Zabrzmiało obiecująco.

– Panie mają pierwszeństwo – powiedział po chwili Söderstedt.

– Gdzie są materiały wybuchowe, a gdzie zakładnicy? – zapytała Kerstin Holm. – Pięć osób w sali głównej, być może dwoje w boksach. Tam mamy trzy paczki dynamexu. Czworko między skrytkami i dwie paczki dynamexu. Bomby są w tych samych miejscach co zakładnicy. Dlaczego? Mam wrażenie, że nie umieścili ich tam, by zoptymalizować siłę wybuchu, tylko na pokaz. Żeby wywołać strach w zakładnikach.

– Na pokaz? – powtórzył Hultin.

– To dlatego w pomieszczeniu biurowym, w którym siedzą sami napastnicy, nie ma paczek. Bo tam nie miałyby do spełnienia żadnej funkcji. Ich podstawowym zadaniem jest być na widoku.

– Co jednak nie musi oznaczać, że ich kolejnym zadaniem nie jest eksplodować. Chyba że Arto chciałby jeszcze coś dodać?

Söderstedt odchrząknął i powiedział:

– Kiedy słyszę Kerstin, upewniam się w swoim przekonaniu. Powtórzę raz jeszcze: jak ktoś może wnieść sto kilogramów dynamexu do banku, jednocześnie strzelając i biorąc zakładników? Wcześniej mówiliśmy, że materiały wybuchowe były już na miejscu, że chodzi o krecią robotę. Ale to nie jest jedyna możliwość.

Cały wysiłek intelektualny Arto Söderstedta został nagrodzony pełną zaskoczenia ciszą. Z drugiej strony, pomyślał, czy to nie lepsze niż największy aplauz?

– Druga możliwość jest taka, że wcale nie mają stu kilogramów dynamexu.

Ta sama cisza. Być może jeszcze bardziej gęsta, pełna napięcia. Mówił dalej:

– To, co widać, mają widzieć zakładnicy. Żeby mieć ich w szachu. To dlatego paczki zostały umiejscowione tak blisko zakładników, to dlatego nie potrzeba żadnej w pomieszczeniu biurowym. To symulakrum.

Ta sama cisza. Spróbował raz jeszcze:

– Ściema, do diabła.

Ciągle cisza. Spróbował ostatni raz:

– Ludzie – powiedział. – To atropy.

Hultin podrapał się po brwi i zwrócił się do technika:

– Zrób powiększenie najlepszego zdjęcia paczki z dynamexem.

Na ścianie znów pojawiło się zdjęcie z wnętrza pomieszczenia ze skrytkami. Z każdym kliknięciem kurczyło się i powiększało, a bomba rosła i napierała na nich, aż w końcu w kadrze zostały same laski dynamexu.

– No i? – zapytał Hultin.

Stateczny ekspert od materiałów wybuchowych pochylił się do przodu, jakby dzięki temu mógł lepiej widzieć, zmrużył oczy i powiedział:

– No tak.

– No tak?

– Mają łączenia. Nie są prawdziwe.

Jan-Olov Hultin podszedł bliżej do eksperta i wbił w niego swój najbardziej mrozący, pozbawiony emocji wzrok.

– Jesteś pewien? – zapytał. – Od tych łączeń zależy życie wielu ludzi.

– Jestem pewien – powiedział specjalista od materiałów wybuchowych. – Koniec i bomba.

Mocne słowa, pomyślał Hultin i skinął głową.

– Wchodzimy – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania, jednak nie do zebranych, tylko do walkie-talkie. Dziesięć sekund później w sali konferencyjnej znalazło się dwóch uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy, a dowódca sił szybkiego reagowania wyglądał, jakby przeszedł przemianę. Czekał na tę chwilę i to dla niej był gotów tyle wycierpieć. Przejął dowodzenie i można powiedzieć, że usadził Hultina na miejscu.

– Plan pomieszczenia! – ryknął, a w technika wstąpiły nowe siły. W ciągu kilku sekund wyświetlił plan banku.

Dowódca sił szybkiego reagowania mówił teraz tylko i wyłącznie do swoich podwładnych. Reszta przestała istnieć.

– Ty, Lönnqvist, wchodzisz z połową ludzi przez to wysokie okno. Przejmujesz zakładników. Ty, Renberg, bierzesz lewe okno. Z niego masz bandziorów na wprost. Tutaj. Zaczekamy, aż ten duży wyjdzie zapalić. Wtedy powinien odłożyć karabin. Jeśli to dobrze rozegramy, nie zdążą nawet doskoczyć do zakładników.

– Bez zabijania – powiedział Hultin. – Interesuje nas rozwiązanie, nie zakończenie.

Nawet na niego nie spojrzeli.

– Zagrożenia? – powiedział ten nazywany Renbergiem.

– Ten wyższy to mięśnie – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania. – Obstawiałbym jednak, że groźniejszy jest mały.

Duży ma karabin maszynowy, mały ma pistolet.

Gdy już zbierali się do wyjścia, rozległ się wysoki altowy głos Kerstin Holm:

– Dorzucam wam jednego człowieka.

Zatrzymali się jak jeden mąż.

– Po co, do cholery?! – wybuchnął. – Ci ludzie to doskonale wyszkoleni, elitarni funkcjonariusze, z których każdy ma dokładnie określone zadanie.

– Drużyna A rozwiązała sprawę – powiedziała Holm. – Chcę mieć pełny obraz sytuacji.

– Nie ufasz mi? – powiedział dowódca lodowatym głosem.

– Wchodzę – powiedział Paul i wstał.

– Wykluczone – powiedział Hultin.

– Chcę, żeby wszedł Viggo – powiedziała Kerstin Holm i pomyślała: Nieprawda, tak naprawdę chciałabym Gunnara Nyberga.

– Norlander?! – krzyknął mężczyzna nazywany Lönnqvistem.

– Przecież on jest po pięćdziesiątce – powiedział dowódca. – Ma wnuki. Ci ludzie to doskonale wyszkoleni...

– Wiemy, wiemy – przerwał komendant główny, rozwiązując kwestię, kto wokół tego okrągłego stołu był tak naprawdę królem Arturem. Po chwili dodał spokojnie: – Norlander idzie z wami.

Dowódca sił szybkiego reagowania sposepniał. Ponieważ na jego głowie nie było włosów, cała poddała się procesowi ciemnienia. I nie była to metafora. Przybrała kolor indygo.

Tęczę tworzy siedem kolorów – w skrócie „roygbiv” – *red, orange, yellow, green, blue, indigo, violet* – czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, indygo, fioletowy. W tej samej chwili ten przedostatni, tak trudny do określenia kolor, wreszcie został zdefiniowany.

Następnie dowódca sił szybkiego reagowania zniknął, a wraz z nim jego towarzysze broni. Poruszali się dokładnie tak samo jak on.

Viggo Norlander wstał z krzesła i powiedział z wyrzutem:

– Nie mam wnuków.

TO JEST OKNO. Okno widziane z zewnątrz. W środku coś się rusza. Jak we wnętrzu błony płodowej. Półprzezroczysta powłoka napina się i pulsuje. Coś chce się wydostać. Na zewnątrz. Wyjść.

Fale na szybie kładą się niczym fale morskie po sztormie, gładka powierzchnia prostuje się; śmierć zatrzymana na fotografii. W środku rusza się dziecko.

Mały chłopiec.

Znów falowanie na szybie okiennej. Ktoś ciągnie i szarpie za drzwi. Z zewnątrz. Chłopiec stoi przy kuchence, ma jakieś trzy lata, przekręca wszystkie gałki. Wdrapuje się na taboret przed kuchenką.

Ona szarpie drzwi raz jeszcze, tym razem mocniej. Nie pomaga. Zamknął ją na zewnątrz, przekręcił kluczyk w zamku. Stoi na zewnątrz na tarasie z koszykiem chwastów i już wie, że chłopiec umrze. W tym czasie on wdrapuje się na kolejny stopień taboretu kuchennego.

Uderza w okno ręką. Krzyczy, ale chłopiec jej nie słyszy. Przez grubą szybę nie docierają do niego żadne dźwięki. Koszyk wypada jej z dłoni. Chwasty opadają powoli na kamienną posadzkę. Rozsypują się, jak w pradawnym rytuale płodności.

Słońce świeci, ale nie rzuca cieni. Wszystkie cztery palniki są teraz pomarańczowe. Chce sięgnąć do puszek z ciastkami. Biszkopty. Jest teraz na ostatnim stopniu taboretu. Ma trzy lata i udało mu się wejść na tyle wysoko, że jego stopy są już na wysokości kuchenki. Jeszcze metr i wyciągniętymi rączkami dosięgnie biszkoptów.

Uwielbia biszkopty.

Rozgląda się za czymś, czym mogłaby uderzyć, rozbić szkło. Grabie. Kiedy robi zamach, już wie, że to nie ma sensu. Mimo to uderza. Grabie odbijają się od szyby. Uderzają ją w twarz.

A słońce świeci, nie rzucając cienia.

Mój syn umrze przez twoje pieprzone szyby, Paul.

W tej samej chwili chłopiec upada twarzą na kuchenną płytę.
On tam jest. Ona nie widzi, czy ciało chłopca dosięgnie
rozżarzonych palników. On już tam jest – chwyta go w locie i
wybiega.

Kuchenka stoi pusta, rozpalona.

Słońce świeci, nie rzucając cienia.

Czy właśnie wtedy przechodzi przemianę?

Właśnie wtedy rozpryskuje się szyba. Czarne odłamki
wpadają do wnętrza banku. Zawisają w powietrzu. Rozbłyskują
światłem niedającym cienia. Martwa natura.

Jak śmierć zatrzymana na fotografii.

NIE BYŁO WĄTPLIWOŚCI, że Viggo Norlander był policjantem. Dziś był nim nawet bardziej niż zwykle. Właśnie w ten błady czwartek w połowie marca.

Stał w wejściu do klatki schodowej. Drzwi były otwarte, broń przygotowana. Całej szóstki. Jego również. Zastanawiał się, czy pamięta, jak działa pistolet maszynowy.

Już po wszystkim nie przyznał się nikomu do problemów z wbiciem się w czarny kombinezon, do tego, że brzuch miał ściśnięty jak w gorsecie, a od wojskowych butów zrobiły mu się pęcherze, jak również do tego, że nie był pewien, jak opuszcza się ciemny, kuloodporny wizjer.

Czekali.

Po drugiej stronie Karlavägen był bank.

*

Wyglądało to jak na zatrzymanym filmie. Nie patrzyli na niego od dłuższej chwili, ale też nic nie wskazywało, żeby cokolwiek się zmieniło. Wciąż ci sami, odwrócenie do nich plecami napastnicy, niższy siedzący przy stole z dłońmi na blacie jak pianista i wyższy z pistoletem maszynowym w rękę, oparty o stół pośladkami.

Ruscy to nałogowi palacze, pomyślał Hultin i nawet się nie zawstydził, że myśli stereotypowo. Próbował w ten sposób zachować resztki optymizmu.

Wyższy wyjdzie niedługo na papierosa.

W przeciwnym wypadku podbiegnie do najbliższego zakładnika i zacznie strzelać – innej możliwości nie było, nie mogło być – a najbliższy zakładnik nazywał się Cilla Hjelm.

Czas płynął. Nic się nie działo.

Wokół okrągłego stołu w sali konferencyjnej agencji nieruchomości zebrało się sporo osób. Byli tu inspektorzy Paul Hjelm i Kerstin Holm; komisarze kryminalni Sara Svenhagen, Jorge Chavez, Arto Söderstedt, Jon Anderson, Lena Lindberg,

był szef wydziału Waldemar Mörner, komendant główny, komendant wojewódzka; był fonolog Kurt Ehnberg, architekt miejski Olle Larsson, bezimienny specjalista od materiałów wybuchowych i jeszcze bardziej bezimienny technik policyjny; był dyrektor generalny Andelsbanken Haavard Naess i szef ochrony tego samego banku Geir z Langøi; byli też – u szczytu stołu – na dwóch różnych wysokościach – konsultant Jan-Olov Hultin i dowódca sił szybkiego reagowania. Ten drugi siedział wyżej.

Siedzieli nieruchomo, zupełnie jak mężczyźni w banku.

*

Norlander spojrział na twarze pozostałych. W osłonie kasków wydawały się takie niewinne. Dzieciaki. Nie mieli nawet połowy tego, co on sam miał na karku.

Viggo Norlander mógłby bez problemu być ich ojcem. Gdyby jego była żona urodziła dzieci, jego syn mógłby być jednym z tych samców alfa.

Wolał swoje aniołeczki.

Ci chłopcy właśnie o tym marzyli. Do tego zostali stworzeni. Wszystko inne było czasem straconym. Martwym czasem.

Jeden z nich opuścił na próbę wizjer. Jego twarz skryła nieprzenikniona czerń. Norlander przyglądał mu się uważnie i pół minuty później powtórzył całą procedurę.

Udało się.

Nagle zobaczył, że dziecięca twarz tego, którego nazywali Renberg, drgnęła. Norlanderowi przypomniał się jeden z zawodników NHL. Tytan pracy Micke Renberg. Nie wiedział dlaczego.

– Zaczynamy – powiedział Renberg i opuścił wizjer.

Dziecięca twarz zniknęła bez śladu.

*

Hultin miał problemy z inkontynencją i moczył się praktycznie przez całą dobę. Od wielu lat nosił specjalną pieluchę i nauczył się z tym jakoś żyć. Nie musiał już biegać do toalety. Jego pęcherz przestał działać.

A mimo to czuł się, jakby musiał pójść do łazienki.

Ciekawe, czy bandyci też mieli na sobie pieluchy?

Nie chodzili w każdym razie do toalety.

Była 15.13. Dramat zakładników w Andelsbanken na Karlavägen w Sztokholmie ciągnął się już od czterech godzin i trzydziestu trzech minut, kiedy wyższy odłożył nagle pistolet maszynowy i wstał. Zbliżył się do kamery, zdjął kominiarkę i z wymiętego pudełka wyciągnął papierosa.

Potem zniknął z pola widzenia.

Paul Hjelms wstał. W jego uszach rozbrzmiewała muzyka tak głośna, że niebiańskie dźwięki niemal rozlały się po bulwarach:

Rex tremendae maiestatis, qui salvandos salvos gratis, salva me, fons pietatis.

Królu straszny w swej wielkości, co świat zbawiasz mimo złości, zbaw mnie, zdroju łaskawości!

– Wchodźcie – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania do walkie-talkie.

Paul Hjelms wybiegł z pokoju.

*

Przebiegli przez Karlavägen. Na linii drzew pośrodku alei dwie grupy rozdzieliły się na chwilę na dwie kolumny. Viggo Norlander starał się za wszelką cenę utrzymać tempo. Dawno już nie biegł tak szybko. Trzymał się tuż za prowadzącym lewą kolumnę, a w uszach szeleściły mu lekkie, niemal niesłyszalne odgłosy kroków jednego, nie – dwóch biegnących za nim mężczyzn. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby go wyprzedzili.

Dobiegli. Poruszali się bezszelestnie. Dwóch z przodu zbliżyło się do czarnych jak smoła szyb i uniosło łomy. Ten z lewej skinął głową.

Świat pochłonęła fala odłamków szkła.

Okna rozbiły się na miliony drobnych kawałków, tak jak to było w planie.

Siły szybkiego reagowania wpadły do banku. Pierwsze, co poczuł Norlander, gdy skręcili za róg i biegli korytarzem, to zdziwienie. Niższy napastnik nie poruszył się, nawet nie oderwał dłoni od biurka. Norlander z uniesioną bronią ukrył

się za narożnikiem, żeby zabezpieczyć drzwi do pomieszczenia ze skrytkami. Drugi przykucnął w przeciwległym rogu, a trzeci z zatrważającą szybkością wbiegł do biura. Zniknął na chwilę i wrócił z wyższym napastnikiem, który miał dłonie splecione na głowie; spomiędzy jego palców wystawał wciąż do połowy wypalony papieros. W tym samym momencie dwóch mężczyzn minęło Norlandera, zmierając do pokoju ze skrytkami. Funkcjonariusz znajdujący się już w biurze podniósł na chwilę wizjer, jakby chciał się o czymś upewnić, i ruszył szybko korytarzem, prowadząc obu napastników po bokach. Wszystko działo się zaskakująco szybko.

Trio minęło Norlandera w chwili, gdy z pomieszczenia ze skrytkami dobiegł wrzask. Do środka wbiegł kolejny funkcjonariusz i pobiegł prosto do pustego pomieszczenia biurowego.

Krzyczał pracownik banku, który najwyraźniej dostał napadu hysterii.

– Odpierdoliło wam?! – krzyknął łamiącym się głosem. – Wylecimy w powietrze! Już nie żyjemy!

Jeden z funkcjonariuszy podszedł do opakowania i wyrwał z niego laskę dynamexu. Zgiął ją w połowie. Wyglądała jak pusta tutka. Zwykły kawałek tektury.

Pracownik banku nie przestawał wymachiwać rękami i wyzywać funkcjonariuszy. Norlander wszedł do pokoju i stanął obok niego.

– Biuro zabezpieczone! – zawołał czyjś głos z zewnątrz, po czym zaraz odezwał się inny:

– Skarbiec zabezpieczony!

I jeszcze trzeci, który krzyknął:

– Sala główna zabezpieczona!

– Pieprzeni matkojebcy! – wrzasnął pracownik banku, na co Viggo Norlander wymierzył mu siarczysty policzek i krzyknął:

– Skrytki zabezpieczone!

Niewyraźna, lecz znajoma postać wbiegła do środka i przykucnęła obok znajdującej się najbliższej zakładniczki. Minęła dłuższa chwila, zanim Viggo Norlander skojarzył fakty. Potem zobaczył, że to Paul Hjelm.

– Dawać tu karetkę! – zakrzyknął podniesiony głos. – Mamy tu poważne omdlenie.

Norlander spojrzął z góry na pracownika banku. Krew lała mu się obficie z nosa, wyglądał, jakby stracił przytomność.

– Tu też! – krzyknął i przez chwilę rozważał karierę w siłach szybkiego reagowania.

Jeden z funkcjonariuszy uniósł wizjer, odzyskując swoją niemowlęcą twarz. Zbliżył do niej walkie-talkie i powiedział:

– Mówi Renberg. Bank zabezpieczony bez strat. Sprawcy unieszkodliwieni.

Nie tylko oni, pomyślał Viggo Norlander i ponownie zerknął na leżącego na ziemi.

*

Dowódca sił szybkiego reagowania rzucił walkie-talkie i zeskoczył z biurka.

– *Yes!* – wrzasnął i wyciągnął rękę, żeby przybić piątkę z Hultinem.

Hultin spojrzął na nią zdziwiony. Nie miał zamiaru przybijając z nikim piątki, nie był amerykańskim koszykarzem. Zrobił to za niego Waldemar Mörner. Dowódca sił szybkiego reagowania spojrzął zaskoczony na swoją dłoń, potrzebował chwili na dojdęcie do siebie.

– Udało się! – krzyknął.

– *Yippie!* – wykrzyknął Mörner niczym prawdziwy kowboj.

Jan-Olov Hultin pomyślał, że zasłużył na wieczorną sesję w saunie.

*

Paul Hjelm wpatrywał się w oczy, w które tak często patrzył w swoim życiu. Próbował ocenić, w jakim są stanie. Czy udało im się przejść przez tę próbę bez szwanku?

Spojrzął raz jeszcze i stwierdził, że tak. Chociaż widać było, jak bardzo są zmęczone.

Oczy, które widziały zbyt wiele.

– Cilla – powiedział i wziął ją za rękę. Jej palce zacisnęły się kurczowo na telefonie. Spróbował ostrożnie wyjąć go

spomiedzy nich.

– Nie ruszaj – powiedziała Cilla Hjelm cicho, ale zdecydowanie.

Odruchowo wypuścił jej dłoń.

– Jesteś bohaterką – powiedział Paul Hjelm. – Jestem z ciebie dumny.

– „Jestem przy tobie” – powiedziała. – To słowa Kerstin?

Roześmiał się, wziął głęboki oddech i przytulił ją do siebie. Nawet nie próbowała go odepchnąć. Dziwne uczucie.

– Myślałam, że umarłam – powiedziała. – Widziałam Danego przy kuchence. Pamiętasz?

– Danego?

– Światło bez cienia.

– Chcesz, żebym cię zawiózł do szpitala? – zapytał.

Spróbowała wstać. Nie mogła.

– Zawieź mnie do domu – powiedziała Cilla Hjelm.

*

– Pozwól, że się upewnię, czy dobrze zrozumiałem – powiedział Jan-Olov Hultin tonem pozbawionym emocji. – Przywalileś zakładnikowi?

– Zwykły policzek – westchnął Viggo Norlander. – Darł się jak jakaś ciota.

– A cioty się bije?

Norlander zamilkł. Gdyby Hultin go nie znał, mógłby pomyśleć, że Viggo Norlander właśnie zrozumiał swój błąd.

Hultin nie musiał tego mówić, a jednak powiedział; w końcu w dużej mierze właśnie za mówienie miał wystawić fakturę z tytułu usługi konsultingowej.

– Ci ludzie leżeli tam skrepowani przez cztery i pół godziny, otarli się o śmierć. I w nagrodę za poniesione straty moralne jeden z nich, pracownik banku Nils Bernhardsson, lat czterdzieści sześć, dostał po twarzy.

Viggo Norlander podniósł wzrok. Raczej trudno było dojrzeć w nim skruchę. Spróbował ostrożnie:

– Chcesz mi rozkwasić czoło?

Hultin przyglądał mu się przez chwilę. Roześmiał się.

Niewielu dane było to słyszeć. Viggo Norlander poczuł się wyróżniony.

*

– Zaczekaj – powiedziała Cilla Hjelm, gdy już byli na zewnątrz.

Paul Hjelm zatrzymał się. Podtrzymał ją za rękę i obejmował w pasie, czuł, jakby w każdej chwili mogła się rozsypać. Teraz jednak jej ciało wyraźnie się wyprężyło.

– Tak? – zapytał Paul.

– Prezent dla Tovy – powiedziała.

– Co?

– Został w środku. Jutro kończy osiemnaście lat.

– Wiem.

– Moja mała córeczka staje się dorosła.

– Nasza – powiedział Paul, puszczając Cille.

Przyglądał się jej.

– Mogę cię zostawić na chwilę? – zapytał i podbiegł z powrotem w kierunku banku.

– Niebieska paczka – powtórzyła Cilla Hjelm.

*

Renberg zdjął kask. Przesunął ręką po krótko ściętych włosach i rozejrzał się po polu walki. Był zadowolony.

Ludzie biegali tam i z powrotem, ślizgając się na odłamkach szkła. Ratownicy medyczni wynosili ludzi na noszach, technicy zajęli się zabezpieczaniem śladów, a wysocy rangą funkcjonariusze chodzili naokoło, kiwając z uznaniem głowami.

Właśnie tak to powinno wyglądać. Gra skończona. Jak po stosunku. Gdyby palił, sięgnąłby teraz po papierosa.

W jego kierunku zbliżała się drobna, ciemnowłosa kobieta. Od razu ją rozpoznał. Chodząca legenda.

Stała przed nim i skinęła głową.

– Renberg? – zapytała.

– Nicke – powiedział odruchowo Renberg i wyciągnął dłoń. Potrząsnęła nią szybko. Mocny uścisk.

– Kerstin Holm – powiedziała.

– Wiem – powiedział Nicke Renberg z nadzieją, że z tonu jego głosu da się wyczuć szacunek, jakim ją darzył.

Stała przez chwilę, kiwając głową. Widać było, że chce coś jeszcze powiedzieć. I wreszcie:

– Gdzie są napastnicy?

– Unieszkodliwieni – powiedział Renberg z dumą.

Kolejne kiwnięcie głową. I wreszcie:

– Pytam: gdzie są?

– W dobrych rękach – powiedział Nicke Renberg.

Kolejne kiwnięcie. Pomędzy jej ciemnymi, wyjątkowo pięknymi oczami zarysowała się niewielka zmarszczka.

Na jej widok po plecach Nickego Renberga spłynęło coś bardzo zimnego.

Ciekły wodór.

– Nie mam pojęcia – powiedział.

SOBOTA, 20 MAJA 1942 R., GODZ. 22.15

Pamięć jest krótka. Przerazająco krótka. Kto teraz pamięta zimę, tę obrzydliwą, okropną zimę?

Znów pędzimy na oślep po zwycięstwo.

Jest wiosna. Pączkują liście, wraca zieleń. Jakie to dziwne patrzeć na odradzające się życie, gdy wokół nas jest tylko śmierć. Prawie wszystkich napęlnia nadzieją, budzi na nowo wolę walki. Dla mnie jest to jedynie przerażający dowód na to, że w sposób ostateczny odcięliśmy się od natury. To, co nazywamy kulturą, jest zwykłym brakiem natury.

Zima w Połtawie nie była szczególnie długa. Już w styczniu 6. Armia oddzieliła się od Grupy Armii „Południe” i przeniosła oddziały razem ze sztabem do Charkowa. Pierwszym, z czym nasz nowy dowódca, feldmarszałek Friedrich Wilhelm Paulus, musiał się zmierzyć, była sowiecka kontrofensywa po udanej obronie Moskwy. Nigdy nie dotarliśmy do Moskwy.

Jest coś niezwykłego w widoku pociągów przymarzających do torów.

W najcieplejsze dni, gdy wojska przemieszczały się w kierunku Charkowa, było minus trzydzieści stopni. Ofensywa była przerażająca. Gdy tylko dotarliśmy na miejsce, Timoszenko próbował odbić Charków przez okrążenie. Udało mu się tylko na południu. 6. Armia utrzymała pozycje, ale na południe od Charkowa powstał przyczółek na froncie, występ barwienkowski. Już go nie ma.

To dlatego wróciła wiara w zwycięstwo.

Führer szybko zapomniał o zimowym dramacie. Piątego kwietnia przyszedł rozkaz „ostatecznego zwycięstwa na wschodzie”. Główna akcja operacji Barbarossa, operacja Siegfried, przemianowana na operację Fall Blau, którą miała zapoczątkować operacja Fridericus. Dużo tych operacji.

W operacji Fridericus chodziło o oddalenie występu barwienkowskiego. Zaplanowana była na 18 maja. Ale

ofensywa Armii Czerwonej nadciągnęła już 12. Okrążenie Charkowa miało się zamknąć.

Tego samego dnia czołgi przekroczyły linię frontu i jeszcze tego samego wieczora wojska rosyjskie stały dwadzieścia kilometrów od Charkowa. Mieliliśmy ich bardzo blisko. Pytanie tylko, czy posuną się dalej.

Ofensywa ruszyła z wielu flank naraz. Walki toczyły się przez siedemdziesiąt dwie intensywne godziny. Potworny bój w strugach deszczu. Krew i błoto. Błoto i krew.

Możliwe, że zabijałem. Nie wiem. Mój pluton stacjonował na południe od Charkowa, na rynku małego miasteczka. Po drugiej stronie stali Rosjanie. Strzelaliśmy do siebie. Jeszcze nigdy nie byłem tak blisko wroga. Bliżej stoi się już tylko twarzą w twarz.

Feldmarszałek von Bock, dowódca Grupy Armii „Południe”, nie był zadowolony ze sposobu, w jaki Paulus kierował obroną. Wyprowadził brawurowy kontratak. Uczestniczyła w nim Pierwsza Armia Pancerna von Kleista – ta, która wcześniej jako pierwsza z niemieckich armii została zmuszona do odwrotu. Tym razem jednak poszło lepiej. Przypuścili atak na przyczółek jeszcze przed wschodem słońca 17 maja. Przedarli się szybko. A my za nimi, duża część 6. Armii. Wczoraj, 19 maja, Timoszenko przerwał ofensywę. Było jednak za późno. Okrążający sami zostali okrążeni, pułapka von Bocka zatrasnęła się.

Wzięliśmy do niewoli olbrzymią liczbę sowieckich żołnierzy. Likwidujemy całe armie sowieckich żołnierzy.

Muszę przyznać, że udzieliło mi się przekonanie o pewnym zwycięstwie. Nawet ja czuję słodki zapach dobywający się z przesiąkniętego krwią błota. Tak łatwo jest dać się wciągnąć.

Występ barwienkowski jest nasz. Pierwszy raz mam godzinę na pisanie. Piszę w środku toczących się walk. Wokół mnie panuje niekończący się hałas. Piszę w cieniu stosów ciał.

Pada deszcz. Bez przerwy pada deszcz.

Już niedługo ruszymy w kierunku Wołgi. Leży nad nią miasto, nazywa się Stalingrad. Podobno już jest nasze. Tak twierdzi Hitler.

JAN-OLOV HULTIN WYJRZAŁ na Karlavägen. Zziębnięte drzewa stały bez ruchu na zamkniętej alei, a oba pokryte brudnym śniegiem pasy ruchu były puste. Szary dzień zaczął przechodzić w jeszcze bardziej szary zmierzch. Wydawało się, że do wiosny jest jeszcze bardzo daleko.

I jeszcze dalej do sauny.

W której już od dawna powinien siedzieć.

Że też wszystko musiało się tak skończyć... Westchnął głęboko i obrócił się na pięcie. Nadszedł czas, by wrócić do sali konferencyjnej, choć nie spodziewał się, że będzie musiał jeszcze ją oglądać. Wyszedł na korytarz agencji nieruchomości.

Od razu wpadł na Niklasa Grundströma.

Dyrektor Biura Spraw Wewnętrznych uścisnął mu dłoń po przyjacielsku.

– Domyślałem się, że będę potrzebny – powiedział.

Zawsze mówił w ten sposób.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedział Hultin tonem pozbawionym emocji.

– Są tutaj?

Hultin skinął głową.

– Podobno – powiedział i dodał: – Choć nie dałbym za to głowy.

Dwóch różniących się pod wieloma względami, lecz serdecznych przyjaciół powlokło się korytarzem do posępnej sali konferencyjnej.

Hultin przywitał się z zebranymi krótkim kiwnięciem głowy i powiedział.

– Niklas Grundström, Biuro Spraw Wewnętrznych.

Po funkcjonariuszach z grupy szybkiego reagowania przeszedł dreszcz. Sześciu z nich stało wzdłuż ściany po prawej stronie za rzędem krzesel. W rękach trzymali kaski z wizjerami.

– Domyślcie się chyba, czemu zawdzięczamy tę wizytę – powiedział Hultin i obrócił się w stronę dowódcy sił szybkiego

reagowania, którego łysa głowa zdawała się mieć kolor indygo. Sina głowa skinęła, a jej właściciel odezwał się głosem jak z sądu ostatecznego:

– Co za porażka...

– Wiadomo coś więcej?

Dowódca dalej kiwał głową. Nie dodał ani słowa.

Kerstin Holm powiedziała:

– Po tym, jak napastnicy zostali obezwładnieni w pomieszczeniu biurowym i wyprowadzeni korytarzem do sali głównej, ślad się urywa.

– Pytam po raz ostatni – powiedział Hultin, obracając się w stronę sześciu funkcjonariuszy, z których jednym był Viggo Norlander. Nie wyglądał na poruszonego, ale brwi miał zmarszczone. – Którzy z was unieszkodliwiali napastników?

Milczeli jak zakłęci i tylko przyglądali się sobie z ukosa, jakby widzieli się po raz pierwszy w życiu. Kto to mógł być?

Kto z nich zatrzymał, a potem puścił wolno – a może nawet zgubił – napastników?

To był decydujący moment w ich życiu.

Ktoś zawiódł.

Ktoś spośród najbliższych.

– Wydaje mi się, że mamy to nagrane – powiedziała Kerstin Holm i skinęła w stronę technika.

Wystukał coś na klawiaturze swojego laptopa i na ścianie znów pojawił się obraz. Wyglądał jak kadr z zatrzymanego filmu. Do momentu, gdy wyższy napastnik nagle odłożył karabin maszynowy i wstał. Zbliżył się do kamery, ściągnął kominiarzkę i z pogniecionego opakowania wytrzymał papierosa.

Potem zniknął z kadru.

Po jakiejś minucie niższy z napastników wyprostował się i podniósł głowę. To wszystko. W pokoju biurowym pojawił się funkcjonariusz sił szybkiego reagowania z uniesionym pistoletem maszynowym. Podszedł w pobliże kamery i przeciągnął większego z napastników w kierunku stołu. Ten miał już na sobie kominiarzkę, a dłonie trzymał splecione na głowie; spomiędzy jego palców ciągle wystawał na pół

wypalony papieros. Funkcjonariusz podszedł do biurka i chwycił niższego napastnika. Stał przez chwilę, przytrzymując każdą ręką jednego napastnika.

Podniósł na chwilę wizjer, jakby chciał coś sprawdzić.

– Tutaj – powiedziała Kerstin Holm.

Obraz się zatrzymał.

– Spójrzcie na korytarz – dodała.

Spojrzeli.

– Dwóch ludzi z przodu, wchodzą do pomieszczenia ze skrytkami. Viggo chowa się z tej strony. Jeden z was kryje się po przeciwnej. I kolejny zaraz za nim. Razem pięć. Szósty trzyma napastników. Prawda?

Kerstin Holm wstała i podeszła do zatrzymanego obrazu na ścianie.

– W takim razie co to jest? – zapytała i pokazała na coś nad głową Viggo Norlandera.

Linia. Im dłużej na nią patrzyli, tym bardziej stawała się wyraźna. To była lufa karabinu maszynowego.

– O kurwa – powiedział dowódca sił szybkiego reagowania.

– Było was sześciu – powiedziała Kerstin Holm. – Ten jest siódmy.

Dowódca przetarł oczy. Wyglądało to raczej, jakby chciał wcisnąć gałki oczne do wnętrza czaszki.

– Co sugerujesz? – powiedział zmęczonym głosem. – Że nagle dołączył kolejny funkcjonariusz? Nie do odróżnienia od pozostałych? To przecież śmieszne.

– Cholera jasna – powiedział Viggo Norlander i pobladł. – Kroki.

– Co? – zdziwiła się Kerstin Holm. Widok blednącego Norlandera był równie rzadki co śmiejącego się Hultina.

– Powiniennem być zareagować – mówił dalej Norlander. – Biegliśmy przez Karlavägen w dwóch kolumnach, po trzech ludzi w każdej. Biegłem jako drugi z lewej. Za sobą słyszałem kroki dwóch biegnących ludzi.

– To znaczy, że on był tam już wtedy? – powiedział Hultin. – Skąd on się wziął?

Z twarzy Norlandera nie schodziła bladeść.

– Gdybym się obrócił, zamiast próbować za wszelką cenę trzymać szyk, mielibyśmy teraz napastników. Wszystko potoczyłoby się inaczej.

Spóźniona refleksja, pomyślała Kerstin Holm, a na głos powiedziała:

– Czy możecie wskazać siebie na tym zdjęciu? Po kolei.

Funkcjonariusze sił szybkiego reagowania podeszli po kolei do zdjęcia, pokazując siebie palcem. Jako ostatni podszedł Nicke Renberg. Wskazał wiszącą w powietrzu samotną lunę karabinu maszynowego.

Nikt nie pokazał na funkcjonariusza stojącego z napastnikami.

– W porządku – powiedział Hultin. – Wasza szóstka pójdzie teraz z Grundströmem na dokładniejsze przesłuchanie. Ciescie się, że głupota nie jest karalna.

Wyszli z podkulonymi ogonami.

W sali został sztab kryzysowy, Drużyna A i bezimienny technik. Grupa ekspertów została już zwolniona. Teraz pozwolono odejść również technikowi. Oddalił się z uczuciem ulgi po ciężkim, ale owocnym dniu pracy.

– Tego tutaj raczej trudno nazwać głupim – powiedział Hultin i pokazał na zatrzymanego w kadrze mężczyznę z napastnikami.

– Czy to właśnie dlatego napastnicy byli tak spokojni? – powiedział Arto Söderstedt. Bo wiedzieli, że zostaną uwolnieni? Przez policję? „Jesteście w tym najlepsi...”.

– Brzmi logicznie, ale nie do końca – powiedziała Kerstin Holm, siadając z powrotem na swoim miejscu. Nie mogła oderwać wzroku od zdjęcia pokazującego napastników i siedmiu funkcjonariuszy. Tam było coś jeszcze. Coś, czego nie potrafiła jeszcze nazwać.

Söderstedt kiwnął głową i zmarszczył swoje ledwo widoczne brwi.

– Pieniądze – powiedział.

Holm dokończyła jego myśl:

– Dlaczego otworzyli sejf i spakowali pieniądze do toreb, jeśli nie zamierzali ich wziąć ze sobą?

Hultin opadł ciężko na krzesło.

– Sugerujesz, że nie zostali uwolnieni?

– Teoretycznie wszystko na to wskazuje – powiedziała Kerstin Holm. – Już samo pozyskanie odpowiedniego wyposażenia, jakim dysponują siły szybkiego reagowania, musi wymagać poważnych przygotowań. Nie mówiąc o wielogodzinnym czatowaniu i wyczekiwaniu na moment, w którym będzie można się dołączyć do szturmujących sił szybkiego reagowania i je przechytrzyć. To wymaga długiego planowania i treningu. Takiego planu nie układa się w głupi kwadrans. Ani nawet w cztery godziny.

– Chyba że dysponuje się nieograniczonymi środkami – powiedziała Sara Svenhagen.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał zaniepokojony komendant główny.

– Powiedzmy, że napastnicy rzeczywiście zostali uwolnieni – mówiła dalej Svenhagen – że wszystko to jest częścią większego planu. Co takiego udało się osiągnąć dzięki tak brawurowej akcji?

– Nic a nic – powiedział Söderstedt.

– Udało im się wywołać panikę wśród mieszkańców, sparaliżować Östermalm i zaangażować znaczną część i tak już napiętego budżetu policji. Poza tym – nic. Torby z pieniędzmi stoją tam, gdzie stały.

– Chyba że *zrobili coś jeszcze* w banku – powiedział Jorge Chavez. – A te torby to kolejna ściema.

Hultin skinął głową. Wreszcie poczuł się jak u siebie. Powietrze aż zgęstniało od natłoku możliwych scenariuszy.

– Chcesz powiedzieć, że w banku coś zostało? – powiedział. – Że coś zostawili?

– Tak mi tylko przeszło przez myśl – powiedziała Kerstin Holm. – Wchodzą do banku, umieszczają coś w środku i czekają, aż ich wyciągniemy. To celowe zagranie.

– Oby to nie była bomba – jęknął dowódca sił szybkiego reagowania.

Zapadła cisza. Można było usłyszeć spadającą szpilkę. Dużo bardziej prawdopodobna byłaby jednak śrubka. Co więcej,

wypadająca z czyjejs głowy.

– To by tłumaczyło, dlaczego tak interesowali się ewakuacją – powiedział Arto Söderstedt. – Bomba wybuchnie, gdy mieszkańcy wrócą do swoich mieszkań.

Hultin odwrócił się do komendant wojewódzkiej i zapytał:

– Czy ewakuowani zaczęli już wracać do domów?

Komendant wojewódzka zamrugała oczami, jakby została wyrwana z letargu.

– Rozkaz nie został jeszcze wydany – odpowiedziała sztywno.

– Dobrze – powiedział Hultin i wybrał numer w telefonie. – Jeszcze z tym zaczekajmy.

– Svenhagen – odezwał się głos w słuchawce.

– Brynolf. Z tej strony Hultin.

– Słyszałem, że zostałeś wezwany w trybie pilnym – powiedział główny technik kryminalistyczny i ojciec Sary Svenhagen w jednej osobie. – To świadczy o pewnej stagnacji w policji.

– Znaleźliście coś?

– Niewiele – powiedział Brynolf Svenhagen. – Porzucona broń i torby. I naturalnie atrapy bomb. Teraz skupimy się na szukaniu śladów materiału genetycznego.

– Czy są jakieś ślady ich działań? Lub jakieś porzucone przedmioty?

– W tej chwili nie.

– Zostawcie wszystko tak, jak jest, i natychmiast stamtąd wychodźcie. Mogli zostawić bombę.

– Wspaniale – powiedział Brynolf Svenhagen oschle i odłożył słuchawkę.

Hultin obrócił się z powrotem do komendant wojewódzkiej, która wciąż nie mogła uwierzyć, że jej roztrzepanie wyszło im na dobre.

– Czy saperzy są jeszcze na miejscu? – zapytał Hultin.

– Sprawdzę – powiedziała komendant wojewódzka tonem świadczącym o tym, że odzyskała panowanie nad sytuacją i wybrała numer na telefonie.

– I jeszcze psy – dodał Hultin. – Blokada dróg obowiązuje dalej.

Komendant wojewódzka policji skinęła głową i ściszym głosem zaczęła rozmowę przez telefon.

– W takim razie wracamy do scenariusza numer dwa – powiedział komendant główny. „Chyba że dysponuje się nieograniczonymi środkami”.

Obawiał się przeciwników dysponujących okazałymi zasobami. Również dlatego, że jego własne były tak ograniczone.

Sara Svenhagen przyglądała mu się przez chwilę. Ocknęła się i zaczęła od początku:

– Mamy myśleć, że niczego po sobie nie zostawili w banku. Że nie chodzi tu o jakiś większy, zakrojony na szeroką skalę plan, tylko raczej o „zwykły” napad. Że celem była gotówka, którą zostawili w torbach. Że naprawdę czekali, aż my, policja, wymyślimy, jak mają się stamtąd wydostać. Jeśli tak, to za ich uprowadzeniem stoi *ktoś inny*, kto w ciągu kilku godzin jest w stanie podszyć się pod elitarne szwedzkie jednostki szybkiego reagowania.

– *Ktoś inny?* – powtórzył komendant główny.

– Pierwsze, co przychodzi do głowy, to oczywiście mafia – powiedziała Sara Svenhagen. – Rosyjska mafia z powiązaniem w KGB. Dwa różne ugrupowania, które walczą o ten sam teren.

– Ale nie ostatnie? – powiedziała komendant wojewódzka.

Sara skrzywiła się.

– Nie pachnie wam tu światem wielkiej polityki? – zapytała ostrożnie.

– Wpuszczają psy – powiedziała komendant wojewódzka, wyraźnie zaskoczona swoją skutecznością.

– Teraz? – krzyknął Hultin.

– Saperzy byli na miejscu.

Hultin skinął głową.

– Zostali, żeby napić się kawy?

– Byli na miejscu – powtórzyła komendant wojewódzka, przybierając barwy ochronne.

Rozmowa się urwała. Zaległa cisza. Musieli się przez chwilę oswoić z tym, co usłyszeli. Cała uwaga skupiła się na komendant wojewódzkiej, która siedziała z telefonem przy

uchu.

Czas płynął.

– Wielka polityka? – powtórzył komendant główny po chwili.

Sara Svenhagen wzruszyła ramionami. Komendant główny wydawał się, co ciekawe, usatysfakcjonowany taką odpowiedzią.

– Teraz – powiedziała komendant wojewódzka i zamilkła.

Popatrzyli na nią. Z rosnącą irytacją, choć u każdego inną. W końcu się odezwała:

– Psy wyszły. Nic nie znalazły.

Odetchnęli.

– Teraz wpuszczają robota z detektorem. Ma dać stuprocentową gwarancję – dodała po chwili.

Znów cisza.

– Kominiarka – powiedział Arto Söderstedt po chwili.

Popatrzyli na niego. Z dystansem.

– Większy napastnik podchodzi do kratki, żeby zapalić – mówił dalej powoli. – Ściąga kominiarkę – mamy to na nagraniu. Ale kiedy fałszywy policjant wciąga go znów w kadr, ma na sobie kominiarkę.

Przynajmniej próbowałem, pomyślał Söderstedt, ale głośno nic nie powiedział.

Nikt nie załapał.

– Dlaczego? – spróbował.

Kerstin Holm wpatrywała się w slajd na ścianie, próbując się skupić na kominiarce. Czy to dlatego zdjęcie domagało się przez ten cały czas jej uwagi?

– To funkcjonariusz mu ją naciąga – powiedziała.

– Prawda, że to tak musiało być? – powiedział Söderstedt, zadowolony ze swojej szefowej. – A dlaczego?

O co chodzi w tym zdjęciu? – pomyślała Kerstin Holm i powiedziała:

– Bo chce ukryć jego tożsamość.

– A dlaczego?

– Odpuść sobie – powiedziała Kerstin Holm.

– Teraz – powiedziała komendant wojewódzka i zamilkła.

Nie znowu, pomyślał Arto Söderstedt.

– Okej – powiedziała komendant wojewódzka po chwili i rozłączyła telefon. – Detektor miga na zielono. W banku nie ma bomby.

Trudno było stwierdzić, czy następujące po tej informacji zbiorowe westchnięcie było rzeczywiście wyrazem ulgi.

– Bo zidentyfikowanie napastników doprowadziłoby nas prosto do fałszywego policjanta – powiedział Arto Söderstedt.

– Wielka polityka? – zastanowił się komendant główny.

*

Emeryt Jan-Olov Hultin stał w korku. Nic nowego pod słońcem. Tylko że słońce już zaszło. W Sztokholmie zapanowała ciemność.

Włączył radio. Trwała relacja z ogarniętego wojną Iraku. Od południa właśnie wkroczyły tam amerykańskie oddziały.

Racja, pomyślał. Dziś zaczęła się wojna. Wojna między Wschodem a Zachodem.

Występy gościnne, pomyślał po chwili.

Emeryt niczym gość w rzeczywistości.

Najwyższa pora zapomnieć i znowu być sobą.

„Jeśli nasze zwiewne cienie / Budzą twe zniecierpliwienie / Pomyśl, widzu, żeś spał chwilę, / Żeś te zjawy śnił – i tyle”³.

Dziwny dzień dobiegał końca.

Nawet przez chwilę nie zatęsknił za sauną.

3 William Shakespeare, *Sen nocy letniej*, tłum. Stanisław Barańczak, Poznań 1992.

PAUL HJELM BYŁ W DOMU i nie był w domu. Spodziewał się, że wszelkie ślady jego dawnej obecności zostały zatarte, ale tak się nie stało. Gdy przekroczył próg segmentu mieszkalnego w Norsborg, poczuł się, jakby wkraczał do równoległej rzeczywistości. W tym świecie wciąż był mężem Cilli, ich życie płynęło leniwie jak dawniej, w dwóch niestykających się ze sobą czasoprzestrzeniach. Dalej był komisarzem kryminalnym w Drużynie A i dalej spał w ich wspólnym łóżku. Z plecami jak zawsze oddalonymi o jakiś metr od pleców Cilli.

Przyszedł w odwiedziny do swojego drugiego ja.

Co gdyby rzeczywiście tak było? Gdyby z każdym wyborem naszej drogi życiowej powstawały równoległe rzeczywistości? Gdyby każde życie, które mogliśmy przeżyć, rzeczywiście trwało równoległe z pozostałymi? Czy to dlatego czujemy się tak zagubieni?

Spojrzał na łóżko. Leżała w nim Cilla, zakopana w pościeli. Spała. Przypomniały mu się wszystkie te chwile, gdy widział ją śpiącą. Jakby istniały jednocześnie, wszystkie naraz.

Chciałem tylko, żeby ktoś mnie kochał, pomyślał. Tak jak ja kochałem ciebie. Jeśli nie przestałaś mnie kochać, to przynajmniej przestałaś mi to okazywać. Być może tak było również ze mną.

Trzeba umieć okazywać miłość. Inaczej miłości brakuje.

Usiadł na brzegu łóżka i poczuł, jak ogarnia go jakaś bolesna czułość. Nie miał odwagi położyć na niej dłoni – z doświadczenia wiedział, że zostanie strącona. Nie ruszył się jednak z miejsca.

W głowie dudniło mu *Requiem* Mozarta.

Gdy godzinę wcześniej zjeżdżali z E4 na Norsborg, Cilla powiedziała:

– Zaparkuj kawałek dalej.

Zrozumiał i roześmiał się. Myślała o sąsiadach. Dopiero co umknęła śmierci, a już myślała o tym, co powiedzą sąsiedzi.

Posłuchał jednak i nie zaparkował pod domem.

Weszli do domu niezauważeni przez sąsiadów. Otworzył odruchowo szafę w przedpokoju i powiesił kurtkę. Dopiero po chwili do niego dotarło.

Przecież już tu nie mieszkam.

Oczywista konstatacja, po której naszła go druga, nieco bardziej skomplikowana: że wchodzi do równoległej rzeczywistości.

Cilla poszła prosto do sypialni, położyła lekko pogniecioną niebieską paczkę i nieodłączny telefon na stoliku nocnym, wślizgnęła się do łóżka i naciągnęła kołdrę na głowę. Zawahał się, ale po chwili wszedł za nią.

Spodziewał się, jaka będzie odpowiedź. Mimo to zapytał:

– Chcesz, żebym został na noc?

Nie może odpowiedzieć „tak”. To fizycznie niemożliwe.

– Rób, jak chcesz – dobiegł go głos spod kołdry.

Uśmiechnął się gorzko i powiedział:

– Zostanę.

I został. Siedział chwilę przy niej, aż zasnęła. Potem wyszedł do kuchni, zrobił kawę, usiadł w salonie i dopiero wtedy zobaczył starą papugę, która przyglądała mu się podejrzliwie ze swojego patyka.

– Paul – powiedział.

– Cilla – odpowiedziała papuga.

Wstał i podszedł do starego pianina, na które swego czasu przelewał wszystkie swoje nieudane próby muzyczne. Przesunął palcami po klawiszach, a na opuszkach została warstwa kurzu. Uderzył w kilka klawiszy. I jeszcze w kilka. W końcu bardzo cicho zanucił pierwsze słowa *Requiem*:

– *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis. Te decet hymnus, Deus in Sion, et tibi reddetur votum in Jerusalem. Exaudi orationem meam, ad te omnis caro veniet.*

Wrócił do sypialni i usiadł na łóżku. Rozpoznawał się we wszystkim dookoła i nie było mu z tym źle.

Ich syn David wyprowadził się do mieszkania studenckiego na Körbsärsvägen przy Roslagstull i studiował najdziwniejsze

kierunki, jakie oferował uniwersytet, w tym coś tak kuriozalnego jak literaturoznawstwo, zresztą nie bez winy Paula Hjelma. Ich najlepsze rozmowy od czasu rozvodu dotyczyły, co ciekawe, literatury. Podobało mu się, wiele dobrego mówił też o niektórych wykładowcach, którzy wydawali jakieś hermetyczne, kompletnie niezrozumiałe czasopismo.

Z kolei jego córka Tova skończy jutro osiemnaście lat. Na jej temat trudniej mu było coś powiedzieć, kończyła gimnazjum i mówiła tylko o tym, że chce pojechać „w świat”. Podobno miała zostać na noc u swojego chłopaka Kallego.

Kallego? – zastanowił się Paul Hjelm, ale postanowił nie rozwijać tej myśli.

Przez chwilę siedział przy boku Cilli, próbując wrócić do własnego, płynącego równolegle życia. Nie szło mu najlepiej. Już nie. Potem wszedł do dawnego pokoju Dannego – niemal nienaruszonego, wciąż przesiąkniętego aurą okresu dojrzewania – i położył się na łóżku syna.

Zasnął z obrazem Cilli pod powiekami. Cilla za zamkniętymi drzwiami na werandę, niedawno wzmocnioną pancernymi szybami, po tym jak w wielu domach doszło do włamań. Niedawno wprowadzili się do Norsborg. Nowy budynek ratusza, wczesne lata osiemdziesiąte, nowa dzielnica pachnąca świeżością. Paul był na ostatnim roku szkoły policyjnej i wiele czasu spędzał poza domem. Godziny pracy były, łagodnie rzecz ujmując, nieregularne. Tego dnia wrócił do domu zaraz po lunchu. Wszedł do środka i zobaczył żonę na werandzie. Rzucił jej krótkie spojrzenie. Nie poznał jej, z początku nie zrozumiał, kto to jest. Była blada jak ściana, twarz miała wykrzywioną w dziwnym grymasie, a z rany na jej czole lała się krew. Spojrzał szybko w kierunku, w który wpatrzono były jej przerażone oczy. Zobaczył trzyletniego wówczas Dannego, jak upada na rozżarzoną kuchenkę. Wszystkie grzałki były rozpalone. Wpadł do środka, chwycił go w powietrzu i wybiegł do łazienki, żeby wsadzić go pod zimną wodę. Danne krzyczał, głośno i rozpaczliwie, ale wyglądało na to, że w ostatniej chwili uniknął poparzenia. Paul przez chwilę przytrzymał strumień zimnej

wody, tak na wszelki wypadek. Na brzuchu widać było centymetrowej wielkości czerwone znamię, ale raczej niegroźne. Szczególnie że przez cały czas polewał to miejsce zimną wodą. Potem puścił mu ciepłą wodę, żeby chłopiec doszedł do siebie, i wrócił do kuchni.

Na drzwiach prowadzących na werandę widniały wyraźne ślady krwi. Cilla leżała nieprzytomna na zewnątrz. Otworzył drzwi i pochylił się nad nią.

W tej samej chwili zasnął.

*

Kerstin Holm spała. W jej głowie pojawił się obraz. Wcześniej próbował się przebić na jawie, ale nie był natarczywy, nie domagał się uwagi. Raczej łaskotał jej świadomość i pozostawał niewidoczny.

Teraz było inaczej. Sen nie jest, jak by się mogło wydawać, odpoczynkiem. Sen to pobudzenie czynności tych rejonów mózgu, które normalnie są w stanie spoczynku. „Przespać się z czymś” oznacza uaktywnić w sobie kreatywne obszary, których na jawie nie pobudzamy.

We śnie powrócił do niej obraz przedstawiający funkcjonariuszy sił szybkiego reagowania. Sześciu, nie, siedmiu funkcjonariuszy zastygłych w bezruchu i dwóch napastników. Jeden z funkcjonariuszy przytrzymuje napastników, sam jest obrócony plecami do kamery. Na krótką chwilę unosi wizjer, jakby chciał coś sprawdzić.

Na zdjęciu jest coś jeszcze.

Dwóch funkcjonariuszy zmierza do pomieszczenia ze skrytkami, widać otwarte drzwi. Coś jest w środku. Bardzo niewyraźna sylwetka, na podłodze. Niewyraźna, zamglona, rozmyta, ale mimo wszystko: ktoś tam siedzi. Ma coś w ręku. Niewielki przedmiot wymierzony prosto w funkcjonariusza stojącego pomiędzy napastnikami. Prosto w fałszywego policjanta.

Telefon komórkowy.

Wycelowany prosto w uniesiony wizjer.

Kerstin Holm zerwała się z łóżka. Rozejrzała się

nieprzytomnie dokoła i instynktownie poklepała pościel obok. Był to nowy odruch, ale towarzyszył jej zawsze, gdy przebudzała się w środku nocy. Gdy jej ręka natrafiła na drobne, ciepłe ciało jej syna, czuła wdzięczność i szczęście.

Pogłaskała go delikatnie po głowie. Odpowiedziało jej mruknięcie. Przeszedł ją dreszcz, wybudziła się i pomyślała: ile razy jeszcze będę się budzić?

Usiadła na łóżku i patrzyła w ciemność.

O kurwa, pomyślała.

Zamiast budzika na stoliku nocnym leżał telefon komórkowy. Kerstin odszukała go po omacku i przez chwilę bezwiednie wpatrywała się w rozświetlony ekran. Potem szybko wybrała numer.

Chwilę czekała na linii. W końcu usłyszała:

– Tu Paul Hjelm. Nagraj wiadomość po sygnale.

Rozłączyła się i nawet nie zdążyła się zirytować, że zna na pamięć numer jego telefonu stacjonarnego. Wreszcie ktoś odebrał:

– Mówi Paul Hjelm. Nagraj wiado...

Rozłączyła się i przymknęła oczy, próbując sobie przypomnieć. Potem wybrała kolejny numer. Sygnał oczekiwania.

Po kilku sygnałach odezwał się zmęczonym, zirytowanym głosem: `

– Halo.

– Paul? Mówi Kerstin. Posłuchaj mnie uważnie. Wydaje mi się, że Cilli może coś grozić.

– Tak, wiem – powiedział Paul Hjelm.

*

Paul Hjelm nigdy nie zrozumiał, jakim sposobem udało mu się obudzić, coś jednak sprawiło, że w ciągu sekundy odzyskał świadomość. Usiadł na dziecięcym łóżku swojego dorosłego już syna i patrzył w ciemność.

Nie był pewien, czy to rzeczywiście był dźwięk. Być może jedynie lekka zmiana właściwości powietrza. Coś to jednak musiało być.

Nie miał przy sobie broni. Pojechał prosto na Östermalm zaraz po tym, jak dostał SMS-a od Cilli, i nie zabrał ze sobą pistoletu.

Dopiero teraz zrozumiał, jak beznadziejnym jest ochroniarzem.

Bezszelestnie podniósł się z łóżka i w samych skarpetkach wymknął się z pokoju. Nie widział światła, ale raczej rodzaj słabego promieniowania tła, które sprawiało, że wszystko dokoła, choć tak dobrze znane, wyglądało jak rozświetlone jakąś wewnętrzną poświatą. Szedł korytarzem. Nieco dalej przed nim, po drugiej stronie otwartego salonu, korytarz skręcał w lewo i znikał w ciemnościach tam, gdzie były drzwi do sypialni Cilli. Przechodząc przez salon, minął kominek. Ostrożnie chwycił pogrzebacz, świadomy absurdu tej sytuacji. Być może nie była to właściwa reakcja, nie potrafił jednak odpędzić od siebie filmowych obrazów, na których ktoś łapie pogrzebacz i skrada się za jakimś nieznanym dźwiękiem po pogrążonym we śnie domu.

Nie wiedział nawet, czy to rzeczywiście był dźwięk. Coś to jednak było.

Podszedł do ściany. Zbliżał się do drzwi, przytulony do ściany. Drzwi były otwarte, tak jak je zostawił. Zostały mu jeszcze trzy metry. Żadnego dźwięku. Niczego, co można by nazwać dźwiękiem.

Nie wiedział, co myśli. W jego głowie nie było myśli. Tylko jakaś straszliwie wyraźna świadomość celu. I jakaś dziwna, paradoksalna pewność: coś się nie zgadza.

Coś jest nie tak.

Czuł ból w całym ciele, pieczenie w każdym ścięgnię, w każdym naczyniu krwionośnym.

Przedsmak śmierci.

Czuł suchość w ustach.

Bardzo możliwe, że tak właśnie miała wyglądać śmierć Paula Hjelma.

Miał umrzeć w swoim dawnym domu, do którego wrócił niczym Odyseusz po skończonej wojnie i latach tułaczki.

Wziął głęboki oddech.

W jego głowie dudniły słowa *Requiem aeterna dona eis, Domine*.

W następnej sekundzie wpadł do sypialni z uniesionym pogrzebaczem.

W nogach łóżka Cilli stał zamaskowany mężczyzna, mierząc w skotłowaną pościel z pistoletu z tłumikiem. Hjelm zdziwił się, jak szybko udało mu się do niego doskoczyć, jak mocny cios udało mu się wymierzyć pogrzebaczem w przedramię, jak głośny był chrzęst łamanych kości, jak wolno pistolet przeleciał przez pokój.

Hjelm rzucił się na pistolet. Mężczyzna, nie wydając żadnego dźwięku, rzucił się w jego kierunku. Był szybszy, silniejszy i młodszy, ale na jego niekorzyść działał element zaskoczenia i cios w przedramię. Hjelm wywijał jak oszalały pogrzebaczem i trafiał za każdym razem. Krew tryskała po pokoju. Mężczyzna nie wydał najmniejszego dźwięku. Obaj po omacku szukali pistoletu. Udało im się wepchnąć go pod łóżko. Cilla krzyczała na całe gardło. Mężczyzna się podniósł. Z otworów w kominiarce tryskała krew. Z prawego przedramienia sterczała kość, wystawała niemal prostopadle z drgającej ręki. Hjelm spróbował chwycić go za nogę. Zamaskowany mężczyzna przeskoczył nad pogrzebaczem jak płotkarz, przeleciał nad podłogą, lewą ręką chwycił leżący na ziemi telefon, uderzył nim Hjelma w głowę i wybiegł z pokoju. Hjelmowi kręciło się w głowie, ale udało mu się wyjąć spod łóżka pistolet i wybiec za zamaskowanym mężczyzną z bronią w każdej ręce, niczym szalony seryjny morderca. Gdy przebiegał przez salon, doszły go dźwięki z kuchni. Drzwi na taras się zatrzasnęły. Wciąż drżały, gdy do nich doskoczył. Na szybie zostały wyraźne ślady krwi. Hjelm zamknął drzwi przeszkłone pancerną szybą, rzucił okiem na kuchenkę, chwycił z blatu bezprzewodowy telefon i wybrał bezpośredni numer na najbliższy komisariat, do swojego dawnego miejsca pracy.

Z ociekającym krwią pogrzebaczem, telefonem i pistoletem w rękach wrócił do sypialni Cilli. Siedziała w łóżku blada i zakrywając usta rękami, wpatrywała się w plamy krwi rozbryzanej po całym pokoju.

– Zaraz będzie tu policja – powiedział Paul Hjelm stanowczo zbyt opanowanym głosem. – Coś ci się stało?

Cilla pokręciła przecząco głową. Nie wydobyła z siebie ani słowa. Paul czuł, jak krew spływa mu po twarzy. Nogi ugięły się pod nim, opadł na łóżko obok Cilli. Zrobiła mu miejsce.

– To był chyba twój telefon – powiedział.

Spojrzała szybko na nocny stolik.

– Mój telefon! – krzyknęła.

Przez chwilę milczeli. Zawiesiła wzrok na jego zakrwawionym czole, ale nie wyglądało, jakby chciała go dotknąć.

– Robiłaś jeszcze jakieś zdjęcia w banku? – zapytał po chwili.

– Tak – powiedziała. – Jeszcze jedno.

Zadzwonił telefon bezprzewodowy. Podniósł go z ziemi i odezwał się zmęczonym, zirytowanym głosem:

– Halo.

– Paul? – usłyszał znajomy głos w słuchawce. – Mówi Kerstin. Posłuchaj mnie uważnie. Wydaje mi się, że Cilli może grozić niebezpieczeństwo.

– Tak, wiem – powiedział Paul Hjelm.

– Wiesz? Nie rozumiem?

– Nie mam teraz siły opowiadać. Nic nam się nie stało. Prewencja jest już w drodze. Możesz przysłać tu trochę ludzi. Jest sporo krwi.

Rozłączył się. Spojrzał na Cillę. Popatrzyła na jego czoło.

– Resztki twojego telefonu – powiedział i spróbował jej dotknąć. Objął ją ramieniem. Jej ciało było napięte jak struna, mimo to oparła się o jego bark. Powoli, jakby powstrzymywana przez jakąś przemożną siłę, jej ręka powędrowała w kierunku jego czoła.

– Będzie trzeba zszyć – powiedziała.

– Niezły ten twój telefon. Co to było za zdjęcie?

– To było dosłownie chwilę przed tym, jak pojawiłeś się w banku – powiedziała Cilla. – Wysłałam je. Zaraz po tym, jak złapali napastników. Nie wiem dlaczego.

Paul próbował zebrać myśli, ale nie dało się tego zrozumieć. Jak to możliwe, że zdjęcie było tak ważne, że ktoś chciał pozbyć się Cilli? Jakkolwiek było, zdjęcie już przepadło. Wraz z

telefonem. W końcu zareagował.

– Jak to wysłałaś?

– Do ciebie – powiedziała. – MMS-em.

Patrzył na nią przez chwilę z niedowierzaniem. Potem wyszedł z sypialni.

Kurtka wisiała w szafie przy drzwiach wejściowych. W kieszeni znalazł telefon. Nieodebrane połączenie od Kerstin Holm, wiadomość od Cilli. Otworzył wiadomość i wyświetlił zdjęcie. Funkcjonariusz sił szybkiego reagowania stał między dwoma mężczyznami w kominiarkach. Miał podniesiony wizjer.

Hjelm roześmiał się i wrócił z telefonem do sypialni. Położył się obok Cilli. Sięgnęła po chusteczkę, którą przetarła mu czoło.

Spojrzał na pustą połowę łóżka. Zobaczył śpiącego głębokim snem komisarza kryminalnego Paula Hjelma. A po drugiej stronie łóżka leżała pogrążona w równie spokojnym śnie jego żona Cilla.

W równoległej rzeczywistości.

Dopiero wtedy się rozplakał.

ARTO SÖDERSTEDT NIE MÓGL SPĄĆ. Było to bardzo dziwne, bo zwykle spał jak zabity.

Zacząła się wojna, Zachód wdarł się do kraju na Wschodzie, który już wkrótce miał się stać ostatnią rezerwą światowych złóż ropy. Połowa Sztokholmu o mało co nie wyleciała w powietrze za sprawą dwóch Rosjan, których motywów działania wciąż pozostawały niejasne. I wszystko to w ciągu jednego dnia.

Wstyd się przyznać, ale to nie dlatego nie mógł spać.

Nie spał z powodu biurka.

A konkretnie niemieckiego barokowego biurka, wykonanego prawdopodobnie w roku 1764 w Lipsku w zakładzie uznanego stolarza Weissenberga.

Söderstedt odebrał je wieczorem z piwnicy na Åsögatan od skromnego kolegi Weissenberga po fachu. Za zaskakująco niską cenę stary stolarz w ciągu kilku dni naprawił wykrzywioną nogę, kilka brakujących uchwyty i gałek oraz parę wyraźnych zarysowań.

– To arcydzieło – z błyszczącymi oczami powiedział staruszek, kiedy Söderstedt dorzucił mu jeszcze dwa stukoronowe banknoty do marnych kilku stówek tytułem wynagrodzenia – nic więcej nie zdołał z siebie wydusić.

Niewątpliwie było to arcydzieło.

Zajął przestrzeń w rogu salonu, ustawione tam przez czterech tragarzy profesjonalnie zajmujących się przeprowadzkami, a specjalizujących się we wnoszeniu fortepianów do mieszkań na poddaszu. Zanim ustawili je na miejscu, jeden z nich zapytał całkiem serio:

– Jest pan pewien, że podłoga wytrzyma?

Söderstedt spojrział zaskoczony na solidne, naturalne deski podłogowe z przełomu wieków, tworzące posadzkę zbyt ciasnego, pięciopokojowego mieszkania na Bondegatan, które zajmował ze swoją wielką rodziną.

Podłoga poradziła sobie lepiej, niż on sam radził sobie z niezadowolonymi spojrzeniami małżonki Anji.

– To ono jest aż tak duże? – powiedziała tylko, ale liczył się sposób, w jaki to powiedziała. Z tonu głosu mogłoby równie dobrze wynikać, że jej mąż postanowił na stałe sprowadzić co najmniej dwie kochanki do ich wspólnej sypialni.

Natomiast spośród ich pięciorga dzieci żadne nie raczyło obdarzyć mebla choćby jednym spojrzeniem. W innym przypadku pewnie zrobiłby jakąś uwagę, komentując ich brak zainteresowania tym co dobre, lecz sytuacja była wyjątkowa. Nie mógł się doczekać, aż wreszcie pójdą spać.

Cała szóstką.

Ciągnęło się to w nieskończoność. Wreszcie zwyczajnie zabronił najstarszej córce Mikaeli – osiemnastoletniej i głęboko urażonej faktem, że tata nie może kupić jej mieszkania w pobliżu – obejrzeć powtórkę słynnego reality show *Extreme Makeover*, które w swoim radykalizmie przebijało prorocze wizje niektórych pisarzy. Spojrzała na niego ze złością i powiedziała:

– Jestem pełnoletnia.

– Ale nie dorzucasz się do czynszu – powiedział Arto Söderstedt.

Przyglądał się przez chwilę drgającym od impetu uderzenia drzwiom prowadzącym do jej dziewczęcego, od dłuższego czasu nieodpowiedniego dla niej pokoju, a potem pomyślał: że też wszystko musi mieć swoją cenę.

Wiedział jednak, że te wyrzuty sumienia nie były do końca szczerze.

Było już po pierwszej, gdy wreszcie udało mu się przeprowadzić dokładniejsze oględziny starego biurka.

Cóż za precudnej urody półeczki, szufladki, skrytki, blendy, intarsje i schowki. Wyrażona motywem labiryntu barokowa idea, że wszystko jest możliwe i jednocześnie nieosiągalne. Że myśl ludzka jest w stanie podać w wątpliwość wszystko, a na koniec samą siebie. Weissenberg miał ambicję, żeby zawrzeć cały świat w swoim biurku. Niezbędna do życia iluzja, że jesteśmy w stanie dotrzeć do nagiej, nieupiększonej prawdy,

niezatrutej ciągle żywym, średniowiecznym oddechem inkwizycji – i jednocześnie równie niezbędna do życia, realistyczna konstatacja bezsensowności ludzkich starań.

Wszystko w nim było.

Arto Söderstedt nie mógł się nadziwić wszystkim misternym mechanizmom i wyszukanej snycerce, dzięki którym szuflady otwierały się w najbardziej zaskakujący sposób. Kasetka kryła w sobie kasetkę, szkatułki składały się, szufladki wsuwały i wysuwały i wszystko nieoczekiwanie nabierało nowych kształtów. Całe biurko zdawało się zmieniać kształt, w miarę jak użytkownik odkrywał jego kolejne tajemnice. Było jak kameleon.

Był w ekstazie. Zabrał się do rysowania trójwymiarowego szkicu całej konstrukcji w nadziei, że uda mu się odkryć wszystkie sekrety mebla. Szukał całościowego obrazu czegoś, co za żadną cenę nie chciało być skończone i dookreślone.

Zewnętrzny zarys szybko się wypełnił, potem – w miarę jak mechanizmy stawały się coraz trudniejsze do zlokalizowania – coraz wolniej, aż na szkicu zostało zaledwie kilka białych plam. Tak powitał go świt.

Gdy wreszcie oderwał się na chwilę, żeby spojrzeć na swój szkic, było już całkiem jasno.

Jeśli się nie pomylił, na szkicu zostało jedno puste miejsce. W lewym górnym rogu, tuż pod arabeskową dekoracją górnej krawędzi, znajdowała się przestrzeń o kubaturze jakiegoś decymetra sześciennego, która go zastanowiła. Po dokładnym opukaniu stwierdził, że pod powierzchnią drewna nie ma masywnej konstrukcji, jest tylko pusta przestrzeń. Ale nie mógł do niej dotrzeć. Coś mu mówiło, że kryje się tam niespodzianka. Zaczął szukać po omacku mechanizmów, które pozwoliłyby mu dostać się do środka. Sprawdzał każdą możliwą kombinację, wciskając po kolei elementy intarsji, uchwyty i roślinne dekoracje. I nic.

Nie dało się. Zagadka nie miała rozwiązania. Możliwe, że nawet nie istniała. Może właśnie o to w tym chodziło. Miał poczuć, jak daremne są jego próby, i poznać smak barokowego rozczarowania.

Nie wszystko da się do końca zrozumieć.

Arto Söderstedt nie miał jednak w zwyczaju rozwiewać złudzeń.

Walczył dalej, nawet gdy po coraz jaśniejszym pokoju dziennym zaczęły już biegać jasnowłose dzieci, jak zbudzone z wiecznego snu duchy. Z kuchni żona rzucała mu gniewne spojrzenia. Kromka chleba zatkała się w tosterze, a płomień sięgnęły okapu. Rozdzierające serce wrzaski towarzyszyły krwawej bitwie o łazienkę. Jego potomstwo jazgotało jak piszczałki organów.

Jedynym, co ewentualnie mogło oderwać Arto Söderstedta od biurka, był jego budzik.

Poddał się dopiero, gdy ktoś zarzucił na niego koc, jakby chciał zagasić ogień. Wygrzebał się spod koca i powsuwał wyciągnięte szuflady biurka w kolejności, którą miał pamiętać do dnia swojej śmierci.

Z lewej strony w górnej części biurka dało się słyszeć dźwięk przeskakującej zapadki i z boku wyskoczyła mała szufladka. Powoli się podniósł i obejrzał ją z bliska. Zajrzał ostrożnie do środka.

Leżał w niej zwinięty w rulonik arkusz papieru. Był pożółkły i pognieciony. Nie miał odwagi go dotknąć, ale papier nie był aż tak delikatny, na jaki wyglądał. Wziął rulonik do ręki i poluzował ostrożnie czerwoną wstążkę, którą był związany. Kartka się rozwinęła. Najdelikatniej, jak tylko potrafił, Arto Söderstedt rozłożył ją na blacie biurka.

Pożółkły papier miał format zbliżony do A4. Pokrywały go liczne drobne kreski z atramentu. Gdziekolwiek kreski wydawały się układać w znaki, ale nigdy do końca. Przeciwnie – pomimo ewidentnej celowości, z jaką kreski zostały postawione – nie układały się w ani jeden rozpoznawalny znak. Było to bardzo dziwne – jakby odkrył całkiem nowy system znaków, nowy ludzki język, wyrażający myśli, jakich nikt do tej pory nie pomyślał.

Rozróżnił kilka kształtów, które przy odrobinie dobrej woli mogły coś przypominać. Jeden z kleksów atramentu układał się w kształt przywodzący na myśl nitkę spaghetti, a inny być może

diament.

I chociaż Arto Söderstedt od razu zrozumiał, że prawdopodobnie nigdy się nie dowie, jaką historię opowiadają, poczuł się wybrany.

Uniósł triumfalnie poźółkłą kartkę i rozejrzał się po mieszkaniu.

Ale nikogo nie zobaczył.

– GDZIE JEST ARTO? – zapytała Kerstin Holm i rozejrzała się po centrum dowodzenia.

– Trochę się spóźni – powiedział Viggo Norlander. – Przed chwilą dzwonił.

– Hm – powiedziała Holm i przez chwilę układała myśli w głowie.

Był piątek, 21 marca, a Kerstin wyjątkowo nie siedziała sama za katedrą. Obok niej siedział surowy, jasnowłosy, zadbany, wysoki rangą funkcjonariusz policji po czterdziestce. Nazywał się Niklas Grundström.

– Trudno, musimy zaczynać – powiedziała Kerstin Holm. – Śledztwo w sprawie wczorajszych wydarzeń w Andelsbanken przejmuje Drużyna A. Ponieważ jednak obejmuje ono również wewnętrzne sprawy policji, będziemy współpracować z Biurem Spraw Wewnętrznych.

Niklas Grundström, dyrektor Biura Spraw Wewnętrznych, skinął głową.

– Są dwa powody, dla których siedzę tu ja, a nie bliższy wam śledczy. Pierwszy powód jest dosyć konkretny: Paul Hjelm właśnie w tej chwili ma sztytą głowę. Drugi jest bardziej delikatny: jest osobiście uwikłany w sprawę. Dlatego na razie to ja będę się nią zajmować.

Grundström skinął w stronę Kerstin Holm, jakby chciał powiedzieć: *It's your show*. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle.

– Jeśli ktoś z was się nad tym zastanawia, wehikuł czasu już nie działa: gościnny występ Jana-Olova Hultina dobiegł końca – powiedziała. – Będziecie się musieli zadowolić mną. Już nie Hultin i Hjelm, tylko Grundström i Holm.

Powiodła wzrokiem po zobojętniałych minach zgromadzonych i pomyślała: cóż za doskonały kamuflaż.

– Być może powinniśmy byli przewidzieć napaść na Cille Hjelm dziś w nocy – dodała po chwili. – Oglądając kadr z

ukrytej kamery, wszyscy patrzyliśmy nie tam gdzie trzeba, co zresztą uświadomiłam sobie zbyt późno. To oznacza, że prowadzimy grę na całkiem wysokim poziomie. Rozmawiałam z Paulem, jest przekonany, że to była robota profesjonalisty.

– A mimo to – powiedział Jorge Chavez z lekkim niedowierzaniem – powstrzymał go, mocno pobił i uratował życie Cilli. Jesteście pewni, że to nie był Gunnar Nyberg?

– Nie spodziewali się go tam – powiedziała Sara Svenhagen.

– Jego samochód stał zaparkowany gdzieś dalej. Paul kompletnie ich zaskoczył. Z pogrzebaczem w ręku dał upust tłumionej przez cały dzień złości.

– Stylowo – powiedział Viggo Norlander.

– Na tym nie koniec – powiedziała Kerstin Holm. – Mamy tu do czynienia z robotą profesjonalną na kilku płaszczyznach. Falszywy policjant musiał zauważyć, że Cilla zrobiła mu zdjęcie, gdy miał podniesiony wizjer. Musiał o tym pamiętać, gdy wyprowadzał napastników za kordony policji i wiozł ich w nieznane miejsce. Potem udało mu się w jakiś sposób zidentyfikować Cillę. Pojechał do niej do domu, żeby ukraść komórkę i pozacierać ślady. Bardzo możliwe, że zamierzał wziąć ze sobą ciało. Zwyczajnie by zagięła.

– Jeśli zakładamy, że był jeden sprawca – powiedział Arto Söderstedt, otwierając z impetem drzwi.

– No proszę, kogo my tu mamy – skomentowała Kerstin Holm, a Söderstedt jak gdyby nigdy nic zajął swoje miejsce w centrum dowodzenia, nie przestając mówić.

– Nic chyba nie świadczy o tym, żeby falszywy policjant na Östermalmie i zawodowy morderca w Norsborgu byli tą samą osobą?

– Podśłuchiwałaś pod drzwiami?

– Czasem dobrze spojrzeć na coś z boku.

– To jest tylko przypuszczenie, ale wydaje się dosyć prawdopodobne – powiedziała Kerstin Holm. – Poza tym mamy nadzieję, że uda się skojarzyć próbki DNA z krwi w domu ze śladami zostawionymi w banku przez *tego tutaj* na zdjęciu.

Kliknęła myszką i na ścianie za jej plecami pojawiło się

zdjęcie przedstawiające twarz mężczyzny w policyjnym hełmie. Twarz była spięta, skoncentrowana – i dosyć przeciętna. Mimo to możliwa do zidentyfikowania.

– Myślałam, że nie mamy tego zdjęcia! – wykrzyknęła Lena Lindberg. – Że zginęło wraz z komórką.

– I tak, i nie – powiedziała Kerstin Holm. – Napastnik zabrał komórkę po tym, jak uderzył nią w głowę Paula. Wcześniej jednak Cilla zdążyła wysłać do Paula zdjęcie MMS-em.

– Stylowo – powiedział Viggo Norlander.

– Co oznacza, że w tej chwili mamy dwa wartościowe zdjęcia – powiedziała Holm i kliknęła raz jeszcze myszką.

Drugie zdjęcie wyświetliło się obok pierwszego. Kolejna męska twarz, dosyć szeroka, ostra, o rysach, które pewnie można byłoby określić jako słowiańskie albo które wydawały się słowiańskie dlatego, że już wiedzieli, że to Rosjanin. Trudno było to stwierdzić.

– Wyższy napastnik – powiedziała Kerstin Holm. – Niższy, z tego, co wiemy, ani razu nie zdjął kominiarki. Jakies uwagi?

Przez chwilę przyglądali się uważnie twarzom dwóch mężczyzn.

– Dobrze widzę, że ten jeden ma znamie na twarzy? – zapytała Lena Lindberg.

– Tak – powiedziała Kerstin Holm. – Bliższe analizy tego zdjęcia pokazały, że ma kształt Jutlandii.

– Jutlandii?

– Cytuję tylko Brynolfa Svenhagena.

Sara Svenhagen się roześmiała.

– Domyślam się, że pracował przez całą noc – westchnęła.

Kerstin Holm w odpowiedzi uniosła gruby plik kartek.

– Tak wyglądało całe moje dzieciństwo – powiedziała Sara, rozkładając ręce.

– Wygląda na Szweda? – zastanowił się Jon Anderson.

– A ty jak uważasz? – zapytała Holm.

– Że wygląda, jakby występował w Village People.

Spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Gejowski zespół z lat siedemdziesiątych, chyba z San Francisco – wyjaśnił Anderson. – Zebrali wszystkie stereotypy

dotyczące gejów i zrobili z tego show. YMCA, może słyszeliście.

– Amerykanin? – powiedziała Kerstin Holm. – Albo gej?

– Wygląda mi na geja.

Znów pytające spojrzenia.

Jon Anderson spojrział na nich ze śmiertelną powagą. Dopiero po chwili rozpromienił się, a jego ciało zatrzęsło się ze śmiechu.

Naprawdę się zmieniłeś, pomyślała Kerstin Holm.

– Nie – powiedział Anderson – w żadnym wypadku. Hełm leżał na nim prawie tak samo naturalnie jak na Viggo.

Norlander pokiwał głową; nie wydawał się urażony.

– Zgadza się – powiedział. – Wszyscy nasi, kiedy podnieśli wizjery, wyglądali jak dzieciaki. On nie.

– Jak dzieciaki?

– Trudno to wyjaśnić. Wyglądali naturalnie w hełmach. Ten tutaj już nie.

– Za bardzo nam się to rozmywa – zakończyła dyskusję Kerstin Holm, zmieniając wątek. – Cała grupa szybkiego reagowania oglądała rano to zdjęcie. Co mówili, Niklas?

– W zasadzie nic – powiedział Grundström. – Cała szóstka, łącznie z Norlanderem, patrzyła na niego w chwili, kiedy podniósł wizjer, ale żadne z nich nie widziało twarzy. To stało się bardzo szybko, a oni patrzyli głównie na napastników. Żaden z nich nie rozpoznał go na zdjęciu. Nie wydaje się, żeby to był policjant. W każdym razie nie szwedzki.

– Dlaczego podniósł wizjer? – zapytał Jorge Chavez. – Przecież to głupota.

– Najwyraźniej trudno przez niego cokolwiek zobaczyć – powiedział Grundström. – Możliwe, że inaczej nie trafiłyby do wyjścia.

Kerstin Holm skinęła głową i powiedziała:

– Jakies trzydzieści pięć lat, prawda?

– Trochę młodszy – powiedział Jon Anderson. – Może trzydzieści. Typ macho. Do twarzy mu w garniturze. Raczej nie Szwed.

– Dlaczego nie?

– YMCA – powiedział Anderson tajemniczo i wzruszył

ramionami.

– Do twarzy mu w garniturze? – odezwała się Sara Svenhagen po chwili.

– Takie rzeczy się widzi – powiedział Jon Anderson.

– Wystarczy – powiedziała Kerstin Holm. – Zdjęcie trafiło już w każdym razie do mediów. Wymazaliśmy kask i w jego miejsce wstawiliśmy włosy. Media, moi państwo, na razie nie wiedzą, co tak naprawdę się stało. Zgodnie z oficjalną wersją napastnicy zbiegli, zanim policja dotarła na miejsce. Prędzej czy później zaczną nas cisnąć, ale na dziś obowiązuje właśnie ta wersja. Bez żadnych szczegółów. Tak więc już wiece. Dotychczas byliśmy najlepsi w trzymaniu języka za zębami i nie chciałabym, żeby coś się w tej kwestii zmieniło.

– Jak więc podpisywane jest jego zdjęcie? – zapytał Arto Söderstedt.

– Jako jednego z napastników – powiedziała Kerstin Holm, a jej twarz wykrzywił grymas. – Oficjalnie na zdjęciach są nasi dwaj napastnicy.

– Czy to się nazywa białe kłamstwo? – zapytał Söderstedt.

Niklas Grundström odchrząknął i powiedział:

– Najważniejsze, żebyśmy mogli spokojnie pracować.

– Rozumiem – powiedział Söderstedt. – To był twój pomysł.

– No już dobrze – powiedziała Kerstin Holm, zamykając temat. – Teraz ten Rosjanin. Jakież komentarze?

Siedzieli w milczeniu, czekając, aż obraz na ścianie się wyostrzy. Patrzyli na twarz wyższego napastnika, który trzymał zakładników w szachu, chodząc na nieregularne spacerzy z karabinem maszynowym w rękę.

– Rosjanin, co tu dużo mówić – powiedział Jon Anderson. – W podobnym wieku co ten pierwszy.

– Dobrze mu w garniturze? – wtrąciła Sara Svenhagen.

– W żadnym wypadku – powiedział Anderson. – Raczej w kombinezonie.

– Ten sam grubo ciosany typ jak na całym Kremlu, od Chruszczowa po Jelcyna. Putin to co innego – powiedział Jorge Chavez.

– Całe szczęście nie ma z nami Gunnara – powiedziała Sara

Svenhagen. – Możemy bez przeszkód dać upust uprzedzeniom.

– Ruskie kotlety – powiedział Chavez tajemniczo. – Może zostawił po sobie jakieś ślady w banku. Co mówili na ten temat technicy?

Kerstin Holm przeniosła się myślami do poprzedniego wieczoru. Gdy Jan-Olov Hultin miał właśnie wychodzić, zatrzymali się jeszcze przez chwilę na klatce schodowej agencji nieruchomości.

– Będę lecieć, Kerstin. Było naprawdę ciekawie, ale wciąż nie rozumiem, do czego im byłem potrzebny.

– Dokładnie do tego, do czego im posłużyłeś – powiedziała Kerstin Holm.

– Mianowicie?

– Do szefowania bez brylowania. Już po wszystkim zrozumieli, ile znaczyłeś dla policji. Byłeś najlepszy, choć nie robiłeś wokół siebie zamieszania. Niestety wciąż zbyt wielu ludzi uważa, że nie sposób zaistnieć, nie wyróżniając się czymś innym niż tylko swoją pracą. Najlepszych olewa się szerokim strumieniem.

Sama nie wierzyła, że to wszystko powiedziała. Co za banał. I to w rozmowie z mistrzem samokontroli i powściągliwości.

Poza tym „szeroki strumień” to nie było sformułowanie, którego powinno się używać w obecności Jana-Olova Hultina.

Spojrzał na nią z ojcowską wyrozumiałością. Poczula się jak nastolatka, która wychodzi na pierwszą poważną imprezę i zostaje nakryta w drzwiach ze zbyt mocnym makijażem.

– Dziękuję – powiedział krótko Hultin i czy tylko jej się wydawało, czy zawarł w tym słowie dużo więcej niż zwykle? Po chwili dodał: – Ale ci nie zazdroszczę.

– Jak to? – zdziwiła się.

– Mam przeczucie, że to niezłe bagno – powiedział Jan-Olov Hultin i zniknął z jej życia.

– Ho, ho – powiedział Chavez, wbijając w nią wzrok. – Nie on jeden.

Dużym wysiłkiem woli Kerstin Holm odzyskała kontakt z rzeczywistością i chwilową nieobecność obróciła na swoją korzyść. Była nawet z siebie trochę dumna.

– Niezłe bagno – powiedziała. – Spróbujmy to jakoś ułożyć. Raport techników kryminalnych musi obejmować wszystkie etapy śledztwa. Proponuję więc, żebyśmy zaczęli od podziału obowiązków.

Podniosła wzrok. Nie mieli żadnych uwag. Mówiła dalej:

– BSW pracuje oczywiście dalej nad fałszywym policjantem. Skąd się wziął? Jak to możliwe, że znał procedury sił szybkiego reagowania? Jak mógł tak się z nami zgrać czasowo i skąd miał dostęp do sprzętu? I co najważniejsze: kto za tym stoi i dlaczego? Chciałabym, żeby Jorge i Jon skupili się przede wszystkim na pytaniu: gdzie, do cholery, podzieli się napastnicy? Potrzebujemy świadków samego porwania: ewentualnych współpracowników, samochodu, drogi ucieczki, wszystkiego, co się da.

Jorge Chavez sapnął.

– Nie wzdychaj – powiedziała Kerstin Holm.

– Nie wzdycham – powiedział Chavez. – Sapnąłem tylko.

– Arto i Viggo zajmą się tożsamością napastników. Macie zdjęcie, głos, wiecie, jak się zachowywali. Macie też sporo śladów z banku. Polecam zapoznać się z księgą Brynolfa Svenhagena. Nie mamy oczywiście żadnych odcisków palców, jest jednak wystarczająco dużo materiału organicznego, przykładowo w petach i na słuchawce, żeby dało się z tego opracować dwa zestawy próbek DNA. Rosja i DNA nie idą do końca w parze, ale trudno. W księdze Brynolfa znajdziecie też skomplikowany opis uszkodzenia systemu okablowania w banku. Tym samym dochodzimy do was, Saro i Leno. Po dłuższym zastanowieniu doszłam do wniosku, że nie powinniśmy się rozstawać z naszymi podejrzeniami, że to ktoś z zespołu banku. Z jakiegoś powodu ci panowie wybrali właśnie ten bank, coś sprawiło, że dobrali się do okablowania właśnie tego oddziału. Co dokładnie? Sprawdźcie Andelsbanken, a w szczególności jego oddział na Karlavägen.

– Pogadaj z Geirem – powiedział Chavez z powagą do swojej żony.

Sara Svenhagen skrzywiła się.

– System okablowania? – zdziwiła się Lena Lindberg. – Co to

jest?

– Chyba kable – powiedziała Kerstin Holm, otworzyła „księgę Brynolfa”, znalazła właściwy fragment i przeczytała na głos: „Możemy zatem założyć, że wewnętrzny system okablowania strukturalnego został w pewnym miejscu w jakiś sposób uszkodzony”. Radzę omówić to bezpośrednio z Brynolfem.

– Dzięki – powiedziała Sara, krzywiąc się niemal tak samo jak poprzednio.

– Skoro już jesteśmy przy temacie powiązań wewnętrznych – wtrącił życzliwie jej mąż.

– Czyli nawet nie „system okablowania”, ale wręcz „system okablowania strukturalnego” – jęknęła Lena Lindberg. – Dłaczego uważasz, że to właśnie ja powinnam się zająć „systemem okablowania strukturalnego”?

– Jesteś odpowiednią osobą do rozmowy z Geirem – powiedziała Kerstin Holm, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Jorge Chavez się roześmiał.

W tej samej chwili w drzwiach stanął mężczyzna z zabandażowaną głową.

– Wydaje mi się – powiedziała Kerstin Holm, zerkając pospiesznie na drzwi – że wszystko już wiadomo.

Chavez był jednak innego zdania.

– No proszę, a niedawno czytałem raport, z którego wynikało, że telefony komórkowe nie są szkodliwe dla zdrowia – powiedział.

W centrum dowodzenia rozległy się oklaski.

Paul Hjelm wyglądał na lekko speszonego.

– Mam nawet ślady od przycisków – powiedział, pokazując na bandaż.

– Pogrzebacz? – zdziwił się Arto Söderstedt.

Hjelm skrzywił się i usiadł na swoim dawnym miejscu.

– Był pod ręką – powiedział ściszym głosem.

– Stylowo – powiedział Viggo Norlander.

– Nie – powiedział głośniej Paul Hjelm. – Tak bym tego nie nazwał. Śniły mi się potem połamane kości.

– Chcesz powiedzieć, że zdażyłeś się przespać – powiedziała

Kerstin Holm.

– Nie – uciął Hjelm.

– Nie powiedziałaś najważniejszego – wtrącił Jorge Chavez.

– Człowiek ma na to całe życie – powiedział Hjelm gorzko. –

A i tak tego nie robi.

– Które to były przyciski? – zapytał Chavez.

Hjelm spojrział na niego, miał przekrwione oczy.

– Które to były przyciski? – powtórzył Chavez. – Po których przyciskach masz ślad?

– 7392 – powiedział Hjelm.

– Brzmi jak kod do klatki – powiedział Chavez.

– RDZA – powiedział Hjelm. – Albo ZDRADA, jeśli dwukrotnie wystukasz „A” i „D” – dodał po chwili.

TO BYŁA ZIMNA WOJNA. Kochali się, nie potrafili bez siebie żyć, samotność przestała im smakować. Ich związek opierał się na równowadze strachu. Każde z nich mogłoby z łatwością zniszczyć to drugie, ale wiedzieli, że przy okazji zniszcziliby samych siebie. Mimo to każde z nich chciało wygrać.

Wiedzieli również, że nigdy się do końca nie zrozumieją.

Miłość to wojna, pomyślał Gunnar Nyberg i spojrzął z czułością na drobną Rosjankę, która opierała się o reling, zapatrzona w krajobraz greckiego archipelagu.

Uczucia potrafią przybrać zaskakujące formy. Niby chcesz tego, co najlepsze, dla bliskiej ci osoby, a i tak większość czasu spędzasz, rozmyślając, co zrobić, żeby myślała tak jak ty.

Walka o władzę.

Ich związek był dojrzałą relacją dwóch dorosłych osób, a mimo to ich pierwszy prawdziwy kryzys był niedojrzały, nierozsądny i do bólu dziecinny.

I choć nie była to otwarta wojna, potrafiła być bardziej niebezpieczna i szalona niż wszystkie inne wojny w historii świata.

Czas oblędu.

I jednocześnie cudowny czas urodzaju. Gunnar Nyberg i Ludmila Lundkvist spędzili noc w niewielkim domu na wzgórzu niedaleko Pantoukios, w północno-wschodniej części Chios. Chwilę po tym, jak agent nieruchomości opuścił ich pole walki, poczuli nagły, niepohamowany przypływ żądzy i rzucili się na siebie. Opadli na owcze skóry leżące na starej drewnianej podłodze i przez ułamek sekundy Gunnar Nyberg zastanawiał się, czy nie zmiądzzył ukochanej ciężarem swojego ciała. Doszedł go jednak jej drżący, cudowny głos.

– Przejeżdż mnie, moja ty wielka lokomotywo.

Gdy jedli rano śniadanie na tarasie z widokiem na wybrzeże Turcji mającące po drugiej stronie roponośnej cieśniny, zebrał

się na odwagę, żeby powiedzieć:

– Może moglibyśmy się tu razem zestarzeć?

Spojrzała na niego z tajemniczym uśmiechem i powiedziała:

– Za godzinę mamy prom.

Płynęli nim teraz. Był to raczej mały statek wycieczkowy opływający grecki archipelag w drodze do Wenecji. Gdy wypływali z portu w Chios, Gunnar Nyberg spojrzał na turkusową wodę, próbując dojrzeć znajdujące się pod nią złoża ropy, jedne z niewielu na świecie, które pozostały wciąż niewykorzystane.

Niczego jednak nie zobaczył.

Statek pływał po Morzu Egejskim, mijając Lesbos i Cyklady, opływał Peloponez w pobliżu Kythiry, mijał Wyspy Jońskie i Korfu, a potem wzdłuż wybrzeża Albanii kierował się na obcas włoskiego buta, i dalej, po wodach Adriatyku, płynął aż do odległej Zatoki Weneckiej. Z Grecji do Rzymu, krótko mówiąc. Najwyraźniej przyszedł czas na nowy rozdział w historii ich związku. Na początku był chaos i pierwotna, dionizyjska euforia. Naturalny sensualizm poprzedzający wszystkie struktury. Potem nastąpiła cywilizacja. A teraz? Co czekało ich teraz? Czy ich związek miał się zinstytucjonalizować? Popaść w dekadencję? Stać się chrześcijański?

Nie miał zaufania do Włoch.

Gunnar Nyberg nie potrafił przestać myśleć o masakrze na Chios. O nedorzeczności wojny. Nie rozumiał, dlaczego tylu ludzi poczuło nienawiść i chwyciło za broń. Dlaczego tylu ludzi wolało rzucić się ze skały, niż spotkać się twarzą w twarz z wrogiem. Myślał o deszczu ludzkich ciał spadających w przepaść, które barwiły płynącą w dole rzekę na czerwono.

Przez lata byli singlami i nigdy tak naprawdę nie myśleli, że to się kiedyś zmieni. Teraz dopiero zrozumieli, jakimi byli egocentrykami.

Gunnar uśmiechnął się i przytulił Ludmilę. Odpowiedziała mu uśmiechem. Wdychali razem przesycone pinią powietrze, które docierało do nich znad pozieleniałych wybrzeży Itaki. Niewielka wyspa majaczyła w oddali jak jakaś zjawia z mitologicznych zaświatów. To tutaj wrócił Odyseusz po latach

tułaczki. Tu czekała na niego Penelopa, siedząc przy krosnach, a pod jej drzwiami tłumnie gromadzili się adoratorzy.

Znajdowali się w miejscu, w którym narodził się archetyp powrotu do domu. I chociaż Odyseusz wkrótce potem wymordował wszystkich adoratorów swojej żony, nie było powodu, żeby myśleć o wojnie.

Gunnar Nyberg wciąż nie wiedział, że zaledwie kilkadziesiąt kilometrów na wschód rozpoczęła się właśnie kolejna wojna.

BEZ WĄTPIENIA DNA I ROSJA nie wróżyły nic dobrego. W pokoju 302 Arto Söderstedt wertował tak zwaną księgę głównego technika kryminalistycznego Brynolfa Svenhagena, a Viggo Norlander stukał palcami w blat ich wspólnego biurka. Powstawało przy tym regularne, natrętne, pięciomiarowe metrum, które Arto Söderstedt próbował za wszelką cenę wpleść w krążące po jego głowie myśli na temat tajemniczej poźółkłej kartki schowanej w szufladce biurka.

– No dalej – powiedział Norlander.

– Nie – powiedział Söderstedt. – Jeszcze nie.

– Mamy jeszcze godzinę – powiedział Norlander. – Zdążymy coś zjeść po drodze.

– Jest dziesiąta – powiedział Söderstedt, nie odrywając wzroku od tekstu. – Co ty chcesz jeść o dziesiątej?

– Semlę – powiedział Norlander. – W Madde. Całe wieki tego nie robiliśmy. Przecież widzę, że czytasz trzeci raz to samo. Nie udawaj, Arto. Myślisz o czymś innym.

Söderstedt spojrział na niego, zdjął okulary i odłożył je na biurko. Nie chcąc po sobie pokazać, że został przyłapany, uderzył w oficjalny, nieco sztywny ton.

– Jeśli chcemy mieć jakieś szanse w starciu ze szpiegowskim kartelem z rosyjskiej ambasady, przynajmniej jeden z nas powinien być przygotowany – odparł. – Oficjalnie Rosja nie ma banku DNA, a żeby dotrzeć do nieoficjalnych danych, musimy mieć opracowaną strategię.

– A cała reszta? – zapytał Viggo Norlander. – Co z bronią?

– Mamy spis broni, która została w banku. O tym też musimy porozmawiać z ambasadą. Wygląda na to, że pochodziła wyłącznie z Rosji i była dosyć stara. To może być jakiś punkt zaczepienia, choć jak wiadomo, stara rosyjska broń to żadna nowość na rynku.

– Mafia?

– Albo jakiś magazyn KGB – powiedział Söderstedt.

Viggo Norlander machnął zniecierpliwiony ręką i powiedział:
– Nie możemy o tym pogadać w Madde? Nie podoba mi się, że nie znaleźli żadnych odcisków palców. To wszystko jest zbyt profesjonalne.

– Naprawdę uważasz, że powinniśmy rozmawiać o napadzie w Café Madeleine na Jakobsbergsgatan? W towarzystwie wagarujących licealistów i emerytek z pieskami na kolanach? Semla przysłoniła ci mózg?

– Nie chce mi się tu dłużej siedzieć – jęknął Norlander. – Naprawdę nie było odcisków na tych petach?

Söderstedt podniósł księgę Brynolfa i pokazał wymownie na jedną ze stron.

– Nie było. Ten wyższy palił w rękawiczkach. Ale...

– A te kartonowe laski dynamitu? Na nich też nic?

– Brynolf jeszcze z nimi nie skończył – odpowiedział Söderstedt zamyślony. – Coś mi właśnie przyszło do głowy – dodał po chwili.

– Co?

Söderstedt zaczął pospiesznie wertować kartki książki Brynolfa. Wreszcie znalazł.

– Spójrz na te zdjęcia – powiedział. – Dwa z nich pokazują wnętrze banku. Na jednym widać podstarzałego funkcjonariusza sił szybkiego reagowania.

– Podstarzałego, ale nie dziadka – powiedział Norlander i spojrzał na zdjęcie.

Söderstedt mówił dalej:

– Tutaj jest zdjęcie, które Cilla Hjelm zrobiła funkcjonariuszowi, kiedy miał podniesiony wizjer, a tutaj jest to samo zdarzenie widziane z naszej ukrytej kamery. To samo zdarzenie z dwóch perspektyw. Spójrz na napastników. I na dłoń tego większego.

Norlander pokiwał szybko głową.

– Znów ma na głowie kominiarkę – zauważył. – To znaczy, że ten przebieraniec naciągnął mu na głowę kominiarkę, gdy znaleźli się poza zasięgiem kamery. Tyle że zapomniał mu zgasić papierosa.

– Ma go dalej w dłoni – powiedział Söderstedt. – W tej nad

głową.

– Czy technicy znaleźli jakieś pety gdzieś indziej niż pod kratką wentylacyjną?

– Nie – powiedział Söderstedt. – Znaleźli tylko pięć petów rosyjskiej marki Sobranie pod kratką wentylacyjną. To znaczy, że wyszedł z nim na Karlavägen.

– Nie sądzę, żeby na ulicy leżało aż tak wiele niedopałków Sobranie – powiedział Norlander, wstając zza biurka.

– Dzięki temu moglibyśmy poznać ich drogę ucieczki – powiedział Söderstedt i zrobił to samo.

– Myślałem, że to działka Jorge i Jona – zastanowił się Norlander, wkładając kurtkę.

– Wydaje mi się – powiedział Söderstedt, robiąc to samo – że ten podział obowiązków był tylko po to, żeby uspokoić Grundströma.

– A więc nici z Madde? – westchnął Norlander i otworzył drzwi.

*

Jorge Chavez przyglądał się swojemu nowemu partnerowi i myślał: fakt, gnojek jest szybki.

– Skończyłeś? – zapytał.

Jon Anderson skinął głową, prostując długie nogi pod ich wspólnym biurkiem w pokoju 303.

– Aspiranci zaczęli już obchód. Tutaj jest harmonogram z listą adresów i przybliżonymi godzinami. Jeśli ktoś w promieniu najbliższych dwustu metrów cokolwiek zauważył, wyciągną to z niego. A tutaj jest sterta z najnowszymi zgłoszeniami i tym podobnymi.

Chavez spojrział we wskazanym kierunku i przez chwilę zastanawiał się, co jemu samemu udało się w tym czasie osiągnąć. Musiał przyznać, że niewiele. Większość czasu spędził, próbując *wczuć się* w przebieg wydarzeń.

Co tak naprawdę się wydarzyło? Istniały dwa odrębne scenariusze, a on starał się wyczuć, który z nich był bardziej prawdopodobny. Nagle dotarło do niego, jak przed laty musiał się czuć Paul Hjelm, gdy dorzucono mu młodego,

przebojowego kolegę z przerostem ambicji: Jorge Chaveza.

Ile lat mu to dodało.

Prawo pokoleń, pomyślał Chavez, zmęczony życiem policjant przed czterdziestką.

Co zresztą nie odbiegało od prawdy.

Dwa scenariusze, powtórzył powoli w myślach, żeby nie dać się wytrącić z równowagi wertującemu głośno kartki Andersonowi.

Czy byłem taki jak on? Tak samo pedantyczny i poukładany? Czy nie robiłem tego z większą fantazją? Czy byłem tak samo energiczny i wydajny? Tak samo nudny i przewidywalny? Czy w moim zachowaniu nie było większej swobody i kreatywności?

Wolność i kreatywność to dosyć mgliste pojęcia używane przez starsze pokolenie w konfrontacji z młodszym, energiczniejszym i skuteczniejszym od niego.

Odgłos wertowanych dokumentów z pewnością mu nie pomagał. Kto tak szybko czyta?

Dwa scenariusze, powiedział w myślach Chavez, a potem nagle, z jakiegoś powodu, pomyślał o piłce nożnej. Po tym jak poprzedniego lata odłożył na półkę gitarę basową, zaczął grać w piłkę z dawnymi kumplami z Rågsved. Choć wszyscy dobiegali czterdziestki, brali udział w zawodach studenckich i zwykle je wygrywali. Głównie dzięki temu, że pomimo zamieszania potrafili zachować spokój i myśleć o tym, gdzie jest piłka. Byli zawsze o krok do przodu, choć nie było tego po nich widać.

Wracając do tematu: dwa scenariusze. Zgodnie z pierwszym napastnicy mieli do wykonania jakieś zadanie w banku, cała reszta była zwykłą zasłoną dymną. Zrobili, co mieli do zrobienia, a potem już tylko czekali, aż zostaną uwolnieni. Policja przeprowadziła szturm, pojawił się fałszywy policjant. To stąd ich pasywna, wyczekująca postawa w banku. I stąd ich ironiczne uwagi, że to władze mają opracować cały plan. Jeśli tak, to zostali już wywiezieni z kraju i wylegują się teraz na plaży nad Morzem Czarnym. W całej sprawie chodziło o to tajemnicze zadanie i teraz pozostawało już tylko sprawdzić, na czym polegało owo „uszkodzenie okablowania”, którym

zajmowała się jego cudowna żona Sara Svenhagen razem z coraz bardziej irytującą koleżanką Leną Lindberg. Musiało chodzić o wykorzystanie jakiejś luki w systemie bezpieczeństwa i teraz w Andelsbanken brakowało mnóstwa pieniędzy.

Bank niczego takiego jednak nie zgłosił.

Powinien porozmawiać z Sarą.

Choć znając ją, pewnie i tak już o wszystkim wiedziała.

Nawet tutaj nie miał do spełnienia żadnej roli.

Scenariusz numer dwa. Napastnicy nie zostali uwolnieni, tylko porwani sprzed nosa policji z całkiem innego powodu. Być może w ramach kary za to, że weszli na teren innej organizacji – możliwe, że chodziło tu o dwa odłamy rosyjskiej mafii – albo dlatego, że mieli dostęp do jakichś informacji. W pierwszym przypadku już nie żyją, a ich starannie wypreparowane części ciała zostały wysłane pod właściwy adres. W drugim – właśnie w tej chwili są torturowani. O jakie informacje mogło chodzić? Również w tym przypadku pojawiała się to przekłete „uszkodzenie okablowania”. A skoro tak, mogło chodzić o sam Andelsbanken. Cholera jasna, przecież dyrektor generalny Haavard Naess i szef ochrony Ponury Geir przez cały czas siedzieli z nimi, a wszystkie ważne informacje mieli podane na tacy. Zauważyli, że w systemie doszło do przecieku i za machnięciem elektronicznej różdżki z ich kont zniknęła cała masa pieniędzy. Postanowili, że sami uprowadzą napastników, wydobędą z nich wszystkie dane dotyczące uszkodzenia systemu i odzyskają pieniądze, jeszcze zanim sprawa wyjdzie na jaw. Siedzieli tu z nami, a jednocześnie wszystkim kierowali. Co jakiś czas Geir wychodził z pokoju i przez komórkę wydawał niezrozumiałe komendy swoim ochroniarzom.

Nie, nawet zasilany wpływami z platform wiertniczych norweski bank internetowy nie mógł mieć środków umożliwiających jego ochroniarzom podszycie się pod szwedzkiego funkcjonariusza sił szybkiego reagowania.

Czy gdzieś tutaj nie pojawił się przypadkiem zarys *trzeciego* scenariusza? Chavez szukał po omacku, ale jego ręce na nic nie trafiały, jakby wszystko przeciekało mu przez palce.

– Co o tym myślisz? – zapytał Jon Anderson, podając mu kartkę.

Pieprzony biurokrata, pomyślał Jorge Chavez zniechęcony i wziął do ręki kartkę. Przebiegł po niej wzrokiem. Zgłoszenie przyszło wcześniej rano i dotyczyło czarnego vana pędzącego Sibyllegatan przy Östermalmstorg. Więcej informacji nie mieli. Wzruszył ramionami.

– Daj to ludziom do sprawdzenia.

Jon Anderson pokiwał głową i zanotował coś na drugiej sterce papieru. Potem podał mu kolejną kartkę.

– A to co? – burknął, wrywając mu ją z ręki.

– To chyba bardziej jako ciekawostka – odparł Anderson. – Starsza para z Grevgatan, która po powrocie do mieszkania zastała, cytując: „zdemolowaną łazienkę”.

Chavez zawiesił przez chwilę wzrok na zgłoszeniu i poczuł, jak unosi jedną brew, niczym Sherlock Holmes.

Poczuł się idiotycznie.

– Twierdzą, że łazienka została zdemolowana podczas ewakuacji? – zapytał, choć nie zabrzmiało to do końca jak pytanie.

– Na to wygląda – powiedział Jon Anderson.

– Na Grevgatan sześćdziesiąt jeden? W budynku, przed którego wejściem stała policja?

– Właśnie dlatego przełożyłem to do tej kupki – powiedział Anderson z dumą w głosie.

Z jakiegoś powodu Jorge Chavez pomyślał o linijce.

Do niedawna jego partnerem był Gunnar Nyberg, przed laty obwołany przez gazetę policyjną „największym szwedzkim policjantem”. Dziwna była z nich para. Duży i mały policjant. Pod nieobecność Gunnara jego partnerem został tyczkowaty Jon Anderson. Duży i mały policjant.

Ci na górze mają chyba drętwe poczucie humoru.

Linijka ma zwykle trzydzieści centymetrów, pomyślał. Podniósł się, a Jon Anderson stanął za nim jak cień rzucony przez nisko zawieszony na niebie słońce i Jorge Chavez pomyślał, że różnią się wzrostem właśnie o długość linijki.

– Jedziemy.

– Nie wiem, co z tobą zrobić – westchnął Niklas Grundström. Siedzieli w obszernym gabinecie Paula Hjelma na drugim końcu budynku policji. Gdyby spojrzeli przez okno na szary dziedziniec, zobaczyliby rząd okien znacznie skromniejszych pomieszczeń należących do Drużyny A. Nie wyglądali jednak przez okno. Mieli na głowie wystarczająco dużo spraw wewnętrznych BSW.

– Ja też nie – powiedział Hjelm. – W sumie to nigdy nie wiedziałem.

Grundström poprawił się na biurku swojego podwładnego, moszcząc się na stosie leżących na nim kartek.

– To był naprawdę bohaterski wyczyn – powiedział. – Po pierwsze chciałem ci pogratulować. Uratowałeś życie swojej żonie, pozbyłeś się sprawcy, zabezpieczyłeś ślady. Jestem z ciebie dumny.

– Byłej żonie – powiedział Hjelm, próbując poprawić bandaż, który bez przerwy spadał mu na oczy. Cilla założyłaby go dużo lepiej.

– Jednak twoje osobiste uwikłanie w sprawę może stanowić problem – powiedział Grundström ze spokojem. – Najlepiej byłoby w ogóle cię od niej odłączyć.

– Po moim trupie – powiedział Hjelm.

– Przekonaj mnie – powiedział Grundström.

Paul Hjelm przymknął oczy, próbując zapomnieć o ćmiącym bólu głowy i powracającym wciąż widoku połamanych kości.

– Wewnętrzne sprawy policji nie mają nic wspólnego z tym, że Cilla była wśród zakładników – zaczął powoli. – Nas interesuje głównie to, jak doszło do infiltracji sił szybkiego reagowania i kto za tym stoi. To jest zupełnie osobny temat.

Grundström pokiwał głową i zagłębił się o kolejnych kilka centymetrów w stertach papieru.

– To samo sobie pomyślałem – powiedział. – Nie prezentujesz się najlepiej. Na ilu szwach się skończyło?

– Ośmiu – westchnął Hjelm.

– Od uderzenia komórką?

– To było wyjątkowo profesjonalne uderzenie.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać – powiedział Grundström. – Oglądałeś zdjęcia z banku, na których jest ten fałszywy policjant. To według ciebie ta sama osoba?

Hjelm pokręcił powoli głową.

– Intuicja podpowiada mi, że policjant w banku był o dziesięć centymetrów wyższy i co najmniej dziesięć kilo lżejszy. To *nie była* ta sama osoba.

– Motyw wydaje się jasny – powiedział Grundström. – To jest jakaś organizacja. Kilka osób, którymi kieruje ten sam motyw, automatycznie tworzy organizację.

– Tak jak mówiłem, to tylko intuicja.

– I tego się trzymajmy. To musi być jakaś organizacja, bo nie tylko mają pełną wiedzę na temat wyposażenia sił szybkiego reagowania, ale też w krótkim czasie potrafią zdobyć broń i mundur. Umieją też zsynchronizować się na tyle dobrze, żeby jeden z nich mógł dołączyć do grupy szturmowej na oczach patrolujących ulicę policjantów, a w samym banku przejąć dowodzenie, nie wzbudzając podejrzeń. To są świetnie wyszkoleni, inteligentni ludzie. Coś ci to przypomina?

– Czy siły szybkiego reagowania mają komplet wyposażenia? – zapytał Paul Hjelm.

– Podobno to sprawdzają – skrzywił się Grundström. – Niedługo mają nam dać odpowiedź. Coś ci przyszło do głowy?

– Pierwsze, co przychodzi do głowy, to policja – powiedział Paul Hjelm. – Przede wszystkim siły szybkiego reagowania. Twoim zdaniem tych pięciu koleśków mówi prawdę, że nie rozpoznają twarzy?

– Wiem, że najbardziej logiczne byłoby, gdyby ten dodatkowy policjant okazał się funkcjonariuszem sił szybkiego reagowania oddelegowanym do zadania specjalnego, ale oni nie kłamali. Nie znają go, jestem tego pewien. To nie był któryś z ich kolegów.

– Czy on coś powiedział w którymś momencie w banku? Czy ktoś słyszał jego głos?

Niklas Grundström pokiwał głową.

– Rozumiem, do czego zmierzasz – powiedział. – Pytasz, czy

to był Szwed?

– Jeśli to był Szwed i w dodatku profesjonalista, to zostają nam dwa miejsca: wojsko i służby bezpieczeństwa.

– Nikt nie słyszał jego głosu. Może nie być Szwedem. A jeśli chodzi o świat przestępczy, to mamy chociażby mafię szkoloną przez KGB. Wątek rosyjski wydaje się logiczny. Tylko skąd mieliby wziąć mundur i całą resztę?

– W takim razie powinniśmy sprawdzić służby bezpieczeństwa. Uruchomić kanały dyplomatyczne z Ministerstwem Sprawiedliwości i kierownictwem policji.

– Chcesz powiedzieć rosyjskim? Nasze stosunki z ich wywiadem nie są chyba aż tak dobre?

– Bynajmniej – powiedział Paul Hjelm i postanowił dać za wygraną. Zabrał się do odwijania bandaża z nadzieją, że czaszka nie otworzy mu się jak Zeusowi podczas narodzin Ateny.

– Okej – powiedział Grundström, nawet nie patrząc na zmagającego się z opatrunkiem Hjelma. – Co w takim razie według ciebie? UE? NATO?

– Raczej USA – powiedział Hjelm. – Tak nas uczy historia.

– Ale nie byłoby logiczne, prawda? Dlaczego dwóch rosyjskich napastników w oddziale banku na Östermalmie miałyby korzystać z pomocy instytucji tak dziś zapracowanej jak CIA?

– Przypomnij sobie rozmowę tego niższego z Hultinem. To nie był głos zwykłego kryminalisty. To był wykształcony Rosjanin przywykły do mówienia po angielsku, którego co więcej coś łączyło ze Szwecją. Mówił o Strindbergu i systemie esplanad, a jego wymowa nazwiska Hultin była idealna. Co przeoczyliśmy?

– Chcesz powiedzieć: rosyjska służba bezpieczeństwa? – powiedział Grundström. – Że co? Dawny kagebista działający na terenie Szwecji w czasie zimnej wojny? Uprawdzone przez agenta CIA w mundurze funkcjonariusza szwedzkich sił szybkiego reagowania? Nie dajemy się zbyt łatwo ponieść fantazji?

– Zwykły *brainstorming* – powiedział Hjelm i przesunął

palcami po okładzie. Poczul, że jest wilgotny. Zupełnie jakby w jego mózgu szalała prawdziwa burza. Orkan.

– Okej – zgodził się Grundström. – Może lepiej wrócimy do wątków szwedzkich? Służba bezpieczeństwa?

– Właśnie, gdzie w tym czasie było Säpo? – zapytał Hjelm. – Zjawili się po kilku godzinach z supernowoczesną kamerą na podczerwień, dzięki której mogliśmy między innymi zobaczyć, jak Jorge czołga się w kanale wentylacyjnym. Dlaczego potrzebowali aż tyle czasu? I co się z nimi potem stało?

– Musimy to sprawdzić. Porozmawiam z ich szefem. A wojskowe służby wywiadowcze?

– Od tego bym zaczął – powiedział Hjelm. – Jeśli z jakiegoś powodu miałyby chodzić o KGB i CIA, choć przyznam, że to dosyć dziwna myśl, to szwedzka służba wywiadu wojskowego właśnie sprawdza nasze dwa zdjęcia. Wiedzą, że nakłamałszy w mediach. Czynny agent CIA i były agent KGB robią razem nieudany napad na terenie Szwecji. Zastanawiają się teraz po pierwsze: dlaczego skłamałszy, po drugie: czy powstały nowe komórki wywiadowcze, po trzecie: o co w tym wszystkim chodzi.

– Pewnie i my powinniśmy sobie zadać to pytanie – powiedział Grundström. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Właśnie o to pytałem – powiedział Hjelm. – Co przeoczyliśmy?

– Skąd ten człowiek mógł wiedzieć, że planujemy szturm i kiedy to zrobimy? Czy naprawdę doszło do wycieku z samego sztabu?

– Uff – westchnął Hjelm. – Jeśli tak, to rzeczywiście sprawa dla BSW.

– W sztabie nie siedzieli sami policjanci – powiedział Niklas Grundström i wstał, zostawiając za sobą stertę pogniecionych kartek na biurku Hjelm. – Możliwe – dodał – że mam pewne dojście do służb wywiadu wojskowego. Spróbuję je wykorzystać.

– Teraz? – powiedział Hjelm, nie ruszając się z miejsca.

– W samochodzie – powiedział Grundström.

– W samochodzie? – powtórzył Hjelm, jakby nagle zamienił

się w swoją dawną papugę.

– W drodze na Östermalm. Po drodze sprawdzimy to miejsce.

– Miejsce? – zdziwił się Hjelm.

– Skończ już z tym – uciął Grundström. – Musimy sprawdzić, w którym miejscu stał ten człowiek. SWW znajduje się zaledwie kilkaset metrów stamtąd. A tak w ogóle...

– A tak w ogóle? – powtórzył bezmyślnie Hjelm i wstał.

– A tak w ogóle to masz krew na twarzy.

*

– Okablowanie... – zastanowiła się Lena Lindberg. – Kojarzy mi się z rybami.

– Pewnie z kulbinowatymi – powiedziała Sara Svenhagen.

– Nie, raczej z tym sztokfiszem z Oceanu Arktycznego, którego suszy się na linach.

– W każdym razie w Oceanie Arktycznym znajdują się norweskie złoża ropy – powiedziała Svenhagen. – A Andelsbanken to wytwór norweskiego przemysłu naftowego, rodzaj spółki córki jednej z wielkich spółek naftowych. Pieniądze na okablowanie na Karlavägen pochodzą z Oceanu Arktycznego. W pewnym sensie masz więc rację.

– Świetnie – zachnęła się Lena Lindberg.

Siedziały naprzeciwko siebie w pokoju 304 i coraz trudniej było im się ze sobą porozumieć. Kiedy przed dziewięcioma miesiącami Lena Lindberg dołączyła do Drużyny A, wydawało się, że szybko się zintegruje. Wkrótce jednak zaczęły się problemy. Padła ofiarą zdrady, choć myślała, że jej uniknie, jeśli nie będzie się z nikim wiązać na stałe. Zaskoczyło ją to. Co gorsza w śmiertelnym niebezpieczeństwie znalazła się córeczka Sary. Lena Lindberg była wściekła.

Sara Svenhagen się martwiła. Złość w kobiecym wydaniu była zwykle skierowana do wewnątrz, autodestrukcyjna. Lena Lindberg nie była jednak zwykłą kobietą – jeśli takie w ogóle istnieją – i kierowała swoją agresję na zewnątrz. Już teraz miała na sumieniu ciężkie pobicie i kilka mniej poważnych, niezgłoszonych. Nie wróżyło to dobrze. Do tej pory Sarze

udawało się łagodzić agresję Leny, ale jej cierpliwość, wystawiana codziennie na próbę przez roczne dziecko, była na wyczerpaniu.

Prędzej czy później ten układ eksploduje.

– Tak – powiedziała Sara Svenhagen. – Naprawdę świetnie. Andelsbanken to połączenie naftowych miliardów i internetu. Warto o tym pamiętać. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy ceny ropy poszybowały w górę, koncerny naftowe miały niebotyczne zyski. Nie wiedzieli, co zrobić z kasą. Ktoś w zarządzie wpadł na pomysł, że trzeba założyć własny bank, luźno powiązany ze spółką matką. Potem, że powinien to być bank internetowy kierowany przez finansistę, który najlepiej się orientuje w technologii informacyjnej. Tak zwana rekrutacja wewnętrzna. To był Haavard Naess, odpowiedzialny w koncernie naftowym za sprawy IT. Naess skontaktował się ze starym kumpel z wojska, wtedy już zawodowym oficerem, i zatrudnił go na stanowisku szefa ochrony. Kumpel nazywał się Geir Holt. Razem ze sztabem informatyków Haavard i Geir stworzyli pierwszy lokalny bank internetowy z prawdziwego zdarzenia, który – ciesząc się opinią prawdopodobnie najbezpieczniejszego internetowego banku na świecie – w szybkim tempie rozszerzył swoją działalność na inne państwa skandynawskie, a potem na resztę Europy. Po kilku latach doszli do wniosku, że czas już wyjść z cyberprzestrzeni i zadbać o bardziej bezpośredni kontakt z klientami. Pierwsze oddziały pojawiły się w Oslo i Bergen, wkrótce kolejny w Kopenhadze i jeden w Sztokholmie. Teraz działają jeszcze w kilku miejscach na terenie Europy, a we Frankfurcie nad Menem – gospodarczym centrum Europy – powstaje nowa siedziba główna. To niewielki bank, który już wkrótce może urosnąć do naprawdę pokaźnych rozmiarów. Jednak jego podstawowa działalność wciąż bazuje na usługach świadczonych drogą elektroniczną w oparciu o miliardy zarobione na ropie i o najskuteczniejszy system zabezpieczeń transakcji internetowych.

Lena Lindberg przyglądała się Sarze Svenhagen z rosnącym zainteresowaniem.

– Aha – powiedziała.

– Aha? – powtórzyła Sara.

Powiedziały to w zupełnie inny sposób.

– Ropa i internet – powiedziała Lindberg. – To, co najlepsze ze starego i nowego świata. To znaczy z czysto ekonomicznego punktu widzenia.

– Do tego – powiedziała Svenhagen, wyraźnie zadowolona, że udało jej się choć na chwilę skupić uwagę koleżanki – najbezpieczniejszy bank internetowy. Użyte przez mojego ojca zabawne sformułowanie „uszkodzenie okablowania” może równie dobrze oznaczać atak na najmocniejszą na świecie zapórę sieciową. Jeśli się powiódł, Haavard i Geir nie pozwolą, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Podejrzewam nawet, że zrobiliby wszystko, żeby temu zapobiec.

– Zaczekaj – wtrąciła Lena Lindberg. – Co sugerujesz? Że zaatakowali w realnym świecie, żeby ukryć atak w świecie wirtualnym?

– I przejęli napastników – powiedziała Sara Svenhagen.

– W przebraniu policjanta.

– Coś tu się jednak nie zgadza, prawda?

– Dlaczego ktoś chciałby ukryć wirtualny atak za *nieudanym* napadem?

– Właśnie – zgodziła się Sara Svenhagen. – Bardzo możliwe, że napastnicy potrzebowali dojścia do „okablowania” w jednym z oddziałów banku, bo odkryli, że to jest słaby punkt systemu zabezpieczeń. Musieli się dostać do fizycznie istniejącego oddziału banku i pomajstrować coś przy okablowaniu. Co wciąż nie tłumaczy, dlaczego zostali aż tak długo i ryzykowali szturm. Całe to wzięcie zakładników wygląda na jedną wielką farsę. Wiedzieli, że policja wytoczy ciężkie działa. Musieli wiedzieć, że się stamtąd nie wydostaną.

– Być może wiedzieli, że będą potrzebować sporo czasu na znalezienie właściwego kabla, i dlatego wymyślili ten manewr osłaniający. Być może potrzebowali godziny w banku i to był jedyny sposób. W takim razie uwolnił ich jakiś kolega.

Sara Svenhagen przyglądała się nagle odmienionej koleżance.

– Jest jeszcze jedna możliwość. Tych dwóch napastników to

kozły ofiarne, mięso armatnie. Zostali ofiarowani albo dali się ofiarować, żeby można było przeprowadzić operację finansową. Czyli wracamy do wersji, że fałszywy policjant to jeden z ludzi Geira. I że Andelsbanken przetrzymuje u siebie napastników, próbując nakłonić ich do mówienia.

– Powinniśmy porozmawiać z Geirem – stwierdziła Lena Lindberg. – Domyślałam się, że tak będzie. Myślisz, że są nadal w Sztokholmie? Dlaczego w ogóle byli na miejscu?

– Nie byli. Przylecieli tu prosto z Oslo.

– Są tu jeszcze?

– Witaj z powrotem na pokładzie – powiedziała Sara Svenhagen.

– Nie rozumiem?

– Za godzinę mamy z nimi spotkanie w banku. Przedtem jednak mamy inne spotkanie.

– Z kim?

– Kto mógł widzieć „uszkodzenie okablowania” na własne oczy?

– O cholera – powiedziała Lena Lindberg, a jej oczy zaokrągliły się ze zdziwienia. – Myślisz, że da radę?

– Chyba tak – powiedziała Sara Svenhagen i nacisnęła przycisk na telefonie wewnętrznym.

Do pokoju weszła Cilla Hjelm. Nie zmieniła się, wyglądała tak, jak ją zapamiętała ze wcześniejszych spotkań małżeństw Hjelm i Chavez-Svenhagen na przyjęciach, kolacjach, kawie i w knajpach, kiedy jeszcze nic nie zapowiadało rozvodu. I również potem, gdy Cilla i Sara spotykały się, próbując razem zrozumieć, co się właściwie stało. I choć im się nie udało, przyjaźń przetrwała.

Przytulili się. Lena Lindberg przyglądała im się z uwagą, czuła pustkę w środku.

Cilla spojrzała na Sarę i pomyślała: co takiego sprawia, że mamy do kogoś zaufanie? Dlaczego od samego początku instynktownie czuła, że może zaufać Sarze Svenhagen? Co takiego było w tej wysokiej, jasnowłosej, krótkowłosej kobiecie, co sprawiało, że miało się ochotę od razu jej się zwierzyć?

– Jak się czujesz? – zapytała Sara, kładąc dłonie na

ramionach Cilli.

– To był dziwny dzień – powiedziała Cilla.

– Rozmawiałaś z kimś?

– Udzielono mi jakiejś doraźnej pomocy psychologicznej w szpitalu w Huddinge, gdzie pojechaliśmy, żeby opatrzyć głowę Paula. Chyba chcieli sprawdzić, czy całkiem nie zwariowałam.

– Nie zdziwiłabym się – powiedziała Sara. – Najpierw przez cztery godziny byłaś zakładniczką w banku, a potem o mało co nie zginęłaś we własnym domu.

– Szkoda mi dywanu w sypialni.

– Usiądź. Jak się czujesz? Tak naprawdę?

Cilla usiadła.

– Nie jestem już postacią ze sztafażu – powiedziała.

– Nigdy nią nie byłaś – powiedziała Sara. – Pozwól, że ci przedstawię Lenę Lindberg, moją koleżankę. Chyba się nie znacie.

Cilla i Lena odruchowo skinęły głowami na powitanie. I nawet jeśli Lena nigdy wcześniej nie słyszała tego określenia, od razu zrozumiała, kim jest postać ze sztafażu.

– Nie wiem – powiedziała Cilla do Sary. – Jeszcze to do mnie nie dotarło. Wciąż nie potrafię uwierzyć, że to przydarzyło się mnie, a nie komuś innemu. I że był przy mnie mężczyzna, który jeszcze niedawno mnie zostawił. Uratował mi życie. Nie wiem. Nie potrafię jeszcze tego nazwać. Czuję, jakby te wszystkie emocje krążyły mi nad głową i czekały na odpowiedni moment, żeby osiąść. Pożyjemy, zobaczymy.

– Najważniejsze, że żyjesz, Cilla – powiedziała Sara.

– O czym chciałaś porozmawiać, Saro?

– Wiem, że przysłałaś tutaj, żeby złożyć zeznania Kerstin, wcześniej jednak chciałam cię prosić, żebyś odpowiedziała mi na jedno pytanie. Z tego, co rozumiałam, napastnicy przez większość czasu siedzieli, prawda? Czasem tylko ten wyższy robił obchody, tak? Czy mimo to przypominasz sobie, żeby wydarzyło się coś dziwnego pomiędzy, powiedzmy, rozmową telefoniczną a szturmem policji?

– Dziwnego?

– Cokolwiek.

Cilla zamilkła. Wspomnienia, które powoli się zacierały – lub raczej wędrowały w inne, niedostępne świadomości rejony – nagle odzyskały kontury. Jakby podmuch niepamięci ustał dokładnie w chwili, gdy litery na piasku zaczęły znikać. Film się zatrzymał i zaczął się odtwarzać do tyłu. Znaki na piasku znów stały się czytelniejsze.

– Byli rozemocjonowani – powiedziała i zamilkła. Piasek układał się w kształty. Sara Svenhagen czekała, próbując nie zwracać uwagi na potupującą rytmicznie pod stołem Lenę Lindberg.

– Nagła radość – dodała Cilla Hjelm po jakiejś minucie. Potem znów zamilkła. – Pamiętam, że nagle pomyślałam: macie gdzieś te pieniądze.

– Dlaczego? – zapytała Lena Lindberg.

Sara Svenhagen zamrugła oczami, ale nic nie powiedziała.

– Próbuję sobie przypomnieć – powiedziała Cilla. – Udało mi się ukryć komórkę, bo udawałam, że się modłę. W którymś momencie ten wyższy stanął przede mną, jakby wyrósł spod ziemi. Myślałam, że to koniec, ale tylko na mnie spojrzał, miał takie ciepło w oczach. Jakby łączył się ze mną w modlitwie. Była w tym pozytywna energia. Przemknęło mi przez głowę, że jest chrześcijaninem i mnie nie zabije. Potem to uczucie zniknęło i pomyślałam, że mają gdzieś pieniądze. A pomyślałam tak pod wpływem ich emocji. Kurwa, nie pamiętam.

– Spokojnie – powiedziała powoli Sara.

– Zrobili jakiś taki gest – powiedziała Cilla, podnosząc wzrok na Sarę. – *High five*. Pomyślałam, że to dziwne. Wszystko inne odbywało się mechanicznie. Bez żadnych uczuć.

– *High five*? Napastnicy przybili sobie piątki?

– Wiesz, jak w amerykańskich filmach. *Yeah man. Gimme five*.

Sara Svenhagen próbowała ukryć zaskoczenie. Pokiwała głową zachęcająco, ale nic nie powiedziała.

– Miałam właśnie przejść do trzeciego zadania – mówiła dalej Cilla. – Teraz sobie przypominam. Miałam zrobić zdjęcie kratki nad ich głowami. Nie było trudno, akurat coś robili... Nie

wiem, co dokładnie. Coś, co poprzedziło przybicie piątki.

Cisza się wydłużała, słyhać było tylko coraz głośniejsze potupywanie Leny Lindberg. Sara Svenhagen uciszyła ją serią wymownych spojrzeń.

– Skinięcie – odezwała się w końcu Cilla. – Ten mały skinął głową. Raz. Wyraźnie. Mieli jakieś narzędzie. Chyba śrubokręt. Ten wysoki wyjął go z torby, potem zniknął mi z oczu. Niski spojrział w jego stronę i wyraźnie kiwnął głową. Zaraz potem przybili piątkę. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund. Uśmiechnęli się i przybili piątkę.

– Uśmiechnęli? – powtórzyła Lena Lindberg.

– Widziałam, że ten mały uśmiechnął się pod kominiarką. Materiał się naprężył.

– W jaki sposób ten mały skinął głową? – zapytała Sara.

– Jakby... mierzył czas. Jakby musieli coś dokładnie odmierzyć.

– Coś, co im się udało i co miało coś wspólnego z tym narzędziem przypominającym śrubokręt?

– Tak – powiedziała Cilla. – Dokładnie tak.

– Zwróciłaś uwagę, która była godzina?

– Akurat spojrzałam na telefon, żeby zrobić zdjęcie. I chyba na godzinę. Tak, na pewno. Właśnie przeskoczył... Była... Wydaje mi się, że była... trzynasta czterdzieści pięć.

– Dziękuję – powiedziała Sara. – Świetna robota, Cilla. Czy mogłabyś bliżej opisać to narzędzie? Powiedziałaś: „chyba śrubokręt”. Dlaczego nie po prostu śrubokręt?

– Miał w sobie coś elektrycznego. I był trochę szerszy niż zwykły śrubokręt.

– Postaram się znaleźć kilka zdjęć narzędzi, żebyś mogła sprawdzić, czy to któreś z nich.

Sara zamilkła i spojrzała na Cillę. Wyglądała na wykończoną. Przywoływanie wspomnień wymaga wiele wysiłku, czasem może też boleć.

– Nie przyszła do domu – wyszeptała Cilla. – Nie przyszła do domu w swoje osiemnaste urodziny. Czekałam na nią z prezentem. Nie mam już nikogo.

– Tova?

Cilla Hjelm podniosła wzrok i spojrzała na nią bezbrinnie:
– Co ja zrobię bez komórki?

*

Lena Lindberg odezwała się dopiero w samochodzie w drodze na Östermalm:

– Jak ona właściwie się czuje?

Sara Svenhagen spojrzała na swoją niezbyt ostrożnie prowadzącą koleżankę.

– Nie najlepiej – odpowiedziała.

Był szary, deszczowy dzień, jeden z tych dni pod koniec zimy, których nie sposób od siebie odróżnić, bo wszechobecna szarość skleja je w jeden, ciągnący się w nieskończoność zmierzch.

Jechały w kierunku Karlavägen od strony Sturegatan. Po lewej rozciągał się park Humlegården, który teraz przypominał raczej zapuszczoną oazę.

Na chodniku tuż przed wjazdem do kwartału Gnistan zebrała się grupa ludzi. Wyglądali znajomo. W kierunku jasnowłosego mężczyzny trzymającego nad głową tajemniczy przedmiot niczym olimpijską pochodnię biegły z drugiej strony Karlavägen dwie osoby, dwie kolejne od strony Grevgatan i jeszcze jedna wzdłuż Karlavägen od strony zaparkowanego samochodu. Lena Lindberg podjechała bliżej. Sara Svenhagen opuściła szybę.

– Viggo – zawołała. – Co tu się dzieje?

Viggo Norlander spojrzał na nią zaskoczony, pokazując na gęstniejący tłum.

– Ten wariat znalazł peta – wydusił w końcu i pobiegł w stronę pozostałych.

Sara Svenhagen i Lena Lindberg wysiadły z samochodu i dołączyły do Viggo Norlandera, Jorge Chaveza, Jona Andersona, Niklasa Grundströma, Paula Hjelma i Arto Söderstedta.

– Eureka! – zawołał Söderstedt.

*

Kilka minut wcześniej Jorge Chavez i Jon Anderson znajdowali się w mieszkaniu, na którego ścianach wisiały szczątki martwych ciał. Gdy weszli, Anderson odruchowo pogłaskał odciętą głowę zawieszoną na wysokości dwóch i pół metra na tle tekstylnej, purpurowej tapety dekorującej ściany pokoju dziennego. Chavez nie miał szans jej dosięgnąć, nawet gdyby podskoczył jak siatkarz. Musiał się zadowolić pogłaskaniem stojącego na szklanym stoliku zeszywniałego maleńkiego zwierzątka. Los nierówno rozdał.

– Proszę nie dotykać moich aniołeczków – powiedziała siwiejąca starsza pani, którą z łatwością można było pomylić z jednym z eksponatów.

– Widzę, że się panom spodobały – wtrącił się głośno korpulentny pan, który przeszedł już wszystkie etapy siwienia. Na jego głowie nie miało już co zmieniać koloru.

Chavez odsunął rękę i spojrzał w górę na przepołowione ciało wiszące nad drzwiami do kuchni.

– Rzeczywiście wspaniałe – powiedział. – To pan je zabił, panie Gyllencranz?

– Naturalnie – odpowiedział Gyllencranz z dumą.

– Chryste – powiedział Anderson.

– Safari to pasja mojego męża – powiedziała z nie mniejszą dumą pani Gyllencranz.

Pan Gyllencranz oprowadzał ich po mieszkaniu niczym zawodowy przewodnik po muzeum:

– Głowa zebry pochodzi z Serengeti, z zimy czterdziestego piątego, krokodyl z Tasmanii, z lata sześćdziesiątego czwartego – to było naprawdę gorące lato – a to gepardziątko z Parku Narodowego Krugera z wiosny siedemdziesiątego siódmego.

– Ciekawe – powiedział Chavez. – RPA, rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy.

– Wtedy w tym folwarku panował jeszcze jaki taki porządek – przytaknęła Gyllencranz z nostalgią w głosie.

– Czy słusznie zgaduję, że za drzwiami, których nadproże udekorowano kłami słonia, znajduje się łazienka? – zagadnęła Chavez, podtrzymując konwencję.

– Czy pan wie, jakie to uczucie powalić słonia... – pokiwał

Gyllencranz i wskazał zapraszająco w kierunku drzwi.

– Zadowolili się pan jednym?

– W żadnym wypadku. Pozostałe trzy sprzedałem po powrocie do kraju. Teraz widzę, że powinienem je zachować, biorąc pod uwagę dzisiejszą cenę kości słoniowej. Człowiek nie jest jednak nieomylny.

– Istotnie – powiedział Chavez i zajrzał do łazienki.

Było to obszerne, wilgotne pomieszczenie, którego estetykę utrzymano w stylu obowiązującym pewnie około roku 1942. Żółty kolor wanny z pewnością dorobił się własnej nazwy wśród sprzedawców antyków i może nie była to akurat „poranna uryna”, choć Chavez był zdania, że trudno chyba o trafniejszą nazwę.

Ze ściany za wanną odpadło kilkanaście kafli, a w głębokiej na niemal dziesięć centymetrów szparze widać było goły mur.

Chavez wepchnął Andersona w kąt, żeby przyjrzeć się uszkodzeniom z bliska.

– To straszne – powiedział i pokiwał zmartwiony głową.

– Na co mam, kurwa, patrzeć? – szepnął Jon Anderson, wydłubując kawałki zaprawy ze ściany.

Chavez zignorował młodszego rangą i obrócił się do starszych państwa Gyllencranz.

– Czyli to stało się w czasie, gdy opuścili państwo mieszkanie w związku z ewakuacją? Są państwo pewni? A może jednak spędzili państwo trochę więcej czasu poza domem? Na przykład u znajomych specjalistów w dziedzinie zoologii?

– Wyszliśmy stąd z policją i wróciliśmy z policją – zdenerwowała się małżonka Gyllencranz. – Poszliśmy do pobliskiej kawiarni i czekaliśmy, aż to się skończy. Od lat nie opuszczaliśmy mieszkania na tak długo. Teraz już rozumiem dlaczego.

– To znaczy, że do zniszczenia musiało dojść w czasie, gdy nikogo nie było w budynku?

– I to jest dopiero skandal! – wykrzyknął Gyllencranz. – Nie doszłoby do włamania, gdyby nie cała ta ewakuacja. Co za czasy. Policja chroni imigrantów i ułatwia im działalność. I na to idą nasze najwyższe na świecie podatki!

– Pańska teoria, panie Gyllencranz, zakłada więc, że jakiś przyjezdny złoczyńca wślizgnął się do środka budynku przy Grevgatan otoczonego kordonem policji, włamał się do państwa mieszkania, nie zostawiając śladu na drzwiach wejściowych, wszedł prosto do łazienki, wykuł dziurę w ścianie i wyszedł z mieszkania, niczego nie kradnąc?

Starszy pan patrzył z niedowierzaniem na małego, wcześniej tak uprzejmego cygańskiego detektywa i powiedział:

– Ależ mój mały przyjacielu. Przecież to narkomani. Trudno doszukiwać się logiki w ich postępowaniu.

– Co znajduje się za tą ścianą?

– Sąsiednia kamienica. – Gyllencranz wzruszył ramionami. – Cyganie z Skeppargatan.

– Cyganie? – nie wytrzymał Chavez.

– Jest pan chyba świadom granicy oddzielającej Skeppargatan od Grevgatan?

Z tymi słowami mądrości, które potem jeszcze długo dzwoniły im w uszach, Chavez i Anderson zostali wyrzuceni na Grevgatan. Przez chwilę patrzyli się na siebie.

– Nie wiedziałem, że tacy wciąż istnieją – odezwał się w końcu Anderson.

– Jest ich więcej, niż nam się wydaje – powiedział Jorge Chavez. – Jak wyglądała ściana?

– Jak wyglądała ściana?

– Moim zdaniem została naruszona z drugiej strony. Nie widziałem żadnych śladów.

Jon Anderson pokiwał lekko głową.

– Możliwe – powiedział. – Łazienka nie była w najlepszym stanie. Żeby odpadło tyle kafelków, ktoś po drugiej stronie musiał się mocno napracować.

– A zatem w czasie gdy wszystkie budynki w kwartale miały być puste, w jednym z nich ktoś dopuścił się takiej demolki, że zrujnował sąsiednie mieszkanie. To powinno dać nam do myślenia.

– Że należałoby skrócić za róg na Skeppargatan.

– Spróbuj ustalić, które to mieszkanie – rzucił Chavez i ruszył w kierunku Karlavägen ze wzrokiem utkwionym na wysokości

drugiego piętra.

Skręcili za róg i minęli oddział banku. W oknach wciąż nie było szyb, teren otaczała biało-niebieska taśma, a w środku krążyli jeszcze technicy kryminalni. Minęli ich.

Nieco dalej na Karlavägen natknęli się na mężczyznę, który najwyraźniej szukał czegoś w ścieku. Stał obrócony do nich tyłem, wypinając w ich kierunku dolną część pleców, i Chavezowi od razu przyszli na myśl Cyganie. Miał nadzieję, że ich nie zaczepi. Nienawidził przypadkowych spotkań z żebrakami, których ostatnio nie brakowało w Sztokholmie. Za każdym razem dopadały go te same wyrzuty sumienia. Bo on miał, a oni nie. Bo to, że on miał, wynikało z tego, że nie mieli oni. Mężczyzna się wyprostował i obrócił. Cholera, pomyślał Chavez.

Żebrak okazał się Arto Söderstedtem. W dłoni w gumowej rękawiczce trzymał niedopałek papierosa. Na widok Chaveza i Andersona powiedział:

- Założę się, że to Sobranie.
- Co? – zdziwił się Anderson.

Söderstedt spojrział z bliska na niedopałek, a potem uniósł go wysoko nad głową.

- Dlaczego rosyjski napastnik miałby palić rosyjskie papierosy? Może dlatego, że przyjechał tu prosto z Rosji?
- Masz nierówno pod sufitem – podsumował Chavez.

Z drugiej strony Karlavägen szedł w ich kierunku człowiek z zabandażowaną głową w towarzystwie eleganckiego, nieco sztywnego mężczyzny.

- Co tu się dzieje? – zapytał Niklas Grundström.
- Pieprzony bandaż – powiedział Paul Hjelm i ściągnął z oczu gazowy opatrunek.

Z naprzeciwka nadszedł Viggo Norlander, a zaraz za nim pojawiły się Sara Svenhagen i Lena Lindberg.

- Eureka! – zawołał Söderstedt rozradowany.
- To znaczy, że pojechali tędy? – powiedział Norlander. – W kierunku Humlegården?

– To by się zgadzało z tym czarnym vanem – wtrącił Jon Anderson. – Tym, co pędził w dół Sibillegatan.

– Papierosa mógł po prostu wyrzucić – powiedział Söderstedt. – Albo też stał tutaj zaparkowany samochód, a papieros wypadł mu z ręki, gdy wepchnięto go do środka.

– Tak blisko? – powiedział Grundström. – Przecież to tylko piętnaście metrów od banku.

– Przecież nie mógł ciągnąć dwóch napastników przez pół miasta – odparł Söderstedt. – Samochód musiał stać w pobliżu. Bardzo możliwe, że właśnie tutaj.

– Wiadomo, jakie tu stały samochody? – zapytał Hjelm. – Myślicie, że miał dostęp do radiowozu?

– Siły szybkiego reagowania nie mają radiowozów – powiedział Grundström. – Musimy to jeszcze sprawdzić.

– Chwila – powiedział Chavez. – Co wy tu wszyscy robicie? Sara?

– Szłyśmy do banku na spotkanie z Geirem – odpowiedziała jego żona.

– Idziemy do SWW na Lidingövägen – powiedział Hjelm.

– To poufne – dodał szybko Grundström.

– Pamiętaj, że miałem wstrząśnienie mózgu – powiedział Hjelm.

– Idziemy do ambasady Rosji. Jak już pozbieramy wszystkie pety – dodał Norlander.

– A my idziemy za róg – powiedział Chavez. – Skeppargatan sześćdziesiąt dwa. Arto Söderstedt odchrząknął.

– Musimy przestać się tak spotykać – powiedział.

Po czym wszyscy się rozeszli.

Jorge Chavez i Jon Anderson skręcili za róg i po chwili czekania udało im się złapać drzwi za kimś wychodzącym z budynku. Zatrzymali się na klatce schodowej, żeby przyzwyczaić oczy do panującego w środku półmroku. Po chwili wyłoniła się z niego klatka schodowa utrzymana w stylistyce secesji, ładnie odnowiona, wyłożona grubymi dywanami i z lampami z oryginalnym szkłem.

Weszli po schodach.

Na pierwszym piętrze w oknie niewielki rzeźbiony lew z przełomu wieków dumnie wypinał pierś. Chavez podrapał go pod brodą, a potem ruszył dalej.

SOBOTA, 12 WRZEŚNIA 1942 R., GODZ. 15.10

Przez Rosję przepływają dwie wielkie rzeki, z góry na dół, z północy na południe. Biorą początek u różnych źródeł i wpływają do innych mórz. Jednak na pewnym odcinku wydaje się, jakby płynęły ku sobie, przyciągane jakąś niebywałą siłą. Na mapie Don i Wołga zdają się niemal ocierać o siebie, by po chwili znów się rozbiec i płynąć dalej, każda w swoją stronę. W tym jednym miejscu ma się wrażenie, że nie dzieli ich żadna odległość.

Mapa nie jest jednak rzeczywistością. Wiemy już, że przestrzeń pomiędzy Donem i Wołgą rozciąga się w nieskończoność.

W tym właśnie miejscu, w zakolu Wołgi, leży Stalingrad.

To tutaj jesteśmy. Na brzegu.

Od ostatniego razu, kiedy pisałem, minęły blisko cztery miesiące; mój dziennik ma charakter okazjonalny. Wtedy Stalingrad nic dla nas nie znaczył; istniał najwyżej jako punkt na drodze do złóż naftowych na Kaukazie. Nasze zadanie sprowadzało się do wyeliminowania kilku zakładów zbrojeniowych i zabezpieczenia brzegu Wołgi.

Potem zamieniliśmy to miasto w piekło.

Miało zniknąć. Całe miasto miało zniknąć z powierzchni ziemi. I zniknęło. Jest martwe. A mimo to żyje.

Byliśmy już u kresu naszej długiej wędrówki znad Donu, kiedy naszym oczom ukazał się imponujący widok. Ogromny cień położył się na stepie, potem doszedł nas dźwięk, a na koniec zobaczyliśmy ich majaczących na horyzoncie. Przysłonili niebo, przywłaszczając je dla siebie, robiąc huk nie z tego świata. Zobaczyliśmy samoloty załadowane bombami, które miały zrównać Stalingrad z ziemią.

Jak moglibyśmy przegrać? – myśleliśmy, zaciągając się zapachem spalanego paliwa.

Luftwaffe. Ludzie feldmarszałka von Richthofena. 4. Flota Powietrzna. Wolfram von Richthofen, kuzyn „czerwonego

barona”, mózg kierujący zniszczeniem Guerniki. Niezliczone heinkle i sztukasy. Masowe naloty. Bezwzględność w najczystszej postaci.

To było coś znacznie większego niż Guernica.

Pamiętam to bardzo dobrze. Niedziela trzy tygodnie temu. Na pół kilometra w górę wzniósł się kulisty piorun, po tym jak bomby trafiły w ogromne zbiorniki paliwa nad brzegiem Wołgi, a płonąca ropa rozlała się po rzece. Kolumny czarnego dymu unosiły się jeszcze przez wiele dni, jakby wyrastały prosto z piekieł. To z ich powodu, i jeszcze za sprawą spalin samolotów, znów rozmyślałam o paliwach kopalnych, o ich diabelskiej mocy. Wróciłam myślami do swoich badań.

W ciągu zaledwie jednego dnia, w niedzielę 23 sierpnia, 4. Flota Powietrzna spuściła na Stalingrad ponad tysiąc ton bomb. Straciliśmy zaledwie trzy samoloty. Ilu z ponad pół miliona mieszkańców tego miasta zginęło, nie wiem. Nikt nie powinien przeżyć. Byliśmy pewni, że nikogo tam nie ma.

Cztery miesiące temu zajęliśmy Charków. Teraz wszystkim się wydaje, że niedługo zajmiemy Stalingrad. Ja jednak tak tego nie widzę. Nie teraz, kiedy stoimy na obrzeżach miasta i patrzymy na ruiny. To nie są martwe ruiny, to są ruiny żadne zemsty. To Feniks, który za sprawą jakiejś magicznej siły powstaje z popiołów.

Nadciągają rosyjscy żołnierze. To miasto ma być utrzymane za wszelką cenę. Widzę to, ale nic nie mówię. Przyglądam się ruinom z pobliskiego wzgórza. Patrę przez lornetkę na dymiące pobojowisko, szkielet upadłego miasta. Widzę jego upadek. Potem siadam do pisania. Inaczej nie potrafię.

Wiele osób powiedziałoby, że to było dobre lato. I ja dałam się w końcu przekonać. Aż do wczoraj rano, kiedy zobaczyłem lód w wiadrze na wodę. Lód we wrześniu. To miasto czeka na nas, w jego ruinach bije czarne serce.

Nie było lekko, ale 6. Armia Pancerna, nasza szpica, wyruszyła rano znad Donu i już wieczorem była nad Wołgą. Wtedy jeszcze wszystko wydawało się możliwe. Wciąż mam przed oczami obraz, jak Papa Hube stoi w czołgu – general

Hans Hube z uniesionym czarnym doczepianym ramieniem.

Z nami było inaczej. Droga przez stepy nad Donem była szalona, jednak cały czas zwyciężaliśmy. Zwyciężaliśmy, gwałciliśmy, grabiliśmy, mordowaliśmy. To okropne patrzeć, jak człowiek zamienia się w bestię.

Ciągle zmiany planów Führera doprowadzały generałów do szału. Nagle podzielił Grupę Armii „Południe” na dwie części, Grupę Armii A skierowaną na Kaukaz na południu i Grupę Armii B skierowaną nad Wołgę na północy, i równie nagle zamienił operację Fall Blau z jednej dwuetapowej operacji w dwie oddzielne operacje. To opóźniło natarcie na Stalingrad. Przybyliśmy za późno.

Bestia warczy, zima jest już blisko.

„Urrraaa!”, dudni nam w uszach, na ten dźwięk dreszcze schodzą nam po plecach. Obrzydliwy okrzyk bojowy sowieckiej piechoty. Jeśli usłyszało się go choć trochę za blisko, było się martwym. Po przerażającej sekundzie.

Miasto grzmi: „Urrraaa!”

Stalingrad został okrążony, trzydzieści kilometrów wzdłuż zakola rzeki. Dawny Carycyn, tak ważny dla mitu sowieckiej rewolucji, w którym młody heros Józef Stalin przemienił białych rewolucjonistów w czerwonych. To dlatego nazwano go jego imieniem.

Nie odda go. Dla niego jest gotów poświęcić dowolną liczbę ludzkich istnień. Jeśli miasto upadnie, wraz z nim upadnie mit Stalina.

To tak jakby upadł Wilczy Szaniec, Wolfsschanze, kwatera główna Führera w Rastenburgu w Prusach Wschodnich.

Starcie dwóch mitów, dwóch kłamstw.

Jutro wchodzimy. Rozpoczniemy zmasowany atak na miasto: jeden na jednego w zaułkach i ruinach fabryk. Oko w oko w zaminowanych budynkach, pomiędzy kryjówkami snajperów, którzy znają to miejsce jak nikt inny.

To będzie wojna szcurów.

Słyszę, jak warczy martwe miasto. Jutro będzie ryczeć. Wyć. „Urrraaa!”

Boże, w którego nie wierzę, co ja tu robię?

MEŃCZYŻNA PRZERWAŁ CZYTANIE i spojrział na zegarek.
Już czas.

Zamknął ostrożnie dziennik, pogładził zniszczoną brązową okładkę z ceraty i przez chwilę zastanawiał się nad znaczeniem rzeczy i ludzkich spraw.

Czy było warto?

Pytanie było retoryczne. Wartość już ustalił. Była niezmienna.

Mężczyzna z zegarkiem podniósł ostrożnie stary poślódkły arkusz papieru ze stołu i wsunął go jak zakładkę do dziennika. Potem odłożył go i wstał z fotela.

Wokół niego panowała ciemność.

Mimo to wyraźnie widział jasnowłosą kobietę wpatrzoną w lazururową zatokę, z chustą na ramionach, jak nagle obraca się do niego i patrzy mu w oczy, a w jej spojrzeniu widać coś na kształt szczęścia. Po chwili zastąpił ją obraz posiniałej twarzy i oczu, które niemal wyszły z oczodołów.

Potem zobaczył trzech braci, każdego z fragmentem kartki w ręku. Zobaczył dwóch ojców w piwnicy pośrodku płonącego piekła. Zobaczył czwartego brata. I jedynego syna, który zostawia ostatnią wiadomość do przyjaciela w szczelinie drzewa. Ostatni znak życia od zmarłego.

Chce zmienić przeszłość.

„Do przyjaciela...”.

Mężczyzna spojrział raz jeszcze na zegarek. Przebiegło mu przez myśl, że to oznaka słabości. Czy wciąż ma instynkt? Czy lata spędzone w dobrobycie nie przytępiły jego zmysłów? Czy wciąż może stanąć twarzą w twarz z najlepszymi? Młodszymi od niego?

Pytania nic nie znaczyły. Były jak powietrze.

Nie było powrotu.

Nie zostawia się towarzysza broni na polu walki.

A już tym bardziej dwóch.

Spojrzał na otwartą torbę leżącą na łóżku. Łagodna poświata nocy była jedynie promieniowaniem tła. Połysk broni, jedyny w swoim rodzaju blask, rozpraszał mrok nocy. Wyjątkowy kolor, jakiego nie ma na skali barw.

Zapiął torbę, podniósł się i stał jeszcze przez chwilę w słabym blasku nocy. Tętno spadło, oddech zwolnił, czynność serca zmniejszyła się do minimum, ustał wszelki ruch. Wegetował. Skrajna bierność poprzedzająca ekstremalną aktywność.

Ziarno słońca w skutej lodem ziemi.

Uległ słabości i spojrzał po raz trzeci na swój stary, elegancki zegarek, a potem wyszedł.

Gdy wsiadał do samochodu na obrzeżach Tantolunden, nic nie zapowiadało, że będzie padać, ale pierwsze płatki śniegu spadły już, gdy jechał Ringvägen w kierunku Zinkesdamm. Kiedy był na Västerbron, zaczęły się kłaść na przedniej szybie. Anielskim kołysaniem wypełniały rozświetloną wieczornymi światłami przestrzeń nad Riddarfjärden. Wyjechał na Drottningholmsvägen przy Lindhagensplan. Nad mostem Tranebergsbron leciutkie płatki zamieniały się w ciężki, wilgotny śnieg, który już nie wirował, tylko raczej padał, jak deszcz. Migoczące śnieżne iskierki za mozolnie pracującymi wycieraczkami. Zwały śnieżnego błota między jezdniami, między kołami.

Nie miał zamiaru przekraczać dozwolonej prędkości. Poruszał się po swoich śladach. Był zwykłym nocnym kierowcą, który wracał do domu na zachodnich przedmieściach Sztokholmu po długim dniu spędzonym w pracy, meczu w hokeja albo piątkowym piwie z kumplami.

Jeszcze do niedawna mogłaby to być prawda.

Przez rondo przy Brommaplan trudno się było przedostać. Pługi śnieżne nie zdążyły jeszcze wyjechać na ulice. Z ronda skręcił w prawo na Drottningholmsvägen, wjechał na most Nockebybron i znalazł się wśród wysp na jeziorze Melar. Spojrzał w dół na wody jeziora w miejscu, gdzie tworzy przesmyk między Nockeby a Kårsön, między Sztokholmem a gminą Ekerö. Choć śnieg przysłaniał piękno, instynktownie je wyczuwał.

Minął pałac Drottningholm – rozmytą, zamgloną twierdzę ze światła, zwieńczoną flagą, która mówiła, że król jest u siebie. To mimo wszystko ładny kraj, pomyślał.

Czy choć przez chwilę był mój?

Tak, gdy było nas więcej. Teraz, gdy jestem sam, znów go straciłem. Teraz nie mam ojczyzny. Moja dawna ojczyzna nie istnieje, a nawet gdyby było inaczej, i tak nie byłaby moja. Nigdy nie była.

Chociaż służyłem jej wiernie jak pies.

Zostało mi już tylko kruche, skradzione marzenie o tym, żeby zmienić przeszłość, sprawić, by świat dogonił sam siebie. Zamknąć w nawias niepotrzebną drugą połowę ubiegłego wieku.

I cały ten urojony postęp.

Żałował, że musiał poświęcić starego Roberta w zamian za adres, choć on na jego miejscu pewnie zrobiłby to samo. W imię starej i wiernej nieprzyjaźni.

W imię czego?

Przekłete stulecie. Jak to dobrze, że wreszcie się skończyło.

Wjechał na Färingsö. Minął kościół, zabudowa stawała się coraz rzadsza.

Śnieg wciąż padał.

Przed szczytem wzgórza zatrzymał samochód i zaparkował na poboczu. Wziął torbę z tylnego siedzenia i otworzył. Zdjął puchową kurtkę i założył starą kaburę. Długo nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją schował. W końcu znalazł ją w szufladzie na strychu, porośniętą szarozieloną pleśnią niczym algami. Oczyszczył ją najdokładniej, jak umiał. Wciąż jednak źle pachniała.

Mężczyzna z zegarkiem wyjął pistolet, przykręcił tłumik i wsunął broń do pachnącej pleśnią kabury. Wyjął szeroki nóż i włożył go do kieszonki na prawym udzie. Znalazł latarkę i włożył ją do kieszeni. Potem wyjął niewielki pistolet maszynowy, przewiesił go przez plecy i ruszył pod górę.

Dom stał na uboczu jakieś sto metrów w dół ku krawędzi lasu, ledwo widoczny wśród zamieci. I pogrążony w ciemności. Całkowicie opuszczony.

Chyba że umiało się czytać ślady.

Zatrzymał się i zastanowił, nie był pewien, czy wciąż to potrafi. Nie zauważył śladów kół – dopiero niedawno zaczęło śnieżyć. Nie widział też żadnych innych śladów w pobliżu. Z wyjątkiem zaciągniętych zasłon w pokoju wychodzącym na werandę. I cienia na werandzie. Cienia w cieniu.

Znów zaczął iść, pochylony, zakradał się coraz bliżej, przez rozciągające się wzdłuż ścieżki zwały śniegu, aż do pokrytych śniegiem żywopłotów otaczających dom. W dół po zboczu, gdzie za wysokim żywopłotem schował się dom z werandą. Zaczął się i czekał. Obserwował cień. Nie ruszał się. To jeszcze nic nie znaczyło. Ruch oznaczałby tylko, że to amatorzy. A tego nie można było o nich powiedzieć.

Wszystko, tylko nie to.

Raz jeszcze powtórzył w myślach cały scenariusz. Obserwował cień. Obserwował żywopłot. Namierzył potencjalną szczelinę. Obliczył kąt. Szacował efekt. Wszystko zapamiętywał. Wyjął pistolet. Potem zbiegł ze zbocza, rzucając ostatnie spojrzenie na zaciemniony dom.

Dom czekał. W jego wnętrzu biło czarne serce.

Zniknął za gęstym żywopłotem. Śnieg też był gęsty, dużo bardziej, niż to początkowo ocenił. Znalazł szczelinę.

Zawsze jest szczelina. Była to jedyna mądrość, którą mógł zabłysnąć. Zawsze jest jakieś wejście. Ślepa plamka. Martwy punkt.

Zakradał się zgarbiony w kierunku szczeliny. Pokryte śniegiem gałęzie. Bukszpan? Za nim gdzieś coś ciemnego. Dom. I coś jeszcze ciemniejszego. Cień. I coś jeszcze, coś jeszcze ciemniejszego. Cień w cieniu.

Cień był sam, właśnie tego się spodziewał. Zadanie dla małego zespołu. Nie więcej niż jeden człowiek na warcie. Najwyżej czterech ludzi. Nie byli w stałym kontakcie, to by było zbyt kłopotliwe. Pewnie walkie-talkie. Niegroźne. Jedna kula. Przejdzie na wylot i wbije się w ścianę. Lekkie, głucho uderzenie o ścianę. To powinno wystarczyć. Potem zmieni amunicję. Na taką, która nie przebija na wylot, tylko niszczy od środka, nic po sobie nie zostawiając. Niedozwolona na wojnie,

ale nie na tej wojnie. Na tej wojnie wszystko było dozwolone. Wzrok utkwiony w cieniu przez cały czas wymiany magazynka. Żadnego dźwięku. I żadnego ruchu.

Spudłuj, a zginiesz, pomyślał i nakierował pistolet na szczelinę. Spudłuj o centymetr i zginiesz. Spudłuj i pozwól mu krzyknąć, zacharczeć – zginiesz.

Strzelił. Nie było sensu zbyt długo czekać. Z każdą sekundą nasila się drżenie.

Strzelił i skulił się.

Nic.

Kompletna cisza.

Spróbował znaleźć szczelinę, przez którą mógłby spojrzeć. Nie znalazł. Nie było. To prawda. Zawsze jest tylko jedna.

Dziwna wiedza.

Co oznaczała ta cisza? Może nikogo tam nie było, wszystko na marne, to nie był ten dom, nie ten adres? Może zawiodła go rozwijana przez lata intuicja. A może czekali, aż się podniesie, żeby strzelić do niego przez tę samą szczelinę. Prosto w oko z odległości pół metra. A może...

Wstał i zajrzał przez szczelinę. Nic? Na pewno?

Mężczyzna leżał głęboko w śniegu, ledwo go było widać. Upadł, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku. Śmierć na posterunku.

Mężczyzna z zegarkiem podszedł do furtki, którą dostrzegł w żywopłocie. Spojrzał na zamek. Poświecił na niego latarką. Był tam, nie mogło go nie być, na wewnętrznej klamce, przysypany śniegiem. Miniaturowy alarm. Mała, czarna puszcza. A może raczej bomba odłamkowa. Nie widział takiej od piętnastu lat, pewnie już były nowocześniejsze.

Przymknął oczy. Czynność serca spada do minimum. Zaczekał, aż spadnie poniżej tętna spoczynkowego. Wtedy skok. Na słupek. Bezgłośnie. Ślisko. Łagodnie zsunął się na drugą stronę. Poszło. Znowu bez najmniejszego dźwięku.

Nie jest łatwo poruszać się bezdźwięcznie w mokrym śniegu. Słysząc charakterystyczne skrzywienie. Dobrze je znał. Przez drzwi na werandę nie powinno być jednak słyszeć. O pięć decybeli za mało.

Minął leżącego na ziemi, nawet na niego nie spojrzął. Ominął czerwone, dwumetrowej średnicy okrągłe pole wokół tego, co kiedyś żyło.

Teraz czekało go najtrudniejsze. Schody na werandę. Dzieliło go od nich zaledwie kilka metrów. Nastawił uszu. Miał nadzieję, że są zajęci rozmową.

Mówcie, koledzy. Mówcie jak najwięcej. I tak nikt nie przekaze tego dalej.

Grube zasłony. Kotary, a może raczej zasłony zaciemniające z jakiegoś wojskowego magazynu. Wyjątkowo praktyczne.

Musi być jakaś szczelina. Zawsze jest.

Wzrok cierpliwie błędził w ciemnościach. Po chwili zaczął dostrzegać szczegóły. Pierwszy stopień schodów. Najpierw na niego, potem prosto w górę. Betonowe schody, nie powinny trzeszczeć. Ale mokry śnieg zaskrzypi. Tak jak skrzypi mokry śnieg.

Cztery stopnie. Powoli.

Był już na górze. Na tle czerni zasłon szyby wyglądały jak lustra. Zobaczył w nich swoje odbicie. To był ktoś inny. Relikt z dawnych czasów. Okruch przeszłości.

Z wojny, w której wszystko było dozwolone.

Uśmiechnął się i znalazł szczelinę. Oko przy szybie.

Na dwóch krzesłach, skrzepowani, wysoki i niski mężczyzna. Rozebrani do naga, odwrócenie plecami do okna. Naprzeciwko nich dwóch mężczyzn, stoją. Na kanapie w rogu kolejny mężczyzna. Razem trzech z drugiej części drużyny, czterech, jeśli liczyć nieżyjącego wartownika. Niczego dziwnego w polu widzenia. Miał nadzieję, że wciąż obowiązują te same procedury.

W rękach stojących mężczyzn noże – narzędzia. Tną nimi większego. Nie słyszy stąd jego jęków. Ale je wyczuwa. Wyraźnie.

Małego nie muszą ciąć. Już nie.

Nie powinien czuć dreszczy, żadnych łez. A mimo to po plecach przechodzi mu dreszcz, ledwo tłumy płacz.

Michaił, pomyślał.

Koniec, wystarczy.

Mężczyzna na kanapie ma prawe ramię w gipsie. Na twarzy jednego ze stojących widzi znamię o dziwnym kształcie przypominającym półwysep.

Ten z gipsem w lewej dłoni trzyma pistolet. Pozostali dwaj mają broń w kaburach przewieszonych przez białe koszule. Nie zdają.

Żyjesz, pomyślał, wpatrując się w większego, który siedział przywiązany do krzesła. Całe szczęście.

Gdy odwrócił wzrok od szczeliny, powidok obrazu wnętrza domu był ciągle bardzo wyraźny. Niczym mapa w środku głowy.

Sprawdził szkło. Zasłony zaciemniające zwykle oznaczały, że szyby są kuloodporne. Ale nie: zwykle podwójne szyby. A więc tak.

Styk zasłon był dokładnie na osi drzwi na werandę. Obejrzał zamek. To nie miało sensu. Wszystko musi się zdarzyć w tym miejscu. Tu, gdzie teraz stał. W tym miejscu wszystko miało się rozstrzygnąć. Ile czasu potrzebował, żeby rozchylić zasłony? Od tego wszystko zależało. Szybka kalkulacja.

Pistolet z powrotem do kabury. Pistolet maszynowy na wierzch.

Przymknął oczy. Czynność serca zwolniła. Poczekał, aż spadnie poniżej tętna spoczynkowego. Jeszcze trochę.

„Urrraaa!”, pomyślał.

Jednym ciągłym ruchem rozbił szybę, odciągnął na bok zasłonę i zastrzelił mężczyznę z gipsem. Obrócił karabin w bok i zastrzelił drugiego mężczyznę. Ten ze znamięm na twarzy sięgnął po pistolet, ale nie zdążył go wyjąć.

Jeszcze przez chwilę lufa przesuwiała się w prawo i w lewo po słabo oświetlonym pokoju, ale nikt więcej się już nie pojawił.

Usunął resztki szkła i otworzył drzwi werandy od środka. Podszedł do leżącej na ziemi trójki mężczyzn. Nie wyglądało, jakby mieli się podnieść.

Następnie podszedł do niższego ze związanych mężczyzn i zamknął mu powieki ruchem, w którym widać było czułość.

Potem obrócił się w stronę wysokiego mężczyzny. Z licznych ran na jego twarzy i ciele ciekły strużki krwi. Jego ciałem

wstrząsały drgawki.

Przykucnął przed nim i położył dłoń na jego skrępowanym ramieniu. Wysoki podniósł wzrok i spojrzał na niego szarymi oczami. Nie był pewien, czy osłaniały je jeszcze powieki.

Pocieszenie? – pomyślał mężczyzna z zegarkiem. Kim jestem, by dawać otuchę?

– Pomyśl o swoich braciach, Władimirze – powiedział i zabrał się do rozwiązywania węzłów. Lecz osobą, którą tak naprawdę uwalniał, była blondynka, która stała wpatrzona w lazuruwą zatokę z chustą na ramionach.

Poczuł się, jakby było lato. Ziarno przebiło się przez zeskorupiałą ziemię.

KERSTIN HOLM SIEDZIAŁA NA ŁÓŻKU i czuła, jak ogarnia ją podniecenie.

Potrzebowała wielu lat, żeby móc coś takiego pomyśleć. A potem kolejnych, żeby to zaakceptować. I jeszcze kilku, żeby uznać to za coś naturalnego. I kolejnych, żeby to polubić.

To, że problem nie miał stuprocentowo zadowolającego rozwiązania, nie miało już takiego znaczenia.

Spojrzała na drugą połowę łóżka, którą zajmował jej dziewięcioletni syn Anders. Wypełniał wiele pustych miejsc w jej życiu, ale nie wszystkie. Niezupełnie wszystkie.

Spróbowała pomyśleć jeszcze odważniej. Dlaczego tak trudno było zaakceptować nabrzmiałą cipkę, która chciała zostać wypełniona, dużo trudniej niż stojącego penisa, który chciał ją wypełnić? Czy winny był temu wyłącznie szowinistyczny świat mężczyzn? Czy to było aż tak proste?

Jeśli tak, sami sobie byli winni. *Your loss*.

Wzięła głęboki oddech, próbując się rozluźnić.

Był na to jeden sprawdzony sposób – chwycić stertę papieru z nocnego stolika i przewertować. Działo jak zimny prysznic.

Wieczne raporty z dzisiejszych rozmów w różnych punktach miasta. Standardowy, sformalizowany język, zgodny z zasadami pisania raportów, a mimo to ujawniający różne style i charaktery. Przejrzysty i lekko ironiczny styl Arto Söderstedta, energiczny, nieco rozgadany Jorge Chaveza, szczegółowy i analityczny Sary Svenhagen. I jeszcze przemyślany i klarowny wywód Paula Hjelma.

Nigdy nie była jego szefem i w zasadzie nigdy nie czytała jego raportów. To było nowe doświadczenie. W niemal każdym zdaniu, pod sam koniec, pojawiał się słowo „chyba”. Jakby słyszała jego głos.

Podniecenie nie mijało.

Spojrzała na morze słów i poczuła, że musi je ukierunkować, coś z nich stworzyć, nie tylko po to, żeby prysznic stał się

jeszcze zimniejszy, lecz również dlatego, że sformalizowany język raportów aż domagał się, by tchnąć w nie życie.

I tak szefowa operacyjna Drużyny A, inspektor kryminalna Kerstin Holm, tchnęła oddech w miniony dzień.

Swój wciąż gorący oddech.

*

Sztokholm to konglomerat wysp, półwyspów i stałego lądu. Czasem trudno się zorientować, na czym się w danej chwili stoi. Przez lato miasto zrosło się w jeden organizm i nikogo już nie dziwi, że przynajmniej kilka razy dziennie jedzie się przez most. Wszystko łączy się w jedną całość.

Pośrodku wyspy Kungsholmen sterczy ogromna iglica, jakby tutaj znajdował się środek wszechświata. To wielki wieżowiec „Dagens Nyheter” w Mariebergu.

W jego cieniu schowała się rosyjska ambasada. W czasie zimnej wojny redakcja wolnej prasy patrzyła z góry na śmietankę sowieckiej elity szpiegowskiej. Niektórzy widzieli w tym ironię, inni wyłącznie logikę.

Czasy jednak się zmieniły i ambasada rosyjska, podobnie jak w wielu innych miejscach na świecie, stała się tylko jedną z wielu ambasad w stolicy. Nie było w niej nic, co by ją szczególnie wyróżniało.

Mimo to szpiegów nie zniknęli.

Za czasów Związku Radzieckiego najlepiej wychowani wśród nieokrzesanych bolszewików byli attaché kulturalni. I to oni byli przełożonymi szpiegów.

Mężczyzna za biurkiem, do którego zostali zaproszeni Arto Söderstedt i Viggo Norlander, nazywał się Paweł Lubimow i był bliskim współpracownikiem człowieka noszącego zaskakujący tytuł Nadzwyczajnego i Rzeczywistego Ambasadora Federacji Rosyjskiej w Królestwie Szwecji. Attaché kulturalny przecesał dłonią falowane blond włosy, które niepokojąco przypominały perukę Waldemara Mörnera, i pochylił się nad biurkiem.

– DNA? – powiedział po angielsku z silnym rosyjskim akcentem. – Panowie raczą żartować.

– Nie możemy o to nie zapytać – odpowiedział Söderstedt z

akcentem fińsko-szwedzkim. – Może mogliby to państwo sprawdzić nieoficjalnie?

– Co pan przez to rozumie? – powiedział Paweł Lubimow i wbił wzrok w bladego mężczyznę, który położył dwie niewielkie torebki foliowe na jego biurku ze słowami:

– Za kilka minut opuścimy ten wspaniały budynek, ale te torebki zostaną. Naturalnie zrobi pan z nimi, co chce, byłibyśmy jednak wdzięczni za pomoc. W końcu chodzi tu o obywateli rosyjskich, którzy dopuścili się poważnych wykroczeń na terenie Szwecji. Renoma pańskiego kraju i tak już cierpi przez przestępców aktywnych na arenie międzynarodowej. Może czas wykazać trochę inicjatywy w walce o dobre imię pańskich rodaków.

Lubimow uniósł brew, chwycił torebki i przyjrzał im się z uwagą. Niestety nawet z bliska wyglądały, jakby były puste w środku.

– Włókna – wyjaśnił Viggo Norlander.

– Hm – zastanowił się Lubimow i odłożył torebki.

Arto Söderstedt podał mu zdjęcie szerokiej, szorstkiej męskiej twarzy o wyraźnych słowiańskich rysach. Lubimow wziął je do ręki i przez chwilę kiwał głową z coraz bardziej zawadiacką miną. Söderstedt tylko na to czekał. Nie ma lepszego sposobu na rozpoczęcie współpracy niż dać partnerowi odczuć, jaki jest inteligentny.

– Rozumiem – powiedział nadzwyczajny i rzeczywisty attaché kulturalny. – Gazety publikują dwie twarze. Wy macie dwie torebki, ale pokazujecie tylko jedną twarz.

– Jaki z tego wniosek? – zapytał Söderstedt nauczycielskim tonem.

– Że każdy z nas coś ukrywa – odparł Lubimow, odłożył zdjęcie i odchylił się w okazałym krześle z roku 1743. Na oko.

– Może czas z tym skończyć? – zapytał Söderstedt.

– W żadnym wypadku – zaśmiał się Lubimow. – Doskonale się bawię.

– Przypominają się panu stare, dobre czasy?

– Można tak powiedzieć. Czy mogę spojrzeć na drugie zdjęcie?

Söderstedt podał wyretuszowane zdjęcie mężczyzny ze znamieniem, które kształtem przypominało Jutlandię. Lubimow pokazał na włosy mężczyzny.

– Możliwe, że ma perukę – odpowiedział Söderstedt.

Paweł Lubimow przyglądał mu się przez chwilę uważnie. Następnie roześmiał się na całe gardło i przecesał dłonią jasne fale na głowie.

– Będziemy w kontakcie – powiedział i wstał.

*

To dziwne, ale podniecenie nie mijało. Kerstin Holm wyobraziła sobie starcie dwóch przebiegłych lisów: Söderstedta z Lubimowem, ale na niewiele się to zdało. Jej gorący oddech wciąż szukał zaspokojenia.

*

Kamienne oblicze Geira wykrzywiło się w wyrazie niesmaku, a twarz dyrektora generalnego Haavarda nawet nie drgnęła. Przyglądali się ciągnącej się w nieskończoność pracy techników kryminalnych, zajętych wnikliwym badaniem ścian i podłóg. Jednocześnie wydali z siebie głębokie westchnięcie.

Sarze Svenhagen udało się zignorować fakt, że wśród czołgających się po podłodze techników był jej rodzony ojciec. Spojrzała z ukosa na Lenę Lindberg, której zmrużone oczy wyglądały, jakby celowały prosto w przeponę Geira.

Siedzieli w ciasnym, przeszklonym gabinecie dyrektora regionalnego. Dawne, luksusowe gabinety dyrektorów banków należały najwyraźniej do przeszłości. Tak teraz wyglądał bank, który niedawno wyłonił się z cyberprzestrzeni, zawieszony między światem wirtualnym a rzeczywistym. Przypominało to rzeczywistość literacką.

Literatura rozgrywa się w przestrzeni między zmyśleniem a rzeczywistością.

– Uszkodzenie okablowania? – powtórzył dyrektor generalny Andelsbanken po norwesku w szwedzkim przebraniu.

– Okablowania systemów bezpieczeństwa – wyjaśniła bez zająknięcia Lena Lindberg.

Naess obrócił się do Geira, ale ten rozłożył tylko ręce w geście wyrażającym brak zrozumienia. Nie wyglądało to zbyt przekonująco.

– Nic nam o tym nie wiadomo – przetłumaczył Naess.

– Jesteście pewni, że nie zniknęły wam żadne pieniądze? – zapytała Sara Svenhagen.

Geir zagulgotał.

– Mamy najbezpieczniejszą zaporę finansową na świecie – przetłumaczył Naess.

– Właśnie dlatego – powiedziała Lena Lindberg.

Sara wbiła w nią wzrok, zmuszając ją do milczenia.

– Wiemy, że coś udało im się zrobić – powiedziała.

– Udało?

– Zrobili coś z kablami. Za pomocą takiego oto narzędzia.

Dwa zdjęcia, po jednym dla każdego Norwega. Spojrzeli i po chwili wymienili się nimi bez słowa.

– Na jednym zdjęciu widać skomplikowany przyrząd przypominający śrubokręt – to sonda z mikrochipem, który przerywa przepływ prądu – mówiła dalej Sara Svenhagen. – Na drugim zdjęciu widać wasze okablowanie systemów bezpieczeństwa. Kilka wiązek kabli przekłuto bardzo cienką igłą. Wszystko wskazuje na to, że ta sonda służy do przebijania cienkich kabli.

Kamienna twarz nie zawsze oznacza to samo: kanciaste, granitowe oblicze Geira stężało, a spokojna, wyćwiczona na kursach kształtowania wizerunku twarz Naessa pozostała niewzruszona.

– Mogliby to panowie skomentować? – zapytała Sara Svenhagen łagodnym tonem.

– Nie możemy komentować kwestii bezpieczeństwa – powiedział Naess.

– To jest przesłuchanie, a nie konferencja prasowa – nie wytrzymała Lena Lindberg. – Komentujecie to, co chcemy, żebyście komentowali.

– Formalnie rzecz biorąc, to nie jest przesłuchanie – powiedział Naess. – Nie widzę tu z nami adwokata.

– Nie ma sensu zagłębiać się teraz w prawnicze niuanse –

wycedziła Svenhagen przez zaciśnięte zęby i posłała ogniste spojrzenie nieostrożnej koleżance. – Powinniśmy jednak na moment zagłębić się w niuanse techniczne – dodała po chwili. – Przed przyjazdem tutaj rozmawiałam z jednym z naszych techników, panowie już go znacie. Wyjaśnił mi szczegółowo, do czego służy tego rodzaju przyrząd. W skrócie chodzi o to, że na kilka sekund zatrzymuje się przepływ prądu, jednocześnie go symulując, żeby komputer myślał, że prąd płynie dalej. Zwykle używa się go przy konserwacji sprzętu komputerowego, choć nie wydaje mi się, żeby tak było w tym przypadku. Wiecie, co myślę?

Geir mruknął coś, czego Naess postanowił nie tłumaczyć. Sara mówiła dalej:

– Wydaje mi się, że komuś udało się znaleźć słabe ogniwo w najbezpieczniejszej zaporze finansowej na świecie. Zrobił to, dostając się do konkretnego kabla w waszej sieci. Kiedy w kablu prąd przestaje płynąć, na krótką chwilę wyłącza się system bezpieczeństwa i wtedy ma się dostęp do wszystkich pieniędzy zgromadzonych w banku. W tym samym momencie w innej części świata ktoś inny przelewa pieniądze na konkretne konto. Dlaczego nie chcecie się przyznać i zgłosić tego na policję? Zaczynamy podejrzewać, że mogliście porwać napastników i w tej chwili ich torturujecie, częściowo po to, żeby odzyskać skradzione pieniądze, a częściowo, żeby zatamować ewentualne przecieki. To drugie jest nawet ważniejsze od pieniędzy – co by było, gdyby świat się dowiedział, że najbezpieczniejsza finansowa zaporą na świecie padła. Ludzie zaczęliby wyciągać z banku oszczędności. Podsumowując, obawiamy się, że zarząd Andelsbanken popełnił znacznie poważniejsze przestępstwo niż ci, którzy na was napadli. Nie wykluczamy morderstwa.

Haavard Naess przyglądał się przez chwilę z uwagą Sarze Svenhagen, po czym obrócił się do Geira. Rozmawiali dialektem. Nie dało się zrozumieć ani jednego słowa. W końcu obrócił się do nich i powiedział:

– Nie mamy zamiaru ani nawet możliwości nikogo torturować ani mordować. To znaczy w hipotetycznej sytuacji,

w której wydarzyłoby się to, o czym mówicie.

– Wasz bank jest zagrożony – powiedziała Lena Lindberg, mierząc ich wzrokiem snajpera. – Przecież to, kurwa, jasne, że ten tutaj Geir przejdzie po trupach, żeby go ratować. Tak samo jak to, że jeśli dalej będziecie zaprzeczać, po wyjściu stąd pójdziemy prosto do inspekcji finansowej. Po drodze powiadomimy o wszystkim media.

Geir wypluł z siebie najdłuższą jak do tej pory tyradę. Naess zmarszczył brwi, a policjantki zastygły w oczekiwaniu na najbardziej dotychczas nieparlamentarną odpowiedź, nawet jeśli ustrojoną w gładkie słówka przez Naessa.

– Geir ma siostrzenicę bardzo do pani podobną, panno Leno Lindberg. Na imię jej Anne. Imponują mu policjantki.

Sara Svenhagen się roześmiała. W jednej chwili Lena straciła impet. Dała się zaskoczyć w tej samej sekundzie, gdy miała oddać śmiertelny strzał.

Geir znów zagulgotał. Naess zwlekał chwilę z tłumaczeniem, w końcu jednak pokiwał głową i powiedział:

– Jeszcze raz, czysto hipotetycznie: czy dałoby się zachować to w tajemnicy przed mediami?

– Jeśli będziecie z nami współpracować, nie ma powodu, żebyśmy z kimkolwiek o tym rozmawiały – powiedziała Sara Svenhagen.

Haavard Naess westchnął.

– Chciałbym, żebyśmy na samym początku ustalili, że nasza rozmowa jest czysto hipotetyczna. Tak bardzo hipotetyczna, że nawet nie trafi do waszego raportu.

Sara Svenhagen wolała nie patrzeć na Lenę Lindberg. Przez chwilę się zastanawiała. W końcu się odezwała:

– Jeśli będziecie z nami szczerzy, wszystko zostanie między nami, nie wyjdzie poza ramy dochodzenia. Rozumiem, że zniknęły wam pieniądze? O której?

– Wczoraj o trzynastej czterdzieści pięć.

Sara skinęła głową. To był test. Dziękuję, Cilla, pomyślała.

– Ile dokładnie?

– Duża suma. Czysto hipotetycznie.

– Hipotetyczny milion?

- Dwadzieścia hipotetycznych milionów.
- O cholera – powiedziała Lena Lindberg.
- Co się stało? – powiedziała Sara Svenhagen.
- Dokładnie to, o czym panie mówiły. Padła zapora i zanim system zdążył zareagować, już działała z powrotem. Wszystko trwało dwie sekundy. Niesamowita precyzja.
- Gdzie trafiły pieniądze?
- Na trudno dostępne szwajcarskie konto bankowe. Gdy wreszcie udało nam się do niego dostać, zniknęły bez śladu. Dosłownie: bez śladu.
- Ktoś wypłacił gotówkę? W Szwajcarii?
- Niewykluczone. Inna możliwość to seria kont. Pieniądze wędrują z konta na konto, z banku do banku po całym świecie. Geir i ja już to kiedyś widzieliśmy. Automatyczna pętla. To wymaga jednak sporych umiejętności informatycznych.
- Co prowadzi nas do sedna całej sprawy. Kto może mieć tego typu umiejętności? I taką wiedzę na temat waszego wewnętrznego systemu zabezpieczeń? Czy mógł to zrobić haker, czy też musiał to być ktoś, kto miał dostęp do waszych poufnych informacji?
- Naprawdę dobry haker poradzi sobie ze wszystkim. Nie musi wiedzieć, któredyś biegną kable. IRL. To było nasze ostatnie pozawirtualne zabezpieczenie.
- IRL?
- *In real life* – powiedział Geir. Nic więcej nie powiedział.
- Sprawdziliśmy już wstępnie potencjalnych podejrzanych – głos przejął Naess. – Pewnie jednak jesteście w tym lepsi?
- Kto to mógł być?
- System powstał w Oslo, ale wydaje mi się, że tam mamy wszystkich pod kontrolą.
- Słuchają się? – wtrąciła Lena Lindberg.
- Geir skinął uprzejmie w jej kierunku i powiedział po szwedzku:
 - Właśnie tak, Lena.
 - Lena zamrugała oczami.
 - Zatrudnialiśmy jednak – mówił dalej Naess – kilka międzynarodowych firm zajmujących się bezpieczeństwem

danych w pozawirtualnych biurach.

– „Pozawirtualny” to ciekawe słowo – zauważyła Sara Svenhagen. – Musimy oczywiście wiedzieć wszystko na temat waszych ludzi zarówno w Oslo, jak i w Sztokholmie. W pozawirtualnym świecie.

Haavard Naess skinął ciężko głową.

– Oczywiście – powiedział. – Dopilnuję, żeby lista trafiła do was jak najszybciej.

Cała czwórka wstała i wymieniła uściski dłoni na pożegnanie. W drzwiach na Karlavägen dobiegł je jeszcze głos Geira:

– Cześć, Lena.

Pomachał w ich stronę jak mała dziewczynka.

Lena Lindberg zrobiła to samo.

*

No dobrze, może nie jak mała dziewczynka, pomyślała Kerstin Holm. Jednak właśnie to było takie fascynujące: można było samemu dopowiedzieć sobie brakujące fragmenty. Że też nigdy wcześniej nie czytała raportów w ten sposób. To było jak akt twórczy. Choć może nie była to najlepsza metoda gaszenia wewnętrznego ognia.

*

Jon Anderson stał na przestronnej klatce schodowej, a jego dłonie poruszały się jak dłonie dyrygenta. Nagle zawisły w powietrzu. Po chwili pokazał na jedne z czworga drzwi.

– To musi być tutaj – powiedział.

Jorge Chavez skrzywił się, ale niczego nie powiedział.

Anderson mówił dalej, rozradowany:

– Naturalnie nie wiemy, jak duże są te mieszkania. Bardzo możliwe, że za tymi wielkimi drzwiami znajduje się skromna kawalerka wciśnięta między wielkie östermalmskie mieszkania. Wydaje mi się jednak, że rozkład powierzchni jest w miarę równomierny. A skoro tak, to jest mieszkanie, którego szukamy.

Chavez westchnął głęboko i przeczytał elegancką tabliczkę z wygrawerowanym napisem „Fischer Security spółka z o.o.”.

Wcisnął dzwonek.

Po chwili drzwi otworzyła wysoka dziewczyna w wieku dwudziestu, dwudziestu pięciu lat. Była wyjątkowo piękna. Ubrana w krótką białą sukienkę, z podpiętymi do góry długimi, jasnymi włosami, których kilka niesfornych kosmyków opadało jej na twarz. Odgarnęła je i spojrzała na nich z ciekawością.

Za naszpikowanymi elektroniką wrotami ukazał się kobiecy ideał Jorge Chaveza. Oczywiście czysto platoniczny. Według tego wzoru zostały stworzone wszystkie kobiety na ziemi, ale żadnej nie udało się osiągnąć ideału.

– Ehkm – odchrząknął Chavez i poleciał w bok przepchnięty przez Andersona nieczułego na tego rodzaju pokusy. Ten wyjął legitymację i wypalił prosto z mostu:

– Jesteśmy z policji. Możemy wejść?

– Naturalnie – odezwał się ideał, zapraszając ich boskim ruchem ręki do środka.

Anderson minął ją bez mrugnięcia okiem, ale Chavez nie spieszył się zbytnio. Zaciągnął się. Jego wyczulony organ węchu wyczuwał prawdziwie boskie zapachy.

Zatrzymali się i spojrzeli przez jedyne otwarte w korytarzu drzwi, przez które widać było dwóch postawnych mężczyzn ubranych w eleganckie, charakterystycznie wybrzuszone marynarki. Siedzieli przy stole, popijając kawę, i rozmawiali o planach na weekend. Przez chwilę poczuli się, jakby zajrzeli do szatni hokeistów. Trudno było o większy kontrast w porównaniu ze stojącą tuż przed nimi eteryczną istotą.

Jednak dla Jona Andersona dziewczyna zdawała się nie istnieć. Wzrok utkwił gdzieś za otwartymi drzwiami. Widać również on znalazł się w przedsionku rajy.

– Co to za firma? – zapytał w końcu Chavez, pokazując na uzbrojonych ochroniarzy w kuchni.

– Fischer Security to firma z branży ochroniarskiej – wyrecytowała recepcjonistka. – Zajmujemy się głównie sprzedażą alarmów i ochroną małych i średnich firm, przede wszystkim w centrach dużych miast.

– Hm – powiedział Jorge Chavez niczym Sherlock Holmes. – Rozumiem.

– W czym możemy pomóc? – zapytała uprzejmie.

– Chcielibyśmy rzucić okiem na jedną z waszych ścian – powiedział Chavez, przywołując się w myślach do porządku. Jestem żonatym, ustatkowanym mężczyzną, pomyślał niewzruszony. No może nie do końca niewzruszony.

– Ścianę?

– Uszkodzoną ścianę.

– Proszę zaczekać, sprawdzę tylko, czy pan dyrektor może rozmawiać – odpowiedziała, nie tracąc magicznej aury.

Zniknęła niczym zjawa za jednymi z zamkniętych drzwi. Pijący kawę wielcy mężczyźni również zaciągnęli za sobą drzwi. Świat idei przez krótką chwilę otworzył się na dwóch zwykłych funkcjonariuszy, a potem równie szybko zniknął.

Tylko w snach Olimp zstępuje do świata śmiertelnych.

– Agencja ochrony – wyszeptał Chavez.

– No proszę – szepnął Anderson.

W miejsce idealnej kobiety pojawił się wysportowany, elegancko ubrany mężczyzna. Zdania na temat korzyści płynących z tej przemiany były podzielone.

– Sven Fischer – przedstawił się, podając dłoń na powitanie.

– Dlaczego interesują panów nasze ściany?

– Sąsiedzi się skarżą – powiedział Chavez, ściskając potężną dłoń.

– Czy byliśmy uciążliwi? – Fischer się uśmiechnął.

Chavez przyjrzał się uważnie eleganckiej twarzy. Nie było na niej nic, co mogłoby świadczyć o tym, że mężczyzna coś ukrywa.

– Rozumiem, że nie doszło u państwa do włamania? – Dziwne sformułowanie, pomyślał Chavez, gdy wypowiadał te słowa.

– Nie – powiedział Fischer z tym samym wyrozumiętym uśmiechem. – Nie mieliśmy włamania. Ani też uszkodzonych ścian.

– Nie miałby pan nic przeciwko, żebyśmy mimo wszystko się rozejrzeli? – zapytał Chavez.

– W żadnym wypadku – odpowiedział dyrektor, robiąc zapraszający gest do środka.

Jon Anderson uniósł znów w górę swoje superczułe sondy, przez chwilę machał nimi w powietrzu, aż w końcu pokazał na jedne z drzwi.

– Możemy wejść tutaj? – zapytał.

– Chwileczkę – powiedział Fischer. – Sprawdzę tylko, czy kolega skończył już spotkanie z potencjalnym klientem. Trudne czasy, lepiej nikogo niepotrzebnie nie wystraszyć.

– Trudne czasy dla branży ochroniarskiej? – zapytał Chavez.

– Trudne czasy są dla kapitalizmu jak tlen – powiedział Fischer tajemniczo i zniknął za drzwiami.

Chavez spojrział na drzwi, a potem na Andersona.

Kapitalizm? – zastanowił się. Kto dziś mówi „kapitalizm”?

Po jakiejś minucie wrócił Sven Fischer i otworzył szeroko drzwi.

– Klient już wyszedł – powiedział. – Zapraszam.

– Umowa podpisana? – zapytał Chavez, kierując się do drzwi, za którymi zniknął Anderson z uniesionymi w górze rękoma.

– Jesteśmy na najlepszej drodze – uśmiechnął się Fischer.

Gdy Chavez wszedł do pokoju, Jon Anderson stał już przyklejony do ściany, do której doprowadziły go jego wrażliwe dłonie. Sprawiała wrażenie nienaruszonej.

Za biurkiem siedział mężczyzna, który wyglądał na wierną kopię Fischera. Na widok Chaveza skinął głową. Chavez pociągnął ostrożnie nosem. Anderson przyłożył rozpostarte dłonie do nienagannie pobielonej ściany.

– To musi być tu – powiedział.

– I co, nic? – powiedział Chavez i rozejrzał się po urządzonym ze smakiem pokoju.

– Nic – powiedział Anderson. – Nic a nic.

Chavez znów pociągnął nosem, a potem obrócił się do siedzących za nim mężczyzn.

– Co się działo, kiedy wróciliście wczoraj z ewakuacji? – zapytał.

Fischer wzruszył ramionami, drugi nawet nie zareagował.

– Nic – powiedział Fischer. – Straciliśmy tylko masę czasu i dwa spotkania przeznaczone na negocjacje kontraktowe.

Chavez minął ich i wszedł do pokoju obok. Dwóch mężczyzn pochylonych nad kieliszkami whisky spojrzęło na niego z zaskoczeniem zza biurka. Podszedł i dotknął ściany. Potem wyszedł z pokoju, pokazując na szklanki z whisky:

– Cragganmore – powiedział i zniknął.

Powtórzył całą procedurę w kolejnym pokoju, w którym dla odmiany nie było ani mężczyzn, ani whisky, wrócił do pokoju z Jonem Andersonem przyklejonym do ściany, położył rękę – na ścianie, nie na Andersonie – i pociągnął głośno nosem.

– Czy mi się zdaje, czy tu pachnie świeżą farbą?

Jon Anderson pociągnął nosem i spojrzął na swojego hiperaktywnego kolegę.

– Ja... – zdążył tylko powiedzieć, ale Chavez mu przerwał:

– Poza tym struktura tej farby jest inna niż w pokoju obok. Wydaje mi się, że naprawiliście szkodę. Mieliście włamanie w czasie ewakuacji, a potem zatarliście ślady. Dlaczego? Nie próbujcie oszukać policji, szkoda czasu na procesy.

Dyrektor generalny Fischer w Fischer Security spółka z o.o. sprawiał wrażenie zaskoczonego. Chavez wybrał numer na swoim telefonie komórkowym.

– Domyślam się, jaki to wstyd dla agencji ochrony paść ofiarą włamania – powiedział wprost. – Zwłaszcza że pewnie sami używacie swoich niezawodnych alarmów. Rozumiem, że nie chcieliście, żeby to wyszło na jaw. Nie wiem tylko, czy to przekona sąd.

Gdy w komórce rozległ się szmer, Chavez skierował usta w stronę słuchawki i odezwał się głośno i wyraźnie:

– Brunte! Teściuniu! Skończyłeś już zamiatać podłogę w banku? No to świetnie. Co powiesz na jeszcze jedno zadanie po sąsiedzku? Tak, teraz. – Krótka przerwa. – Zburzyć jedną ściankę. Skeppargatan sześćdziesiąt dwa, drugie piętro, jaki tu jest kod?

Sven Fischer podał kod jak w transie. Jorge Chavez powtórzył go do słuchawki, rozłączył się i kiwnął pouczająco głową w kierunku Jona Andersona, myśląc:

Tak to się robi.

Na tym etapie Kerstin Holm czuła, jak rozpiera ją podniecenie. Lektura nie podziałała na nią odprężająco. Była rozpalona jak nigdy wcześniej i zaczynała powoli rozumieć, co takiego łączy siłę tworzenia z pożądaniem. O tym, że ostatni raport będzie szczególnie trudny, wiedziała od samego początku.

*

Paul Hjelm siedział i patrzył przez okno na Lidingövägen i dalej, na trawę wschodzącą wokół boiska na Östermalmie. W powietrzu czuć było wiosnę. Pewnie było to tylko złudzenie – prognozy pogody ostrzegały przed nocnymi opadami śniegu z deszczem – ale czym byłoby życie pozbawione złudzeń?

Razem z Niklasem Grundströmem siedzieli na terenie nietypowego zespołu złożonego ze stadionu, konserwatorium muzycznego, szkoły sportowej, kortów tenisowych, Wyższej Szkoły Obrony Kraju, regimentu konnego, szkoły im. Olaus Petriego i Kwatery Głównej Sił Zbrojnych. Gdzieś tu znajdowała się również siedziba Służby Wywiadu Wojskowego, chociaż Paul Hjelm nie wiedział gdzie. Siedzieli w kawiarni w najbardziej oficjalnej części Kwatery Głównej Sił Zbrojnych i czekali.

Grundström jak zwykle nie chciał zdradzić, kim był jego informator w SWW.

Czekali. Kwadrans po ustalonym czasie Hjelm zaczął nabierać podejrzeń. Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną. Nigdy nie był dobrym zwiadowcą.

Niklas Grundström miał natomiast bogate doświadczenie jako śledczy do spraw narkotykowych. Bez najmniejszego wysiłku wchodził w stan bliski wegetacji. Hjelm widział to już kiedyś, wciąż jednak nie potrafił zrozumieć, jak to jest możliwe.

– Jak ty to robisz? – zapytał zirytowany.

Grundström spojrział na niego jak z wnętrza czarnej dziury.

– Kwestia treningu.

– W narkotykowym?

– Nie – powiedział Grundström. – To dawne czasy.

Potem powrócił do stadium rośliny.

– O czym ty mówisz? – powiedział Hjelm, nie odpuszczając.

– Miałem zostać wojskowym – powiedział Grundström z wnętrza łądygi. – Tłumaczenia i komandosi morscy. Przeszedłem najcięższy możliwy trening wojskowy. To był nasz sposób na przeżycie. Mieliśmy takie powiedzenie, nie pamiętam już, skąd się wzięło...

Drzwi do kawiarni otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł szpakowaty mężczyzna w garniturze z licznymi medalami na klapie. Przeszedł dostojnym krokiem przez pokój, a następnie uściśnął serdecznie dyrektora Biura Spraw Wewnętrznych. Grundström wyglądał, jakby mu zabrakło powietrza.

– Stary łosiu! – zakrzyknął udekorowany gwiazdami mężczyzna, wymierzył z pięści w splot słoneczny Grundströma i zmienił natychmiast ton, podając dłoń na powitanie Hjelma.

– Generał brygady Svärd⁴ – przedstawił się. – Proszę sobie darować żarty.

– Hjelm – powiedział Hjelm. – Prosiłbym o to samo.

Generał się roześmiał, usiadł na krześle, po czym natychmiast zmienił wyraz twarzy.

– Dobrze wiesz, Niklas, że nie udzielamy nikomu informacji – powiedział z powagą. – Skąd więc ta wizyta? BSW nie ma z nami nic wspólnego.

– Dobrze wiesz, po co tu jestem, Snuffe – powiedział Grundström głosem należącym do młodego chłopaka, którego Hjelm nigdy wcześniej nie słyszał.

Hjelm westchnął bezgłośnie. Czekająca go niezła przeprawa. Dawne ksywki z wojska. Sam był tylko mizernym poborowym z kategorią D, a do szkoły policyjnej dostał się wyłącznie dlatego, że w jego roczniku akurat brakowało kandydatów. Zdarza się.

Svärd spojrzał uważnie na dawnego kolegę z wojska (bo chyba stąd się znali? Hjelm nie był pewien, bo Svärd wyglądał na o dwadzieścia lat starszego od wysportowanego Grundströma) i powiedział:

4 Svärd (szw.) – miecz, hjälm (szw.) – hełm.

– A nawet jeśli?

Grundström wzruszył ramionami, zmienił się jego język ciała. To był dziwny widok. Znów był wysportowanym młodym chłopakiem, który z trudem próbuje się odnaleźć w silniejszej grupie. Tym bardziej że wcześniej nie musiał.

– Widziałeś zdjęcia – powiedział.

– Masz na myśli tych dwóch napastników? – zapytał Svärd.

– Co myślisz, Snuffe?

– Co chcesz usłyszeć? – zapytał generał brygady Snuffe Svärd i pokręcił powoli głową. – Nie pasują do siebie.

– Dlaczego tak myślisz?

– Nie jestem jednym z twoich ludzi, którzy posuwają nieletnie prostytutki ze wschodniej Europy na tylnym siedzeniu radiowozu.

Ups, pomyślał Hjelm, ale nic nie powiedział. Grundström nie wydawał się nawet zaskoczony.

– Daj spokój – powiedział tylko. – To wszystko jest poufne.

Svärd pochylił się nad lepkiem stolikiem i powiedział, cedząc każde słowo:

– Jak sądzisz, ilu ludzi na świecie wie, że tu jesteś? Ilu się nad tym zastanawia? Ile śladów zostawiłeś w drodze tutaj? Tyle w temacie poufności.

Grundström chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Wyglądało, jakby się nad czymś zastanawiał.

Svärd dodał po chwili:

– Nasza rozmowa ma charakter oficjalny. Inaczej musielibyśmy zastosować całkiem inną strategię.

– Okej – powiedział Grundström. – Kto o tym wie?

– Jeśli jest tak, jak sądzisz, że w sprawę zamieszane są służby bezpieczeństwa, to naturalnie już o tym wiedzą. Już sam fakt, że tu przyszedłeś, demaskuje waszą ściemę z tymi dwoma napastnikami z różnych parafii. Wiedzą, że się domyślacie.

– A tak jest?

– Pytasz, czy są w to zamieszane służby bezpieczeństwa?

– Tak.

– Proszę, jaki się nagle zrobiłeś ostrożny – powiedział Svärd i odchylił się do tyłu.

– Serio? – powiedział Grundström, prostując się nagle. – Czyli wiedzieliście, że napastnicy są nie do pary?

– Zaczynasz się rozkręcać. Brawo, Nixon. Dajesz.

– Mów, Snuffe.

– Rosjanina nie znamy – powiedział Svärd z naciskiem.

Grundström obrócił się na krótką chwilę w stronę Hjelma, jakby nagle zdał sobie sprawę z jego obecności. Wymienili się spojrzeniami.

– Rosjanin – powiedział Grundström.

– Znów się zrobiłeś ostrożny, Nixon. Spodziewasz się, że wyjawię ci całą masę tajemnic państwowych, ale sam nic mi nie dajesz. Co tam się stało? Jak to możliwe, że napastnikom udało się uciec?

– Zostali uwolnieni – powiedział Grundström.

– Albo porwani – powiedział Hjelm.

Svärd spojrzał na niego, jakby był jakimś ciałem obcym.

– Jesteście z BSW – stwierdził po chwili. – Porwał ich policjant?

– Fałszywy policjant – powiedział Grundström.

– Nie mów, że to jest...

– Tak, to on. Ten drugi. Bo rozumiem, że mówiąc Rosjanin, miałeś na myśli tego pierwszego. Tego z szeroką twarzą.

– Co za stylowa rozszada – ucieszył się Svärd i wziął do ręki zdjęcia, które podał mu Grundström. – Twojego autorstwa, Nixon?

Grundström wzruszył ramionami. Z dumą. Jakby wreszcie pozwolono mu dołączyć do paczki.

– Macie dwóch zamaskowanych napastników w banku, ale tylko jednemu z nich zrobiliście zdjęcie bez kominiarki – podsumował Svärd, potakując. – Macie też zdjęcie tego, kto ich porwał, więc wstawiliście jego zdjęcie zamiast twarzy zamaskowanego napastnika. W ten sposób mogliście upublicznić zdjęcie fałszywego policjanta, nie wspominając o tym, kim on jest – i nie musieliście przyznawać się do wtopy. Moje gratulacje. Nie rozumiem tylko, kurwa, jak mogliście dać sobie zwinąć napastników sprzed nosa? Jak to możliwe?

– Też się nad tym zastanawiamy – powiedział Grundström.

– I dlatego przyszlście do mnie – powiedział Svärd. – A ja wam mówię, że nie znamy tego Rosjanina.

– I tym samym mówisz, że znasz tego przebranego za policjanta. Który nie jest Rosjaninem?

Svärd odchylił się znów na siermiężnym kuchennym krześle i podniósł wzrok na jeszcze bardziej siermiężny sufit. Wszystko wskazywało na to, że w jego głowie zachodził jakiś proces myślowy.

– Nie Rosjanin, ale służba wywiadowcza? – nie odpuszczał Grundström.

– Nigdy nie rozumiałem, dlaczego mu nie usunęli tego znamienia – powiedział generał brygady Svärd. – Wygląda, kurwa, jak Jutlandia.

– Co próbujesz powiedzieć?

– Jest czysty, panowie – powiedział Svärd, wstając. – Zapomnijcie o nim.

– Czysty?

– Przyjaciel.

– Przyjaciel?! – krzyknął Hjelm. – Wasz przyjaciel próbował wczoraj w nocy zamordować moją żonę. Złamałem mu rękę.

Svärd obrócił się w kierunku drzwi.

– W tym świecie słowo „przyjaźń” ma trochę inne znaczenie – powiedział.

Grundström ruszył za nim. Hjelm siedział jak skamieniały, w końcu wstał, zapierając się dłońmi o blat stolika.

– Zaczekaj, kurwa! – zawołał. – O czym my tu w ogóle mówimy? To Amerykanin?

– Nie oczekuj, że odpowiem na tak zadane pytanie – powiedział Svärd i otworzył drzwi cywilom.

Grundström zatrzymał się w drzwiach.

– Co chciałeś powiedzieć, Snuffe, mówiąc, że nagle zrobiłem się ostrożny? Kiedy zapytałem, czy są w to zamieszane służby bezpieczeństwa?

– Przecież wiesz – powiedział Svärd.

– Niby co wiem?

– Przecież to jest kwartał Gnistan, do diabła. Nie wybrali tego miejsca przez przypadek. Dlatego od początku bardzo uważnie

przyglądaliśmy się sytuacji z zakładnikami.

– Nic mi to nie mówi – powiedział Grundström.

– Nie żartuj. Od czego macie, kurwa, Säpo?

– Mów wreszcie.

– Przecież chyba wszyscy wiedzą, że Stasi miało tam dziupłę – powiedział Svärd.

– Stasi? NRD?

– Przez to mieszkanie przeszły tłumy szpiegów. Mieliśmy je cały czas pod obserwacją. Skeppargatan sześćdziesiąt dwa, drugie piętro. Część agentów została na miejscu po upadku muru i założyła tam agencję ochrony. Fischer Security AB. Dyrektorem jest były agent, Sven Fischer. Działają całkowicie legalnie.

– Czysty – powiedział Paul Hjelm.

Po przynajmniej połowicznie serdecznym pożegnaniu obaj śledczy oddalili się od generała brygady. Kiedy przeszli kilka metrów korytarzem, Niklas Grundström spojrzął na Paula Hjelma.

– Byłą żonę – powiedział z naciskiem.

– Co? – zdziwił się Hjelm.

– Powiedziałaś „żonę”. Chciałaś powiedzieć „byłą żonę”.

Paul Hjelm nie odpowiedział.

– Jest najlepszym dowódcą, jakiego kiedykolwiek miałem – powiedział Grundström.

– Snuffe i Nixon – syknął Hjelm.

– A wciąż mnie zaskakuje...

– Co tu się, kurwa, dzieje? – wybuchnął Hjelm. – Rosjanie, Amerykanie i Niemcy Wschodnie? Mamy zimną wojnę?

– Musimy się nad tym zastanowić – powiedział Grundström.

– Co to było za powiedzenie? – zapytał nagle Hjelm.

– Które?

– Powiedziałaś, że mieliście powiedzenie na określenie tego stanu wegetacji, który pomagał wam przetrwać w trudnych warunkach.

– A, to – powiedział Grundström i zaśmiał się pod nosem. – To nic takiego.

– Nieważne – powiedział Hjelm. – Co to było?

– Ziarenko pod lodem – powiedział Niklas Grundström.

*

Kerstin Holm drżała na całym ciele. Był środek nocy, powinna dawno spać, za oknem zaczął padać śnieg, który połyskiwał na tle czarnego jak smoła podwórka przy Regeringsgatan. Delikatne płatki roztopiały się powoli, tworząc kałuże.

Musiała zebrać myśli. Jutro czekał ją ciężki dzień. To znaczy dzisiaj.

Rzeczywiście, niezłe bagno.

Gdzie teraz jesteś, Jan-Olov?

Stworzyła sobie własny obraz zdarzeń. Raporty nabierały zupełnie innego charakteru, gdy czytało się je w ten sposób. Zamiast odbierać je wprost, przy odrobinie wysiłku można było tchnąć w nie nowe życie, dodać im mocy.

Chyba że ktoś potrzebował zimnego prysznica.

Ale nie ona.

Płonęła w środku. Właśnie tego chciała.

Wstała, pogodzona z drżeniem swojego ciała. Podeszła do komody, wyciągnęła dolną szufladę i wyszukała po omacku niewielkie opakowanie. Otworzyła. W środku leżał wibrator.

Spojrzała na syna śpiącego w łóżku, na wibrator i pomyślała:
Czy tak miało to wyglądać?

PIĄTEK, 2 PAŹDZIERNIKA 1942 R., GODZ. 22.12

Byłoby głupotą umierać z powodu czyjejś pomyłki, co do tego wszyscy jesteśmy zgodni. Dlatego czekamy na potwierdzenie, czy rzeczywiście mamy realizować naszą szaloną misję. Jeśli o coś trudno w Stalingradzie, to właśnie o to; zdążyliśmy się o tym gorzko przekonać.

Dzięki temu mam kilka minut dla siebie, które spędzam w słabym świetle cudem zdobytej świeczki. Ale pozostali są poirytowani, uważają, że w ten sposób siły uderzeniowe będą mieć więcej czasu, by się do nas dobrać. Stalingradzki Uniwersytet Walk Ulicznych, jak o sobie mówią. Ta nazwa nie wywołuje we mnie negatywnych skojarzeń – na słowo „uniwersytet” od razu robi mi się ciepło na sercu.

Minęło już tyle czasu. Dni ciągną się latami...

Teraz jest najlepszy czas na pisanie. Za chwilę trzeba będzie stanąć do walki i zginąć. Nie rozpoznaję już ani jednej twarzy w grupie, a mimo to wciąż nosimy tę samą nazwę. To musi oznaczać, że jako jedyny z pierwotnego składu przeżyłem. Wszyscy inni zginęli. Wszyscy. Aha.

Nawet Jochen nie był z nami od samego początku. Był lotnikiem, który spadł z wysoka, co prawda nie jednym z tych eleganckich pilotów, ale zwykłym bombardierem, własnymi rękoma zrzucającym bomby. Raz w sztukasie puściły mu nerwy, rozplakał się. Karą nie było rozstrzelanie ani sąd wojskowy – karą byliśmy my. Najmniejsi z najmniejszych. Chodził między nami jak upadły anioł. Przejście z abstrakcyjnej, odległej walki w chmurach do poziomu konkretnego, ponizenia, upodlenia – to było zbyt wiele. Zbyt wiele dla jednego człowieka. Może z wyjątkiem generała Rodimcewa.

Jochen zginął, wcześniej jednak podarował mi opowieść o tym, jak wygląda miasto widziane z góry. Wracam do tego myślni, gdy tylko mogę.

Trzydzieści kilometrów nad ziemią słońce zasnuwa czarna chmura. Palą się cysterny z paliwem. Bez przerwy. Trzydzieści kilometrów najczarniejszego dymu z palącej się ropy naftowej. Stalingrad tonie w tym, o co toczy się cała ta kampania: w ropie. Czarne paliwa kopalne zakrywają słońce, jakby Bóg, w którego nie wierzę, zasłonił jedno oko. Jakby chciał oszczędzić sobie widoku świata, który sam pali się na stosie. Mimo wszystko potrzeba było sporo czasu, żeby go stworzyć.

Samoloty nadlatują z północnego zachodu i muszą obniżyć lot poniżej pułapu czarnej chmury dymu, żeby móc namierzyć cele. Lecą otoczone czymś, co z zewnątrz wygląda na noworoczne fajerwerki, ale co z wnętrza samolotu okazuje się czymś zupełnie innym. Jochen opisywał to jako nieustającą gwieźdną eksplozję. Na niebie roi się od rakiet przeciwlotniczych, a znad drugiego brzegu Wołgi coraz częściej nadlatują samoloty U2. Są materializacją strachu. Najpierw w oddali słychać dźwięk, który przypomina odgłos maszyny do szycia, potem nagle robi się cicho. Czas staje w miejscu. Próżnia dźwiękowa. Piloci U2 wyłączają silniki i szybują w kierunku celu.

Gdy już się zejdzie poniżej czarnej chmury dymu, oczom ukazuje się rozmazana, ciemna mieszanina ognia i ruin. Muzeum historii naturalnej wypełnione szkieletami dziwacznych form życia, trawionych przez płomienie. Są takie malutkie, mówił Jochen, jak płonące zapalki. Teraz sztuka polega na tym, żeby zaatakować właściwy cel. Wywieszamy czerwone flagi z czarną swastyką na białym tle, żeby nie spadły na nas bomby z naszych samolotów. Tym samym jednak stajemy się łatwym celem dla U2. Mają nas jak na dłoni.

Jochen zginął w kanale. Weszliśmy w bezpośrednie starcie z grupą uderzeniową u wyjścia z jednego z tych kanałów, którymi nas podchodzą, wyposażeni w miotacze ognia i laski dynamitu. Jego głowa rozpadła się od uderzenia saperką. Jedynym ukojeniem były łzy, które popłynęły z jego oczu. Widać umarli też płaczą.

Wciąż nie potrafię zrozumieć, jak z ordynansa przemieniłem się w najpodlejszego piechura w tej wojnie szczurów. Pewnie byłem nim od samego początku. Tylko że wtedy miałem jeszcze jakieś złudzenia. Teraz już nie mam.

Od ostatniego razu minęły zaledwie dwa tygodnie, ale czuję, jakby to była wieczność. Czyjaś inna ręka trzyma pióro. Ta ręka zabiła, zabija cały czas.

Trzynastego września weszliśmy do warczącego miasta. Tak jak się domyślałem, warczenie szybko zamieniło się w ryk. Nikt nie wyjdzie stąd ze zdrowym słuchem, to niemożliwe. Jeśli komuś w ogóle uda się przeżyć, będzie głuchy przez resztę życia.

Mróz nadszedł już po pierwszym tygodniu. Połowa z nas nosiła fragmenty rosyjskiego umundurowania, zdjęte z ciał naszych ofiar. Rosjanie noszą nasze. Powoli upodabniamy się do siebie.

Z tą tylko różnicą, że oni są twardsi.

Z początku próbowałem być jak najbardziej na bieżąco z przebiegiem walk; gdy jeszcze wierzyłem w ich pomyślny rozwój, w zmianę. Być może było to moje ostatnie złudzenie.

Walki od początku toczyły się przede wszystkim o pięć kluczowych miejsc. Największą bitwę stoczyliśmy o wzgórze. Ma nazwę jak z baśni: Kurhan Mamaja, dawny kurhan tatarski. Pelen trupów, na wierzchu i pod ziemią. Śmierć ułożona warstwami. Potem była jeszcze bitwa o elewator zbożowy, ogromny zbiornik na zboże, który właśnie przestał płonąć. Osiemnastego września najwyżej pięćdziesięciu obrońców płonącego kolosa odparło dziesięć ataków. Uczestniczyłem w nieudanym szturmie. Dwa dni później nasze czołgi wyeliminowały oba pozostałe Sowietom karabiny maszynowe Maksim. Wbiegliśmy w zasłonę dymu i strzelaliśmy w kierunku dźwięku. Wzrok był bezużyteczny. To było jak piekło na ziemi.

Jest ich wiele. Teraz już to wiem. Jest wiele piekieł na ziemi.

Mają tu plac Czerwony – ciekaw jestem, czy tak jest w każdym rosyjskim mieście. Tu rozegrała się walka o dom handlowy Uniwermag, w którym znajdował się oddział

rosyjskiego sztabu. Ilu ludzi zginęło za ten śmieszny sklep?

A potem była przystań. Przekraczają Wołgę w trzech miejscach. Przerazający widok. Hordy, całe roje nadciągające ze wschodu, niekończący się strumień mięsa armatniego płynący na zachód. Wzięliśmy na cel środkową przystań. Zatopiliśmy wszystkie łodzie. Na krótką chwilę zatrzymaliśmy rzekę, ale na dłuższą metę to niemożliwe. Skąd oni się biorą? Jak wielki jest ten kraj? Czy rodzą się bezpośrednio z ziemi? Są produkowani w fabrykach? Fabrykach wytwarzających mięso armatnie? Zabijamy i zabijamy. Oni też zabijają i zabijają.

Potem był Dworzec Główny. W ciągu pięciu dni zmienił gospodarza piętnaście razy. Przechodził z rąk do rąk, aż nie zostały z niego nawet ruiny. W końcu zdobyliśmy ruiny ruin. Nie wiem, do czego miałyby nam teraz służyć...

A potem walka o ten przeklęty kanał. Wąwóz Carycy. Czujkow miał tam kwaterę główną. Bunkier Carycy. Zajęliśmy go, ale oni przenieśli po prostu siedzibę główną na drugą stronę Wołgi. Ta strona rzeki wciąż jest dla nas jak miraż. Pewnie nigdy tam nie dotrzemy.

Potem straciłem ogłąd całości – od tego momentu minęło zaledwie kilka dni. Teraz straciłem też poczucie czasu. Musiałem się pytać, jaki jest dziś dzień i godzina. Ktoś powiedział: drugi października, dwudziesta druga dwanaście. Informacje z drugiej ręki. Ja sam widzę już tylko wroga, tego, który jest najbliżej mnie, tego, którego muszę zabić, zanim on – albo ona – zabije mnie. Tak, zabijałem kobiety. Wprawilem się w zabijaniu. Kobiety i dzieci. Zabijam wszystkich, którzy zdają się we mnie celować. Wszystkich innych również. Stałem się chodzącym celownikiem optycznym z krwi i kości. Gdybym miał siłę, zapytałbym sam siebie, jak do tego, kurwa, doszło.

Wydaje mi się, że jesteśmy swego rodzaju elitarną jednostką. Jeszcze kilka tygodni temu wiedziałbym dokładnie, gdzie jesteśmy. Wchodzimy w ruiny i do ścieków i czyścimy je. To my stajemy oko w oko ze snajperami i grupami uderzeniowymi. To nas zabija się saperkami.

A ja jestem weteranem. Tak twierdzą inni, nie ja. Szybko poszło. Gdy naprawdę się skoncentruję, potrafię dostrzec, że patrzą na mnie z podziwem. Podobno prowadzą statystyki, ilu już zabiłem. Podobno porównują mnie z Zajcewem. Podobno robią zakłady.

Jak na społeczeństwo kolektywne mają sporo pojedynczych bohaterów. Wojna w pewnym sensie zmieniła się wraz z przybyciem generała Aleksandra Rodimcewa. Trzydzieści siedem lat, prawdziwy wojenny geniusz, jeśli nie ma w tym określeniu wewnętrznej sprzeczności. Rosjanom wzrosło morale. Jeśli również w tym nie ma sprzeczności.

I jeszcze Wasilij Grigorjewicz Zajcew. Król strzelców wyborowych. „Chroń swoją broń, tak jak chronisz swoje oczy”, jak to mówią. Mówią też, że niszczy nasze pozycje snajperskie, montując swój celownik na granatnikach i miotając granaty prosto w wąskie otwory strzelnicze. Być może to tylko mit. Ale gdy go zobaczyłem, nabrałem wątpliwości.

Gdy ten pierwszy i jedyny raz zobaczyłem Zajcewa, moje dwa życia połączyły się w jedno. Było to całkiem niedawno. Wtedy znów wziąłem pióro do ręki. Pióro czy miecz, oto jest pytanie.

Odwieczne pytanie.

Wydawało mi się, że zacząłem żyć innym życiem. Stałem się kimś innym. Tak łatwo zdjąć z człowieka wszystkie wierzchnie warstwy. Kultura, wiedza, wykształcenie to tylko impregnat. Coś, czym zamalowuje się prawdziwe ja. Chciałbym wierzyć, że tak nie jest.

Przez jakieś pół sekundy miałem go na muszce, ale obraz został zakłócony, zaburzony przez stojącego na drugim planie człowieka. To było bardzo dziwne. Rozpoznałem go. Człowiek z poprzedniego życia. Od razu przypomniałem sobie jego nazwisko. Maksim Kuwaldin. Spotkaliśmy się. Tylko gdzie?

Zajcew zniknął mi z celownika. Nigdy nie był dłużej niż dwie sekundy w tym samym miejscu. Podstawowa zasada. Maksim też zniknął.

Ale nie z mojej świadomości. Twarz o ostrych rysach – i

nazwisko, które od razu powróciło. Skąd?

Skąd miałbym znać Rosjanina? Obywatela Związku Radzieckiego? Bolszewika?

Dawniej tego rodzaju określenia nie miały większego znaczenia. I nagle sobie przypomniałem. Kongres naukowy w Zurychu dwa lata przed wojną. Był tam. Doktor Maksim Kuwaldin. Wyniki naszych badań były zbieżne. Rozmawialiśmy, towarzyszył nam oficjalny sowiecki tłumacz. To było na typowo akademickim cocktail party w zuryskim ratuszu, a tłumacz przerywał naszą rozmowę zawsze, gdy dochodziliśmy do czegoś naprawdę ważnego. Zapamiętałem tajemniczy uśmiech Kuwaldina, jak gdyby wiedział, że nigdy w życiu nie będzie miał możliwości porozmawiania o niczym istotnym. Jak gdyby żył z tą świadomością na co dzień.

Kiedy musieliśmy przerwać rozmowę, kiedy tłumacz się odwrócił i odszedł, Kuwaldin złapał mnie za rękaw i wyszeptał łamanym niemieckim: „To nie jest jedyne rozwiązanie”.

Nigdy nie zrozumiałem, o co mu chodziło. Może zrozumiem to teraz.

Właśnie teraz, kiedy zamieniłem się w zwierzę, drapieżnika, pojawił się obraz z przeszłości i przypomniał mi, kim naprawdę jestem.

Nasz goniec wraca do ruiny, w której siedzimy. Zaczęły się chłody. Idzie mróz. Goniec rozmawia z naszym podoficerem. Jego język ciała mówi, że dostaliśmy potwierdzenie. Pora umierać.

Przez ostatnie tygodnie zabijałem bez opamiętania. I nagle się ocknąłem. Bo zobaczyłem ducha z przeszłości. W tym musi być jakiś sens. Czy wybrałeś mnie, Boże, w którego nie wierzę, bo tak szybko stałem się najgorszym grzesznikiem w tym miejscu, które słusznie topisz w dymie z ropy, o którą się bijemy? Czy wybrałeś mnie, żebym nie zginął jako diabeł? Nie wydaje mi się, żebym miał umrzeć. Już w to nie wierzę. W tym musi być jakiś sens. Zostanę wystawiony na próbę.

Wychodzimy z naszej ruiny i idziemy do następnej. Wiemy,

czego się spodziewać. Domyślam się, że jest tam Zajcew. Czeka na mnie cierpliwie z podniesionym celownikiem, a za jego plecami chowa się były docent chemii Maksim Kuwaldin. Może liczy krzywe balistyczne. Może bada siłę wiatru. Z pewnością jednak nie ratuje już świata.

Może rozpozna mnie w chwili, gdy znajdę się na muszce Zajcewa. Może położy dłoń na jego ramieniu i powie: „Zostaw go”.

Niby dlaczego miałby to zrobić?

Już czas. Pióro w dół, miecz w górę.

Słyszę Maksima Kuwaldina, który łamanym niemieckim szepcze:

„To nie jest jedyne rozwiązanie”.

Wciąż nie wiem, co ma na myśli.

W SZTOKHOLMIE WCIAŻ PADAŁ ŚNIEG. Od kiedy sprawy odśnieżania przeszły w prywatne ręce, na ulicach zapanował prawdziwy chaos. Nikt już nawet nie udawał, że wie, kto za co odpowiada. Dzięki lukom w przepisach właściciele nieruchomości mogli czekać z odśnieżaniem dachów do chwili, aż sople zaczną spadać na głowy idących do szkoły dzieci. Z powodu czegoś tak niecodziennego jak oblodzenie torów nie działało metro ani kolejka podmiejska.

Każdego roku, nawet gorzej: każdego zimowego tygodnia śnieg był dla wszystkich zaskoczeniem.

Na domiar złego Viggo Norlander dostał mandat za złe parkowanie, i to w czasie, gdy brnął przez zasy w drodze z parkomatu, choć bardziej przypominało to jazdę sankami na biegun północny. Wrócił z kwitkiem na prawie sto koron w rękę i znalazł mandat za wycieraczką. Po straży miejskiej nie było ani śladu. Dosłownie. System parkowania również został sprywatyzowany.

W akcji rozpaczy próbował sprzedać niepotrzebny kwit starszej pani z małym pieskiem, która mijała go, tonąc w głębokich, szaroburych zwałach śniegu. W odpowiedzi zamierzyła się na niego torebką.

Innymi słowy, nie był w najlepszym nastroju, gdy tego marcowego ranka wchodził do centrum dowodzenia. Zresztą nie tylko on. Włączony telewizor bez przerwy nadawał doniesienia o nocnych nalotach na Bagdad i wytrwałym marszu oddziałów amerykańskich od południowej granicy Iraku.

Wydawało mu się, że nikt nie zauważył jego spóźnienia, ale gdy tylko usiadł na swoim krześle, telewizor zgasł.

– Dobrze cię widzieć, Viggo – odezwała się Kerstin Holm, odkładając pilota.

– Dostałem mandat – skrzywił się Viggo Norlander. – W drodze z parkomatu.

– Jest sobota – powiedziała Lena Lindberg. – W soboty nie dają mandatów.

Norlander zeszytniał i patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Ale... – zaczął.

– Zajmujemy się tą sprawą – powiedział Niklas Grundström.

– Falszywe mandaty za parkowanie. Podobno to dochodowy biznes.

– Co by oznaczało – powiedział Arto Söderstedt – że zapłaciłeś za parkowanie w poniedziałek.

– Szkoda tylko, że wyrzuciłeś kwitek – powiedział Paul Hjelm.

– Wcześniej jednak próbowałeś sprzedać go staruszce, która raczej nie jeździ samochodem – dokończył Jorge Chavez.

Szczęka Norlandera opadła o dziesięć centymetrów.

– Widziałem cię – wyjaśnił Chavez.

– Nie najlepiej się zaczyna ta sobota – przerwała Kerstin Holm nieco podniesionym, oficjalnym tonem. – Jest dwudziesty drugi marca. Nie spotykamy się tu bez powodu i niestety wygląda na to, że ten dzień tak szybko się nie skończy. Zabrnęliśmy w niezłe bagno.

– To twoja profesjonalna ocena? – zapytał Arto Söderstedt. – Bagno?

– Bardziej profesjonalna być nie może – powiedziała Kerstin Holm. – Cytuję zresztą słowa wysokiego rangą funkcjonariusza. Spędziłam stymulującą noc na lekturze waszych raportów, za chwilę zrobimy sobie ich podsumowanie. Najpierw jednak chciałabym was poinformować, że otrzymaliśmy kolejny raport od nieocenionego Brynolfa Svenhagena, tym razem na temat zniszczonej ściany na Skeppargatan. Na nasze biurko trafiło również kilka kolejnych zdarzeń z minionej nocy. Możliwe, że coś je łączy z naszą sprawą. Pierwsze to morderstwo. Z raportu Komendy Wojewódzkiej wynika, że chodzi tu o dosyć brutalne morderstwo starszego Anglika w jego domu przy Gärdet. Nie byłoby powodu, żeby go łączyć z naszą sprawą, gdyby nie to, że w przeszłości był agentem. MI6. Sam się ujawnił, a o swojej przeszłości napisał nawet książkę. Nazywał się Robert

Andrews. Wygląda na to, że był torturowany. Kolejne to dosyć niejasne zeznania świadka z archipelagu na Melarze. Miejsce nazywa się Färingsö w gminie Ekerö. Cierpiący na bezsenność spacerowicz z psem zauważył wyraźne błyski w położonym na uboczu domu, które – jak twierdzi – były strzałami z broni maszynowej. To dawny członek Ligi Obrony Kraju. Fakt, że nie słyszał żadnych odgłosów strzałów, może oznaczać, że użyto tłumika. A tłumik na pistolecie maszynowym to mimo wszystko coś, co powinno zwrócić naszą uwagę. Z raportem Brynolfa jeszcze chwilę zaczekam.

Czuła, że jej się przyglądają. Z podziwem, chciałaby pomyśleć, ale pewnie jednak chodziło o to, że mają kaca.

– Jakies komentarze?

– Czy dom został już sprawdzony? – zapytał Grundström, który grzecznie usiadł z resztą drużyny, choć był najwyższy stopniem.

– Pomyślałam, że wy to zrobicie – powiedziała Holm, głównie po to, żeby sprawdzić, jak daleko może się posunąć.

– Okej – powiedział Grundström. – Kto jest właścicielem?

– Niejaki Nils Ingvarsson. Podobno wyjechał na wakacje do Brazylii. Nieosiągalny.

– Hm – zastanowił się Grundström.

– Podsumujmy, co już wiemy. – Kerstin nabierała rozpędu. Natychmiast przerwał jej Arto Söderstedt:

– Dlaczego nie zwróciliśmy uwagi na to, co mówił Hultinowi przez telefon?

– Co takiego?

– To o ewakuacji – powiedział Söderstedt. – Dlaczego tak się interesował, na jakim etapie jest ewakuacja? Może dlatego, że to był główny powód całego tego brania zakładników. Ktoś musiał mieć warunki, żeby spokojnie przebić ścianę w agencji ochrony, która przed laty służyła agentom Stasi za centrum dowodzenia. To raczej nie jest miejsce, do którego tak po prostu można wejść. Musieli się uciec do nadzwyczajnych środków. A to, że przy okazji mogli się dostać do systemu bezpieczeństwa i buchnąć dwadzieścia milionów, było zwieńczeniem dzieła. Arcydzieła. Udało im się upiec dwie

pieczenie przy jednym ogniu.

– Co to jest? – zapytała Holm. – Czy to jakaś organizacja? Czy to mimo wszystko rosyjska mafia?

– Czy w tę sprawę nie jest zaangażowanych zbyt wiele służb wywiadowczych? – zastanowił się Paul Hjelm.

– A w ogóle są? – zapytał Söderstedt. – Żaden z Rosjan nie został zidentyfikowany jako agent. Wasz tajemniczy informator, który od razu rozpoznał fałszywego policjanta z Jutlandią na twarzy, ale nie chce ujawnić, kto to jest, nie rozpoznał wysokiego napastnika. A o tym niskim na razie nic nie wiemy. Czekamy, aż odezwie się Paweł Lubimow.

– Wasz szpieg z ambasady – wtrącił Jorge Chavez. – Osobiście spotkałem grubą rybę ze Stasi i nawet nie zauważyłem, że może być obcokrajowcem. Dobre nazwisko, Sven Fischer – równie dobrze może być niemieckie, co szwedzkie.

– Chciałem tylko zauważyć, że w całej sprawie roi się od agentów, ale nie mamy pewności, że byli również w banku – powiedział Söderstedt. – Zdaje się, że nikt nie rozpoznaje twarzy wyższego z napastników.

– Przecież ten niski spokojnie mógłby być szpiegiem – powiedział Paul. – Przypomnijcie sobie rozmowę z Hultinem. Wiemy, że w czasie zimnej wojny do służb wywiadowczych rekrutowani byli intelektualiści, pracownicy uniwersytetów. Jeśli się wsłuchać, takie właśnie sprawia wrażenie. Inteligentny, wykształcony, zna języki i ma konkretną wiedzę na tematy lokalne, jakby spędził w Sztokholmie kilka lat na kontrakcie. Szwecja była przecież w tym czasie „neutralna w czasie wojny i nie zawierała sojuszy w czasie pokoju”, a przez to była idealną ziemią niczyją do wymiany szpiegów. Podejrzewam, że znają go w ambasadzie. Poza tym w banku to on grał rolę szefa.

– Dawny agent KGB i zwykły mięśniak? – zastanowiła się Sara Svenhagen.

– Uprowadzeni przez amerykańską organizację – pokiwał głową Hjelm. – Możliwe. Potem próbują dopaść jedyną osobę, która jest w stanie zidentyfikować fałszywego policjanta z

banku. Cillę.

– Zaczniemy jeszcze raz od początku – powiedziała Kerstin Holm i odchrząknęła. – Rosyjskiej organizacji tworzonej między innymi przez byłego agenta KGB i zwykłego mięśniaka (jeśli kupujemy tę hipotekę) udaje się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: szukają czegoś w dawnym mieszkaniu Stasi na Östermalmie i znajdują lukę w najskuteczniejszym na świecie systemie zabezpieczeń transakcji finansowych należącym do norweskiego banku, który przypadkiem znajduje się w tym samym budynku. Spróbujmy sobie wyobrazić, jak rodzi się cała koncepcja. Co było najpierw? Zapora sieciowa czy fizyczna ściana? Bardzo to sprytne. Mamy też dwóch potencjalnych członków organizacji: jeden z nich zajmował się zabezpieczeniami na zlecenie Andelsbanken, prawdopodobnie jest informatykiem, a drugi to dawny współpracownik Stasi i chce się dostać do ściany, która obecnie znajduje się na terenie biura założonego przez jego dawnych kolegów, enigmatycznej agencji ochrony Fischer Security AB.

– Dlaczego chce się dostać do ściany? – niecierpliwil się Chavez. – Czas na raport Bruntego.

– Właśnie – powiedziała Kerstin Holm, przerzucając kartki. – Księga Brynolfa Svenhagena, tom drugi. Ostatnią noc on i jego ludzie spędzili na ostrożnym rozbieraniu ściany.

– Mam nadzieję, że nie zbyt ostrożnym – powiedział Jon Anderson. – I że jedna z łazienek nie nadaje się już do użytku.

– Takie myślenie nie przystoi policjantowi – powiedziała Holm głosem pozbawionym emocji i ciągnęła dalej: – Brynolf od razu potwierdził przypuszczenia Jorge, że ściana została przemurowana, w niektórych miejscach na głębokość nawet trzydziestu centymetrów. Wygląda więc na to, że organizacji zależało na ewakuacji, żeby móc w spokoju przeprowadzić całą operację. Technicy potrzebowali sporo czasu, żeby znaleźć ślady w tynku. W końcu jednak znaleźli coś, co przypominało rurkę albo gilzę z plastiku, długości około dwudziestu centymetrów i średnicy trzech centymetrów. Ta rurka tkwiła w ścianie na głębokości dwudziestu pięciu centymetrów, znaleziono ją dokładnie na styku starego muru z nowym

wypełnieniem. Była pusta, lecz zamknięta. Jakby ktoś, rozwalając ścianę, zatrzymał się dokładnie w tym miejscu. Jakby właśnie tego szukał.

– Choć raczej nie rurki – powiedział Chavez – bo ją zostawił w ścianie, tylko tego, co było w środku. Czy Brynolf mówi coś więcej na ten temat?

– Tylko tyle, że została, cytuję, „wyjęta i zarekwirowana” i poddawana jest obecnie, tu kolejny cytat, „skrupulatnemu badaniu kryminalistycznemu”.

– Jeśli ktoś może wiedzieć, kto i dlaczego chciał się dostać do ściany, to jest to dyrektor Sven Fischer – stwierdził Chavez. – To prawda, że spędził noc w areszcie?

– Tak – powiedziała Holm. – Musieliśmy zaczekać na jego akta, które właśnie przyszły z Berlina. Poddał się bez ceregieli i wszedł do aresztu jak dobrze wychowany tajny agent. Ograniczenie wolności nie było może całkiem uzasadnione, ale nie mogliśmy ryzykować, że zniknie.

– Dobrze – powiedział Chavez. – Dziękuję, Kerstin.

– W ramach nagrody za twoją uprzejmość przeprowadzisz przesłuchanie – powiedziała Kerstin Holm. – Ale chcę przy tym być.

– Jestem twoim wiernym sługą.

– Święta prawda. To się nazywa szacunek dla hierarchii.

– Z osób, które dysponują okazałą ilością informacji, mamy jeszcze dyrektora generalnego – odezwała się Sara Svenhagen. – I jego szefa ochrony.

– To by dopiero było coś, zamknąć Geira na noc w ciupie – wtrąciła Lena Lindberg.

– Haavard Naess i Geir Holt zobowiązali się w każdym razie do dostarczenia nam wszystkich nazwisk – powiedziała Svenhagen. – Wewnętrzni hakerzy i zewnętrzni konsultanci do spraw zabezpieczeń. Gdzieś wśród nich jest człowiek, którego szukamy. Pytanie tylko, ile tak naprawdę wiedzą Haavard i Geir. Zachowują się dosyć podejrzanie.

– Zastanawiam się, czy to rzeczywiście jest organizacja – powiedział z namysłem Arto Söderstedt. – Czy mimo wszystko nie mamy do czynienia z planem, który zrodził się w głowie

jednej osoby? Na początku musiała być ta rurka. Kto mógł zamurować ją w ścianie mieszkania należącego do Stasi? Naturalnie agent Stasi, który miał do niego swobodny dostęp, ktoś, kto przebywał w nim sam w latach osiemdziesiątych i bez większych problemów mógł wywiercić w ścianie odpowiednią dziurę na włożenie takiej rurki. Pytanie tylko po co? To całkiem niezły sposób na bezpieczne przechowanie czegoś naprawdę ważnego. Po dwudziestu latach potrzebuje tego z powrotem, ale nie ma już dostępu do mieszkania, po drodze wydarzyło się coś nieoczekiwanego, upadł mur berliński, mieszkanie chronią skomplikowane alarmy i uzbrojeni ochroniarze. Nie jest już agentem Stasi, być może podobnie jak Sven Fischer dostał szwedzkie obywatelstwo, może zajmuje się systemami zabezpieczeń, między innymi jako konsultant w norweskim banku internetowym. Obie te działalności są przecież ściśle tajne. Pierwsza dotyczy tylko jednej osoby – nikt poza nim raczej nie wie o rurce ukrytej w ścianie. A drugą – zaporę sieciową – chronią surowe zasady bezpieczeństwa opracowane przez Geira. Kiedy łączy te dwie sprawy, rodzi się plan. To zaplanował jeden człowiek.

Kerstin Holm spojrzała na najbardziej białego ze swoich podwładnych i powiedziała wyraźnie:

– Nic z tego, co powiedziałaś, nie wyklucza organizacji.

Söderstedt pokiwał lekko głową.

– Naprawdę? – powiedział tylko.

– Załóżmy, że masz rację – powiedziała Kerstin Holm. – Skoro tak, to zatrudnił ludzi do napadu. On sam siedzi w mieszkaniu nad bankiem, pokryty osadem z tynku, i czeka, aż wybije trzynasta czterdzieści pięć, kiedy to jego koledzy dwa piętra niżej zgodnie z planem wypełnią swoją misję uszkodzenia okablowania. Może ustalili też wcześniej, jak długo mają zostać, żeby mógł spokojnie zrobić swoje. Ale potem stają się niepotrzebni, więc zostawia ich na pastwę losu. Co o tym sądzisz, Arto?

– Również to przemawia za teorią, że wszystko zaplanował jeden człowiek – powiedział Söderstedt. – Większa organizacja próbowałaby ich uwolnić, chociażby po to, żeby nie zostawiać

śladów. Można sobie wyobrazić, że zwyczajnie się wystawiają i zgodzają na to, żeby spędzić kilka lat w szwedzkim więzieniu w zamian za kilka ładnych milionów. To mięso armatnie. To dlatego mówią, że to policja ma opracować plan – to dla nich najlepsze wyjście z sytuacji. Zbierają gotówkę, na wypadek gdybyśmy się na to zgodzili. To tylko bonus. Do prawdziwego napadu dochodzi w świecie wirtualnym.

– Dawny agent KGB i mięśniak? – zdziwiła się Holm.

– Być może bezrobotny były agent KGB, dawny kolega ze Sztokholmu z czasów zimnej wojny. Ten mięśniak może być weteranem wojennym, którego przywieziono tu prosto z Rosji razem z jego papierosami Sobranie, tu nie do kupienia.

– Na razie to jednak tylko czyste spekulacje?

Söderstedt zrobił urażoną minę i mówił dalej:

– Jestem przekonany, że mój znajomy attaché kulturalny niedługo dostarczy nam konkretne wyniki analizy DNA. Warto też wspomnieć o tym, że magazynki w pistoletach obu napastników były puste. Po wstępnej serii strzałów ostrzegawczych opróżnili magazynki. Możliwe, że chcieli mieć pewność, że nikogo nie uszkodzą, i w ten sposób zapewnić sobie jak najkrótszy czas za kratkami. Bardzo możliwe, że w określonym momencie planowali nawet się poddać. Uprzedził ich szturm.

– Co mamy dalej? – powiedziała Kerstin Holm. – Czy Niklasowi i Paulowi udało się ustalić, kim był ten fałszywy policjant?

– Czysty – powiedział Paul Hjelm.

– Jasne – powiedziała Kerstin Holm. – Przyjaciel. Wiem. Bardziej jednak interesuje nas, jak udało mu się zdobyć mundur i wyposażenie i skąd wiedział o planach sztabu.

– W magazynach sił szybkiego reagowania niczego nie brakuje – powiedział Niklas Grundström.

– Czy to znaczy, że miał własny mundur i sprzęt?

– Na to wygląda. Lub też że udało mu się je pożyczyć na ten czas. Powinniśmy przesłuchać osobę odpowiedzialną za apro wizację jednostek szybkiego reagowania.

– Gdyby miał własny, to co by to znaczyło?

– Że jest dobrze opłacany i dobrze przygotowany – powiedział Niklas Grundström. – Co zresztą jest prawdą, niezależnie od wyposażenia. Wszystko wskazuje na to, że to Amerykanin.

– CIA?

– Lub coś w tym stylu. Naturalnie mówię to nieoficjalnie i w zaufaniu.

– Naturalnie – powiedziała spokojnie Kerstin Holm. – Czy wiedział, że szykujemy szturm? Jak mógł być tak dobrze przygotowany?

– Byliśmy tam wczoraj – powiedział Paul Hjelm. – Zaczął się w sąsiedniej bramie. Rozmawialiśmy z sąsiadami. Potwierdzili, że przed bramą siedział policjant. „W pełnym umundurowaniu” – to cytata.

– Okej. Co się w takim razie dzieje? Bierze udział w szturmie i porywa napastników. Zabiera ich w odosobnione miejsce, *safe house*, czy jak to się tam nazywa, i próbuje ich zmusić do mówienia. Na jaki temat?

– Na temat tego, co było w rurce – powiedział Söderstedt.

– Sądzisz, że o to w tym chodzi? – zapytała Holm.

– Tak. Wydaje mi się, że przelew odbywa się przy okazji. Być może chodzi o zostawienie fałszywego tropu.

– Dlaczego?

– Tu chodzi o coś znacznie ważniejszego niż pieniądze, nie wydaje wam się? O jakąś ważną tajemnicę ukrytą w ścianie dwadzieścia lat temu. I wydobytą w taki sposób, żeby uwaga została skierowana na coś innego. Być może również po to, by uniknąć tropicieli. Niewykluczone, że jest ścigany. Agent w stanie spoczynku, którego okoliczności zmusiły do ponownego chwycenia za broń.

– Uważacie, że się przed kimś broni? – zastanowił się Paul Hjelm. – Może jest ścigany. Tylko czy rzeczywiście ucieka? Skąd więc ten stary angielski agent torturowany na Gärdet?

– Jaja sobie robicie? – nie wytrzymała Lena Lindberg. – Przecież to jest napad na bank. Szpieczy ze Związku Radzieckiego, NRD, Anglii i USA. Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Macie nie po kolei w głowach.

– Wiadomo – powiedział Arto Söderstedt zapalczywie. – Banda wariatów. Dzieci swoich czasów. Chcesz powiedzieć, Paul, że zabójstwo starego szpiega to jego dzieło?

– Wróćmy do wydarzeń w banku – powiedział Hjelm. – Amerykanie porywają jego ludzi. To dla niego ujma. A może naprawdę za nimi jedzie? Żeby ich uratować? Lub przynajmniej chronić tajemnicę?

– Przychodzi mu do głowy tylko jeden sposób, żeby dowiedzieć się, gdzie są – pokiwał głową Söderstedt. – Udaje się do dawnego, również odsuniętego w stan spoczynku wroga. Robert Andrews, dawniej M16. Dociera do niego, że otworzył puszkę Pandory. Zło wydostało się na zewnątrz. Wrócili do wypaczonych wartości z czasów zimnej wojny.

– Wie, że Andrews zna dziuplę Amerykanów – mówił dalej Hjelm. – Robert Andrews jest twardym weteranem wywiadu, który nie sypie z byle powodu. Tylko torturami można z niego coś wydobyć. Niewykluczone, że Andrews go rozumie i godzi się na to, bo kieruje nim trudny dziś do zrozumienia system wartości z czasów, gdy dwa narody w imię zwycięstwa były gotowe wysadzić świat w powietrze. Szpiegzy poruszali się w równoległej rzeczywistości odwróconych wartości. W tym świecie istnieli tylko oni. Potrafiли być przyjaciółmi i szanowali się – jednak tego, do czego gotowi byli się posunąć, dziś nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić.

– W końcu doprowadza Andrews do granicy wytrzymałości – powiedział Söderstedt. – Anglik zaczyna mówić. I z godnością, może nawet na swój sposób szczęśliwy, wkracza do skamieniałego królestwa zmarłych szpiegów. Ginie stylowo; nie spodziewał się tego po przejściu na emeryturę. Zostaje zamęczony na śmierć, ale widzi tego dobre strony. Moim zdaniem powinniśmy teraz jechać na wyspy Melaru.

– Halo! – zawołała Kerstin Holm. – Zejdźcie na ziemię.

– Mówisz tak tylko dlatego, że jest z nami Grundström – zauważył Söderstedt.

– Wszyscy wiemy, że lubisz dzikie spekulacje – powiedział Paul Hjelm. – Dawniej nic innego nie robiliśmy.

– Ja też lubię – powiedział szczerze Grundström. – Jeśli nie

zapominamy, że to tylko spekulacje.

– Okej – powiedziała Kerstin Holm, a na jej twarzy pojawił się na chwilę cień uśmiechu. – A więc to, co widział człowiek na spacerze z psem, to były porachunki? Konfrontacja w należącym do Amerykanów domu na wsi, którego oficjalnym właścicielem jest Nils Ingvarsson, obecnie przebywający na wakacjach w Brazylii?

– Na twoim miejscu sprawdziłbym, czy ten człowiek w ogóle istnieje – powiedział Jorge Chavez, żeby nie zostać na ławce rezerwowych.

– To niczego nie zmieni – powiedział Paul Hjelm. – Kiedy przyjedziemy na miejsce, wszystko będzie wyglądać normalnie, wysprzątane i pozamiatane. Szczególnie że od kilku miesięcy jest na wakacjach w Brazylii.

– Pewnie ma nielegalną sprzątaczkę – powiedział Chavez.

– Kilka na pewno się znajdzie – powiedział Hjelm.

– Jeśli ten wasz pojedynczy sprawca w ogóle istnieje – powiedziała Kerstin Holm, znów lekko podniesionym głosem – to doprowadzą nas do niego stare, sprawdzone metody śledcze. Czas rozdzielić zadania. Jorge i Jon pójdą ze mną do aresztu na przesłuchanie Svena Fischera z Fischer Security. Sara i Lena zajmą się nazwiskami od Geira i Haavarda. Niklas i Paul pojedą na Färingsö. Arto i Viggo będą dalej pracować nad ustaleniem tożsamości napastników i nadzorować postępy Brynolfa w pracy nad tak zwaną rurką. Może uda nam się coś z tego wszystkiego zrozumieć.

– Coś już chyba zrozumieliśmy? – zapytał Arto Söderstedt.

GUNNAR NYBERG NIE MÓGL ODERWAĆ oczu od Pałacu Dożów. Nie świadczyło to być może o wyrafinowanym smaku – w końcu pałac był mekką turystów – jednak wyrafinowana nie była ani jedna komórka jego wielkiego ciała, podobnie jak żadna z cel w ogromnych pałacowych lochach. Zresztą był marzec, a turystów nie aż tak wielu. Czasem, gdy spacerowali uliczkami po wyjściu z hotelu niedaleko mostu Rialto – przytuleni, ona schowana w jego niedźwiedzich ramionach chroniących ją od porywów wilgotnego, wczesnowiosennego wiatru – wydawało im się, że mają Wenecję tylko dla siebie. Może z wyjątkiem Pałacu Dożów, który przyciągał go jak magnes przepastnymi komnatami, zbrojowniami wypełnionymi niezwykłą, średniowieczną i renesansową bronią oraz narzędziami tortur, a w szczególności – ponurymi salami tortur i wilgotnymi celami więziennymi.

Ludmila wzdrygnęła się na widok wyszukanych narzędzi tortur, choć widziała je już trzykrotnie.

– Na Chios myślałeś o masakrze, a teraz myślisz o torturach. Zamieniasz się w psychopatę? – zapytała.

Nyberg przytulił ją, aż zachrupało jej w kościach:

– Gorzej. W nocy cię zjem.

Zaśmiali się beztrąsko, wydłużając sobie tym sposobem życie o kilka tygodni. Jeśli naukowcy mieli rację, w ciągu tej podróży musieli zarobić już kilka dobrych lat.

Prawdę powiedziawszy, Gunnar Nyberg sam nie do końca rozumiał swoją fascynację ludzką potrzebą zadawania sobie nawzajem bólu, nieprawdopodobnym zaangażowaniem i pomysłowością w powodowaniu cierpienia. Czy to dlatego, że on sam kiedyś, we wczesnej młodości – gdy sterydy buzowały w jego rozrośniętych, żyłastych ramionach – miał skłonność do stosowania przemocy? Pewnie nie tylko. Nie chodziło jedynie o karanie samego siebie, o wypracowane przez lata nawyki fakira. To było coś więcej. Jak syreni śpiew.

Syreni śpiew z głębin.

Otrząsnął się z tych myśli i ruszyli dalej, przez kolejne sale, mocno w siebie wtuleni.

Pojutrze mieli obejrzeć niewielki dom na wsi jakieś dwadzieścia kilometrów od Wenecji. Zdjęcia, które Ludmila dostała od pośrednika, ukazywały cudowny niewielki dom na wzgórzu blisko morza. Musiał przyznać, że wydawał się co najmniej tak samo przyjemny jak ten na Chios, ale zdjęcia nie zawsze odpowiadają rzeczywistości.

Pocieszał się w myślach.

Że też życie potrafi być takie piękne, pomyślał i jeszcze mocniej przytulił Ludmilę.

SOBOTA, 3 PAŹDZIERNIKA 1942 R., GODZ. 8.42

To nieprawda. Ósma czterdzieści dwie to przypuszczenie, nie twierdzenie. Jest już rano, tak dawniej wyglądało o tej porze. Światło sączy się do środka. Widzę na tyle, że mogę pisać. Teraz będę pisać trochę więcej. Przynajmniej przez jakiś czas. Znalazłem się w otchłani. W zawieszeniu, z odroczonego wyrokiem śmierci. Wiem, że nie potrwa to długo.

Nie da się zrozumieć śmierci. Towarzyszy ci tak długo, że wydaje się nie mieć przed tobą tajemnic, a mimo to zawsze jest zaskoczeniem. Tak to już chyba jest: nie można jej poznać. Nie kiedy jesteś po tej stronie.

Choć „po tej stronie” nie jest chyba odpowiednim określeniem. Nie jestem po żadnej stronie. Nie żyję, ale też nie umarłem.

Najlepiej będzie, jeśli zacznę wszystko od początku. Może gdy to napiszę, zacznę w to wierzyć. Wierzyć w swój los.

Wczoraj musiało być już po jedenastej wieczorem, kiedy dostaliśmy potwierdzenie, że mamy przesunąć front, to znaczy zająć sąsiednią ruinę. Gdzie, jak wiedzieliśmy, czekają na nas piechota, snajperzy i być może również artyleria. Przewracam kartkę i widzę, że spędziłem czas oczekiwania na pisaniu. Nic z tego nie pamiętam. Jakby zdarzyło się to komuś innemu. W innym życiu.

Myślałem: „Pióro w dół, miecz w górę”. Słyszałem Maksima Kuwaldina, jak szepcze łamanym niemieckim: „To nie jest jedyne rozwiązanie”. Nie wiedziałem tylko, o co mu chodzi. Za chwilę byliśmy na zewnątrz. Miasto było czarne jak smoła, rozświetlane ciągłymi eksplozjami. Ryczało w dzień i w nocy, bez przerwy.

Biegliliśmy skuleni w jednej grupie. Obok mnie upadł chłopak, trafiony cichą kulą snajpera. Zwyczajnie upadł, bez jednego słowa, najmniejszego dźwięku. Wokół mnie upadali

ludzie, ja bieglem dalej. Było nas coraz mniej, biegliśmy, dookoła świszczały kule. Tak naprawdę nie mieliśmy szans, żeby przeżyć.

Zbliżyliśmy się do ruin niewielkiej kamienicy. Zauważyłem nieduży otwór w ziemi. Budynek wyglądał, jakby właśnie został trafiony. Coś mi podpowiadało, że tak właśnie było. Trafiony. Przez bombę albo granat, po którym będą następne.

Nie wiem, dlaczego zareagowałem. Nie pamiętam, czy rzeczywiście usłyszałem ten gwizd, który poprzedza eksplozję. Coś we mnie go usłyszało. Rzuciłem się do dziury w ziemi. W tej samej chwili eksplodował świat. Budynek się zawalił, spadały na mnie kamienie, stalowe pręty. Pył, ziemia. Wskoczyłem do własnego grobu.

Ryk nie ustawał, ale ja nie zginąłem. Chociaż nie byłem pewien. Straciłem wzrok i czucie, został mi tylko słuch. Słyszałem już tylko wycie z wnętrza ziemi.

A potem wszystko ucichło. Zapadła kompletna cisza.

W tamtej chwili byłem przekonany, że nie żyję.

Czas pewnie płynął. Gdzieś indziej. Ale nie tutaj.

Było kompletnie ciemno. Dużo w życiu widziałem, ale jeszcze nigdy nie widziałem takiej czerni. Nie da się tego opisać w kategoriach światła i ciemności. Była nieskończona.

Prawdopodobnie wstałem, złapałem plecak, wyjąłem latarkę, poświeciłem w ciemnościach. I wszystko się zmieniło. Kolejny już raz.

Znajdowałem się w piwnicy. Nade mną zawisło wielkie zwałowisko ruin. Dwie belki upadły pod kątem i podtrzymały rumowisko nade mną. Na podłodze pod moimi stopami znajdowała się kłapa. Zastawiała ją ciężka komoda, teraz roztrzaskana na kawałki. Sądząc po leżących wokół przedmiotach – licznych talerzach i sztućcach – znajdowałem się w piwnicy restauracji. Otworzyłem kłapę. Prowadziła do schowka pod piwnicą. Zszedłem do środka.

Znalazłem się w raju.

Moim oczom ukazały się rzędy butelek z wodą mineralną, kielbasy, suszone szynki, suchary, konserwy – jedzenie, wciąż

świeże dzięki panującej tu niskiej temperaturze. I jeszcze butelki z piwem i winem.

Tajny spichlerz restauracji.

Wdrapałem się z powrotem na górę i zasnąłem. Jeśli można nazwać to snem.

Obudził mnie mróz. Zimno było obezwładniające. W szczątkach komody znalazłem obrusy, wielkie płócienne obrusy, którymi się owinąłem. Potem wdrapałem się na górę, po chrzęszczącej, chybotliwej stercie gratów. Dosięgnąłem krawędzi, która okazała się obrzeżem otworu w ziemi. Przesunąłem dłoń po całym jej obwodzie. Natrafiłem na słabsze miejsce i zacząłem tam kopać. Kopać dziurę, ale po co? Żeby wydostać się na zewnątrz? Przez dziurę wpadło coś, co przypominało światło. Wyłączyłem latarkę. Pomyślałem, że muszę oszczędzać baterie, poczekać na światło dzienne.

Napłynęło. Powoli sączyło się przez wykopany przeze mnie otwór, rozświetlając moją norę, mój grób. Utknąłem. Zostałem sam ze sobą i swoimi myślami. Nie byłem już żołnierzem, tylko myślicielem.

Moje dawne ja buntuje się przeciwko nowemu.

W końcu zrobiło się na tyle jasno, żebym mógł pisać. Na początku było słowo. Powiedziałem sobie, że jest ósma dwadzieścia cztery. Słowa stały się ciałem. Zamieniłem miecz na pióro. Już nigdy nikomu go nie oddam.

Boże, w którego nie wierzę, czy właśnie tego chciałeś? Zaczynam w to wierzyć, nawet jeśli w ciebie nie wierzę. Czegoś ode mnie chcesz. Stałem się mordercą, masowym mordercą. Zasłużyłem na śmierć. A mimo to nie pozwoliłeś mi umrzeć.

Czegoś ode mnie chcesz.

Boże, w którego nie wierzę, który woląłeś zasłonić oko chmurą dymu z tego, o co toczy się ta wojna, czy właśnie to starasz mi się powiedzieć? „Pomyliłeś się, nie jesteś tym, kim myślałeś, że jesteś. Nie jesteś mordercą. Potrafisz – w głębi siebie wierzyłeś w to od początku – zmienić świat. Potrafisz zmienić przeszłość”.

Tam w górze niebo jest błękitne.

Błękitne.

Prowadziłem badania, które miały na celu ograniczenie wykorzystania kopalin. Żeby nie niepokoić dinozaurów, uniknąć ich losu. Zrezygnować z paliw kopalnych. Istnieją inne rozwiązania. Możemy je znaleźć, naprawdę. Moje badania były już zaawansowane, ale wybuchła wojna i pociągnęła mnie za sobą. Zastanawiam się, co by się stało, gdybym się wyprowadził za granicę. Czy ktoś dałby mi pracę?

Wszystko teraz do mnie wraca. Wystarczy, że zrzucę skorupę z błota, otrząsnę się ze śmierci i zacznę myśleć. Dostałem szansę zrealizowania ostatniego zadania. Tu i teraz.

Przecież widzę, że igrasz ze mną, Boże, w którego nie wierzę. Żartujesz ze mnie, robisz to ze śmiertelną powagą. To musi się stać właśnie tutaj, właśnie tu, gdzie wojna gęstnieje, ukazując swoją prawdziwą twarz, i gdzie walka o ropę toczy się w jej spalinach. Rozumiem, co sobie myślisz.

Umarłem, a mimo to wciąż żyję. Zwabiłeś mnie tu. Chcesz, żeby ktoś na tej wojnie, w tym piekielnym mieście, umarł, nie będąc diabłem.

Otworzyłeś przede mną sferę myśli, która istnieje poza życiem i śmiercią. Wykorzystam to.

Papier, pióro, głowa.

Wszystko inne jest zbędne.

Nie. Wszystko inne jest ciszą.

TO BYŁ MOMENT, kiedy Paul Hjelm wreszcie zrozumiał, na czym polegała wielkość Niklasa Grundströma.

Dotychczas nie potrafił określić, co czuł, gdy przebywał w towarzystwie dyrektora Biura Spraw Wewnętrznych. Była to mieszanina silnego skrępowania połączona z niemal całkowitym zaufaniem, zbitka na tyle niecodzienna, że musiał ją uznać za zupełnie *nowe* doświadczenie. A z wiekiem o takie coraz trudniej.

Stali na szczycie wzgórza, na drodze, a raczej dróżce odchodzącej od nieco szerszej jezdni. Na Färingsö śnieg padał dużymi płatkami. Po drugiej stronie widać było zarys górnej połowy sporej willi z lat trzydziestych. Starszy mężczyzna z psem pokazał w jej stronę od niechcenia.

W tym samym czasie jego wielki pies myśliwski bez skrępowania posuwał nogę Niklasa Grundströma.

Grundström przyglądał mu się bez zainteresowania, jakby to nie była jego noga. Najzwyczajniej w świecie chwilowo odseparował się od swojej nogi. To było imponujące. I trochę przerażające.

Był profesjonalistą od stóp do głów.

– Wtedy też padał śnieg – odezwał się mężczyzna. – I było zupełnie ciemno. Widziałem wyraźne błyski. Były tak szybkie, że to musiał być pistolet maszynowy. Jestem emerytowanym majorem Ligi Obrony Kraju – dodał z dumą.

– A więc stał pan dokładnie tutaj? – zapytał Grundström. – I widział pan tylko górną część domu?

– Prawie w ogóle nie widziałem domu – odpowiedział właściciel psa. – Ale błyskało stamtąd, jestem tak samo pewien jak tego, że stałem dokładnie w tym miejscu.

– Nie pomyślał pan, żeby podejść bliżej?

– Podejść bliżej pistoletu maszynowego? Niekoniecznie.

– Kiedy pan to zgłosił?

– Zaraz po tym, jak wróciłem do domu. O drugiej

dwadzieścia pięć. Na komisariacie w Ekerö powiedzieli, że jest piątek w nocy i mają ważniejsze sprawy na głowie. Na to idą nasze podatki.

– Nie zauważył pan jeszcze czegoś dziwnego?

– Na ulicy stał samochód zasypany śniegiem. Chyba biały saab dziewięć tysięcy.

– Tu na szczycie?

– Tak.

– Dziękujemy – powiedział Grundström i spojrzał na swoją nogę. – Będziemy w kontakcie.

Po czym major przerwał bezsensowny akt w wykonaniu swojego pupila i ruszył dalej w sobie tylko znanym kierunku.

– Nie sędzę, żeby zdążył zostawić jakieś ślady – powiedział Hjelm, wpatrując się w spodnie Grundströma.

Grundström spojrzał na niego wzrokiem wyrażającym głęboki brak zrozumienia i ruszył w kierunku trzęsącej się z zimna grupki ludzi. Na jej czele stał mężczyzna, który akurat się nie trząsał, ponieważ był z marmuru.

– Chcesz tutaj zaczekać, Brynolf? – zapytał Grundström. – Budynek nie został jeszcze zabezpieczony.

Główny technik kryminalistyczny Brynolf Svenhagen spojrzał na swoją ekipę i dostał w odpowiedzi kilka sztywnych od zimna kiwnięć głową.

– Idziemy z wami. Panowie marzną.

– Okej – powiedział Grundström i zaczął się przedzierać przez śnieg w kierunku podjazdu. Hjelm próbował za nim nadążyć, a technicy kryminalni wlekli się z tyłu.

Podeszli do zaśnieżonego żywopłotu. Hjelm zatrzymał się i spojrzał na werandę przez szczelinę w żywopłocie. Potem dogonił Grundströma, który zatrzymał się przy furtce i przyglądał się w skupieniu klamce. Po chwili ją nacisnął i wszedł do ogrodu. Hjelm tuż za nim. Brynolf Svenhagen niemal deptał mu po piętach. Zespół techników zebrał się w niewielką, wystraszoną gromadkę kilkanaście metrów dalej. Widać było, że woleliby przybyć na miejsce przynajmniej godzinę po śledczych, aby mieć pewność, że nic im nie grozi. Tego rodzaju środków ostrożności nie uznawał jednak ich szef,

który najchętniej rozpocząłby badanie kryminalistyczne co najmniej godzinę przed popełnioną zbrodnią.

Grundström rozpiął swój elegancki moherowy płaszcz, żeby się dostać do kabury. Hjelm zrobił to samo ze swoją nieco mniej elegancką jesionką. Gdyby nie śnieg, wyglądałoby to jak scena z westernu Sergia Leone. Grundström zadzwonił do drzwi. Wewnątrz domu rozbrzmiał dzwonek. Głucho, pomyślał Hjelm i zaczął się przesuwac wzdłuż ściany w kierunku werandy. Spojrzał na śnieg. W zaspach świeżego śniegu nie było widać żadnych śladów. Skręcił za róg, podszedł do schodków prowadzących na werandę, podniósł wzrok. Grube zasłony całkowicie zakrywały okna. Wszedł po schodkach i spróbował znaleźć jakąś szczelinę między zasłonami. Zawsze jest jakaś szczelina. Namierzył ją na wysokości drzwi werandy, które w tym samym momencie gwałtownie się otworzyły.

Przebiegł go zimny dreszcz. Ręka sięgnęła instynktownie do kabury.

Niklas Grundström spojrział na niego i powiedział:

– Bardzo ładnie posprzątane.

Hjelm starannie wytarł buty. Rozejrzał się po pokoju. Wyglądał nienagannie. Żadnych kłębow kurzu, pewnie nawet pyłków. Pośrodku pokoju stały dwa krzesła, dalej kanapa, stół. Instynktownie wyczuwał jakiś chłód, który sugerował, że nikt tu nie mieszka.

To nie był dom.

Co dziwne, pustka z powrotem przywołała muzykę. *Requiem* Mozarta, przez pewien czas wyciszone, teraz rozbrzmiało w jego głowie z całą siłą.

Paul Hjelm wyraźnie to czuł. Choć gdyby go spytano, nie potrafiłby tego wytłumaczyć.

Tu zginęli ludzie.

I to całkiem niedawno.

Confutatis maledictis, flammis acribus addictis: voca me cum benedictis.

Gdy już pójdą potępieni w wiekiusty żar płomieni, wezwij mnie, gdzie są zbawieni.

Przeszedł się wzdłuż okien werandy. Przesunął ręką po ich

dolnej krawędzi. Wokół szyby w drzwiach kit układał się nieco inaczej. Nie bardzo inaczej, ale jednak.

Obrócił się do Grundströma, który stał za nim i mu się przyglądał. Spotkali się wzrokiem. Kiwnęli głowami.

– Tak – powiedział Grundström. – To tutaj.

– Szukamy włókien – powiedział Hjelm do Brynolfa Svenhagena.

– Spodziewamy się kolejnego tomu księgi – powiedział Grundström.

Svenhagen energicznie skinął głową i krzyknął głośno przez otwarte drzwi wejściowe. Technicy kryminalni z ulgą wbiegli do środka.

WALKING IN YOUR FOOTSTEPS, pomyślał nagle Jorge Chavez, siedząc w ponurym pokoju przesłuchań między Kerstin Holm i Jonem Andersonem. Czekali, aż Sven Fischer będzie łaskaw przyjść do nich z policyjnego aresztu.

To się stało naprawdę nagle.

W ramach nałożonej samemu sobie kary po zeszłorocznej sprawie praktycznie odszedł od muzyki. Jego wielki powrót do niej w czasie urlopu ojcowskiego o mało co nie skończył się tragicznie. Nigdy więcej muzyki, nigdy więcej gitary basowej i – co najważniejsze – nigdy więcej The Police.

Wyrazista, mroczna linia basu podpełzła do niego podstępnie i przywołała wspomnienie synkopowanego dudnienia konsoly i kilku linijek tekstu: *Hey Mr. Dinosaur / You really couldn't ask for more / You were God's favourite creature / But you didn't have a future / Walking in your footsteps.*

– Przestań stukać palcami – zdenerwowała się Kerstin Holm.

Do środka wszedł elegancki dyrektor generalny Fischer Security AB, przywitał się uprzejmie z zebranymi i usiadł po drugiej stronie stołu z rękoma splecionymi na kolanach, jak grzeczny, wystraszony uczeń.

Choć jeśli sądzić po jego wyglądzie, wystraszony raczej nie był.

Za to z pewnością chciał dobrze wypaść w ich oczach.

– Nie tak łatwo zmienić przeszłość – powiedział Jorge Chavez, wystukując na krawędzi stołu końcową partię perkusji.

– Nigdy nie miałem takich ambicji – powiedział Sven Fischer i gdyby wsłuchać się uważnie w jego słowa, można by usłyszeć niemiecki akcent, schowany gdzieś za międzynarodową, biznesową fasadą.

– Raczej nie obnosiłeś się z tym, że w przeszłości byłeś zawodowym mordercą na usługach NRD? – powiedział Chavez.

Fischer wzruszył ramionami.

- Dlaczego wzruszasz ramionami? – zapytała Kerstin Holm.
- Nie uważasz, że powinieneś odpowiadać na nasze pytania?
 - Owszem – powiedział Fischer i spojrzał jej prosto w oczy swoim przenikliwym, jasnym spojrzeniem.
 - Owszem?
 - Owszem, mniej lub bardziej się z tym obnosiłem. Okazało się, że to doskonała reklama.
 - To znaczy? – zdziwił się Chavez.
 - Może się nie obnosiłem, tylko sugerowałem. Przedsiębiorstwa pokroju tych, dla których pracujemy, chcą optymalizować współczynniki bezpieczeństwa, to wszystko. Ich zdaniem przeszłość agenta Stasi – nie zawodowego mordercy, bo to błędne określenie – sugeruje całkowitą lojalność i jednocześnie stosowną bezwzględność.
 - I co, mają rację?
 - Tak. Dopóki płacą na czas faktury.
 - Kim są wasi klienci?
 - Firmy, których działalność jest objęta tajemnicą handlową.
 - Firmy, których działalność jest objęta tajemnicą handlową i które chcą zoptymalizować współczynniki bezpieczeństwa?
 - Małe i średnie firmy – dodał Fischer z powagą. – Większe korzystają z usług koncernów ochroniarskich. Ich strata.
 - Mógłbyś przetłumaczyć ten bełkot? – poprosił Chavez.
 - Nie rozumiem? – powiedział Fischer, marszcząc brwi.
 - Co rozumiesz przez „firmy, których działalność jest objęta tajemnicą handlową”? I co znaczy „współczynniki bezpieczeństwa”?
 - To pierwsze oznacza, że ochrona informacji stanowi dla nich priorytet. Współczynniki bezpieczeństwa to współczynniki oparte na dużej liczbie parametrów dających całościowy obraz stopnia bezpieczeństwa.
 - A, teraz już wszystko jasne – powiedział Chavez, ukrywając irytację.
 - Szyjemy na miarę całościowe rozwiązania dla przedsiębiorstw, które są wystawione na realne zagrożenie szpiegostwem.
 - Na przykład dla kogo? Koncernów farmaceutycznych?

– Na przykład. Firm, których pomysł na biznes opiera się na czymś, co musi być trzymane w tajemnicy. Informatyka, przemysł biochemiczny, producenci słodczy.

– Producenci słodczy?

– Jak Coca-Cola, tylko w małej skali.

– Banki? – rzucił Chavez niby od niechcienia.

– Nie – powiedział Fischer. – Duże banki mają własne oddziały odpowiedzialne za bezpieczeństwo.

– A małe?

– Również. Z reguły.

– Chcesz więc powiedzieć, że nigdy nie myśleliście o tym małym norweskim banku pod wami jako o potencjalnym kliencie?

– Są zbyt wyspecjalizowani. Firmy ochroniarskie naszego typu nie mogą obsługiwać banków.

– A kto może?

– Bardziej wyspecjalizowane firmy zajmujące się ochroną danych – powiedział Sven Fischer jak zawsze spokojnie. – Mające do czynienia z finansami, zabezpieczaniem wirtualnych aktywów. To nie do końca nasza działka.

– No to kto wam zniszczył ścianę? – zapytał Chavez i wystukał nowy rytm.

Walking in your footsteps / Walking in your footsteps.

Sven Fischer spojrział na niego w sposób, który zdradzał, że był już w życiu przesłuchiwany. W znacznie mniej przyjemnych okolicznościach.

– Nie mam pojęcia – powiedział.

– Szybko sobie poradziliście z jej załataniem.

Fischer milczał przez chwilę. Dobierał słowa.

– To trudna branża.

– Doskonała odpowiedź – powiedział Chavez.

– Niedokończona. Przerwano mi.

– Więc kończ.

– To trudna branża. W ciągu ostatnich lat rynek się nasycił. To walka na noże, również z wielkimi koncernami. Myśleliśmy, że to konkurencja. Że chcą nam zrobić czarny PR i zadzwonili na policję, zgłaszając włamanie. Chcieliśmy ich uprzedzić.

- Starannie przygotowana odpowiedź – powiedział Chavez.
- Niemniej jednak zgodna z prawdą.
- Mimo to twój wyćwiczony szpiegowski mózg spędził w areszcie całą noc na przeliczeniach, prawda? Kto? Dlaczego?
- Naturalnie – powiedział spokojnie Fischer. – I na rozmyślaniach o rekompensacie za poniesione straty.
- Znowu bełkot – stwierdził Chavez.
- Szwedzki to bardzo przyjemny język – powiedział Fischer, po raz pierwszy lekko się uśmiechając. – Można zbudować tyle nowych słów, łącząc je ze sobą.
- Co więc oznacza „rekompensata za poniesione straty”?
- Pokażcie mi paragraf, który pozwala wam trzymać mnie w areszcie przez noc. Co powiecie na dziesięć tysięcy? Ale bardziej interesuje mnie dlaczego?
- Dlaczego?
- Dlaczego mnie zamknęliście? Bo padłem ofiarą włamania?
- Dlatego że kłamałeś policji prosto w oczy. A gdyby się okazało, że jesteś w to zamieszany, rozpląnąłbyś się szast-prast w powietrzu.
- Szast-prast? – zaciekał się Fischer.
- Nasza kolejna specjalność – wyjaśnił Chavez. – Onomatopeja. Dźwiękonaśladownictwo.
- Fischer patrzył z zaciekawieniem na ekscentrycznego małego Hiszpana, wykazując pierwsze oznaki zakłopotania.
- No proszę – powiedział.
- Jesteś w to zamieszany? – zapytał Chavez.
- Nie.
- Wszyscy wiedzą, że w miejscu, w którym znajduje się wasza firma, było kiedyś gniazdo szpiegowskie. Dosłownie pod waszymi stopami zostali wzięci zakładnicy. Po powrocie z ewakuacji okazuje się, że w waszym niedostępnym biurze uszkodzono jedną ze ścian. Natychmiast ją zamurujecie. I chcecie, bym uwierzył, że nie macie z tym nic wspólnego.
- Sven Fischer zamrugał oczami, ale milczał jak zakłęty.
- Myślałem, że zdecydowałeś się nam pomóc – powiedział Chavez. – Że chciałeś wyjść najszybciej, jak się da.
- Byłem pomocny.

– No to przestałeś. Co było w ścianie?

– Nie mam pojęcia.

Chavez wzruszył ramionami i obrócił się, otwierając dużą brązową teczkę, najpierw w kierunku Kerstin Holm, potem – Jona Andersona. Najwyraźniej nie mieli zamiaru mu przerywać. Ze spojrzenia Kerstin wyczytał: dobrze to rozegrałeś.

Prawda?

– Przyjechałeś do Sztokholmu jako młody agent Stasi wiosną tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego – powiedział Chavez najbardziej rzeczowym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

– Miałeś dwadzieścia pięć lat, przeszedłeś szkolenie zasadnicze w elitarnej jednostce armii NRD. Od czterech lat uczyłeś się szwedzkiego na uniwersytecie i dostałeś się w szeregi wywiadu drogą rekrutacji. Jak można wyczytać z twoich akt, do czasu gdy pierwszego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego zostałeś szefem oddziału sztokholmskiego, zdążyłeś zamordować pięć osób. Dwóch Anglików, jednego Amerykanina, rosyjskiego dezertera i jednego Boliwijczyka. To są i tak tylko ci potwierdzeni na piśmie. Ciekaw jestem, co robił na naszej szerokości geograficznej Boliwijczyk? Kto to był?

Sven Fischer patrzył z niedowierzaniem na Chaveza.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedział zachrypłym głosem.

– Nie spodziewałeś się, co? – zakpił Chavez. – Pewnie myślałeś, że wszystkie dokumenty zostały zniszczone. Z tym przeświadczeniem zbudowałeś życie od nowa jako zagraniczny przedsiębiorca i wiodłeś spokojne życie Szweda. I nagle okazuje się, że była jeszcze jedna kopia. Scheda po zmarłym niedawno w Berlinie wysokim oficerze Stasi. Kto to był?

– Nie wiem – odpowiedział blady jak trup Fischer.

– Kim był ten Boliwijczyk? – powiedział Chavez.

– Ja tylko wykonywałem rozkazy – powiedział Fischer.

– To samo mówili strażnicy w Auschwitz. Kto to był?

– Co to ma wspólnego ze sprawą?! – wybuchnął Fischer. – Chcę rozmawiać z adwokatem. Domagam się adwokata.

– Oficjalnie?

– Tak.

– Doskonale – powiedział Chavez. – W takim razie wszystkie morderstwa trafiają do protokołu i stają się oficjalnymi punktami oskarżenia.

Fischer jęknął. Jego wzrok zmętniał. Było po nim widać, że przygotował się na wszystkie scenariusze z wyjątkiem tego.

– Chcesz powiedzieć, że istnieje inne rozwiązanie? – wydusił wreszcie.

– Kto to był?

– Przestań! – krzyknął Sven Fischer i zerwał się z krzesła.

– Siadaj – powiedział spokojnie Chavez.

Fischer stał przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, w końcu jednak opadł na krzesło.

– Na tyle, na ile potrafimy to ocenić, tych dwóch Anglików, Amerykanin i rosyjski dezertier byli agentami, podobnie jak ty – mówił dalej Chavez. – Trwała wojna. Co prawda zimna, ale wojna. Możemy to potraktować jako zbrodnie wojenne. Kim jednak był ten Boliwijczyk?

Fischer zamknął oczy.

– Amerykańskim agentem, który podawał się za marksistowskiego bojownika o wolność – powiedział ściszone głosem. – Z oficjalną wizytą w partii, która w tamtych czasach nazywała się Partią Komunistyczną.

– Żyliśmy w dwóch światach, prawda? – powiedział Chavez. – Pod powierzchnią świata żyjącego w pokoju były całe armie, hordy ludzi gotowych mordować i torturować się nawzajem. W imię pokoju. W imię równowagi terroru. Żeby uchronić ziemię przed zagładą.

– Pewnie właśnie tak to widziałem – powiedział Fischer. – To było szaleństwo. Nie chcę, żeby się powtórzyło.

– Właśnie się powtórzyło.

– Na to wygląda.

– Kto grzebał w waszej ścianie?

– Nie wiem – powiedział Fischer.

– Ale zastanawiałeś się nad tym przez całą noc – powiedział Chavez.

– Nie widzę żadnych powiązań zawodowych – powiedział Fischer już z większym spokojem. – To nie ma związku z

żadnym dawnym zleceniem. Nie widzę momentu, w którym to się mogło stać. Nie łączę też tego z żadną konkretną osobą. Nic mi się nie kojarzy. A powinno. Miałem absolutny ogląd naszej działalności. Z wyjątkiem samego końca, kiedy upadł mur i blok komunistyczny przestał istnieć. Wtedy był większy chaos.

– Może zatem stało się to właśnie wtedy? Około osiemdziesiątego dziewiątego, dziewięćdziesiątego roku?

– To wydaje się najbardziej prawdopodobne.

– Wobec tego mamy pewną grupę osób, z których należy typować. Bo to musiał być raczej czynny agent?

– Nikt inny nie miał dostępu. Nikt nie mógł wejść po kryjomu. Po upadku muru razem z kilkoma innymi agentami postanowiliśmy zostać na miejscu i poczekać. Zabarykadowaliśmy się w mieszkaniu, przygotowani, by się ostrzelać. Nie było jednak takiej potrzeby. Dostaliśmy wiadomość, że jesteśmy czyści. Dokumenty zostały zniszczone. Bardzo szybko obudził się w nas duch przedsiębiorczości – tak naprawdę nie różniliśmy się zbyt od naszego wroga, liczyło się tylko, kto jest silniejszy. Mieliśmy sieć kontaktów, którą mogliśmy wykorzystać na potrzeby swojej firmy. Po prostu zatrudniłem wszystkich swoich wcześniejszych pracowników. Było nas pięciu.

– A więc to raczej żaden z nich?

– Wykluczone. Cała nasza piątka została ewakuowana. Siedzieliśmy w restauracji z laptopami podłączonymi do internetu, próbując pracować na tyle, na ile się dało.

– W takim razie kto to był?

– Tak jak wspomniałem, w owym czasie panował chaos. Kręciło się tu wielu agentów z różnymi tajnymi misjami, jednak głównie interesowało ich ratowanie własnej skóry.

– Mógłbyś spróbować stworzyć listę?

– Już to zrobiłem – powiedział Sven Fischer i postukał się po głowie. – Na własny użytek.

Chavez skinął głową.

– Wolę nie wiedzieć, do czego zamierzałeś ją wykorzystać – powiedział. – Dorzuć tam jeszcze specjalistę informatyka zatrudnionego w oddziale Andelsbanken zajmującego się

zabezpieczeniami transakcji finansowych i zdolnego do wyłączenia waszego superczułego systemu alarmowego.

– Andelsbanken?

– Bank pod waszymi nóżkami – powiedział Jorge Chavez i wystukał: *Hey mighty brontosaurus / Don't you have a message for us You thought your rule would always last There were no lessons in your past.*

W tej samej chwili Arto Söderstedt wpadł z hukiem do pokoju, wymachując plikiem kartek, i ostatnim tchem wydusił:

– Mamy go!

OBDUKCJA ŚCIANY, pomyślał Arto Söderstedt i zajrzał przez okno do jednej z sal operacyjnych w piwnicach komendy. Na zimnym stole ze stali nierdzewnej nie leżało ciało, lecz fragment ściany. Obducent badał go jednak z ostrożnością typową dla lekarza sądowego. Jeśli o lekarzach sądowych rzeczywiście można powiedzieć, że są ostrożni.

Ryzyko, że pacjenci będą się skarżyć, jest bowiem bliskie zera.

Podobnie rzecz się miała ze ścianami. Na świecie istniały co prawda ściany płaczu, ale Arto Söderstedt jeszcze nigdy nie słyszał o ścianie jęczącej. Jeśli jednak istniały mówiące ściany, ta bez wątpienia była jedną z nich. Wciąż mieli nadzieję, że w końcu zaczną mówić i opowie Drużynie A, o co w tym wszystkim, do jasnej cholery, chodziło.

Śledztwo bez przerwy wymykało im się z rąk. Wciąż brakowało niektórych elementów układanki. Było to jedno z tych śledztw, podczas których nigdy nie ma się pewności, co się właściwie dzieje.

Mężczyzna zajęty badaniem dużego fragmentu ściany nie był zwykłym technikiem kryminalistycznym. Był specjalistą od konserwacji zabytków, którego Brynolf Svenhagen ściągnął tu specjalnie z Muzeum Narodowego.

Doszli bowiem do wniosku, że tak zwana rurka – a raczej gilza lub cylindryczny pojemnik – zawierała prawdopodobnie zwinięty kawałek kartki, który leżał w niej od kilku dziesięcioleci. Wyglądało na to, że papier zostawił po sobie jakieś ślady po wewnętrznej stronie cylindra. Właśnie to należało teraz ustalić.

Wszystko to jednak zajmowało mnóstwo czasu.

Kaczor Donald zarechotał głośno. Zaskakiwał go za każdym razem. Nie dało się do niego przyzwyczaić, ale nie umiał go odinstalować. Söderstedt wyjął szybko komórkę z wewnętrznej kieszonki i odebrał, przerywając ustawiony przez swoją

najmłodszą córkę sygnał dzwonka.

– Söderstedt.

– Dalej tam jesteście, wariacie? – zdziwił się Viggo Norlander. – Robota czeka.

– Niby co? – odpowiedział Söderstedt nasrożony. Pomyślał, że zabrzmiał jak Kaczor Donald.

– Trzeba rozwiązać drugą zagadkę – powiedział Norlander.

– Raczej pierwszą.

– Nie, rozwiązanie pierwszej zagadki z włosami brzmi „tak”. Waldemar Mörner nosi perukę. Ta jest druga.

– Druga zagadka z włosami? – zdenerwował się Söderstedt.

Odpowiedziała mu cisza.

Przez chwilę patrzył zaskoczony na milczącą komórkę.

Potem zrozumiał.

Pobiegł do windy, a potem prosto do tej części budynku, którą zajmowała Drużyna A. Przebiegł irytująco długim korytarzem i ledwo łapiąc oddech, wpadł do pokoju 302. Otworzył z impetem drzwi. Przy ich wspólnym biurku siedział Norlander w towarzystwie eleganckiego mężczyzny w garniturze. Attaché kulturalny Paweł Lubimow przecesał dłonią jasne falowane włosy, które niepokojąco przypominały perukę Waldemara Mörnera.

– Znam trochę szwedzki – powiedział Paweł Lubimow swoim łamanym angielskim.

– *Shit* – wyrwało się Norlanderowi.

– Nie rozwiążę waszej drugiej zagadki – powiedział spokojnie Lubimow. – Ale mam dla was coś innego.

Söderstedt podszedł i przywitał się z honorowym gościem.

– Nie musiał się pan fatygować – powiedział kurtuazyjnie.

– Tak było najlepiej – powiedział Lubimow. – Zostawiacie po sobie tyle śladów.

– Obawiam się, że nie byliśmy szkoleni w sztuce zacierania po sobie śladów.

– Dlatego tu jestem – powiedział attaché kulturalny z satysfakcją w głosie.

Viggo i Arto popatrzyli na siebie. Ich spojrzenia mówiły: „Niech gada, nie możemy go wystraszyć”.

Nie wystraszył się. Nawet się nie poruszyli.

Po minucie ciszy, jakby na cześć wszystkich anonimowych ofiar zimnej wojny, odezwał się Paweł Lubimow:

– Znalezienie niższego ze sprawców nie stanowiło żadnego problemu. Jego DNA mieliśmy pod ręką.

– Pod ręką? – zapytał ostrożnie Söderstedt.

– Albo, jeśli wolicie, daleko – odparł Lubimow. – W innym świecie. W innym kraju. Innej epoce. Lub jeśli wolicie: na miejscu.

Policjanci spojrzeli po sobie. Ich wzrok mówił dokładnie to samo co poprzednim razem.

Lubimow poświęcił jeszcze jedną minutę swojego drogocennego czasu, zanim zdecydował się wyjaśnić:

– Niższy napastnik nazywa się Michaił Zinowjew, w przeszłości należał do KGB. Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego do upadku muru w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym stacjonował w ambasadzie w Sztokholmie. Potem przez kilka lat był bezrobotny, aż w końcu objął przyjemną posadkę nauczyciela wuefu na przedmieściach Moskwy.

– Nauczyciel wuefu? – zdziwił się Norlander. – I to on w banku w Sztokholmie trzymał na muszce dziewięćoro zakładników?

– Rzeczywiście trudno zrozumieć, jak do tego doszło – powiedział Paweł Lubimow. – Przyglądamy się jednak z zainteresowaniem prowadzonemu przez policję dochodzeniu.

– Czy mamy przez to rozumieć, że próbka DNA od drugiego z nich nie dała żadnego wyniku? – zapytał Söderstedt.

– Otóż to – powiedział attaché kulturalny. – Jednak zdjęcie wyższego napastnika trafiło do wszystkich właściwych instancji.

Nastąpiła kolejna minuta ciszy. Söderstedt wbił wzrok w zaciśnięte szczęki Norlandera z nadzieją, że się nie otworzą.

– Chyba udało nam się go zidentyfikować – odezwał się w końcu Paweł Lubimow. – Ale nie mamy pewności. Zdjęcie nie jest najlepszej jakości.

– Tak? – wydusił w końcu Söderstedt.

– Obracał się w kręgach związanych z pewnymi grupami przestępczymi – zaczął powoli jego ekscelencja. – Rozpoznała go moskiewska policja. Jeśli nie zaszła pomyłka, nazywa się Kuwaldin, Władimir Kuwaldin. Podejrzany typek. Weteran wojny w Afganistanie.

– *There's a lot of war right now* – powiedział Viggo Norlander.

– Taki jest dziś świat – powiedział Lubimow. – Trzeba tylko otworzyć oczy.

– Domyślam się, że w tej teczce jest kilka lepszych zdjęć – powiedział Söderstedt.

Lubimow rzucił swoją stylową teczkę na biurko i rzeczywiście wyjął z niej fotografie. Rozłożył je obok siebie na biurku i pokazał palcem postać o pociągłej twarzy, długim nosie i z krótkimi włosami.

– Niższy napastnik, Michał Zinowjew, lat pięćdziesiąt dwa. Oraz Władimir Kuwaldin, wyższy napastnik, lat trzydzieści jeden. Zamieszkali w Moskwie.

Niewątpliwie twarz, która patrzyła na nich ze zdjęcia, przypominała szeroką słowiańską twarz z banku.

– Tak – powiedział Norlander. – To musi być on.

– Nasza wdzięczność nie zna granic, panie Lubimow – powiedział Arto Söderstedt, podając mu rękę.

Lubimow spojrział na nią, uniósł lewą brew i powiedział zmęczonym głosem:

– Mam nadzieję, że tym samym dowiodłem zaangażowania w walkę o dobry wizerunek swojego narodu.

I zniknął.

Söderstedt przyglądał się swojej dłoni, jakby przez krótką chwilę nie należała do niego. Następnie opuścił ją i obrócił do siebie zdjęcia. Charakter pisma na odwrocie zdawał się dokładnie odpowiadać osobliwej postaci Lubimowa.

– Dobry kontakt – stwierdził Söderstedt.

– Idę o zakład, że to była peruka – powiedział Norlander.

– Czyli się nie pomyliliśmy – powiedział Söderstedt. – Nasi napastnicy to starszy weteran KGB, mózg operacji, i młodszy weteran wojenny służący za mięśnie. Obaj z wystarczająco

pokręconym życiorysem, żeby za odpowiednią sumę spędzić kilka lat w szwedzkim więzieniu. Gdzieś z tyłu chowa się jeszcze dawny członek Ministerium für Staatssicherheit. Jeśli jeszcze nie został zabity, a cała zagadka nie wpadła do czarnej dziury ziejącej od czasów zimnej wojny.

– Ministerstwo czego?

– O, mięśniaku – westchnął Arto Söderstedt.

– O, wariacie – odparował Viggo Norlander.

– Ministerium für Staatssicherheit. Stasi.

Na te słowa roześmiał się Kaczor Donald. Norlander spojrział zdumiony na Söderstedta, który najwyraźniej zdążył się zamienić w brzuchomówcę.

Nie, do tego nie dało się przyzwyczać. Söderstedt wyjął telefon z wewnętrznej kieszonki marynarki i rzucił zniecierpliwiony:

– No?

– No co? – odpowiedział mu nieznany głos. – Miałem dzwonić na ten numer, kiedy coś znajdę, ale może powinienem zadzwonić bezpośrednio do Svenhagena?

Söderstedt zamrugał oczami i dopiero po chwili skojarzył głos z osobą konserwatora.

– Przepraszam – powiedział. – Nawala mi telefon. Udało się coś znaleźć?

– Ślady po wewnętrznej stronie rurki – powiedział konserwator. – Zapraszam do siebie.

Wyszli z pokoju. W windzie przyglądali się sobie badawczo, jakby próbowali odgadnąć swoje myśli. Być może nie chcieli zostać z nimi sam na sam.

Czy nie chodziło właśnie o tę niepozorną rurkę?

Wizyta w królestwie lekarzy sądowych wymagała zazwyczaj dużego samozaparcia. Odwiedzający musieli się przygotować na zapach i widok śmierci. To, że teraz było inaczej, jedynie potwierdzało regułę.

Konserwator sztuki w niczym nie przypominał przedstawicieli swojego zawodu. Nie miał jedwabnych rękawiczek, lupy z grubym szkłem, miękkich pędzelków ani cienkiej pęsety. Dzierżył natomiast wielkie obcęgi, którymi

odkształcał plastikową rurkę na metalowym cylindrze zamocowanym w ścisisku stolarskim przytwierdzonym do stołu obdukcyjnego.

– Co ty robisz?! – krzyknął Norlander.

Nie odrywając wzroku od wykonywanej czynności, konserwator rzucił w odpowiedzi:

– Zdjęcia z wnętrza rurki są już zrobione – macie je na tym komputerze – teraz musimy naświetlić powierzchnię na płasko.

– Naświetlić?

– Nie musicie znać szczegółów – uciał konserwator z typową dla fachowców nonszalancją. – Podczerwień pozwala nam wydobyć różnego rodzaju ślady.

Chwycił cęgami wywróconą na wierzch plastikową rurkę. Ze ścisisku wyjął już nie rurkę, lecz plastikowy prostokąt, położył go na stole i skierował na jego powierzchnię światło dziwacznej lampy. Wyprostował plecy i po raz pierwszy spojrzął na obu policjantów.

– Wkrótce przejdę do dokładniejszego badania rentgenowskiego – wyjaśnił. – Jednak całkiem sporo można już zobaczyć na ekranie.

Arto i Viggo spojrzeli na stół, na którym zamiast pił, dłut i innych narzędzi do obdukcji stał laptop. Zdjęcia były dziwnie wykrzywione, można było jednak na nich wyróżnić ciemniejsze miejsca, które układały się w jakieś znaki.

– Wygląda na atrament, może z długopisu – powiedział konserwator. – Wszystko wskazuje na to, że w tubie znajdowała się zwinięta kartka papieru. Prawdopodobnie tekstem na zewnątrz, możliwe też, że atrament przebił przez papier. Przez te lata tekst zostawił po sobie ślady.

– Tekst? – powiedział Söderstedt.

– Na razie nazwijmy to tekstem – odpowiedział spokojnie konserwator. – Na tych zdjęciach niewiele widać. Niewielkie znaki, rysa, włos, jakieś zawijasy, linia. To może być tekst. Lub też coś innego: szkic, rysunek. Światło pokaże pewnie coś więcej.

Trzech mężczyzn spojrzelo na rozplataną i rozplaszczoną plastikową rurkę na stole obdukcyjnym. Konserwator sztuki

przesunął palcami po dziwacznej obudowie lampy w poszukiwaniu włącznika. W końcu znalazł. Usłyszeli kliknięcie, jednak nie dostrzegli światła.

Obejmowało jedynie powierzchnię prostokątnego kawałka plastiku.

Na plastikowej płaszczyźnie pojawiły się kreski i zawijasy, które wyglądały, jakby świeciły własnym światłem. W niektórych miejscach linie zdawały się układać w znaki, ale nigdy do końca. Choć musiano je narysować świadomie i celowo, nie dało się z nich ułożyć ani jednego rozpoznawalnego znaku.

Jeden z kleksów atramentu układał się w kształt przywodzący na myśl nitkę spaghetti, a inny – diament.

Arto Söderstedt nie zamknął oczu. To niewłaściwe słowo. Zacisnął powieki najmocniej, jak potrafił.

Świat nabrał nagle nowego kształtu.

Zobaczył samego siebie, jak wysuwa i wsuwa szuflady w kolejności, którą miał pamiętać do końca swoich dni. Usłyszał, jak coś kliknęło z lewej strony w górnej części starego biurka, i z boku wyskoczyła mała szufladka.

Coś tu się nie zgadzało.

Jak, do cholery, mogło się zgadzać?

Przecież to były dwa różne światy.

Nic nie łączyło świeżo kupionego osiemnastowiecznego biurka z plastikową rurką zamurowaną w ścianie dawnej szpiegowskiej dziupli. Kompletnie nic.

I nagle...

The big bang.

Na początku był chaos. W bezgranicznej przestrzeni unosiły się szczątki wspomnień w stanie plazmy. Upływały eony, zanim atomy zaczęły się łączyć, by stworzyć ciała niebieskie. Te z kolei rosły, buchając płomieniami ognia w gwałtownie rozszerzającą się przestrzeń.

Pojawiła się biel. Była to biel niezapisanej kartki papieru. Na jej tle zaczęły się pojawiać kształty, jeden za drugim, w długim rzędzie. Długi rząd samochodów zaparkowanych w śniegu wzdłuż drogi. Duże gospodarstwo na zasypanym śniegiem

polu. Wysiadający ludzie, rodzina, dwie rodziny, zbiorowisko ludzi. Prowadzący aukcję biegający tam i z powrotem w czerwonym kaszkiecie. Drobną, zasuszoną siedemdziesięciolatka o imieniu Laura. Mężczyzna w prążkowanym garniturze i wiązanej muszce w kratę na tle zimowego krajobrazu. I coś jeszcze.

Tajemniczy uśmiezek Viggo.

Arto Söderstedt otworzył oczy. Viggo Norlander przyglądał się mu przerażony.

– Arto, do cholery – powiedział. – Coś nie tak z sercem?

Söderstedt spojrzał na niego uważnie.

– Nie – odpowiedział w końcu. – Raczej z głową.

Norlander odetchnął. Söderstedt się rozejrzał. Zobaczył zaskoczonego konserwatora zabytków, lampę, która nie dawała światła, zobaczył stół obdukcyjny z fragmentem leżącej na nim ściany i prostokątny kawałek plastiku ze świecącymi znakami.

– Następnym razem czysta gra, panowie – powiedział.

– Wylew krwi do mózgu? – zapytał Norlander uspokojony.

– Pomogłeś mi, Viggo. Nie było to do końca fair, ale dzięki tobie zdobyłem biurko. Pamiętasz?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Pamiętasz tę aukcję, Viggo? Gdy nieśliśmy biurko do samochodu, minęliśmy mężczyznę w garniturze z muszką siedzącego na schodkach, który powiedział: „Następnym razem czysta gra, panowie”.

Norlander zamrugał oczami, próbując odwrócić bieg czasu. Nie było to łatwe.

– Pomogłem ci przenieść biurko – powiedział powoli.

– Pomogłeś mi podczas aukcji – powiedział Söderstedt. – Nagle pojawiło się dwoje konkurentów w osobach dwojga profesjonalnych antykwariuszy. Mężczyzna w muszce w kratkę i starsza pani o imieniu Laura. Biurko nie powinno było do mnie trafić. Ale oboje zamilkli podczas licytacji. Po wszystkim widzieliśmy tego mężczyznę siedzącego na schodach werandy – rozcierał piszczel i pogroził nam palcem: „Następnym razem czysta gra, panowie”.

– Chyba sobie przypominam, że siedział tam jakiś dziwny

koleś – powiedział Norlander z dużym wysiłkiem.

– Uśmiechnąłeś się wtedy tajemniczo – powiedział Söderstedt – jakbyś chciał powiedzieć, że to ty uciszyłeś konkurencję.

– Co znaczy: uciszyłem konkurencję?

– W czasie licytacji. Kiedy licytowałem to biurko.

– Nie pamiętam – jęknął Norlander.

– Dałeś koleśowi w muszce kopniaka w piszczel. Co zrobiłeś biednej pani Laurze, wołę nawet nie myśleć.

Norlander brodził w milczeniu w wodach bezbrzeżnego oceanu pamięci. Wreszcie powiedział:

– Kiedy ty licytowałeś to cholerne biurko, ja próbowałem uspokoić Sandrę, która się przewróciła. Miałem smoczek w kieszeni i wetknąłem go jej do buzi.

– A mężczyzna w muszce? Pani Laura?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Powinienem był się domyślić – wybuchnął Söderstedt. – Przecież to jasne, że nie potrafiłbyś zrobić czegoś takiego.

– Wielkie dzięki – odrzekł naburmuszony Norlander.

– Nie myślałem jasno – dodał Söderstedt. – Oślepiło mnie szczęście z powodu biurka.

– Byłeś ślepy i tyle. Nic się zresztą od tego czasu nie zmieniło.

Söderstedt pokiwał głową. Jeszcze raz zamknął oczy. Próbował przywołać scenę i ponownie ją przeżyć.

– Ktoś tam jeszcze był – odezwał się w końcu. – Prawda, że ktoś tam jeszcze był?

– Jakieś sto osób – powiedział Norlander. – Gratuluję doskonałej pamięci.

– Rozmawiał ze mną – powiedział Söderstedt. – O biurku. Choć twierdził, że interesują go... sztuce.

– Sztuce?

– Sztuce i dzbanki. To musiał być on. Był trochę natrętny, jakby chciał się upewnić, że będę licytować.

– Co ty wygadujesz, wariacie? – zdenerwował się Norlander.

– Miał na ręku zegarek – powiedział Söderstedt.

SOBOTA, 3 PAŹDZIERNIKA 1942 R., GODZ. 20.12

Dzień wielkiej przemiany dobiega końca; powiedzmy, że jest dwanaście po ósmej wieczorem, to ładnie brzmi. Łagodne światło słońca, które w ciągu dnia umożliwiło pisanie – choć w innym miejscu, teraz piszę gdzie indziej – zostało przyćmione przez zmierzch. Rozpaliłem niewielki płomień, który mnie ogrzewa i daje światło w miejscu, w którym teraz siedzę, owinięty w płócienne obrusy z opuszczonej restauracji, i próbuję podsumować ten niezwykły dzień. Kiedy to ja, który byłem samym ciałem, stałem się czystym umysłem.

W tym zawieszeniu między życiem a śmiercią, które stało się moim domem, zrozumiałem, kim jestem.

Wróciłem do krainy dzieciństwa, do lasów brandenburskich, do domu swojego dziadka. Siedzieliśmy przy ognisku, nad naszymi głowami kołysały się gałęzie, a wokół nas zapadała ciemność. Dziadek czytał mi na głos Tajemniczą wyspę Juliusza Verne'a. Gdy czytał, jego skrzeczący głos zmieniał barwę – to mnie fascynowało. Jeszcze bardziej fascynowała mnie historia pięciu unionistów, którzy w czasie wojny secesyjnej uciekają balonem z obozu jenieckiego i lądują na nieznannej wyspie. Z tej lektury najbardziej zapadły mi w pamięć słowa inżyniera Cyrusa Smitha: „Tak, przyjaciele, wierzę, że pewnego dnia woda będzie wykorzystywana jako paliwo, że wodór i tlen, które się na nią składają, używane razem lub osobno, staną się niewyczerpanym źródłem ciepła i światła”⁵.

Te słowa we mnie zostały. Woda, pozornie niewinny płyn, który pokrywa ponad połowę kuli ziemskiej i który stanowi ponad połowę objętości naszego ciała, kryje w sobie przecież ogromne zasoby energii. Powinno dać się ją uwolnić.

Naprawdę wierzę, że dzięki wizji Juliusza Verne'a zacząłem

⁵ Juliusz Verne, *Tajemnicza wyspa*, tłum. Marta Olszewska, wyd. Zielona Sowa, 2004, tom II.

studiować fizykę i chemię i że świat, w którym dorastałem, zaczął eksperymentować z możliwościami wodoru. Ale potem zaczęła się wojna, wielka wojna o dostęp do paliw kopalnych.

Wodór to trzy czwarte masy wszechświata i składnik dziewięćdziesięciu procent tworzących go cząsteczek. To nieograniczone źródło energii. A kiedy pali się wodór, zostaje tylko woda. Najpierw uwalnia się wodór z wody, a potem utlenia wodór, by powstała woda. W tym zamkniętym obiegu wyzwala się wystarczająco dużo energii, żeby zaspokoić potrzeby całej naszej planety.

Urodziłem się w roku 1913. W przyszłym roku skończę trzydzieści lat. Jeśli przeżyję. W 1923 miałem dziesięć lat. Czytałem wtedy tłumaczenie wykładu, który niejaki Haldane wygłosił w Cambridge. Mówił o nieskończonych możliwościach wodoru, o nieograniczonych możliwościach jego magazynowania i wytwarzania energii. Przedstawił kompletną wizję świata, w którym cała energia byłaby czysta. Żadnych spalin, zanieczyszczenia środowiska, uwalniania kopalnych trucizn do atmosfery. Nie było powodu sądzić, że to utopia. Scenariusz Haldane'a był całkowicie realistyczny. Jeśli tylko chciałoby się go zrealizować.

Od początku wiedziałem, że jest kilka podstawowych problemów, z którymi trzeba się będzie zmierzyć. Poświęciłem się próbom ich rozwiązania. Tego dotyczyły moje badania.

Wodór znajduje się co prawda w całym wszechświecie, największym jednak problemem jest uwolnienie go do postaci gazowej. Istnieją różne metody, można je podzielić na dwie grupy. Najłatwiej jest doprowadzić do reakcji pary wodnej z rozżarzoną koksem, ale wydajność tego procesu nie jest duża, poza tym jego produktem ubocznym jest dwutlenek węgla. Druga metoda to elektroliza, elektryczność, która dzieli wodę na wodór i tlen. Wodór kieruje się ku katodzie, tlen – ku anodzie. To jednak wymaga dostępu do energii elektrycznej.

Wydawało mi się, że znalazłem trzecią metodę, dużo bardziej wydajną, i to jej chciałem poświęcić pierwszą część

moich badań.

Jednak z podstawowym procesem woda – wodór – woda wiązą się liczne problemy. Na przykład przechowywanie. Jaki jest najlepszy sposób przechowywania wodoru? Świat, który czerpałby całą energię z wodoru, potrzebowałby ogromnych przestrzeni do jego składowania. Kompresja jest możliwa, ale tylko do określonego poziomu ciśnienia. Najlepsze, choć najtrudniejsze, jest wyprodukowanie ciekłego wodoru, ale to wymaga temperatury bliskiej zera absolutnego.

Również w tej kwestii wydawało mi się, że jestem na tropie rozwiązania. Niestabilny związek, który zmieniał wodór w niezwykle łatwą do zmagazynowania substancję.

Na koniec spalanie – może raczej powinniśmy to nazwać pozyskiwaniem energii, bo spalanie może zachodzić zarówno na zimno, jak i na gorąco. Ciepłe zachodzi w silnikach spalinowych napędzanych wodorem. Przykładem mogą tu być zeppelin, które jeszcze do niedawna stanowiły łącznik między starym i nowym światem. Gaz wodorowy służył w nich za paliwo.

Utlenianie gazu wodorowego na zimno zachodzi natomiast w tak zwanych ogniach paliwowych, które są prawdziwą przyszłością. Wynaleziono je już w 1839 roku, jest to przeciwieństwo procesu elektrolizy. Do ogniwa dostarcza się wodór i tlen. Wodór utlenia się na anodzie, tlen redukuje na katodzie. Uwalnia się energia i tworzy woda.

Zagadnienie ogniów paliwowych wymaga zgłębienia, a ja miałem wiele pomysłów na badania.

Nie było mi dane ich dokończyć.

Hitler wiedział, że ostatnią wojnę przegraliśmy, bo byliśmy zbyt zależni od węgla. Dlatego zdecydował się zasilać swoje armie ropą, olejem. To jest wojna o ropę. Jak sądzę, nie ostatnia.

Dziwne, że o tym myślę w tych okolicznościach. Coś jednak każe mi zawęzić perspektywę, jakby był w tym jakiś ukryty sens.

Przez cały dzień miałem wrażenie wyjątkowej jasności

umysłu. Wszystko wracało na swoje miejsce; moje dawne myśli, pomysły, wskakiwały w swoje przegródki, ustawiały się przede mną w szeregu. Dogoniłem samego siebie. Gdy zmierzch zapadł nad moim pogrążonym w ciemnościach schronieniem – moją wyrwą w czasie – znalazłem się w najdalszym miejscu, do którego dotarłem w swoich badaniach. Przerzuciłem liny na drugą stronę, gotów wciągnąć się na nich do następnego etapu. Zapiisałem już prawie cały drugi zeszyt, zadowolony otworzyłem konserwę i butelkę wina.

To był szczególny dzień. Odgłosy wojny, ryk płonącego miasta, nie docierały do mnie; musiałem tkwić pogrzebany głęboko pod jego ruinami. Gdy słabe światło dnia znikало z mojego okienka, czułem twoją absolutną nieobecność, Boże, w którego nie wierzę. Dziękuję ci, że dałeś nam wolną rękę.

Po raz pierwszy od kilku lat poczułem coś, co przypominało zadowolenie, być może nawet nadzieję. Byłem lekki jak balon wypełniony wodorem, a wino krążyło w moich żyłach, zasilając każdy najmniejszy fragment mojego ciała.

To już nie było życie, to było coś innego. Ale było mi z tym dobrze.

Świat leżał u moich stóp.

Świat pod błękitnym niebem.

*

Zasnąłem z piórem w rękę. Przed chwilą się obudziłem. Nie wiem, ile minęło czasu. Wiem tylko tyle, że coś słyszę i że muszę o tym napisać. Pierwszy raz od bardzo dawna słyszę dźwięk, który nie pochodzi ode mnie.

Ktoś z zewnątrz próbuje się tu dostać.

A więc tak krótka była chwila wytchnienia.

Musiałem ci przeszkodzić, Boże, w którego nie wierzę. Moja agresja musiała poruszyć nawet ciebie, który widziałeś już wszystko. Pozwoliłeś mi wrócić do świata idei, ale tylko po to, bym z powrotem nabrał powietrza w płuca, a potem rzuciłeś mną z powrotem o ziemię. Wcześniej po prostu leżałem.

To da lepszy efekt, zgadzam się z tobą, Boże, w którego nie

wierzę. Tym razem upadnę z wysoka.

Muszę odłożyć pióro i chwycić za miecz.

Cóż za wyrafinowana kara, Boże, w którego nie wierzę.

Jestem pod wrażeniem.

Nic nie widzę, jest zupełnie ciemno, ale domyślam się, że za chwilę moje okno na świat powiększy się na tyle, by zmieścił się w nim człowiek.

Jak widzisz, Boże, w którego nie wierzę, z niechęcią odkładam pióro.

Chwytam za broń.

– TO BYŁ TEN MEŹCZYŻNA Z ROLEXEM – powiedział Arto Söderstedt.

– Jakim rolexem? – zdziwił się Viggo Norlander.

Konserwator, jeszcze przed chwilą tak rozmowny, nie odezwał się ani słowem. Nagle stał się obserwatorem widowiska, z którego nic nie rozumiał, szybko się znudził i zajął się z powrotem kawałkiem plastiku pokrytym świecącymi znakami.

Söderstedt stał przez chwilę, kiwając na Norlandera palcem.

– Ten meźczyżna powiedział, że woli mówić „rolex” – odezwał się w końcu. – Chodź!

Po czym pociągnął za sobą strapionego kolegę przez drzwi i dalej w kierunku windy.

– Rozumiem, że nie ma sensu prosić cię o wyjaśnienia – mruknął Norlander.

– Komuś zależało, żeby to biurko trafiło właśnie do mnie – powiedział Söderstedt. – Myślałem, że to ty.

– Przecież wiesz, że ja wolę biurka z Ikei.

– Myślałem, że zrobiłeś to dla mnie. Powinienem być się domyślić.

– Natychmiast się wytłumacz – zażądał Norlander.

– W tym biurku znajdował się niezwykle starannie ukryty rulon starego papieru, który wyglądał niemal identycznie jak ten zamurowany w ścianie na Skeppargatan.

Viggo Norlander zastygł w bezruchu. Nie ruszył się nawet, kiedy przyjechała winda. Arto Söderstedt musiał wepchnąć go do środka. Gdy się już w niej znaleźli, Norlander powiedział:

– Przecież to niedorzeczne.

– Wiem – powiedział Söderstedt. – Żeby otworzyć skrytkę w moim barokowym biurku, trzeba było najpierw wsunąć szuflady w określonym porządku. To wyjątkowo subtelny mechanizm. Nie wydaje mi się, żebym miał się do niej dostać. Komuś jednak zależało, żeby znalazła się właśnie u mnie. Moje

mieszkanie miało posłużyć za schronienie.

– Ale dlaczego akurat twoje? Dlaczego spośród wszystkich wariatów świata padło na ciebie?

– Założmy, że to on. – Söderstedt zawiesił głos. – Założmy, że to właśnie na niego wpadłem na aukcji, że to on był agentem Stasi, mózgiem całej operacji. Musiał wiedzieć, że jestem policjantem. Musiał wiedzieć o Drużynie A i o tym, że najprawdopodobniej zostaniemy włączeni do śledztwa, gdy jego towarzysze napadną na bank przy Karlavägen. Miał jakiś konkretny powód, by zostawić ten papier u mnie. Nie *dla* mnie, tylko *u* mnie.

– Co to są za papiery? – zdenerwował się Norlander. – Dwa identyczne?

– Lub też prawie identyczne. Trudno powiedzieć. On miał ten, który włożył do biurka i zdeponował u mnie. Drugi wyjął ze ściany swojej dawnej szpiegowskiej dziupli. To się ze sobą łączy. Możliwe, że szuka kolejnych.

– Skąd wiedział, że akurat ty kupisz to biurko?

– Zamieściłem w sieci ogłoszenie. Nowoczesne ogłoszenie kupna. „Kupię biurko starego typu z licznymi szufladami”. Po kilku tygodniach dostałem informację o aukcji, na której miało być wystawione biurko pasujące do moich kategorii wyszukiwania.

– W takim razie jest nie tylko szpiegiem, lecz także hakerem – stwierdził Norlander. – Zdemonstrował „najbezpieczniejszą finansową zaporę sieciową na świecie”. Pewnie też nas śledził, wirtualnie, całą Drużynę A. Szukał sposobu, żeby któregoś z nas podejść. Znalazł twoje ogłoszenie i postarał się o odpowiednie biurko.

– Tylko do czego jesteśmy mu potrzebni? – zastanowił się Söderstedt.

Winda jeździła w górę i w dół. Przypadkowi pasażerowie spoglądali nieufnie na dwóch odciętych od rzeczywistości mężczyzn, omawiających na głos agenturalne zagadnienia.

– Nie jesteśmy szpiegami – powiedział Norlander.

– Myślisz, że to takie proste? Jesteśmy tą oficjalną jednostką, która nie ma powiązań z siłami wywiadu?

– Dlaczego nie? Przecież w czasie zimnej wojny Szwecję często wykorzystywano jako neutralny grunt. To tutaj wymieniano się więźniami, prowadzono podejrzone interesy ponad granicami bloków.

– Szwecja niczym wielki Checkpoint Charlie – pokiwał głową Söderstedt i zatrzymał windę.

Wrócili na piętro Drużyny A. Söderstedt ruszył przodem i Norlander zrozumiał, że nie ma sensu pytać, dokąd idą. Lepiej było zaczekać.

Stanęli przed drzwiami do pokoju z numerem 304 i weszli bez pukania. W środku siedziały Sara Svenhagen i Lena Lindberg wpatrzone w ekrany komputerów. Żadna z nich nawet na chwilę nie oderwała wzroku od monitora, ale Sara powiedziała:

– Nie teraz.

– Co znaczy „nie teraz”? – zirytował się Viggo.

– Nie przeszkadzaj nam teraz – powiedziała Sara. – Geir przesłał nam właśnie wszystkie pliki. Musimy je przejrzeć do końca dnia.

– Ze zdjęciami? – zapytał z nadzieją Arto Söderstedt i wskazał palcem ekran Sary, na którym wyświetlił się portret zdjęciowy mężczyzny o dosyć pospolitym wyglądzie.

– Tak. – Sara zawiesiła głos i spojrzała zaniepokojona na rozgrzowanego kolegę.

Söderstedt pomyślał, że w jego oczach musi być widać obłęd, bo wciąż wywoływał te same zaniepokojone spojrzenia. Miał świadomość, że Drużyna A wiąże pewne nadzieje z tym stanem jego umysłu.

Czas już wyjść tym oczekiwaniom naprzeciw.

– Wszystkie pliki Geira – powiedział. – To znaczy wszystkie dane na temat techników zajmujących się bezpieczeństwem danych i zaangażowanych w budowę zapory sieciowej dla Andelsbanken?

– Tak – wyszeptała przerażona.

– Przewiń.

Sara Svenhagen i Lena Lindberg wymieniły się spojrzeniami nad biurkiem. Lena skinęła lekko.

– Pod warunkiem, że powiesz, co chcesz zrobić – roześmiała się Sara.

– Przewiń – powtórzył Arto.

Z naburmuszoną miną weisnęła klawisz myszki i zaczęła przewijać zdjęcia informatyków zatrudnionych w banku wraz z opisami. Historyjka obrazkowa ułożona z portretów. Ludzie odpowiedzialni za to, że nasze pieniądze zamieniały się w ciągi zer i jedynek, dzięki którym gospodarka światowa jeszcze się nie rozpadła. Ludzie, których umiejętności zapewniały naszym drobnym oszczędnościom bezpieczeństwo w wirtualnych bankowych skarbcach, przez których ściany nie miał szans przeniknąć żaden wirus i których zamków nie był w stanie otworzyć żaden intruz. A więc tak wyglądali: łańcuch męskich twarzy, z pozoru zwykłych i mało ciekawych, a przecież bardzo różnych. Nie było w nich nic, co by je wyróżniało, choć czujne spojrzenie mogłoby na niektórych dostrzec swego rodzaju introwertyzm.

Söderstedt pochylał się nad komputerem Svenhagen. Jego anielskie błękitne oczy świeciły – choć może było to tylko światło odbite od ekranu, od którego dzieliło je zaledwie dwadzieścia centymetrów.

– Tadam! – zakrzyknął nagle.

Sara Svenhagen puściła klawisz myszy i spojrzała na niego.

– Co? – powiedziała.

– Wróć – powiedział Söderstedt.

Kliknęła kilkakrotnie drugim klawiszem myszy, a Söderstedt pokazał bez słowa na ekran.

– On – wydusił po chwili.

Sara Svenhagen nacisnęła klawisz na klawiaturze i zdjęcie zniknęło z ekranu.

– Ej! – zdenerwował się Söderstedt.

– Najpierw powiedz, o co w tym chodzi – zażądała Svenhagen. – Jak będziesz grzeczny, to pokażę ci obrazek.

Ale Arto Söderstedt najwyraźniej stracił zdolność mowy. Patrzył na nią jak na kogoś, kogo opętały złe duchy. Norlander musiał interweniować:

– W biurku, które niedawno kupił Arto, znajdowała się

kartka podobna do tej ze ściany na Skeppargatan. Komuś zależało, żeby Arto kupił to biurko. Temu z ekranu.

– Co? – powtórzyła Sara Svenhagen.

– Muszę z tym iść do Fischera – powiedział Söderstedt i zerwał się do biegu. Szybko, zanim go wypuszczą.

Svenhagen i Lindberg popatrzyły po sobie.

– Śmieszne, że policja sama sobie utrudnia dochodzenie – stwierdził Viggo Norlander.

Sara Svenhagen skrzywiła się i ponownie wcisnęła klawisz. Zdjęcie pojawiło się z powrotem na ekranie.

Widniała na nim twarz przysadzistego, wysportowanego mężczyzny około pięćdziesiątki. Stosunkowo pospolita twarz z ledwo widocznym uśmiechem.

– Johan Lidström – przeczytała Sara z ekranu. – Pracuje dla Svenska Säkerhetssystem AB. Zatrudniony jako konsultant Andelsbanken przy zakładaniu szwedzkiej filii na Karlavägen. Specjalizuje się w...

– ...okablowaniu strukturalnym systemów bezpieczeństwa – wtrąciła Lena Lindberg.

– Jesteś pewien, Arto? – zapytał Viggo Norlander. – Ja go nie pamiętam.

– W tym czasie szukałeś smoczka dla swojej córki – powiedział Arto Söderstedt, nie spuszczając wzroku z kiepskiej jakości zdjęcia.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – powiedział Norlander.

– Jestem pewien – powiedział Söderstedt. – Mężczyzna z rolexem.

– Wydrukuję – powiedziała Svenhagen.

Drukarka się zatrzęsła, a Lena Lindberg próbowała połączyć bezładnie porozrzucane wątki; wyglądała, jakby robiła na szydełku. Szydełkowała w powietrzu.

– To jakiś absurd. Co twoje biurko miałyby mieć wspólnego z napadem?

– Sam tego do końca nie rozumiem. – Söderstedt nie był zbyt pomocny.

– Co to za kartka?

– Mam ją w domu. Postaram się ją jak najszybciej przynieść.
– Ale co to jest? – nie odpuszczała Lindberg. – Coś jest na niej napisane?

– Nawet to nie jest do końca jasne.

– Daruj sobie – powiedziała Sara Svenhagen i podeszła do drukarki. – Daruj sobie albo mów jak człowiek.

– Dopiero co na to wpadłem – powiedział Söderstedt. – Nie udało mi się jeszcze wszystkiego ze sobą połączyć. Ja też szydełkuję – dodał, pokazując na Lenę, której dłonie nagle zastygły w powietrzu.

Drukarka skończyła drukowanie. Svenhagen wyjęła kartkę, a Söderstedt wyrwał ją z jej ręki i wybiegł z pokoju. Po chwili wahania pobiegli za nim.

Arto Söderstedt biegł przez korytarze należące do Drużyny A. Gdzieś na wysokości pierwszych schodów jego drobny trucht zmienił się w długie susy. Nie zastanawiał się zbyt nad tym, że zza pleców dochodziło go zwielokrotnione echo własnych kroków. Na drugim piętrze znów musiał zwolnić, żeby uspokoić oddech przed wejściem do pomieszczeń aresztu. Miał nadzieję, że jego serce przestanie tak walić, gdy będzie przechodził przez kontrolę strażników. Kiedy go przeszukiwano, usłyszał za plecami odgłosy kolejnych kroków; najpierw Lena Lindberg, potem Sara Svenhagen, a na końcu wyraźnie zasapany Viggo Norlander.

– Jestem starym człowiekiem – jęknął ten ostatni.

Wyraźnie zmęczony życiem strażnik poprowadził ich korytarzami aresztu i otworzył niewyróżniające się niczym drzwi, jedno z wielu w szeregu.

Pierwszy wszedł do środka Söderstedt. Po jednej stronie stołu siedzieli Kerstin Holm, Jorge Chavez i Jon Anderson. Po drugiej stronie – Sven Fischer.

Chavez wyběbnił palcami zakończenie partii perkusji, a Arto Söderstedt wykrztusił, z trudem łapiąc oddech:

– Mamy go!

Zaraz potem do niewielkiego pokoju przesłuchań wcisnęło się jeszcze troje policjantów.

Sven Fischer spojrział z ciekawością na całą siódmkę.

– Widzę, że nie narzekacie na brak środków w policji.

Kerstin Holm wstała i zaciągnęła Söderstedta w kąt pokoju przesłuchań.

– Co ty wyprawiasz, Arto? – wyszeptała bardziej koleżeńskim niż kierowniczym tonem.

– Musiałem zdążyć, zanim go wypuścicie – odpowiedział szeptem Söderstedt. Z jego ust wydobywało się na zmianę charczenie i świsty.

– Mało brakowało – wyszeptała Holm i wyjęła mu kartki z dłoni.

– Johan Lidström – zacharczał Söderstedt. – Pracował w Andelsbanken jako konsultant do spraw bezpieczeństwa danych przed otwarciem oddziału na Karlavägen.

– Skąd to masz?

– To długa historia i chyba nie dam rady opowiedzieć jej szeptem.

– Okej. – Holm pokiwała głową. – Myślisz, że możemy pokazać je Fischerowi?

– Być może, o ile będziemy mogli go zatrzymać. Jeśli się kolegują, mógłby uprzedzić Lidströma. Ale nie wydaje mi się. Sądzę, że to samotny rajd Johana Lidströma.

– Spróbuję przetrzymać Fischera jeszcze przez chwilę. Ale...

– Ale...?

– Musisz być absolutnie pewien, Arto. Cholernie pewien. Söderstedt się skrzywił.

– Co? – wyszeptała Holm.

– Nie mam żadnych dowodów, ale to pamiętam – szepnęła Söderstedt. – Mam w głowie pięciosekundowy obraz.

– Rzykujemy odkrycie kart. Na ile jesteś pewien?

– Na sto procent – powiedział Söderstedt głośno.

– Skoro tak – powiedziała Holm. – Dajesz.

Söderstedt odchrząknął i obrócił się w stronę stłoczonej Drużyny A, która przyglądała mu się z rosnącym zaciekawieniem. Viggo Norlander stał zgięty wpół, podpierając się na kolanach.

– Wariat – powiedział na widok zbliżającego się Söderstedta.

Söderstedt przecisnął się przez tłumek i położył kartkę na

stole przed elegancko ubranym dyrektorem generalnym Fischer Security AB, który wyglądał na lekko zmęczonego – widać, że Chavez specjalnie się z nim nie patyczkował.

– Rozpoznaje go pan? – zapytał Söderstedt.

Sven Fischer spojrział na wydruk zdjęcia. Podniósł kartkę i przyjrzał się jej uważnie. Potem wybuchnął śmiechem. To był dziwny dźwięk.

– Nieźle – powiedział. – Powinienem być się domyślić.

– Rozpoznaje go pan? – powiedział Söderstedt, ciągle nie mogąc złapać tchu.

– Tak – powiedział Fischer i puścił kartkę.

– Kto to jest?

– Andreas Becker – powiedział Fischer. – Świetny agent.

– Nosi teraz inne nazwisko.

– Wiedziałem, że ma równoległą tożsamość. My wybraliśmy inne rozwiązanie. Przy zakładaniu firmy byłoby to zbyt skomplikowane.

– Równoległą tożsamość?

– Szwedzką – wyjaśnił Sven Fischer. – Ze sfalszowanym od początku do końca życiorysem.

– Mówi dobrze po szwedzku?

– Jest pół-Szwedem.

– Pół-Szwedem?

– Matka Andreeasa Beckera była komunistką z Göteborga. Przyjechała do Europy, żeby wziąć udział w budowaniu nowej republiki ludowej, która wyłoniła się z powojennego gruzowiska. Nie ona jedna. To zdarzało się częściej, niż nam się dziś wydaje. NRD było modne, dawało możliwość sprawdzania idei komunistycznych w praktyce. I stanowiło okazję dla Zachodu, żeby pozbyć się swoich komunistów.

– Powiedz o nim coś więcej.

– Dołączył do nas dosyć późno, wcześniej żył w różnych miejscach w całej Europie. Chyba w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym. Zaprzyjaźniliśmy się. Długo myślałem, że zostanie partnerem w mojej firmie, ale on wolał żyć jak zwykły Szwed. Zniknął, gdy pojawiły się pierwsze rysy na murze.

– Na pewno wiesz znacznie więcej na jego temat – powiedział Söderstedt.

Sven Fischer machnął ręką, ale się nie odezwał.

Jorge Chavez spojrział znad brązowej teczki z aktami i powiedział:

– Miałeś absolutny ogląd sytuacji, Sven. To twoje słowa. Wydaje mi się, że wiesz wszystko, co powinniśmy wiedzieć o tym Beckerze. Niewykluczone, że wiesz nawet, co takiego ukrył w ścianie i dlaczego.

Fischer tylko im się przyglądał. Na jego twarzy nie rysował się najmniejszy ślad emocji.

Gdzieś z oddali dobiegł ich głos Kerstin Holm:

– Jedź natychmiast do domu, Arto, i zabezpiecz tę kartkę. To rozkaz.

Söderstedt oddalił się niechętnie. Holm mówiła dalej do Svena Fischera:

– Zna pan dawnego agenta M16 o nazwisku Robert Andrews?

Fischer przyglądał jej się badawczo. Rozpoznali ten wzrok. W zasadzie wszyscy widzieli już ten scenariusz. W ich areszcie znów siedział dawny agent i niczym maszyna licząca ważył plusy i minusy, tocząc dookoła nieobecny wzrokiem rekina. Poprzednim razem przesłuchiwanym był Wayne Jennings, zawodowy morderca w Wietnamie. Ten nazywał się Sven Fischer i był dawnym wschodnioniemieckim odpowiednikiem Jenningsa. I najwyraźniej właśnie zakończył kalkulacje.

– Naturalnie – powiedział. – Napisał książkę o życiu szpiega.

– Czy Andreas Becker miał coś wspólnego z Robertem Andrewsem? – Kerstin Holm nie dawała za wygraną.

Fischer zmarszczył brwi i odpowiedział dyplomatycznie:

– Tak, wymieniali szpiegów.

– Wymieniali szpiegów?

– Tak – powiedział Fischer. – Oni przetrzymywali naszych agentów, a my ich. Czasem się nimi wymienialiśmy. Sztokholm doskonale się do tego nadawał. Andreas zajmował się wylapywaniem po naszej stronie, Andrews – po angielskiej. Nazywaliśmy ich Andy Pandy.

– Andy Pandy?

– Zaciekli wrogowie i serdeczni przyjaciele.

– Czy wyłapywaniem szpiegów po rosyjskiej stronie zajmował się agent KGB o nazwisku Michaił Zinowjew? – zapytała Kerstin Holm.

– Zgadza się – powiedział Sven Fischer zaskoczony.

– Wczoraj Andy zabił Pandy’ego – powiedziała Kerstin Holm.

– Albo Pandy Andy’ego – powiedział Jorge Chavez. – Na Gärdet zginął siedemdziesięcioletni emeryt, przed śmiercią był okrutnie torturowany.

Fischer pokiwał nerwowo głową.

– To niemożliwe – powiedział. – Andreas chciał skończyć z bronią. To dlatego nie zdecydował się zostać w firmie. Nie chciał nawet pracować w agencji ochrony. Wolał zerwać z przeszłością i stać się porządnym, spokojnym obywatelem. Założyć rodzinę i żyć jak przeciętny Svensson.

– Nie wypuszczę cię, dopóki go nie zatrzymamy – powiedziała Kerstin Holm. – Nie będziesz miał możliwości, żeby go ostrzec; mam nadzieję, że wyrażam się jasno i dobitnie.

– W porządku – powiedział Fischer i spojrzał swoimi niebieskimi oczami w brązowe źrenice Holm.

– Musimy go zatrzymać – powiedziała Kerstin Holm. – Odpowiada za napad, brutalne porwanie zakładników i kradzież dwudziestu milionów; to przez niego musieliśmy ewakuować kawał miasta. Prowadził na terenie Szwecji działalność wywiadowczą i jakimś cudem udało mu się przeniknąć w szeregi policji. Mów wszystko, co o nim wiesz. Co tylko przychodzi ci do głowy.

– Musiałbym cofnąć się do tego pamięcią – powiedział Fischer.

– To, co udało ci się stworzyć, Sven, przetrwa – powiedziała Kerstin Holm. – Chyba że zdecyduję inaczej. Mam taką możliwość. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Jestem tego świadomy. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Naprawdę nie wiesz, o co w tym chodzi? Co takiego замуrował w waszej ścianie?

– Nie wiem, ale musi chodzić o jakieś dokumenty. Naprawdę ważne dokumenty.

- Gdzie on jest?
- Skąd mam wiedzieć – zdenerwował się Sven Fischer. – Zniknął. Ma w tym wprawę.
- Co mogło sprawić, że znów sięgnął po broń? Fischer wbił w nią krystalicznie czyste spojrzenie.
- Osobista tragedia, oczywiście – powiedział. Kerstin Holm skinęła głową i powiedziała:
- Posiedź tu jeszcze godzinę i zastanów się. Następnie obróciła się ku członkom Drużyny A stłoczonym w rogu ciasnego pokoju przesłuchań.
- Teraz, moi drodzy, mamy co innego do roboty.

NIEDZIELA, 4 PAŹDZIERNIKA 1942 R., GODZ. 14.25

Znów piszę. To cud. Pióro jest mimo wszystko potężniejsze od miecza.

Spróbuję opisać to, co się stało, dopóki jeszcze w to wierzę.

Wczoraj późnym wieczorem ktoś uderzył łopatą w moje okno na świat. Zupełna ciemność. Odłożyłem pióro, zgasilem ogień i wziąłem do ręki broń.

Nic nie było widać. Ucichły wszelkie hałasy. Ruchy łopaty ustały.

Zrozumiałem, że moje okno poszerzyło się na tyle, żeby mógł przez nie przejść człowiek. Panowała jednak kompletna cisza.

Coś płynęło, ale nie był to czas. Nie wiem, jak to nazwać. Może tak właśnie wygląda lęk w czystej postaci.

Docierały do mnie pojedyncze dźwięki. Zrozumiałem jednak, że nie jestem sam.

Nagle zapaliła się lampa. Całkowicie mnie oślepiło, na szczęście jego też. Kiedy odzyskaliśmy wzrok, staliśmy, mierząc do siebie z broni, dzieliły nas najwyżej cztery metry.

Jego twarz wyglądała pewnie tak jak moja. Kamuflaż, dzikie spojrzenie spod maskującej czerni. W tej samej sekundzie rozpoznaliśmy się. Wróciły wspomnienia sprzed lat.

To był doktor Maksim Kuwaldin. Patrzyliśmy na siebie, aż na jego ustach zamajaczył uśmiech. Na moich pewnie też, bo powiedziałem:

– To nie jest jedyne rozwiązanie.

Tak, uśmiechnął się. Pokręcił głową i odłożył broń.

– Streppy! – roześmiał się.

Stałem jeszcze przez chwilę otępiały z karabinem wiszącym u boku.

– Myślałem, że mi się przywidziało – powiedział Maksim Kuwaldin łamanym niemieckim. – Ale nie myliłem się:

Streppy to doktorant Hans Eichelberger z Uniwersytetu w Berlinie.

– Herr Doktor Maksim Kuwaldin – powiedziałem.

– Nicht so viel Herr – powiedział, kładąc dłoń na moim ramieniu.

Usiedliśmy na ziemi. Nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę.

– Streppy? – zdziwiłem się.

– Zajcew tak cię nazywa – powiedział Kuwaldin. – To gra rosyjskim słowem oznaczającym strzelca. Uważa cię za swojego głównego przeciwnika wśród strzelców wyborowych.

– A ty jesteś celowniczym króla snajperów?

– Sprawdzam uwarunkowania fizyczne. To znaczy sprawdzałem.

– Sprawdzałeś?

– Teraz zbratałem się z wrogiem – powiedział Kuwaldin. – I już nie ma odwrotu.

– Zawsze jest inne wyjście – powiedziałem. – Nie jestem już strzelcem Streppym.

– To znaczy, że znów jesteś naukowcem? – skinął Kuwaldin.

– Próbuję – powiedziałem i podałem mu swój drugi zeszyt.

Spędził nad nim kolejnych kilka godzin przy świetle mojego małego ogniska. Widziałem, jak również on przechodzi przemianę. Wszystko to, co dawniej było dla nas całym życiem, naszą wspólną pasją, wróciło do niego, tak jak wcześniej wróciło do mnie.

W czasie gdy czytał, próbowałem cię zrozumieć, Boże, w którego nie wierzę. Zrozumiałem, że nie znaleźliśmy się tu przez przypadek, twój plan wydał mi się oczywisty. Stworzyłeś odosobnioną przestrzeń pojednania. Na dnie piekła zapaliłeś światełko nadziei dla przeklętych, by mogli zmienić swoją przeszłość. Choć nie istniejesz, wyraźnie widzę twoje niezbadane ścieżki.

W końcu Kuwaldin zamknął zeszyt, rozejrzał się dokoła i powiedział:

– Nie myliłem się. Jesteś geniuszem, Hans.

– Zakopiemy z powrotem otwór? – zapytałem.

Maksim ma zegarek. Znow wiem, która jest godzina. Czas wrócił. Dziwne uczucie.

Od naszego spotkania minęło czternaście godzin. Okno na świat jest zamknięte. Pierwszy raz zrobiliśmy sobie przerwę.

Zasłaliśmy wyjątkowo daleko.

MEŻCZYZNA PODRAPAŁ SIĘ PO GŁOWIE. Jego kaszkiet niebezpiecznie się przechylił.

– Barok? – zdziwił się.

– Niech pan nie zgrywa głupiego – powiedział Arto Söderstedt. – Dobrze pan wie, co to jest barok. Pewnie słyszał pan również o Weissenbergerze z Lipska.

Siedzieli w biurze w Norrtälje i patrzyli na mały wiejski strumyk. Mężczyzna w kaszkiecie uśmiechnął się pod nosem, nie przestając się drapać po głowie; być może zgrywał wieśniaka, żeby ci dwaj aroganccy policjanci ze stolicy pomyśleli, że ma wszy.

A może naprawdę je miał.

– Próbuję zrozumieć pańską postawę – powiedział Söderstedt. – Gdybym był mniej niecierpliwy, przyjrzałbym się jej dokładniej.

Mężczyzna skończył się drapać i pociągnął nieco zawiesistej kawy, do której żadnym sposobem nie udało mu się namówić policjantów.

– Poszło cholernie tanio – powiedział mężczyzna. – To pamiętam. Zapowiadała się niezła licytacja, było kilku starych wyjadaczy. Ale skończyła się, zanim zdążyła się zacząć.

– Za ile zostało sprzedane? – zapytał Söderstedt w ramach małego testu.

– Jedenaście tysięcy – odpowiedział mężczyzna bez mrugnięcia okiem. – Panu.

– To znaczy, że możemy skończyć z tą maskaradą?

– Farciarz – powiedział mężczyzna, nagle tracąc dialekt.

– Jak trafiło do pana to biurko?

– Odebraliśmy je ze Sztokholmu. Z Södermalmu.

– Coś więcej?

– Tantogatan. Nie mam dokładnego adresu. Stało w piwnicy.

– Widział się pan ze sprzedającym?

– Przez chwilę – powiedział mężczyzna w kaszkiecie, w

którego rękę znalazło się nagle zdjęcie. Przyjrzał mu się dokładnie.

- Tak, to był on. Nazywał się Strömberg. Alvin Strömberg.
- Jest pan pewien? – powiedział Söderstedt.
- Ma mnie pan za wieśniaka? – powiedział i podrapał się po głowie.

*

– Przecież nawet nie wiemy, czy żyje – powiedział Jon Anderson i zamrugał oczami, wpatrując się w monitor.

– To prawda – powiedział Jorge Chavez i zrobił to samo.

Ich spojrzenia spotkały się dokładnie nad środkiem biurka. Oba pełne energii, choć każde na swój sposób: jedno czyste, ekstrawertyczne, drugie bardziej młodzieńcze, rozkojarzone, znamionujące dużo większy potencjał, a zarazem mniejszą skuteczność.

Chavez czuł się jak przed meczem z Królewskim Uniwersytetem Technicznym. Ich przeciwnicy mieli po dwadzieścia lat, kopali, biegali i walili w piłkę jak szaleńcy. Ale to ich starsi przeciwnicy strzelali gole.

To się nazywa pozytywne myślenie.

Ich spojrzenia były głęboko skoncentrowane, jakby od początku meczu dzieliły ich już tylko sekundy.

– Wydaje się całkiem prawdopodobne, że Andreas Becker zginął w tej willi na Färingsö – odezwał się po chwili Anderson.

Tak łatwo nie wytrącisz mnie z równowagi, pomyślał Chavez, a na głos powiedział:

– Na miejsca, gotowi, start!

Rzucili się w cyberprzestrzeń. Na monitorach pojawiły się listy wyszukiwania. Klikali gorączkowo w klawiaturę i w myszki, komputery pikwały i piszczały, na ekranach przelatowały linijki kodów i gdy Chavez miał wrażenie, że jest już naprawdę blisko celu, usłyszał głos Andersona:

– Pierwszy!

– Serio? – powiedział Chavez skwaszony, nie przestając klikać.

– Mam adres IP komputera, z którego wysłano do Arto

zaproszenie na aukcję biurka w Roslagen.

Nastąpiła długa i skomplikowana seria cyfr, którą Chavez wbrew woli zapamiętał co do ostatniej.

Adres IP to unikatowa kombinacja cyfr przypisana każdemu komputerowi z dostępem do internetu, wysyłana przy każdej wizycie na stronie internetowej. To linie papilarne komputera.

– Wygląda mi na Tele2 – powiedział Chavez, nie przerywając klikania.

– Możesz już skończyć – powiedział Jon Anderson z dumą. – Wygrałem.

– Lepiej sprawdzić dwa razy – wymamrotał Chavez ze złością.

– Tele2? – zdziwił się Anderson i zaczął przeglądać katalog. – Nie byłbym taki pewien – dodał.

Oczywiście, że nie, pomyślał Chavez i klikał dalej. Jego wnikliwe dochodzenie pozwoliło w końcu ujawnić numer IP. Niestety, co do cyferki zgadzał się z tym wykrzyczanym już przez Jona Andersona.

Wywrzeszczanym, pomyślał Chavez. Wypiszczanym.

– Halo, czy to Spray? – powiedział Anderson z emfazą do słuchawki. – A więc nie Tele2? Nie... Tak myślałem. Mówi Jon Anderson z jednostki specjalnej policji do zwalczania przestępstw międzynarodowych. Potrzebujemy zidentyfikować użytkownika następującego adresu IP.

Dalej nastąpiła znana mu już cholerna seria cyfr.

Jorge Chavez siedział wściekły przed ekranem, próbował ułożyć cyfry na nowo. I nagle go olśniło. Gdzie wcześniej zaglądał właściciel tego komputera? Jakie strony odwiedził? Gdzie wysyłał maile?

– Tak, mogę to potwierdzić – powiedział Jon Anderson do słuchawki. – Mamy kod policyjny. Proszę.

Jeszcze jeden ciąg cyfr.

Chavez już ich nie słyszał. Walił bez opamiętania w klawiaturę.

– Ja pierdołę.

– Czy mogę prosić o nazwę użytkownika? – niecierpliwił się Anderson.

– Wiesz, co on widział? – powiedział Chavez. – Był z nami przez cały czas. Czytał nasze maile. Jak, do cholery, udało mu się wejść?

– Wydawało mi się, że wszystko już wyjaśniłem – powiedział Anderson. – Czy mogę prosić o nazwę użytkownika?

– Jakimś sposobem dostał się do wewnętrznej bazy policji i czytał nasze maile – odezwał się Chavez. – To się zaczęło już parę miesięcy temu. Od maili Gunnara Nyberga do Ludmily. Intymnych. Potem poszerzył swoje zainteresowania, tu można zobaczyć, jak znalazł ogłoszenie Arto na temat biurka. Coś niesamowitego.

– Nazwa użytkownika, kurwa mać! – krzyknął Jon Anderson prosto w biedną słuchawkę.

– Czytał moje prywatne wiadomości do Sary – powiedział Chavez. – Czytał też twoje maile do niejakich Horny Heinricha i Buttonrocky’ego.

– Co?! – krzyknął Anderson. – Co powiedziałaś?

– I jeszcze do jakiegoś prostaka o pseudonimie Storballen.

– Brzmi lepiej, niż jest w rzeczywistości – powiedział Anderson ze względny spokojem. – Chcesz powiedzieć, że złamał zabezpieczenia i czytał nasze maile? Dlaczego? Do czego jesteśmy mu potrzebni?

– Arto posłużył mu za skrytkę – powiedział Chavez. – Może tylko o to w tym chodzi.

– Cholera, nie wydaje mi się. Źle to pachnie.

– Zgadzam się – pokiwał głową Chavez, przewijając listę.

– Tak, nazwa użytkownika! – wrzasnął Jon Anderson.

– Naprawdę jesteśmy mu do czegoś potrzebni – mruknął Chavez.

– Dziękuję – powiedział Anderson i rzucił słuchawkę.

– No i? – powiedział Chavez, podnosząc wzrok.

– Nie, nie ma tu Lidströma – powiedział Anderson. – Allvin. Andreas Allvin. Alias. Ale z adresem Tantogatan czterdzieści jeden.

– Andreas? – powtórzył Chavez.

– Johan Lidström? – powtórzył Geir całkiem wyraźnie po szwedzku.

Sara Svenhagen rzuciła krótkie spojrzenie na Lenę Lindberg, która najwyraźniej ignorowała ojcowskie zapędy Norwega. Bo chyba właśnie tak należało interpretować jego zachowanie?

Znajdowali się znów w oddziale banku na Karlavägen. Powoli wszystko wracało do normy. Technicy kryminalni skończyli pracę, a na ich miejsce pojawili się robotnicy różnych branż.

Na miejscu był też dyrektor generalny Haavard Naess, zachowywał się tak jak zawsze.

– Tak – powiedziała Sara Svenhagen i podała zdjęcie.

– Geir nie potrzebuje zdjęcia – przetłumaczył Naess. – Dobrze wie, kim jest Johan Lidström. Sam go przyjmował.

– Opowiedz.

– Zatrudniłszy Svenska Säkerhetssystem AB i wybraliśmy najlepszych ekspertów z ich personelu. Lidström był łagodnym, nieco wycofanym mężczyzną, wyjątkowo kompetentnym. Pracował w firmie przez osiem lat. Nie dało się z nim wyskoczyć na piwo po robocie, ale był naprawdę w porządku.

Svenhagen zastanowiła się przez chwilę, jak w oczach Haavarda i Geira mógł wyglądać ktoś, z kim idzie się na piwo.

– Byliście zadowoleni z jego pracy? – zapytała.

– Bardzo.

– Sprawiał wrażenie, jakby miał jakieś osobiste problemy?

– Przeciwnie – powiedział Geir przez Haavarda. – Wydawał się wyjątkowo zrównoważony. Uśmiechał się, pokazywał zdjęcia swojej rodziny. Piękna żona, blondynka, malutkie dziecko.

– Dosyć późno zdecydował się na dzieci, prawda?

– Nigdy nie jest za późno – powiedział Geir i spojrzał na Lenę Lindberg.

– Czy mają panowie coś jeszcze do dodania na jego temat? – zapytała Sara i zerknęła zaniepokojona na Lenę, ale ta wydawała się wyjątkowo spokojna.

– Tylko tyle, że mówił dosyć staromodnym szwedzkim – powiedział Haavard Naess.

Geir obrócił się do Leny Lindberg i wziął ją za rękę. To była

sekunda, Sara nie zdążyła zareagować. Obawiała się, że Geir zapłaci za swoje słowa:

– Czy da się panienka zaprosić na kolację?

W odpowiedzi Lena Lindberg rozpromieniła się. Na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech, którego Sara nigdy wcześniej nie widziała.

I nagle wszystko stało się lepsze.

*

Kerstin Holm z obawą przeszła z części budynku należącej do Komendy Głównej do tej zajmowanej przez Komendę Wojewódzką. Chodziła tak już wcześniej, choć trochę w innym celu. Wchodziła prosto w błękitny, magiczny krąg, który w pewnym momencie nagle rozprysł się i zniknął.

Być może.

Minęło kilka miesięcy, od kiedy spotkała Bengta Åkessona, inspektora z Wydziału Zabójstw Komendy Wojewódzkiej. Zeszłego lata ich dzieci miały wspólną nianię, a oni mogliby zostać parą. Na drodze stanęła im jednak przebojowa blondynka o imieniu Vicky.

Zatrzymała się przed skromnymi drzwiami do pokoju Åkessona, nie mogła się zdecydować. W końcu przypomniała sobie, dlaczego tu przyszła, i zastukała głośno.

– Proszę – dobiegł ją stłumiony głos ze środka.

Weszła.

Åkesson wstał zza zawalonego dokumentami biurka i wyszedł jej na spotkanie. Uśmiechnął się szeroko, mierząc ją jasnyniebieskim spojrzeniem. Wiedziała, że będzie musiała przeanalizować na chłodno, co poczuła.

Ale nie teraz.

Teraz miała inne zmartwienia.

Usiedli naprzeciwko siebie przy biurku. Bez słowa pokazała na nie ręką.

– Wiem – skrzywił się Bengt Åkesson. – Przeglądam stare sprawy, żeby sprawdzić, które możemy odłożyć na półkę. Wiadomo, cięcia. Choć was to raczej nie dotyczy.

– Daruj sobie tę zawiść. Nie pasuje do ciebie – powiedziała

Kerstin Holm i poczuła, że się uśmiecha.

– Skąd – odpowiedział z uśmiechem. – Do głowy by mi nie przyszło.

– Czy jest w tym stosie coś, co dotyczy jakiejś bieżącej sprawy? – próbowała wrócić do tematu.

– Na szczycie góry – powiedział Åkesson i sięgnął po brązową teczkę. – Specjalnie dla ciebie.

– Doskonale. Opowiadaj.

– Formalnie rzecz biorąc, sprawa ciągle się toczy, tak naprawdę jednak kompletnie utknęliśmy. Chyba ją zamkniemy. Zatrucie w jednej z willi w Enskede. Z początku wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek, ale teraz wszystko wskazuje na morderstwo. Przez jakiś czas podejrzewaliśmy małżonka, nie ma jednak wątpliwości, że kochał swoją rodzinę ponad wszystko.

– Mógłbyś mi dać więcej konkretów?

– To było jesienią, trzynastego października, po południu. Anna Lidström i jej dziesięciomiesięczny syn zatruli się śmiertelnie jabłkiem spryskanym stężoną dawką pestycydów. Najpierw podejrzewaliśmy męża, Johana Lidströma. Z zawodu informatyka. Zwykle to on jadł jabłka, ale akurat tego dnia Anna postanowiła, że da dziecku na spróbowanie, a sama zje resztę. Przykra sprawa. Znalazła ich sąsiadka z dzieckiem w podobnym wieku. Nie był to piękny widok. Twarze mieli całkiem sine, a oczy niemal wyszły im z orbit. Chcesz zobaczyć zdjęcia?

– Niekoniecznie – powiedziała Kerstin Holm. – Jak na to zareagował Johan Lidström?

Åkesson czytał z otwartej teczki.

– Obwiniął się. Zdaniem prowadzącego dochodzenie, wyjątkowo głośno i dramatycznie. Jakby to on ponosił odpowiedzialność. Trudno było nie zauważyć, jak bardzo był zrozpaczony. Mam tu nawet cytat: „To ja miałem zginąć, nie rozumiecie?”

– Co się z nim potem stało?

– Zniknął. Na to też założyliśmy sprawę, ale w tych trudnych czasach zaginięcia nie znajdują się na szczycie listy

priorytetów. Nie miał żadnych żyjących krewnych, tylko ze strony Anny. W końcu dostali pozwolenie, żeby sprzedać willę.

– A zatem zniknął na amen.

– Rozpłynął się w powietrzu – powiedział Bengt Åkesson, a Kerstin Holm znów otoczył błękitny krąg.

*

Sklep Antyki Laury znajdował się na Artillerigatan na sztokholmskim Östermalmie. W wypełnionym cudownymi zapachami sklepie na Arto Söderstedta i Viggo Norlandera czekały dwie osoby. Drobna, zasuszona dama w wieku siedemdziesięciu, siedemdziesięciu pięciu lat stała za ladą, a na bogato rzeźbionym fotelu naprzeciwko niej siedział dystyngowany starszy mężczyzna w prążkowanym garniturze i ręcznie wiązanej muszce w kratę. Mężczyzna wstał ze słowami:

– Następnym razem czysta gra, panowie.

– Panie Adlersträhle – przywitał się Söderstedt, podając rękę. Pan Adlersträhle chwycił ją i mocno potrząsnął.

– Naprawdę myślałem, że to wy – powiedział. – W tej branży wszystko jest możliwe.

– A więc tak naprawdę nie widział pan, kto kopnął pana w piszczel, panie Adlersträhle?

– Było bardzo tłoczno. Na takie zadupia zawsze przyjeżdżają tłumy.

Söderstedt przeszedł ostrożnie kilka kroków dalej i przywitał się uprzejmie z panią Laurą.

– Laura Riddarsporre – przedstawiła się. – Witam w moich skromnych progach.

– Pani Laura – ukłonił się Söderstedt, starannie unikając spojrzenia Viggo Norlandera.

– Dużo lepiej widzieć pana w takich okolicznościach, panie Söderstedt – powiedziała pani Laura i uśmiechnęła się czarująco. – Zrobił pan niezły interes na tym biurku.

– Nie do końca sam – powiedział Söderstedt. – Dlaczego zrezygnowali państwo z aukcji?

– Jakiś mężczyzna odciągnął mnie na bok, kusząc niezwykle atrakcyjną ofertą. Czulałam się, jakby miał zamiar mnie porwać,

ale nikt na nas nie zwrócił uwagi. Potem nagle puścił mnie i zniknął.

– Żeby kopnąć pana Adlersträhle w łydkę – pokiwał Söderstedt. – Rozpoznaliście tego mężczyznę?

– To był ten sam mężczyzna, który rozmawiał z nami chwilę wcześniej. Ten, który upierał się, żeby nazywać jego zegarek rolexem.

– Ten? – zapytał Söderstedt i podał jej niezłe już wygniecioną fotografię.

– Tak – skinęła pani Laura. – To on.

– A potem zniknął bez śladu?

– Nie powiedziałam, że bez śladu. – Uśmiechnęła się.

Na widok wpatzonego w nią Söderstedta i Norlandera uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Widziałam go jeszcze, gdy szedł do swojego samochodu.

– Co to był za samochód? – wydusił Söderstedt.

– Nie znam się na samochodach... – Kobieta machnęła ręką, ale Söderstedt nie mógł nie wychwycić trzech kropek po jej słowach.

– Ale...

– Ale za to mam głowę do liter i liczb.

*

Sara Svenhagen i Lena Lindberg znajdowały się w starym, stylowym budynku w Saltsjöbaden. Przy biurku w jednoosobowym pokoju siedział wyjątkowo elegancki mężczyzna.

– Jest pan dyrektorem generalnym Svenska Säkerhetsystem AB? – zapytała Sara, gdy już się przywitali.

– Tak. Leif Grahn. Do usług.

– Proszę powiedzieć coś o Johanie Lidströmie.

– Świetny fachowiec. Zatrudniłem go wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, miał doskonałe CV. Absolwent Chalmers z wieloletnim doświadczeniem w zabezpieczaniu danych, głównie z Niemiec.

– Rozmawiał pan z jego wcześniejszymi pracodawcami?

– Nie było takiej potrzeby. Widać było, że jest świetny.

Dokumenty dołączone do życiorysu były pierwszej klasy.

– Jaką był osobą?

– Nie znaliśmy się zbyt dobrze i nie wydaje mi się, żeby ktoś z firmy się z nim przyjaźnił. Wszyscy jednak szanowali Johana, również za jego umiejętności.

– W zakresie?

– Bezpieczeństwa danych. Nikt tak jak on nie potrafił wynajdywać luk w systemach komputerowych. Do jego obowiązków należało ich naprawianie. Robił to brawurowo.

– Jak zareagowaliście na tragedię, która spotkała jego rodzinę?

– Mój Boże, ten człowiek tak długo szukał odpowiedniej kobiety, z którą mógłby założyć rodzinę. I w końcu ją znalazł. Anna była cudowną żoną, piękną, miłą, wesołą, mądrą – pod wieloma względami stanowiła jego przeciwieństwo. W nim było coś mrocznego. Jakiś cień. Oglądał te wszystkie okropne filmy Ingmara Bergmana. A potem wydarzyła się ta tragedia. Chciałem z nim porozmawiać, ale był nieosiągalny. Zwyczajnie zniknął. Myślałem, że popełnił samobójstwo. Na jego miejscu pewnie bym to zrobił. Rozumiem jednak, że tak się nie stało, czy właśnie to próbują mi panie powiedzieć?

– Zależy, jak na to spojrzeć – powiedziała Sara Svenhagen.

*

Kerstin Holm siedziała na biurku naprzeciwko Jona Andersona i Jorge Chaveza i machała nogami. Twarz miała zamyśloną, lecz mimo zmarszczonego czoła rysowało się na niej coś pogodnego. Uśmiech.

Jorge Chavez uważał się przed laty, jeszcze przed ślubem, za eksperta w odczytywaniu kobiecych uczuć. Gdyby nie znał Kerstin Holm, pomyślałby, że chodzi o mężczyznę.

Zastanawiał się, czy nie usiadła trochę bliżej Jona Andersona. Jakby chciała w ten sposób coś zaznaczyć.

– Spróbujemy podsumować to, co już mamy? – zapytała, a w jej głosie zabrzmiał jakiś nieznanemu wcześniej ton.

Jak można się było spodziewać, Jon Anderson wyjął zza biurka zapisaną po brzegi białą tablicę.

– Zebrałem, co mogłem – powiedział. – Oto co mamy. Dzięki Laurze Riddarsporre mamy starego białego saaba dziewięć tysięcy o numerze rejestracyjnym GON dziewięćset osiemdziesiąt sześć, zarejestrowanego na nieistniejącego Rolfa Stranda, pod nieistniejącym adresem w Bandhagen. Poza tym dwa pseudonimy: Andreas Allvin i Alvin Strömberg. Mamy również adres Tantogatan czterdzieści jeden, pod którym jednak zameldowanych jest bardzo wiele osób. Lista mieszkańców jest tutaj. Skąd mamy wiedzieć, kogo szukamy? Nie ma wśród nich Andreasa Allvina, Alvina Strömberga ani Rolfa Stranda.

No nie, pomyślał Jorge Chavez. Siedzi znacznie bliżej mnie.

– Mógł też sfalszować adres – powiedziała Kerstin Holm. – Można go namierzyć przez adres IP?

– Nie w tym wypadku – powiedział Jon Anderson. – Jest powiązany z szerokopasmowym łączem dla całego budynku. Poza tym mamy piwnicę pod nieznanym numerem na Tantogatan, skąd dom aukcyjny odebrał biurko Arto. Jestem niemal pewien, że jest jednym z mieszkańców Tantogatan czterdzieści jeden. A według mojej listy jest ich trzydziestu jeden.

– Niezłe blokowisko – wtrącił Chavez głównie po to, żeby coś powiedzieć.

Cała trójka pochylili się nad skrupulatnie zapisaną listą Jona Andersona.

– Nic, co by przypominało Allvina albo Alvina – stwierdziła Kerstin Holm.

– Jest jeden Strand – zauważył Chavez.

– *Mårta* Strand – westchnął Anderson.

– Żadnego Lidströma – powiedział Chavez.

– Andreas Becker ukrywa się od pałdziernika – powiedziała Kerstin Holm. – Jego alter ego Johan Lidström jest spalone, to od niego ucieka. Ktoś go znalazł, ktoś z jego przeszłości, ktoś, kto szukał go od dawna i wie, że ukrywa on coś cennego. Metoda z jabłkiem jest dobrze znana z czasów zimnej wojny. Wiedzieli, że tylko on z rodziny je jabłka, więc zatruli je środkiem owadobójczym, żeby upozorować nieszczęśliwy

wypadek. Tyle tylko, że tego dnia Anna Lidström postanawia na próbę nakarmić odrobiną jabłka małego Andreasa (syn miał na imię właśnie Andreas). Wymarzona rodzina Beckera przestaje istnieć. Widzi, co się święci, i znika. Znajduje niewielkie, anonimowe mieszkanie w wielkim bloku na Tanto. Po okresie najcięższej żałoby postanawia działać. Co robi? Traf chciał, że jakieś pół roku wcześniej rozpoczął pracę przy systemach bezpieczeństwa pewnego banku, którego oddział mieści się w tym samym kwartale, w którym dawniej znajdowały się mieszkania Stasi. Wszystko zaczyna się układać. Przed laty zamurował w ścianie tajne dokumenty, wie, że jego dawni koledzy prowadzą tam teraz znaną agencję ochrony. Poza tym wie, jak dostać się do okablowania systemu bezpieczeństwa w oddziale banku. Doprowadza do pojmania zakładników i ewakuacji, w ten sposób udaje mu się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Okrada bank na sumę dwudziestu milionów i odzyskuje drugi ważny papier – pierwszy znajduje się w biurku należącym od pewnego czasu do jednego z członków Drużyny A, u którego chce go bezpiecznie przechować, jesteście jego planem B, drogą ucieczki ze szpiegowskiego bagna. Zatrudnia dawnego, staczającego się powoli na dno kumpla z KGB oraz równie zdeprawowanego mięśniaka i zleca im napad. To, że najprawdopodobniej wpadną, jest częścią planu. Mają zapewnioną odpowiednią rekompensatę finansową. Jednak to nie policja ich zgarnia – zostają porwani przez amerykańską organizację, która, jak wszystko na to wskazuje, zamordowała również jego rodzinę. Musi ich uwolnić, to kwestia honoru. Przyciskając dawnego wroga-przyjaciela, też byłego agenta, dowiaduje się, gdzie amerykańska organizacja ma swój *safe house*, i jedzie na Färingsö. W willi ślad się urywa. Możliwe, że zginął, możliwe, że wciąż żyje.

– Dziękuję za podsumowanie – powiedział Jorge Chavez.

– Proszę bardzo – powiedziała Kerstin Holm. – Jeśli żyje, równie dobrze może się teraz ukrywać na Tantogatan czterdzieści jeden. Na miejscu znajduje się elita szwedzkiej policji razem z jednostkami szybkiego reagowania. Kręcą się

bez celu, z dala od swojego rewiru. Muszą tylko wiedzieć, które to mieszkanie.

– Lubi gry językowe – powiedział Jon Anderson. – Alvin i Allvin. Strömberg i Lidström.

– Ale jest też Rolf Strand – powiedziała Kerstin Holm. – Tu nie widzę podobieństwa.

– Nazwał syna Andreas – powiedział Anderson. – Nie chce całkowicie zerwać z przeszłością.

– Tylko ją zmienić – powiedział Chavez.

– Niezbyt to mądre, skoro próbował się ukryć – powiedziała Kerstin Holm. – Jest jeden Andreas. Andreas Lindh-Ramberg.

– Podwójne nazwisko? Nie wydaje mi się – powiedział Anderson. – To musi być coś anonimowego.

– Myślę, że to on – powiedział Chavez i wskazał od niechcenia tablicę.

– Siódme piętro? – zdziwiła się Holm. – Lars Bergman? Dlaczego?

Jorge Chavez wzruszył ramionami.

– Mówiliście, że lubi Bergmana.

*

Nad Tantolunden rozbrzmiewała muzyka. Paul Hjelm spojrzął na wielkie osiedle przez okno na klatce schodowej wysokiego budynku z lat sześćdziesiątych. Miał wrażenie, że dźwięki kładły się łagodnie na przykrytej śniegiem zatoce Årstaviken.

Popatrzył za siebie na schody i zaczął, aż miną go funkcjonariusze sił szybkiego reagowania w czarnych uniformach i czarnych hełmach z wizjerami. Potem skinął na Niklasa Grundströma stojącego przy skromnych drzwiach do mieszkania.

Po raz pierwszy wydawało mu się, że wie, skąd płyną dźwięki mszy żałobnej. Dochodziły zza drzwi z nazwiskiem „Bergman”, które za chwilę miały zostać wyważone przez siły szybkiego reagowania.

– Teraz – powiedział Niklas Grundström.

I gdy drzwi się rozpadły, wydawało mu się, że wśród

fruwających drzazg rozbrzmiewają z wielką mocą magiczne słowa: *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis. Kyrie eleison. Christe eleison. Kyrie eleison.*

Tam w środku mieszkała śmierć.

Po jakiejś minucie z mieszkania wyszedł funkcjonariusz sił szybkiego reagowania i podniósł wizjer. Hjelm rozpoznał w nim Nickego Renberga, który wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat. Być może po raz pierwszy w życiu miał wątpliwości.

– Nikogo tu nie ma – powiedział Renberg.

Hjelm skinął głową i wskazał dłonią Grundströma, który pierwszy wszedł do mieszkania, stąpając po resztkach drzwi.

W mieszkaniu znajdowało się zaledwie kilka mebli. Łóżko, fotel i biurko, na którym stało zdjęcie w ramce. Nic więcej.

Hjelm wziął do ręki zdjęcie i przyjrzał mu się uważnie. Przedstawiało elegancką jasnowłosą kobietę z chustą na ramionach, spoglądającą na lazurową zatokę.

– Miał rodzinę – odezwał się Paul Hjelm.

Ojciec rodziny Grundström spojrział na zdjęcie i rozejrzał się po kawalerce.

– Tu nie mieszkała żadna rodzina – powiedział.

– Nie żyją, prawda? – powiedział Hjelm i poczuł, jak przenikają go sakralne dźwięki. Grundström spojrział mu w oczy, zmarszczył brwi i powiedział:

– Tak. Nie żyją.

Hjelm odłożył zdjęcie. Muzyka Mozarta rozbrzmiewała mu w sercu z nieznaną dotąd siłą. Wgryzała się w jego duszę, wnikała do samego środka, do tego, co było w nim najmroczniejsze i najczystsze. Jakby zawładnęły nim uczucia Andreasa Beckera.

Jak zawsze zapracowani technicy kryminalistyczni też już dotarli do skromnej kawalerki Larsa Bergmana i kręcili się po niej w charakterystyczny dla siebie sposób.

Lars Bergman alias Rolf Strand alias Andreas Allvin alias Alvin Strömberg alias Johan Lidström alias Andreas Becker.

Życie szpiega.

Choćby za wszelką cenę próbował z nim zerwać.

Hjelmowi przypomniawszy się dom szeregowy w Norsborgu, jego

krótka wizyta w poprzednim życiu. Myślał o pistolecie wymierzonym z zimną krwią w głowę jego byłej żony. Nie potrafił – *nie mógł* – zrozumieć tego zawodu. Tego typu człowieka.

Może dlatego, że na swój sposób był do niego podobny. Wewnętrzny śledczy. Szpieg w policji.

Andreas Becker zabił swoją rodzinę.

O mały włos Paul Hjelm zrobiłby to samo. Nigdy nie znaleźliby Cilli, gdyby nie udało im się skojarzyć jej z Paulem. Fakt, że była żoną policjanta – nieważne, że była – musiał ich do niej zaprowadzić jak po sznurku. Pewnie ktoś wspomniał o tym przez krótkofalówkę albo napisał w mailu. A oni widzieli i słyszeli wszystko.

Hjelm znów wziął do ręki zdjęcie i uważnie mu się przyjrzał. Coraz wyraźniej widział na nim Cillę. Cillę z Dannem. Cillę z Tową.

Wszyscy jesteśmy szpiegami, pomyślał. Wszyscy jesteśmy skamielinami.

Andreas Becker nie mógł nie pomyśleć, że to on zamordował swoją rodzinę. Przeszłość go dogoniła. Nieprzemyślane decyzje z młodości, których nawet nie podjął sam, miały go już zawsze prześladować. Musiał zrobić to, co w jego sytuacji było możliwe.

Zemścić się.

Zemścić się, ale na czym? I jak?

Na świecie, który go zrodził i który z człowieka zmienił go w coś zupełnie innego.

Jak można się zemścić na dwudziestym wieku?

Może przez odpokutowanie jego win?

SOBOTA, 10 PAŹDZIERNIKA 1942 R., GODZ. 20.43

Czym właściwie jest proces twórczy? Jak to się dzieje, że człowiek na krótką chwilę przekracza swoje granice i staje się kimś innym, lepszym? I jak to możliwe, że udało się to właśnie tutaj, w mieście, które jak żadne inne ukazuje to, co w człowieku najgorsze? Nie potrafię tego wyjaśnić inaczej niż przez ciebie, Boże, w którego nie wierzę. Nie dlatego, że istniejesz, ale dlatego, że mogę z tobą rozmawiać. Ponieważ twoje dzieło, Boże, w którego nie wierzę, jest wzorem dla wszystkich twórców. Widzimy twoje dzieło stworzenia i próbujemy je naśladować...

Na zewnątrz piekło. Skąd się bierze twoja żądza zniszczenia, Boże, w którego nie wierzę? Czy ona jest raczej nasza? Być może istnieje również Diabeł, w którego można nie wierzyć? Jednak on mnie teraz nie interesuje.

Stworzyliśmy coś, Boże, w którego nie wierzę. Wrogowie zjednoczyli się w tej piwnicy poza czasem, poza przestrzenią i tworzyli. Na te dni czas się zatrzymał.

Mordercy Maksim Kuwaldin i Hans Eichelberger w piwnicy domu w płonącym Stalingradzie stworzyli podstawy nowego porządku świata.

Jeśli przez krótką chwilę można sobie pozwolić na pretensjonalność...

Pierwszym, co stworzyłeś, Boże, w którego nie wierzę, musiał być wodór. Podstawowe tworzywo, z którego w dużej mierze zbudowany jest wszechświat. Musiałeś mieć w tym jakiś cel. Miał zostać użyty. Miał być podstawą wszystkiego, co tworzy życie we wszechświecie. Wszystko inne to tylko ślepe zaułki.

Wydaje nam się, że żyjemy dzięki tlenowi. Oczywiście to prawda, ale w równym stopniu żyjemy dzięki wodorowi. Słońce obdarza nas nim w postaci ciepła.

Potrzafiemy naśladować twórczą moc Słońca.

Wnioski, do których doszliśmy w ciągu tych dziwnych październikowych dni, nie są oczywiście ostateczne, dzięki Bogu, w którego nie wierzę. Jednak kładą podwaliny pod całkiem nowe idee dotyczące produkcji, składowania i ulepszania wodoru.

Wszystko pochodzi z wody i wodą się staje. Zamknięty cykl.
Paliwa kopalne powinny odegrać swoją rolę.

O to w tym wszystkim chodzi.

O to rozgrywa się piekło nad naszymi głowami.

I o to w przyszłości będzie jeszcze wiele wojen. Jeśli nie uda nam się tego zatrzymać.

Koniec z kopalinami zatruwającymi nasz świat.

To nasza pierwsza dłuższa przerwa. Dzień siódmy jest dniem odpoczynku.

Czuję, że na nią zasłużyliśmy.

Maksim przygotowuje posiłek. Otworzyłem dwie butelki wina i dałem sobie trochę czasu na pisanie. Robię to z myślą o tobie, synu, choć nigdy cię nie widziałem i nigdy cię już nie zobaczę. Chciałbym, żebyś miał na imię Achim. Nie wiem dlaczego. To ładne imię.

Niedługo skończysz półtora roku, synku. Myślę o tobie po raz pierwszy od roku.

Nie potrafiłem zabijać i myśleć o tobie.

Nie mogłem.

Gdzieś tam w górze niebo jest niebieskie.

Błękitne.

W CENTRALI DOWODZENIA stał włączony telewizor. Zupełnie niepotrzebnie. Nawet najbardziej pochłonięci pracą policjanci nie mogli nie zauważyć, że rozpoczęła się trzecia doba wojny o ropę w Iraku. Było późne sobotnie popołudnie 22 marca. Generał Tommy Franks, najwyższy zwierzchnik sił koalicyjnych, obiecał na konferencji prasowej, że atak na Irak „nie będzie przypominać niczego, co znamy z historii”, a prezydent George Bush powiedział, że „nie widzi innego rozwiązania jak tylko zwycięstwo”, ale że „może to potrwać trochę dłużej, niż przypuszczaliśmy”.

Na południu płonęły szyby naftowe.

Kerstin Holm powiodła wzrokiem po zebranych i powiedziała:

– No to jak znajdziemy Andreasa Beckera?

– Są cztery opcje – odparł Paul Hjelm. – Opcja zerowa: wszyscy zginęli w willi na Färingsö. Opcja pierwsza: zjawił się za późno, żeby uratować Michaiła Zinowjewa i Władimira Kuwaldina. Opcja druga: udało mu się wziąć ze sobą jednego z napastników. Opcja trzecia, już ostatnia: udało mu się uwolnić obu napastników, co byłoby nie lada osiągnięciem, biorąc pod uwagę, że w tym domu znajdowała się elita amerykańskiej armii. Niestety najbardziej prawdopodobne jest to, że wszyscy nie żyją i że utknęliśmy.

– Nie powinniśmy chyba wychodzić od takiego założenia? – powiedziała Kerstin Holm surowo.

– Oczywiście – powiedział Hjelm – powinniśmy założyć, że ciągnie ze sobą wyższego napastnika, Władimira Kuwaldina, szczególnie że media już od jakiegoś czasu mają jego zdjęcie. Zdjęcie Michaiła Zinowjewa też już trafiło do służb granicznych, a może nawet do mediów. Mamy większe szanse, jeśli Becker nie jest sam.

– Przecież jego zdjęcie też zostało upublicznione – powiedział Jorge Chavez.

– Jest poszukiwany na terenie całego kraju, jego zdjęcie mają służby graniczne, został ogłoszony stan podwyższonej gotowości – powiedziała Kerstin Holm.

– Jaki jest więc jego następny krok? – zapytał Paul Hjelm. – Czego on chce?

– Czegoś takiego – powiedział Arto Söderstedt i zamachał w powietrzu pożąłką kartką papieru. – Kerstin? – dodał.

Kerstin Holm włączyła staroświecki rzutnik. Na ścianie obok niej pojawił się świetlny prostokąt. Wsunęła folię transparentną do urządzenia i w świecącym polu pojawił się ciąg znaków z ciemnego atramentu. Jeden z kleksów wyglądał jak nitka spaghetti, inny przywodził na myśl diament.

– To jest kopia strony, którą Arto znalazł w biurku – powiedziała. – Z kolei Arto właśnie dostał od techników świeżą kopię kartki, którą zamurowano w ścianie na Skeppargatan.

Söderstedt wstał i podszedł do rzutnika. Zamachał drugą folią i powiedział:

– Ślady na wewnętrznej powierzchni plastikowej rurki są oczywiście mniej wyraźne niż na kartce z szuflady mojego biurka, ale i tak wiadomo, o co chodzi.

Zatrzymał się przy rzutniku i nasunął powoli przezroczystą folię na pierwszą. Niewyraźne znaki zaczęły się ze sobą łączyć, zawijasy i łuki układały się w całość, linie nachodziły na siebie, znaki zaczęły przypominać litery, choć nie dobrze znane łacińskie.

– Trudno się to czyta – zauważył Arto Söderstedt – ale przypomina to rosyjski. Kilka znaków, na przykład ten tutaj i tutaj, wyraźnie nie jest łacińskich. Poza tym kilka z tych linii wygląda jak drogi albo rzeki. To przypomina mapę. Nie ma szans, żeby zrozumieć, o co chodzi. Brakuje jednej kartki.

W centrali dowodzenia zaległa cisza. Söderstedtowi kolejny raz udało się skupić na sobie całą uwagę. Poczul krótkotrwałe zadowolenie prelegenta, które jednak szybko minęło.

Po chwili dodał głośno i wyraźnie:

– Andreas Becker szuka trzeciej kartki.

– Właśnie dlatego – powiedziała Kerstin Holm – musimy ustalić, gdzie ona jest. To po nią jedzie. Tylko tak możemy go

zatrzymać. Tylko tak możemy się dowiedzieć, co to za mapa. O co w ogóle w tym wszystkim chodzi.

– Czy mógł działać według jakiegoś wzoru? – zapytała Sara Svenhagen. – Może powinniśmy sprawdzić miejsca, w których wcześniej stacjonował. Może zamurował inną plastikową rurkę w jakiejś innej ścianie.

Kerstin Holm wyprostowała się i odpowiedziała z łagodnym uśmiechem:

– Właśnie dlatego odbyłam dłuższą rozmowę z naszym przyjacielem Svenem Fischerem, szefem Andreasa Beckera w Sztokholmie. Akurat on powinien wiedzieć, skąd pochodził Becker. Jestem jednak niemal pewna, że nie wie dokładnie. O to właśnie chodziło, żeby nie wiedział. Tak ustalono na samej górze.

– Dziwne porządki – powiedział Niklas Grundström.

– Natomiast Fischer miał okazję rozmawiać z Beckerem o wcześniejszych miejscach jego pobytu. Takie szpiegowskie pogadanki.

– Cholera – jęknął Jorge Chavez i gdyby na niego spojrzeli, zobaczyliby, że pobladł.

Nikt jednak na niego nie spojrział. Patrzyli na Kerstin Holm, która mówiła dalej:

– Fischer wspominał, że Becker stacjonował w Salzburgu, Madrycie, Wenecji, Oslo i Atenach. Wygląda na to, że zanim osiadł na dłużej w Sztokholmie, sporo jeździł po świecie.

– No jasne – pokiwał głową Chavez.

– Zbladłeś jak ściana! – zawołała Kerstin Holm i wstała szybko z krzesła. – Wszystko w porządku, Jorge?

Sara Svenhagen obróciła się i też na niego spojrzała, ale machnęła tylko ręką.

– Nic mu nie jest – powiedziała. – Pewnie wydaje mu się, że doznał oświecenia.

– Na pewno? – zapytała Kerstin Holm.

– Plan B – powiedział Chavez. – No przecież.

– Mów natychmiast – zażądała Holm.

– Drużyna A to plan B.

– Nie rozumiem?

– Andreas Becker zaczął przeglądanie maili Drużyny A na wewnętrznym serwerze policji od maili Gunnara Nyberga do Ludmily. Prywatnych wiadomości, w których spierali się, czy wybrać Grecję, czy Włochy. Greckie wyspy czy Wenecję.

– Dalej nie rozumiem – przyznała się Kerstin Holm.

– Pomysł, żeby nas wykorzystać, zrodził się w chwili, kiedy zobaczył, że Gunnar Nyberg wybiera się do Wenecji – wyjaśnił Chavez.

Członkowie Drużyny A spojrzeli po sobie, próbując nawzajem przejrzeć swoje myśli.

– To jest plan B – mówił dalej Chavez. – Na wypadek gdyby zginął albo gdyby miało mu się nie udać. Wtedy to my, najsprytniejsi gliniarze pod słońcem, rozwiążemy zagadkę i wyrwiemy mapę ze szponów agentów.

Kerstin Holm zastanawiała się. Rzuciła ukradkowe spojrzenie w stronę Niklasa Grundströma i nieco dłuższe w stronę Paula Hjelma. Paul skinął krótko.

– Zawsze coś – powiedziała. – Potrzebujemy natychmiast listy pasażerów wszystkich lotów do północnych Włoch z Arlandy, Landvetter, Sturup i Kastrup. Przede wszystkim jednak z Arlandy. Sara i Lena.

Sara Svenhagen i Lena Lindberg wybiegły z centrali dowodzenia.

– Czy Gunnarowi coś grozi? – zaniepokoił się Viggo Norlander.

– Nie wydaje mi się – powiedział Chavez. – Jeszcze nie.

– Jak to się ma do mojego biurka? – zapytał Arto Söderstedt, który ciągle stał przy rzutniku, jakby wrósł w ziemię.

– Mniej więcej następująco – powiedział Chavez. – Najpierw powstaje scenariusz włamanie – napad – wzięcie zakładników. Bez problemu dostaje się na serwer szwedzkiej policji w celu znalezienia grupy niepowiązanej z Säpo ani z wywiadem, kierującej się demokratycznymi wartościami i bez tajnych zależności z CIA. Na pewno przeświecła całe rzesze policjantów. Pierwsze, co znajduje w prywatnych wiadomościach Drużyny A, to że jeden z nas jedzie w miejsce, do którego on sam powinien się udać. Być może zamierza nawet przekazać

wszystko Gunnarowi Nybergowi w Wenecji. Niczego nieświadomy największy policjant Szwecji w kolejce do wieży widokowej na placu św. Marka nagle dostaje do ręki kopertę. Obraca się. Nikogo nie zauważa. Andreas Becker znika bez śladu z historii świata.

– A biurko? – nie odpuszczał Söderstedt.

– Kiedy już udaje mu się ustalić, że Gunnar będzie w Wenecji, szuka miejsca, w którym mógłby ukryć kartkę, jaką ma u siebie. To ostatni klucz. Kartki ze ściany w Sztokholmie i Wenecji przekazuje Gunnarowi Nybergowi w Wenecji. Gunnar wysłała je do nas. Dokładamy jeszcze jedną kartkę z biurka. I mamy kompletną mapę. Nie znika w czarnej dziurze służb wywiadowczych.

– Jestem pod wrażeniem – przyznał Niklas Grundström.

Nie byli pewni, czy miał na myśli intelekt Andreasa Beckera, czy Jorge Chaveza.

Chociaż Chavez wolał myśleć, że jednak jego.

Po chwili wróciły Sara Svenhagen i Lena Lindberg ze stertami wydruków.

– Listy pasażerów masz w mailu, Kerstin – powiedziała Sara.

Kerstin Holm podeszła do laptopa na katedrze, otworzyła pocztę i powiedziała:

– Mam.

Kliknęła kilka razy myszką, zamieniła plik w prezentację w PowerPoint i zaskakująco szybko wyświetliła go na ścianie.

– To chwilę potrwa – powiedział Chavez i ugryzł się w język.

Niestety za późno.

Że też po plusie zawsze musi być minus.

Kerstin Holm nie była najwyraźniej skora do żartów. Ustawiła na ścianie pisany drobnym drukiem tekst.

– Jest siedemnasta dwadzieścia trzy – zaczęła. – Następny samolot do Mediolanu odlatuje z Arlandy o siedemnastej pięćdziesiąt pięć. Zostało nam pół godziny. Wciąż możemy go zatrzymać. Wieczorem jest jeszcze kilka lotów do Bolonii i Florencji. Żadnego bezpośredniego lotu do Wenecji.

– Prawda, że najbardziej prawdopodobna wydaje się Arlanda? – zapytał Paul Hjelm. – Nie wydaje mi się, żeby

jechał do Kopenhagi albo Kastrup, po tym jak poprzedniej nocy uwolnił dwóch, zapewne torturowanych napastników. Małe Landvetter i jeszcze mniejsze Skurup też moim zdaniem nie wchodzi w rachubę.

– Wzmacniamy ochronę wszystkich lotów do północnych Włoch ze wszystkich wymienionych lotnisk – zdecydowała Kerstin Holm i dodała: – Zajmiesz się tym, Niklas?

Niklas Grundström potrafił się odnaleźć w każdej sytuacji. Skinął głową i wyszedł z pokoju.

– Tu jest lista pasażerów lotu za pół godziny – mówiła dalej Holm. – Czy któreś z nazwisk zwraca waszą uwagę?

– Powinniśmy brać pod uwagę bardzo różne nazwiska – powiedział Jon Anderson. – Oprócz pseudonimów Lars Bergman, Rolf Strand, Andreas Allvin, Alvin Strömberg powinniśmy pamiętać o tych właściwych: Johan Lidström i Andreas Becker. Nazwisko panięskie żony brzmiało Nylander. Je też trzeba wziąć pod uwagę. I jeszcze to, że jest Niemcem.

Drużyna A zabrała się do czytania listy pasażerów, która składała się z mniej niż stu nazwisk. Kerstin Holm zastanawiała się, kto pierwszy zaprotestuje. Nie myliła się, pierwszy odezwał się Viggo Norlander.

– Przecież to niemożliwe! – zachnął się. – Musimy tam jechać!

Kerstin myślała. Za dużo naraz, musiała przyznać mu rację. Zaraz zacznie im się kręcić w głowach. A żadne z nazwisk nie zwracało specjalnie uwagi.

– Czy naprawdę poleci tą trasą? – zapytał Paul Hjelm. – Wiemy, że czyta nasze maile. Czy ktoś z nas w czasie trwania dochodzenia przesłał komuś coś, co mogło mu dać pogląd na rozwój śledztwa?

Popatrzyli po sobie.

– A jeśli on podsłuchuje nasze telefony? – zastanowiła się Lena Lindberg. – Wtedy już jesteśmy spaleni.

– Wystarczy, że inni podsłuchują – powiedział Arto Söderstedt.

– Nikt sobie nie przypomina, że przesłał coś mailem? – zapytała Holm. – Jesteście pewni?

– Inni? – zdziwił się Norlander.

– Kto dokładnie, nie wiadomo – powiedział Söderstedt. – Jankesi.

– Odpowiadając jednocześnie na wszystkie pytania – powiedziała Kerstin Holm. – Jeśli Andreas Becker nie wie, na jakim etapie jest śledztwo, powinien bez obaw wsiąść do samolotu lecącego do północnych Włoch.

– Coś się nie zgadza – powiedział Paul Hjelm. – Jeśli zabrał ze sobą kogoś z Rosjan albo obu, ich wygląd musi bardzo rzucać się w oczy, zwłaszcza ich poranione twarze, jeśli wiem cokolwiek o torturach. Nie jedzie z nimi na Arlandę.

– Może leci sam – powiedział Chavez. – Napastnicy dołączą później.

– Albo ukryją się na tydzień – powiedziała Lindberg. – Za dużo tu niewiadomych.

– Ale Gunnar Nyberg jest w Wenecji jeszcze tylko przez kilka dni – powiedziała Kerstin Holm.

– To nie jest nic, co zależy tylko od Nyberga – powiedział Hjelm. – Nie, kurwa, on planuje coś innego.

– Dobrze kombinujecie – odezwał się nieznajomy głos.

Podnieśli wzrok. Do centrali dowodzenia wszedł Niklas Grundström, który zasadniczo wyglądał tak jak zawsze. Elegancki garnitur leżał na nim bez zarzutu, miał poprawnie zawiązany krawat, starannie zaczesane jasne włosy i buty wypastowane na wysoki połysk. Nie pasowała tylko lufa przystawiona do jego skroni.

Zza jego bladej, ale spokojnej twarzy wyłoniła się poobijana, ponacinana nożem gęba. Mimo to dało się w niej rozpoznać wyraźnie słowiańskie rysy.

Przed nimi stał Władimir Kuwaldin, wyższy napastnik z Andelsbanken na Karlavägen.

Nieznajomy głos nie należał jednak do niego. Mówił stojący z boku za nim mężczyzna z uniesionym małym pistoletem maszynowym.

Andreas Becker we własnej osobie. Uśmiechnął się przepraszająco i powiedział:

– Żadnych gwałtownych ruchów.

Po czym zamknął za sobą drzwi do centrum dowodzenia.

Jednostka specjalna do zwalczania przestępstw o zasięgu międzynarodowym znieruchomiała. Zastygli. Czy byli aż tak głupi? Czy nie dało się tego przewidzieć?

– Czy ktoś z was ma przy sobie broń? – zapytał płynnie po szwedzku Andreas Becker. – Proszę odsłonić paski i rozpiąć kurtki, dziękuję. A teraz proszę położyć ręce na głowy.

Niektórzy mieli przy sobie broń. Becker skinął na Kuwaldina i mówił dalej, przechadzając się z uniesioną bronią po centrali dowodzenia:

– Zdaję sobie sprawę, że dyrektor BSW nie jest idealnym zakładnikiem, ale jak mówią: bierz, co ci dają. Proszę tylko pamiętać, że Władimir zastrzelił go przy najmniejszym ruchu z państwa strony.

Becker zajął się zbieraniem broni. Gdy doszedł do Paula Hjelma, uśmiechnął się pod nosem, a przy Arto Söderstedcie powiedział:

– Miło znów pana widzieć.

– Dziękuję, że pomógł mi pan z biurkiem – odpowiedział grzecznie Söderstedt.

– Nie miał pan jednak otworzyć tej szuflady. – Andreas Becker uśmiechnął się smutno.

– Skąd pan wie, że udało mi się otworzyć szufladę? – zapytał Söderstedt.

– Wysłał pan mail do swojego brata w Vasa – powiedział Becker.

– Racja – skrzywił się Söderstedt.

Potem wszedł na katedrę zajęta przez siedzącą nieruchomo Kerstin Holm. Skinął krótko w jej stronę i powiedział:

– Nie ma pani broni, panno Holm?

Pokręciła głową.

– Pozwoli pani, że mimo wszystko sprawdzę?

Wstała, a on przesunął palcami po jej biodrach i pod pachami.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Czy byłaby pani tak uprzejma i dołączyła do reszty?

Potem wyrzucił z siebie kilka słów po rosyjsku do Kuwaldina,

który przytaknął, nie ruszając się z kąta i ciągle trzymając Grundströma na muszce. Kerstin Holm zeszła ociężale z katedry i usiadła obok Paula Hjelma, który na krótką chwilę położył dłoń na jej ramieniu. Spojrzeli na siebie. Ich oczy mówiły: czy nie powinniśmy byli tego przewidzieć?

Andreas Becker odłożył zebraną broń na katedrze, spojrzął na zegarek i usiadł na katedrze, kładąc pistolet maszynowy na udzie. Spojrzął z góry na Drużynę A i zaczął mówić:

– Jak tu spokojnie w sobotnie popołudnie. Szwecja to mimo wszystko miły kraj.

– Jak tu wszedłeś? – zapytała Kerstin Holm głosem, który przynajmniej w jej uszach brzmiał dziwnie.

Becker wzruszył ramionami.

– Wprowadziłem Władimira jako zatrzymanego. Wystarczyła legitymacja policyjna. Bez problemu przeszedłem przez strażnika w recepcji. Dalej poszło już łatwo: mam uniwersalną kartę chipową i niewielkie urządzenie, które otwiera większość zamków kodowych. Plan budynku i pozostałe kody uzyskałem z intranetu kierownictwa policji, do którego, jak wiecie, mam dostęp. Jeśli bliskie są wam kwestie techniczne.

– Czego chcesz? – zapytała Kerstin Holm odmienionym, jeszcze dziwniejszym głosem.

– Tego, co zawsze – odparł Becker. – Chwilowo jednak obowiązuje plan B. Zostałem otoczony.

Potem znów powiedział coś po rosyjsku do wysokiego mężczyzny. Ten puścił szyję Niklasa Grundströma, poprowadził go przez salę i posadził na jednym z krzeseł. Sam podszedł do katedry i usiadł na miejscu Kerstin Holm, z boku za Beckerem.

– Nie przyprowadziłeś Michaiła Zinowjewa? – zapytał Arto Söderstedt.

Andreas Becker spojrzął na Söderstedta i na chwilę spuścił wzrok.

– Wiedziałem, że jesteście sprytni – powiedział tylko.

Potem obrócił się i spojrzął na ścianę, na której wyświetlony był obraz z PowerPointa i z folii z rzutnika. Pokiwał głową.

– W innych okolicznościach poleciałbym pewnie samolotem

– powiedział, pokazując na ścianę. – Taki miałem plan. Ale to już nieaktualne. Ujawniłem się, kiedy uwalniałem Władimira. I nie, nie wziąłem ze sobą Michaiła. Została mi już tylko jedna droga i prowadziła ona tutaj do was.

Potem pokazał zdjęcie z rzutnika.

– Czy papier pozostawił odcisk na ścianie rurki? Trochę się tego obawiałem, zauważyłem, że zwinąłem ją w zły sposób, ale spieszyłem się, nie zdążyłem wykuć jej całej.

– Miałeś co innego na głowie? – powiedział Söderstedt. – Musiałeś jeszcze buchnąć dwadzieścia milionów z Andelsbanken?

– Bank naftowy – prychnął Andreas Becker. – Nie macie już dosyć tych wszystkich kopalin?

Po czym wyprostował się, ściągnął plecak i postawił go obok siebie na katedrze. Trzymając pistolet przy udzie, zaczął rozpinąć plecak. Wyjął z niego stary notes i ostrożnie przesunął palcami po zniszczonej brązowej okładce z ceraty.

– Są dwa notesy. Ten drugi jest bardziej wartościowy. W tym są tylko słowa.

Otworzył go i przerzucił kilka kartek do wystającej zakładki.

– Naturalnie ten ma wartość sentymentalną. Dziadek Władimira pracował z Hansem Eichelbergerem w piwnicy w Stalingradzie, ale to Eichelberger pisał dziennik.

Andreas Becker chwycił palcami za zakładkę, przerzucił zaznaczoną stronę i uniósł zakładkę.

– Tu jest kartka numer dwa, tak na marginesie – powiedział.

– Trzecia jest, jak już pewnie wiecie, w Wenecji. Pewnie chcielibyście poznać całą historię. Prawda?

Przyjrzał się uważnie Drużynie A. Z poziomu katedry musiał to być smutny widok. Uciszona zgraja. Zakładnicy.

Becker roześmiał się.

– Przepraszam, jeśli to wygląda nieco teatralnie – powiedział.

– My, skamieliny, tak już mamy. Pozwólcie, że na początek przeczytam wam fragment dziennika. Ten fragment został napisany w piwnicy w Stalingradzie w niedzielę jedenastego października tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, o godzinie osiemnastej czterdzieści trzy.

NIEDZIELA, 11 PAŹDZIERNIKA 1942 R., GODZ. 18.43

To była dziwna noc. Większość czasu spędziliśmy z Maksimem, przyglądając się sobie. Rozmawialiśmy bez słów. Dobrze wiemy, że dalej już nie zajdziemy, nasza wiedza dalej nie sięga. Wiemy również, że nasz czas jest ograniczony; prędzej czy później świat wtargnie do środka i będzie brutalny. Wiemy też, że możemy zostać; wiemy, że możemy się zadowolić tym, do czego udało nam się dojść, zadowolić się samym procesem twórczym, samą wiedzą na temat tego, co udało nam się osiągnąć.

Wiemy jednak, że to nie wystarczy. Wiemy, że to, do czego razem doszliśmy, jest więcej warte. Wiemy, że świat jutra tego potrzebuje.

Być może moglibyśmy przeczekać wojnę. Niewykluczone, że mamy wystarczające zapasy. Ale to też nie wystarczy.

Musimy znaleźć sposób, żeby zachować wiedzę.

Musimy znaleźć miejsce, gdzie będziemy mogli ukryć drugi notes przed niszczącym wszystko ogniem. Gdzie nie sięgną piekielne płomienie i gdzie będzie czekać, aż znajdą go dobrzy ludzie.

To skomplikowane zadanie. Zwłaszcza dla skazanych na śmierć wrogów w płonącym mieście.

Maksim twierdzi, że wie, który budynek przetrwa wojnę. Spróbujemy się tam przedostać. Podobno nie jest daleko.

Ale to będzie kosztować.

Będzie to nas kosztować życie.

Mamy plan. Być może tak można to nazwać. Jeśli ma się jeszcze poczucie humoru. A my mamy. Inaczej zastanawiam się, czy udałoby się nam dokończyć nasze myśli.

Zapisałem ostatnią kartkę w notesie. Zapadł zmierzch. Już czas.

Musimy zostać wzięci w niewolę, co więcej, musimy zostać wzięci w niewolę przez odpowiednich ludzi. To znaczy Rosjan

– na samą myśl przechodzą mnie ciarki. Ale nie chodzi o dowolnych Rosjan. To Zajcew musi nas zatrzymać. Strzelec wyborowy Zajcew. Tylko w ten sposób będziemy mogli wysłać mapę pod właściwy adres.

Mapa, właśnie. Maksim zdążył ją już narysować. Jeśli damy radę się tam przedostać. Jeśli bez przeszkód będziemy mogli ukryć notatnik tam, gdzie zaplanował to Maksim.

Narysował mapę. Umieścił ją w kopercie z nazwą restauracji, którą znalazł w szufladzie. Zakleił kopertę. Włożymy ją do tego dziennika. A potem Maksim przekona Zajcewa, żeby wysłał go do jego domu, do Moskwy. Syn Maksima Fiodor się nim zajmie. Ma piętnaście lat i jest bardzo mądry, tak twierdzi Maksim. Zrozumie, że ma o niego dbać.

Będzie pielęgnować pamięć po ojcu.

Zajcew jest wiernym bolszewikiem. Dlaczego miałby zrobić coś takiego? Dlaczego miałby złamać okrutne prawa wojny, żeby spełnić prośbę Maksima? Zabije nas, z żalem zabije podziwianego wroga Streppy'ego, a z jeszcze większym – swojego dawnego kamrata Maksima Kuwaldina. Zrobi to. Wcześniej jednak spełni jego ostatnie życzenie.

Od spełnienia tego ostatniego życzenia zależy los tego stulecia.

Przyglądamy się sobie w świetle mojego płomienia. Maksim wygląda staro. Jakby stracił wszystkie myśli. Jakbyśmy zużyli nasze ostatnie siły, resztki życia, które jeszcze się w nas tliły.

Bierze lopatę, dzięki której się tu do mnie dostał. Podnosi ją i uśmiecha się. Ona przywróci nas światu.

Czuję, że muszę objąć go ramieniem. Nigdy nie dałbym sobie rady sam. Żeby móc myśleć, trzeba być człowiekiem. A żeby być człowiekiem, trzeba być widzianym.

Długo trzymamy się w objęciach. Mógłbyś być moim ojcem, Maksim.

Gdzieś tam jest mój syn. Nie spotkam go, podobnie jak zapewne nie dotrzmam do swoich trzydziestych urodzin.

Puszczamy się, niechętnie. Wycieramy sobie nawzajem łzy.

Trudno rozróżnić, które łzy są moje, a które jego. Mieszają się.

To są nasze łzy.

To płacze nasze stulecie.

Zaczynamy kopać, on łopatką, ja tacą, którą znalazłem w restauracji. Już po pierwszych uderzeniach łopatką dobiega nas ryk miasta. Ryk z otchłani Stalingradu.

Urrraaa!

Naraz wpada światło. Płomienie piekielne.

Tam idziemy.

Kopiemy dalej. Przekopujemy się na spotkanie śmierci. Lecz również na spotkanie życia. Życia tych, co nastaną po nas.

Życia mojego syna.

Tylko niebo nie jest aż takie błękitne.

ANDREAS BECKER uśmiechnął się pod nosem, zamknął dziennik, położył go obok siebie na katedrze, lekko poklepał starą, zniszczoną okładkę i poprawił leżący na kolanie pistolet maszynowy.

– Został jeszcze krótki fragment – powiedział. – Zaczekajmy z tym jeszcze chwilę.

Odchrząknął i spojrzał na Drużynę A.

– Pozwólcie, że coś wam opowiem – zaczął. – Urodziłem się we wschodnim Berlinie na początku lat pięćdziesiątych. To dosyć smutna historia. Moi rodzice byli zdeklarowanymi komunistami. Moja matka, jak zapewne wiecie, była Szwedką. Hanna Westerberg, z Göteborga. Wkrótce stała się Hanną Becker, doktorantką filozofii marksistowskiej i żoną profesora filozofii Antona Beckera. Od wczesnych lat życia moją edukacją kierował więc duch socjalizmu. W podstawówce miałem najlepszego przyjaciela, prawdziwego przyjaciela, miał na imię Achim i był ode mnie o dziesięć lat starszy. Był z niego prawdziwy oryginał, mieszkał piętro niżej, w niewielkim mieszkaniu, które zawsze pachniało szarym mydłem. Nie miał rodziców, nie miał pracy, w ogóle nic nie miał. Achim był moim sprzymierzeńcem w trudnych latach dojrzewania. Obiecaliśmy sobie, że zawsze będziemy mogli na siebie liczyć. Byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi. A ja go zdradziłem. Jakby zdrada była naturalną częścią mojego życia.

Nasze drogi się rozeszły. Achim i ja dokonaliśmy innych życiowych wyborów. Ja studiowałem języki na uniwersytecie i zostałem zwerbowany przez Stasi. Prawomyślny i nieskalany. Achim z kolei miał skłonności opozycyjne, a może po prostu był bardziej niezależny. Zaczął pracować jako rzemieślnik i jakoś wiązał koniec z końcem, prowadził proste, samotne życie. Na swój sposób był pewnie szczęśliwy. Aż do dnia w połowie lat osiemdziesiątych, w którym dostał list z Moskwy.

Przez cały czas utrzymywaliśmy sporadyczny kontakt, nasza

przyjaźń trwała pomimo dzielących nas różnic. Od dzieciństwa mieliśmy skrytkę, w której zostawialiśmy sobie różne przedmioty; szczelina w drzewie w jednym z berlińskich parków. Skontaktował się ze mną i opowiedział o liście; oczywiście nie mógł wiedzieć, że pracuję dla Stasi.

List przyszedł od niejakiego Fiodora Kuwaldina. Właśnie dostał z Afganistanu zawiadomienie o śmierci. Rosyjska wojna w Afganistanie toczyła się od grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, początkowo pomyślana jako błyskawiczna operacja militarna przeciwko siłom partyzanckim, przerodziła się w regularną wojnę partyzancką zasilaną strumieniem amerykańskich pieniędzy i zastępami młodych radzieckich żołnierzy. Fiodor Kuwaldin miał trzech rodzonych synów. Wszyscy zostali powołani na front i pojechali do Afganistanu. Wszyscy też zginęli.

Kiedy synowie byli jeszcze młodzi, dał im zawczasu spadek, najcenniejsze, co posiadał, ale ani Achim, ani ja nie rozumieliśmy do końca, o co w tym chodzi. Był to notes i mapa, tyle rozumieliśmy, i że dziennik podobno napisał ojciec Achima, którego on nigdy nie spotkał. Po tej wiadomości nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Byłem zdania, że powinien skorzystać z okazji i pojechać do Moskwy, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o swoim zmarłym na wojnie ojcu. Tak też zrobił. I kiedy w moim tygodniowym raporcie dla Stasi wspomniałem o tym zdarzeniu, rozpętała się burza. Od czasu wojny, Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, krążyła plotka na temat fantastycznego, wspólnego odkrycia naukowego dokonanego w czasie wojny przez Rosjanina i Niemca. Plotka nie została nigdy potwierdzona, jednak za jej oficjalne źródło uznawano Zajcewa, bohatera Związku Radzieckiego, snajpera Zajcewa ze Stalingradu. Pomimo nacisków nie dało się z niego więcej wyciągnąć. Możliwe, że nic więcej nie wiedział. Zabrał ze sobą tajemnicę do grobu. Służby wywiadowcze na świecie nie potrafiły jednak o tym zapomnieć. Jeśli to, co niepiśmienny Zajcew przez przypadek powiedział, było prawdą, to istniała gdzieś cała książka ze wzorami opisującymi procesy pozwalające zastąpić produkty

ropopochodne wodorem. Nieznani Niemiec i Rosjanin stworzyli razem utopijne podstawy gospodarki wodorowej, całkowicie nowego porządku świata, który mógłby nastąpić po epoce paliw kopalnych. Była to bardzo niebezpieczna koncepcja, zarówno dla Stanów Zjednoczonych, jak i dla Związku Radzieckiego. Dominacja wielkich mocarstw opierała się w znacznym stopniu na produkcji i konsumpcji paliw kopalnych. Koncerny naftowe po obu stronach żelaznej kurtyny zatrzęsły się ze zgrozy. Podobnie służby wywiadowcze.

To, co nieopatrznie opisałem w raporcie moim przełożonym w Stasi, zostało oczywiście przekazane dalej, zarówno do KGB, jak i do CIA. Musieli mieć pewność, że materiały zostaną skonfiskowane i raz na zawsze zniszczone.

W tym czasie niczego nieświadomy Achim Eichelberger pojechał do Moskwy, do Fiodora Kuwaldina. Piętnaście lat starszy Kuwaldin rzeczywiście dostał od króla snajperów, Zajcewa, dziennik i mapę. Był to spadek po jego ojcu, Maksimie Kuwaldinie, który został stracony w Stalingradzie za zdradę państwa, co dla jego rodziny oznaczało katastrofę. Zrujnowany młody Fiodor zachował jednak ojcowską schedę i nie wiedząc, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi, przekazał ją w spadku swoim trzem synom. Żeby synowie nie zerwali ze sobą kontaktu, rozdzielił mapę na trzy części w taki sposób, że można ją było przeczytać tylko po odpowiednim nałożeniu ich na siebie. Synowie przejęli spadek, nie mając pojęcia, o co chodzi, i wyruszyli do Afganistanu. Kiedy ostatni z nich wrócił do domu w trumnie, Fiodor Kuwaldin zastanawiał się, co zrobić z czwartym, przybranym synem, Władimirem, któremu po śmierci trzech przyrodnich braci przysługiwał spadek. Ponieważ dziennik i mapa mogły mu zostać w każdej chwili odebrane, postanowił, że zamiast przekazywać je Władimirowi, skontaktuje się z synem kolegi ojca. Z dziennika pisanego w obcym dla niego języku udało mu się zrozumieć tyle, że Maksim Kuwaldin i Hans Eichelberger współpracowali w Stalingradzie i dokonali jakiegoś odkrycia, a wyniki ukryli w nieznanym miejscu, do którego prowadziła załączona mapa.

Achim słuchał z niedowierzaniem opowieści załamane

Fiodora. Stracił w Afganistanie trzech synów, pomyślał. Biedny człowiek. Myślał też o dzienniku, dzięki któremu mógł poznać swojego nieżyjącego ojca i zrozumieć przeszłość. Z podzielonej na trzy części mapy niczego jednak nie rozumiał. Jaką mogła mieć wartość mapa nieistniejącego, zrównanego z ziemią miasta?

Fiodor Kuwaldin uparł się jednak, żeby dać mu wszystko. W imię pamięci wspólnej pracy ich ojców. Na znak wzajemnego szacunku i zrozumienia. Achim podziękował serdecznie i wrócił do domu ze śmiertelnym podarunkiem.

Wkrótce pojawili się pierwsi prześladowcy. Wydawało mu się, że są wszędzie, gdziekolwiek się udał na terenie wschodniego Berlina. Zadzwoił do mnie, żeby powiedzieć, że chyba wariuje, że coraz trudniej mu odróżnić zewnętrzne demony od tych w jego wnętrzu. Przeczytał dziennik kilkakrotnie i powoli zaczynało do niego docierać, jak ważna była praca jego ojca. Zrozumiał również, dlaczego jest śledzony. Powiedział mi, że zamierza zostawić wszystko w naszej skrytce w drzewie, w parku. On sam był już spalony, nie widział dla siebie wyjścia. Miał jednak nadzieję, że dziennik i mapę uda się uratować. Przekazał mi je przez wzgląd na naszą przyjaźń.

Na szczęście nigdy się nie dowiedział, że byłem agentem Stasi. To by go całkowicie załamało. A tak przynajmniej umarł, wierząc, że udało mu się oszukać demony.

Wydaje mi się, że rzeczywiście był śledzony przez KGB i CIA tamtego ranka na początku lata tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, kiedy to udał się do skrytki. I kiedy strzelił sobie w głowę.

Stasi nie wiedziało o naszej skrytce – to była przestrzeń przypisana czasom dzieciństwa i nigdy jej nie naruszyłem. Nigdy nie napisałem o niej w raporcie moim pracodawcom. Poszedłem tam dzień po jego śmierci i zabrałem dokumenty. Trzy kartki z fragmentami mapy i ten oto dziennik. To wszystko. Dla tych kartek zginął Maksim Kuwaldin, Hans Eichelberger i syn Hansa, Achim. Mój przyjaciel.

Zaopiekowałem się nimi. Rozumiałem ich znaczenie historyczne. Niebawem zacząłem jeździć po różnych miejscach

w Europie. W czasie pobytu w Wenecji zamurowałem fragment mapy w plastikowej rurce w ścianie siedziby głównej. Wkrótce przeniesiono mnie na dłużej do ojczyzny mojej matki, Szwecji. Tu zrobiłem podobnie. Trzecią kartkę zatrzymałem i schowałem w skrytce bankowej.

Co takiego myślałem? Nie chodziło mi o środowisko ani przyszłość, w żadnym wypadku. Służbom wywiadowczym wystarczało, że materiał zniknął, mimo wszystko jednak istniało ryzyko, że z czasem zaczną się mną interesować, kolegą z dzieciństwa. Musiałem się na to przygotować. Wydawało mi się, że to najlepszy sposób.

Myślałem, że mógłbym je sprzedać za odpowiednią sumę po upadku muru. Jeszcze gdy byłem w Sztokholmie, stawało się coraz bardziej jasne, że dni muru są policzone. Stworzyłem sobie równoległą tożsamość, przygotowałem się na rozpoczęcie nowego życia już jako Johan Lidström. Mój szef Sven Fischer chciał, żebym dołączył do firmy ochroniarskiej w mieszkaniu po dawnej siedzibie Stasi, ale ja wolałem działać na własną rękę. Chciałem się znaleźć jak najdalej od świata szpiegów, całego tego szaleństwa.

Zostałem ekspertem ochrony danych, w końcu przez długi czas zajmowałem się łamaniem kodów, teraz przeszedłem na drugą stronę i zamiast tego je chronilem. Dzięki licznym fałszywym dokumentom dostałem świetną posadę w Svenska Säkerhetssystem AB w Saltsjöbaden. Praca całkowicie mnie pochłonięła, doskonale zarabiałem i niemal zapomniałem o mapie, dzienniku i ukrytych recepturach. Straciliśmy wiele lat, które mogły zostać wykorzystane, żeby stworzyć alternatywę dla paliw kopalnych. Obserwowałem, z jakim trudem rozwija się gospodarka wodorowa, w końcu zaczęło mi to przeszkadzać. Zbyt wiele czasu potrzebowałem, żeby założyć rodzinę, o której zawsze marzyłem. W końcu jednak spotkałem odpowiednią kobietę. Moją Annę. Po latach starań urodził nam się syn i poczułem, że mam odwagę dać mu na imię Andreas. Jako nieśmiały ukłon w stronę osoby, którą mimo wszystko byłem przez większość życia. I jako kolejną szansę, drugą szansę dla Andreasa.

Byłem taki szczęśliwy.

Niedługo potem ktoś musiał mnie skojarzyć z Achimem. Znowu nie po to, żeby zdobyć receptury, ale by doprowadzić do ich zniszczenia. Próbowali mnie otruć, zamiast tego otruli moją rodzinę. Znowu zostałem sam.

Wiedziałem, że mnie szukają. Nie żeby to miało dla mnie jakieś znaczenie – po śmierci Anny i Andreasa nic nie miało dla mnie znaczenia – chciałem jednak móc oplakiwać ich w ciszy. Umrzeć w spokoju.

Jednak gdy żyłem jako Lars Bergman w Tantolunden, zrodziła się myśl, żeby się zemścić. Zrewanżować się wymarłemu światu, który nie chciał umrzeć i żył pożyczonym, nie – skradzionym czasem. Co mogło być lepszą zemstą na paliwach kopalnych od przedstawienia alternatywnego rozwiązania energetycznych problemów współczesnego świata? Rozwiązania, którego najwyraźniej nikt nie chciał poznać? I przy okazji zgarnąć dla siebie trochę kasy z napędzanego ropą banku...

Mój plan zaczął powstawać już rok wcześniej, gdy pracowałem dla norweskiego banku zlokalizowanego w tym samym budynku co nasza dawna kwatera główna i tworzyłem zapory sieciowe. Wtedy jednak byłem szczęśliwy, wtedy o tym nie myślałem. Szczęśliwi ludzie się nie mszczą. Teraz jednak sytuacja się zmieniła.

Miałem dług do spłacenia wobec rodziny Kuwaldinów. Próbowalem się skontaktować z Fiodorem, ale popełnił samobójstwo. Udało mi się jednak odnaleźć jego najmłodszego syna, Władimira, jedyne, który przeżył, również wysłanego do Afganistanu. Wrócił do domu złamany, ale wciąż żywy – prawda, Władimirze? – i kiedy się z nim skontaktowałem, chciał za wszelką cenę do mnie dołączyć. Odezwałem się do dawnego kolegi z KGB Michaiła Zinowjewa, który również miał wziąć udział w pozorowanym pojmaniu zakładników w banku, żebym mógł się dostać do ściany w lokalu firmy. Wszystko poszło zgodnie z planem – udało im się też dostać do okablowania w banku, dzięki czemu mogłem złamać swoją własną zaporę sieciową. Dopiero potem wszystko się posypało.

Amerykanie najwidoczniej zrozumieli, że to ja odpowiadałem za ten napad – na szczęście zbyt późno dotarło do nich, że dzięki niemu miałem się dostać do mieszkania. Wprowadzenie fałszywego funkcjonariusza sił szybkiego reagowania było z ich strony *intelligence art* najwyższych lotów. Czysty profesjonalizm.

Nie mogłem zostawić Michaiła i Władimira. Musiałem ich odnaleźć. Udałem się do swojego dawnego przeciwnika Roberta Andrews, żeby się dowiedzieć, gdzie są. Pojechałem tam. Michaił już nie żył, Władimir był na granicy śmierci. Uwolniłem go. Ale oni deptają mi po piętach.

Zostało mi już tylko jedno miejsce, dokąd mogłem się skierować. Dobrze zrobiłem, że włączyłem we wszystko szwedzką policję. To jeszcze nie koniec. Wciąż jest szansa.

Istnieje inne rozwiązanie.

*

W centrum dowodzenia panowała cisza. Jakby w pomieszczeniu skończył się tlen, a język przestał istnieć. Andreas Becker siedział nieruchomo. Wzrok utkwiał w jakimś odległym punkcie.

Pierwszy odzyskał głos Arto Söderstedt.

– Pominąłeś nas w swojej opowieści – powiedział.

Becker spojrział na niego uważnie.

– To prawda – przyznał. – Data zależała od obecności jednego z waszych ludzi w Wenecji. Gdyby sprawy potoczyły się tak, jak przewidywałem, zwyczajnie bym mu wszystko przekazał. Wraz z instrukcją, jak otworzyć szufladę starannie ukrytą w biurku.

– Ale to już nieaktualne?

– Teraz będzie miał inne zadanie – powiedział Becker. – Jeśli zechce. Jeśli *wy* zechcecie. Możecie też się wycofać. Decyzja należy do was.

– Tyle że to ty masz broń – zauważył Söderstedt.

– Dobrze wiecie, że nic wam nie zrobię. Pewnie nie macie pewności co do Władimira. Musiałem po prostu przykuć waszą uwagę.

– Chcesz powiedzieć, że chodzi tu o całkowicie nowy porządek gospodarczy? – zapytała Kerstin Holm.

– Nie wiemy dokładnie, do czego doszli Hans i Maksim – powiedział Becker. – Może to jest nic niewarte. Z dziennika wynika jednak coś innego.

– *Hydrogen economy* – wtrąciła Sara Svenhagen.

– Rzeczywiście istnieje takie pojęcie – powiedział Andreas Becker. – Dzisiaj powoli zaczyna się myśleć w kategoriach, w których Hans i Maxi myśleli przeszło sześćdziesiąt lat temu. Wszystkie tego typu pomysły popadły w zapomnienie zaraz po wojnie. A cywilizację oparto na ropie. Przeszłość da się jednak zmienić. Możemy cofnąć drugą połowę ubiegłego wieku, spróbować uporządkować świat w nowy sposób.

Kerstin Holm podrapała się po czole. Obróciła się do Niklasa Grundströma, który sprawiał wrażenie spokojnego, choć jeszcze przed chwilą miał lufę przystawioną do skroni.

– Jesteś tu najwyższym stopniem, Niklas – powiedziała.

Grundström skinął głową.

– Jako przedstawiciel BSW nie mogę wyrazić zgody na odstąpienie od regulaminu – powiedział.

Przez chwilę milczał.

– Mogę jednak zamknąć oczy – dodał. – W imię innych wartości. Mając na uwadze dobro moich dzieci. Pod jednym warunkiem – odłóżcie broń.

Andreas Becker sięgnął pod płaszcz i położył pistolet na katedrze. Wstał i powiedział:

– Nie był naładowany.

Potem powiedział coś do Władimira Kuwaldina, który natychmiast zrobił to samo. Na katedrze Drużyny A leżał cały arsenał broni.

Następnie obaj zeszli z podium i stanęli z wyciągniętymi w górę rękami. Przeszukano ich i posadzono na krzesłach.

– Zakładnicy uwolnieni – powiedział Becker i uśmiechnął się do siebie. – Mam nadzieję, że nie ma wśród was fałszywych policjantów.

– Nie ma takiego ryzyka – powiedziała Kerstin Holm. – Jaki masz teraz plan?

– Jestem pewien, że pilnują moich dawnych dziupli w Salzburgu, Madrycie, Wenecji, Oslo, Atenach, ale w żadnym z tych miejsc nie spodziewałbym się więcej niż jednego lub dwóch agentów.

– Widzieliśmy na zdjęciach, co zrobiłeś Rogerowi Andrewsowi – powiedziała Sara Svenhagen. – Dlaczego w ogóle mielibyśmy chcieć z tobą współpracować? Ilu Amerykanów zabiłeś w willi na Färingsö?

– Czterech – powiedział Becker, a jego twarz wykrzywił chwilowy grymas. – To oni zabili moją żonę i syna. I to oni niemal zabili twoją żonę, Hjelm.

Hjelm wzdrygnął się.

– Byłą żonę – poprawił go.

– Odpowiadając na twoje pytanie, Saro, nie mnie pomagacie. Ten świat zapędził się w kozi róg, budując swoją przyszłość na paliwach kopalnych. Niszczymy planetę dwutlenkiem węgla, który wywołuje efekt cieplarniany, i zatruwamy środowisko łożyskami, co z kolei powoduje raka i wiele innych chorób. Uzależniliśmy swoją przyszłość od źródła trucizny. A to nie wszystko, w dodatku paliwa kopalne są na wykończeniu. Kampania rosyjska Hitlera, która doprowadziła do katastrofy pod Stalingradem, była zwykłą naftową krucjatą. Hitler wyciągnął wnioski z błędów popełnionych podczas pierwszej wojny światowej, gdy słabością jego kraju była zależność od węgla, i dlatego zbudował nową armię i wyreżyserował całą wojnę w oparciu o ropę. Naprawdę potrzebował złóż ropy na Kaukazie. Dziś nasza sytuacja jest jeszcze gorsza. Wiemy już, że potrzeba zaledwie kilku dziesięcioleci, by wyczerpały się zasoby paliw kopalnych, które kurczą się w niebywałym tempie. Co więcej, za parę lat wszystkie światowe złoża ropy znajdą się w rękach państw muzułmańskich. W tej sytuacji państwa Zachodu mają do wyboru: albo próbować się uniezależnić od paliw kopalnych – mądry wybór – albo zdobyć kurczące się złoża ropy siłą – wybór niezbyt mądry. Zgadnijcie, co wybierzemy. Jak na ironię mój napad na bank miał miejsce akurat w dniu rozpoczęcia amerykańskiej inwazji na Irak. Jesteśmy świadkami kolejnej wojny o ropę, w której stawką

jest dostęp do ostatnich złóż ropy na świecie.

– Kim oni są? – zapytał Paul Hjelm. – To Amerykanie?

– Nie wiem dokładnie – powiedział Becker. – Możliwe, że jest to niezależna organizacja luźno powiązana z CIA, której dano swobodę działania. „Nie chcemy wiedzieć jak, po prostu to zróbcie”.

– Wydaje mi się, że rozpoznaję tę organizację – powiedział Paul Hjelm i poczuł, jak przechodzi go dreszcz. – Zła krew wraca – dodał.

Kerstin Holm spojrzała na niego z ukosa, a potem odezwała się pod adresem Beckera:

– Co z Gunnarem?

– Gunnar Nyberg musi się dostać do dawnej siedziby Stasi w Wenecji i wykuć fragment mapy ze ściany, jednocześnie starając się unikać agentów. To gdzieś w połowie drogi między placem św. Marka a mostem Rialto – dziś jest tam gabinet stomatologiczny. Dokładne wskazówki przekażę mu w swoim czasie.

– Unikając agentów? – powtórzył Paul Hjelm.

– Tak – powiedział Andreas Becker i spojrzał mu głęboko w oczy. – Unikając agentów.

LUDMILA LUNDKVIST była zdania, że życie jest cudowne. Każdą komórką swojego ciała uwielbiała stan, w którym się obecnie znajdowała. Jej dzieciństwo i pierwsze lata dorosłości przypadły na trudne lata powojenne w Związku Radzieckim. Poznała Szweda, w dramatycznych okolicznościach przedostała się przez Finlandię do Szwecji i zaczęła na nowo życie. Po jakimś czasie mąż zmarł i została sama. I kiedy wydawało jej się, że na wszystko jest już za późno, nagle na horyzoncie pojawił się ten wielki, łagodny mężczyzna i wszystko z powrotem się ułożyło.

Wiosna w Wenecji była na tyle ciepła, że sobotni wieczór spędzili w kawiarni na placu św. Marka, słuchając sączącego się z głośników jazzu. Nie było to ani porywające muzycznie, ani stymulujące intelektualnie, ale w ogóle im to nie przeszkadzało.

Ludmila wtuliła się w niego, a on objął ją całą szerokim ramieniem. Biła od nich aura harmonii i porozumienia, która zlewała się z blaskiem rozświetlonych fasad kościoła św. Marka i Pałacu Dożów. W tle majaczyły sylwetki łodzi i gondoli rozrzuconych po wodach laguny. Wszystko wyglądało idealnie, jakby znaleźli się wewnątrz pocztówki, i było to miłe uczucie. Nawet jeśli trwało tylko chwilę.

Właśnie wtedy Ludmila poczuła, że z Gunnarem coś się stało. Jego wielkie ciało przeszło nagłą przemianę. Stało się sztywne, twarde, szorstkie. Spojrzała na niego zaskoczona, ale w gasnącym świetle dnia nie potrafiła ocenić, czy wyraz jego twarzy się zmienił. Coś się jednak stało. Coś poważnego.

Wystarczyło jedno odbicie. Gunnar Nyberg siedział z przymkniętymi oczami i wtapiał się w idylliczną scenerię. Było pięknie. Było nieziemsko pięknie. Żadnych zakłóceń. I nagle zobaczył odbicie. Na metalowej obudowie ogrzewacza stojącego przy ich stoliku pojawił się obraz. I zniknął.

Nie mogło mu się przywidzieć. Obraz był zbyt wyraźny. I natychmiast przywołał najmroczniejsze epizody z przeszłości

Gunnara Nyberga.

Krótkie włosy, lodowate i mroczne spojrzenie. Oko rekina.

To było niedorzeczne.

A jednak nie miał wątpliwości.

To był Wayne Jennings.

Tajny agent i zawodowy morderca.

Dawno temu niemal się pozabijali.

Zła krew wraca.

Gunnar Nyberg zorientował się po dotyku Ludmily, że dostrzegła zmianę. Była niebywale wrażliwa, a jego zmiana na tyle wyraźna, że nawet i jej wrażliwość nie była konieczna, by ją zauważyć.

Musiał się uspokoić. Próbował opanować ciało i wpasować je z powrotem w ramy idyllicznej pocztówki. Odezwał się najbardziej beztrząsco, jak tylko umiał:

– Cholera, coś mnie zabolalo w plecach.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Ludmila.

– Już przeszło – powiedział Nyberg. – Może to nerw kulszowy.

– Już w porządku?

– Tak – powiedział i przytulił ją mocniej do siebie. – W porządku.

Siedzieli jeszcze przez chwilę, patrząc przed siebie, widok był jak z pocztówki. Jednak oboje czuli, każde w swój sposób, że zdrapali laminat. Albo zawisli na brzegu widokówki.

Myśli przenikały mózg Nyberga niczym wyładowania elektryczne. To nie mógł być zbieg okoliczności. Wayne Jennings nie mógł tu być, nie wiedząc o Gunnarze Nybergu. To się ze sobą łączyło. Ale jak, do diabła? Czy ktoś doszedł w końcu do wniosku, że Nyberg stanowi zagrożenie? Że czas już zatrzeć ślady wydarzeń w Sztokholmie i Visby sprzed pięciu lat?

Czy Jennings tu przyjechał, żeby zamordować Gunnara i Ludmilę?

Wayne Jennings. Maszyna do zabijania w Wietnamie, człowiek, który do tortur używał potwornych cęgów kaleczących więzadła głosowe. Potem przyjechał do Szwecji i

stał się porządnym obywatelem, ale przeszłość go dogoniła.

Człowiek, w którym krążyła zła krew.

Zapracowany jak zawsze.

Wrócił, żeby na nowo zagościć w nocnych koszmarach Gunnara Nyberga.

Zadzwonił telefon – wiedział, że zadzwoni. Odebrał. Dzwoniła Kerstin Holm.

Starał się odpowiadać krótko i treściwie, jakby to była zwykła koleżeńska rozmowa. Słuchał niebywale, wyjątkowo nieprzyjemnej historii, a potem usłyszał własny głos odpowiadający na zupełnie inne pytania, swój krótki śmiech, rechot, chichot.

Rozłączył się.

– Dzwoniła Kerstin – powiedział.

– W sobotę wieczorem? – zdziwiła się.

– Może czuje się trochę samotna. – Wzruszył ramionami.

– Wszystko w porządku?

– Chyba tak – powiedział. – Tak mi się zdaje.

– To dobrze – powiedziała.

– Przejdziemy się? – zaproponował. – Czuję, że mi wszystko drętwieje.

Zastanawiał się, ile kłamstw w ciągu zaledwie kilku minut wytrzyma ich związek.

Ruszyli przed siebie, przytuleni. Ludmila przyglądała się mu uważnie. Skierowali się na północ. Przeszli wzdłuż niezwyklej fasady kościoła św. Marka i skręcili w prawo, mijając niewielki plac budowy przy północnej części skrzydła Pałacu Dożów. Nyberg zawiesił wzrok na potężnym, przekrzywionym kamiennym portalu, otoczonym obrzydliwą taśmą, wokół którego trwały przygotowania do remontu.

– Coś się stało – powiedziała Ludmila, mocno marszcząc swoje wydatne czarne brwi.

– No coś ty – powiedział Nyberg i uśmiechnął się szeroko. – Zaniepokoił mnie tylko ten ból pleców. A jeśli to rzeczywiście rwa kulszowa?

Nienawidził każdego kłamstwa. Każde kolejne zdanie oddalało ich od siebie, ale nie miał wyboru, musiał w to brnąć

dalej.

Po piętnastu minutach wrócili na plac św. Marka i poszli w kierunku nabrzeża.

– Chciałbym jeszcze zajrzeć do Pałacu Dożów – powiedział Nyberg.

– Znowu? – westchnęła Ludmila, wciąż marszcząc brwi. – Zaraz zamykają.

– Zdążymy – powiedział Nyberg i wciągnął ją do środka.

Dzielnica Pałacu Dożów mieniła się kolorami w świetle zachodzącego słońca. Gunnar poprowadził Ludmilę w kierunku wejścia do piwnic. Wyczuł delikatny opór.

– Nie – zaprotestowała. – Dość tych sal tortur.

– To raczej cele więzienne – uspokoił ją. – Chciałbym jeszcze raz rzucić na nie okiem.

– Okej – westchnęła Ludmila i ruszyła za nim w dół coraz ciemniejszych i wilgotniejszych kamiennych schodów.

Weszli na Most Westchnień. Przez zakratowane otwory okienne miasto wyglądało wyjątkowo pięknie. Dla wielu skazanych był to ostatni widok miasta, niewątpliwie wart niejednego westchnienia. Zeszli do podziemi.

W środku zostali pojedynczy spóźnieni zwiedzający, nerwowo biegający tam i z powrotem.

– Rozejrzę się tylko – powiedział Gunnar Nyberg. – Zaczekasz tutaj?

Ludmila skinęła, ściągając brwi, usiadła w przenikliwie chłodnej wnęce okiennej i owinęła się ciasniej płaszczem.

Nyberg zszedł po schodkach. Zatrzymał się przed kamiennymi drzwiami i rozejrzał się. Zamknął je; poszło zaskakująco lekko. Z równie zaskakującą łatwością zasunął rygiel. Potem znów je otworzył i wszedł do celi. Przykucnął za murowanym przepierzeniem i zaczął czegoś szukać w plecaku. Wyjął parę butów i ustawił je tak, że zza krawędzi ścianki wystawały tylko ich czubki. Potem wyszedł z celi i wrócił szybkim krokiem do Ludmily. Gdzieś po drodze przeleciało mu przez myśl: kurwa, jak mogłem ją tam zostawić?

Siedziała w oknie, naburmuszona. Miała wciąż zmarszczone brwi.

– Dobra, wystarczy – powiedział dziarsko.

Pokręciła głową i ruszyła za nim po schodach, a potem z powrotem przez Most Westchnień. Droga na wolność. Gdy wychodzili, westchnienia były już całkiem inne.

W wejściu do pałacu stał zniecierpliwiony stróż i ni mniej, ni więcej, tylko wyrzucał spóźnialskich zwiedzających na nabrzeże.

– *Closing time* – warknął z typowo włoskim zniecierpliwieniem w głosie.

Wyszli z powrotem na plac św. Marka i powoli poszli w kierunku przystani, przy której zacumowało *vaporetto*, rodzaj weneckiego autobusu. Gdy znaleźli się w tłumie, Gunnar Nyberg pochylił się nad Ludmilą i powiedział jej do ucha:

– Masz rację, coś się stało.

Mocnym uściskiem opanował jej drzenie.

– Nie możesz nic po sobie pokazać – wyszeptał. – Popłyn tym *vaporetto* na komendę policji, wiesz, gdzie jest. Wejdz tam i przyznaj się do popełnienia jakiegoś niezbyt poważnego przestępstwa. Muszą się tam tobą zająć.

Ludmilę przeszedł dreszcz. Gunnar uciszył go, obejmując ją jeszcze mocniej.

– A ty? – zapytała.

– Muszę coś zrobić. Przyjadę po ciebie tak szybko, jak tylko będę mógł.

– Ale co zamierzasz? Dlaczego mam się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłam?

– Nie możesz teraz wrócić do hotelu. Potrzebujesz ochrony policji. Wrócę jutro. Pa. Kocham cię, przecież wiesz.

– Zginiesz, Gunnar.

– Cicho, kochanie. Nie zginę. Mam za dużo do stracenia.

– Kocham cię – powiedziała Ludmila i wsiadła do *vaporetto*.

Pomachał jej i patrzył za łódką, aż zniknęła mu z pola widzenia. Wayne Jennings za nią nie wsiadł. Czyli chodziło mu o niego.

Gunnar Nyberg odetchnął głęboko i patrzył w znikające słońce, którego złotopomarańczowe promienie kładły się na spokojnej tafli wody. Miasto na lagunie emanowało

zjawiskowym pięknem. Najgłębsze zakamarki jego duszy wypełniał ból. Potworny ból.

Potem pospieszył na północ wzdłuż ulic i uliczek, kręcił się, zmieniał kierunek, aż w końcu trafił na miejsce. Ani razu nie musiał się za siebie oglądać, żeby wiedzieć, że jest śledzony. Nie potrzebował. To było uczucie, które przenikało do szpiku kości.

Gabinet dentystyczny mieścił się w siedemnastowiecznym domu przy bezimiennym ryneczku pomiędzy placem św. Marka a mostem Rialto. Sprawdził listę mieszkańców i nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Wszedł na drugie piętro. Na drzwiach gabinetu dentystycznego widniały godziny otwarcia. Jak to we Włoszech, gabinet zamykano dopiero o dziesiątej wieczorem. Miał czas.

Zanim wyszedł na niewielki targ, wyjrzał przez okienko w drzwiach. Być może tylko mu się wydawało, ale zobaczył cień, który szybko zniknął w bocznej uliczce.

Jakie to wszystko głupie.

Pokręcił głową i ruszył dalej. Wiedział, gdzie powinien się teraz udać. W drodze powrotnej na plac św. Marka zauważył sklep z narzędziami, do którego teraz wszedł, żeby kupić zestaw dłut, mały kilof, stalówkę, latarkę kieszonkową i spory nóż o szerokim ostrzu. Zatrzymał się przy całodobowym kantorze wymiany walut i wyjął więcej euro, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się mieć w ręku. Był na miejscu.

Była to dosyć elegancka restauracja, czynna do ostatniego klienta, do której wszedł z Ludmiłą poprzedniego wieczoru. Zawrócili na progu, gdy tylko Gunnar zobaczył klientelę. Co jak co, ale półświatek wyczuwał na odległość. Wystarczająco długo miał do czynienia z przestępcami, by z łatwością rozpoznawać charakterystyczne dla nich zachowania. Obrócił Ludmiłę o sto osiemdziesiąt stopni i oddalili się w bezpieczniejsze miejsce.

Teraz jednak chodziło o co innego. Teraz ruszył prosto do baru, spojrzął barmanowi głęboko w oczy i zobaczył w nich to, co miał nadzieję zobaczyć.

– *I need a gun* – powiedział.

Barman spojrział na niego zaskoczony.

– *You're insane, sir.*

Nyberg przywdział wypróbowaną niejednokrotnie niedźwiedzią maskę, mając nadzieję, że będzie rozpoznawalna również za granicą.

– Wiem, co to za miejsce – powiedział. – Spokojnie. Potrzebuję broni i dobrze płacę. Bardzo, bardzo dobrze.

Barman wbił w niego wzrok, ale jego spojrzenie się zmieniło.

– *One moment, sir.*

Minęło kilka minut. Nyberg obrócił się i oparł o bar. Udawał znudzonego, ale uważnie rozglądał się po całym lokalu. Ani śladu Jenningsa. Nie żeby się go tu spodziewał.

Barman wrócił. Kiwnął dłonią, co oznaczało, że Nyberg ma pójść za nim. Tak też zrobił. Weszli do gabinetu szefa. Za biurkiem siedział niski mężczyzna z ciemnymi sińcami pod oczami, o wyjątkowo czujnym spojrzeniu. Pod ścianą za jego plecami stał mężczyzna wielkości Nyberga z wypchaną kieszenią. Poczul się, jakby znalazł się w filmie. Nie mógł się nie uśmiechnąć. Potem przypomniała mu się Ludmila i uśmiech zniknął.

– Podobno potrzebujesz broni – powiedział mężczyzna za biurkiem.

– Tak – odpowiedział Nyberg.

– Legalnej?

– Pistoletu – odpowiedział Nyberg.

– Amunicja?

– Wystarczą dwa magazynki.

Mężczyzna kiwnął głową i otworzył szufladę.

– Jeśli znikniesz i nigdy więcej tu nie wrócisz, dam ci lugera z dwoma magazynkami za dwa tysiące euro.

Nyberg spojrzał pytająco na broń. Mężczyzna skinął i sięgnął po magazynki. Nyberg wziął broń do ręki. Musiał przywołać w myślach człowieka, którym był dwadzieścia lat temu, by na nowo poczuć przyjemność z dotyku chłodnej stali. Zważył pistolet w dłoni i skinął głową.

– Nie może mnie zawieść – powiedział.

– Nie zawiedzie – skinął mężczyzna i uśmiechnął się pod nosem. – Dwa tysiące.

Gunnar Nyberg odliczył dwa tysiące euro i dostał magazynek

do ręki. Kiwnął głową w podziękowaniu i wyszedł. W restauracji zatrzymał się i usiadł przy jednym ze stolików. Barman spojrzał na niego podejrzliwie.

– Muszę coś zjeść – wyjaśnił.

Kolejne dwie godziny spędził przy stoliku. Czasem na chwilę przerywał rozmyślania i wtedy we wnętrzu sali widział wielkiego mężczyznę z wypchaną kieszenią, który przyglądał mu się z obojętną miną.

Nyberg wypił kieliszek wykwintnego chianti do doskonałego makaronu z cielęciną. Właśnie tego potrzebował. Poczul się jak włoski piłkarz przed meczem.

Bo było jasne, że czekał go właśnie mecz. Mecz z czasów zimnej wojny.

Rewanż.

Kiedy wyszedł na dwór, było całkiem ciemno. Tylko gdzieś na jakimś rogu słabym światłem migotała latarnia. Uliczki Wenecji były niemal puste.

Niebo, które widzi się tu tylko w przypominających układankę fragmentach, było usiane gwiazdami. Wielki Wóz migotał pod innym kątem niż zwykle. Pod innym kątem niż w Szwecji.

Zarzucił wyraźnie cięższy plecak na ramię i ruszył przed siebie. Uliczką w górę, uliczką w dół. Wciąż ani śladu Wayne'a Jenningsa.

Doszedł do niewielkiego rynku. Drzwi wejściowe do siedemnastowiecznego budynku wciąż były otwarte. Zakradł się na drugie piętro do gabinetu stomatologicznego, wyjął zestaw dłut i zabrał się do roboty. Potrzebował rozgrzewki, ale już po chwili usłyszał dobrze znane kliknięcie w zamku. Drzwi się uchyliły.

Tak naprawdę chętniej rozwaliliby je w drzazgi, ale co kraj, to obyczaj.

Mieszkanie było duże, musiało być idealną siedzibą główną Stasi w tamtych czasach. Teraz przyjmowało tu co najmniej trzech stomatologów. Minął dwa gabinety i wszedł do trzeciego. Wyjął miarękę i odmierzył dwa przecinek dwadzieścia cztery od framugi i jeden przecinek pięćdziesiąt trzy od

podłogi. Zrobił krzyżyk końcówką miarki i wyjął kilof. Najciszej, jak tylko potrafił, zaczął ostukiwać ścianę. Kerstin powiedziała: nieco ponad dziesięć centymetrów. Nie było wyboru: musiał kuć.

Ponieważ nie mógł zbyt głośno hałasować, potrzebował ponad pół godziny, żeby wyciągnąć rurkę. Znajdowała się jednak dokładnie tam, gdzie powinna. Za pomocą szerokiego noża udało mu się zdjąć z niej korek. Palcami delikatnie ujął poźółkłą kartkę, wysunął ją i ostrożnie wsunął do zewnętrznej kieszonki plecaka. Do wewnętrznej włożył kilof i miarkę, a potem wyjął latarkę i pistolet.

Załadował pierwszy magazynek, a drugi wsunął do prawej kieszeni starej wojskowej kurtki. W lewej kieszeni umieścił latarkę. Zabezpieczył pistolet i wcisnął go za spodnie z prawej strony. Z lewej wsunął szeroki nóż w pochwie.

Okręcił się w lewo i w prawo, by się upewnić, że nic go nie krępuje. Oczywiście pomijając fakt, że cała sytuacja była dosyć krępująca.

W tej samej sekundzie, w której w obudowie gazowego radiatora zobaczył zniekształcone odbicie Wayne'a Jenningsa, Gunnar Nyberg zrozumiał, że nie ma odwrotu.

Potruchtał przez chwilę w miejscu, rozciągnął zastawę ramiona, wykonał parę skrętów głową, przerzucił plecak przez ramię i wyszedł. Starannie zamknął za sobą drzwi i wyszedł na niewielki targ. Był pusty. Po Jenningsie nie było śladu. A mimo to wyczuwał jego obecność. Miał wrażenie obezwładniającej, wszechogarniającej mocy.

Nyberg ruszył w kierunku placu św. Marka. Szedł uliczkami po wschodniej stronie, przekroczył kilka mniejszych mostów i spojrzał w górę na niewzruszone sklepienie niebieskie.

Jedną przecnicę od placu św. Marka wziął głęboki oddech. Nocne weneckie powietrze pachniało życiem. Zaciągnął się jeszcze raz głęboko, wyjął latarkę z kieszeni i ruszył szybko przed siebie.

Przebiegł małą uliczkę prowadzącą w kierunku placu św. Marka i wybiegł prosto na niewielki plac budowy. Poświecił latarką po kolorowych taśmach i przecisnął się przez uchylone

drzwi w kamiennym portalu.

Znalazł się w piwnicach Pałacu Dozów. Światło latarki błędziło po ścianach długiego, ciasnego korytarza prowadzącego do więziennych cel. Biegał między tonącymi w zupełnych ciemnościach celami, oświetlając sobie drogę jedynie małą latarką. Gdzieś z tyłu głowy kołatały mu odgłosy jeszcze jednej pary nóg.

Wreszcie znalazł. Zaczaił się za otwartymi kamiennymi drzwiami, wyłączył latarkę i wstrzymał oddech.

Usłyszał kroki, choć nie było słyhać dźwięku. Zobaczył też światło latarki, jednak zupełnie innej niż ta, którą miał on sam. Skoncentrowana wiązka światła przypominająca laser. Zauważył ją jednak. Słyszał kroki. I dostrzegł postać.

Zaledwie dwa metry od siebie.

Gunnar Nyberg wstrzymał oddech.

Widział, jak wiązka światła mija go, muskając kamienne drzwi. Zobaczył, jak kieruje się w drugą stronę. W głąb celi.

I jak niknie w ciemnościach.

Ze wszystkich sił pchnął kamienne drzwi i zasunął zasuwę.

Osunął się i usiadł na ziemi, opierając się plecami o drzwi. Usłyszał dwa głucho kopnięcia ze środka i znów odetchnął. Lecz powietrze, które wdychał, nie niesło zapachu życia. Niosło zapach śmierci.

– Nieźle to sobie wymyśliłeś – odezwał się głos po szwedzku, ale z obcym akcentem. Dobiegał z drugiego korytarza, który dochodził pod kątem prostym do miejsca, gdzie siedział Nyberg. W ścianie tego korytarza znajdowało się zakratowane okienko.

Nyberg przesunął się bliżej i wyjrzał za róg. Przez zakratowane okienko błyskała wiązka światła, wędrując po ścianach.

– W zasadzie to klasyka – dodał głos po chwili. – Pamiętam ten numer z jakiejś szwedzkiej książki dla dzieci. Nie powinienem dać się nabrać. Starzeję się.

– Jennings – westchnął Nyberg. – Ja też się starzeję. Nie mieliśmy się już więcej spotkać.

– Nie, to nie tak. – Głos Jenningsa odbijał się echem po

kamiennych ścianach. – Pamiętasz chyba, że darowałem ci życie. Pod warunkiem, że wykasujesz mnie ze świadomości.

– Nie było łatwo – powiedział Nyberg.

– Domyślam się – powiedział Wayne Jennings. – Wciąż jednak dostaję nowe rozkazy. Nie mam nic do gadania.

Na kilka minut zrobiło się cicho.

– Chyba wiesz, że nie możesz pozwolić mi żyć? – odezwał się w końcu Wayne Jennings. – Znajdę cię.

Nyberg wyjął pistolet zza paska spodni i przyjrzał mu się. Jeszcze nigdy nie zabił. Zabijały takie aniołki jak Jan-Olov Hultin i Paul Hjelm, ale Nyberg – największy łobuz z Drużyny A – nigdy.

– Znajdę ciebie i Ludmilę – powiedział Jennings.

– Ty chcesz umrzeć! – wrzasnął Nyberg. – Chcesz, żebym cię zabił.

– Myślisz, że właśnie tego chcę, dlatego że to mówię? Przemyśl to.

Nie, pomyślał Nyberg, chcesz mnie sprowokować do nierozważnych ruchów. Patrzyłem w twoje lodowate, niebieskie oczy rekina, nie było w nich pragnienia śmierci. Woli życia też nie.

Ale powiedziałaś: „Przemyśl to”, więc może mimo wszystko chcesz zginąć.

– Pytanie tylko, jak to rozegrasz – odezwał się Jennings. – Jestem zamknięty, ale strzegę tego okna jak jastrzęb. Siedzę pod tą samą ścianą co ty, dzieli nas marne dwadzieścia centymetrów, ale żeby mnie zastrzelić, musisz spojrzeć w okno. A wtedy już nie żyjesz.

– Może ogłosimy remis? – powiedział z jakiegoś powodu Nyberg.

Wayne Jennings się roześmiał. Nyberg nigdy wcześniej nie słyszał jego śmiechu.

Śmiech rozszedł się echem po podziemiach Pałacu Dożów, budząc upiorne wspomnienia uśpione w kamiennych ścianach. Na koniec przeszedł w ryk dobiegający z otchłani historii świata Zachodu.

– W tej grze nie ma remisu – odezwał się Jennings.

– Racja – powiedział Nyberg. – Przegrałeś. Mam tę kartkę. Idę prosto na pocztę i wysyłam faks do Sztokholmu. Wyjdiesz stąd dopiero jutro.

– Znajdę cię.

– Po co? Żeby się zemścić? Czy to zgodne z regułami sztuki?

– Żeby sobie poprawić humor – odpowiedział Jennings.

Gunnar Nyberg siedział nieruchomo, zastanawiał się. Jak na jeden wakacyjny wieczór stanowczo przekroczył normę. To jednak nie wystarczyło. Musiał myśleć dalej. Musiał myśleć, jak najszybciej zabić.

Był tym już cholernie zmęczony.

Sięgnął do plecaka. Leżało w nim lustro Ludmily. Przysunął się ostrożnie do okienka i uniósł lustro. Przez krótką chwilę widział Wayne'a Jenningsa skulonego w rogu celi. Potem zobaczył, jak drgnęła mu ręka, i szybko opuścił lustro. Pocisk bezgłośnie przeciął powietrze obok Nyberga i wbił się w sklepienie tuż nad nim.

– Mogą być rykoszety – dobiegł go głos Jenningsa. – Uważaj.

Nyberg skulił się pod okienkiem. Coś w nim narastało. Zobaczył nieżywą Ludmilę. Zobaczył jej przestreloną głowę. Zobaczył jej mózg rozbryzgany przed wejściem do małego wiejskiego domku pod Wenecją.

Nie mam wyboru, pomyślał i podniósł pistolet w kierunku zakratowanego okienka.

Zacisnął mocno oczy.

Stałem się tobą, pomyślał.

Opróżnił pierwszy magazynek w kierunku, gdzie mógł znajdować się Jennings. Piwnice Pałacu Dożów wypełnił rozzwierający ryk, który ranił uszy.

Kiedy echo ucichło, zapadła głucha cisza.

Serce Gunnara Nyberga biło tak, jakby za chwilę miało eksplodować.

Chryste, co ja zrobiłem?

Cisza.

Po chwili znów uniósł lustro w światło okna. Jennings leżał w kącie. Obok niego leżał pistolet z tłumikiem. Nie było jednak widać krwi.

– Jennings? – zawołał Nyberg. – Żyjesz?

Cisza. Zapamiętał pozycję, w jakiej leżał Jennings, i zaczął.

Pięć minut, potem dziesięć. Uniósł lusterko. Czy leżał w tym samym miejscu? Nie wiedział, nie miał stuprocentowej pewności.

Wyjął z lugera opróżniony magazynek i załadował drugi.

– Będę znów strzelać, Wayne – powiedział. – Ostrzegam.

Tak zrobił.

Tym razem huk strzałów nie brzmiał tak przerażająco. Ponure sklepienie nabrało łagodniejszego, niemal domowego charakteru.

Do wszystkiego można się przyzwyczać.

Tym razem w lusterku dostrzegł czerwony otwór pośrodku klatki piersiowej Jenningsa. I kolejny na środku czoła. Nie było wątpliwości. Gunnar Nyberg zabił Wayne'a Jenningsa.

Mimo to zaczął jeszcze kwadrans.

Piętnaście minut, o których nigdy i z nikim do końca swojego życia nie miał rozmawiać. Była to najciemniejsza rysa na jego życiu i miała mu towarzyszyć aż do grobu. Była przeznaczona robakom na pożarcie, nikt inny nie wyjaśni jej pochodzenia.

Znów podniósł lusterko. Jennings leżał dokładnie w tej samej pozycji.

Jak zastygła w kamieniu skamielina.

Gunnar Nyberg opuścił rękę i rozplakał się.

– Ty diable! – krzyknął. – Co ze mną zrobisz?

W CENTRUM DOWODZENIA sobota przeszła w niedzielę. Opróżnili lodówkę i szafki w kuchni, a Sara Svenhagen zaparzyła kawę. Udało im się zaspokoić największy głód.

Choć nie cały.

Pośrodku sali konferencyjnej, która niespodziewanie zasłużyła sobie na swoją ironiczną nazwę, siedział wielki, posiniaczony, trzydziestoletni mężczyzna, a obok niższy, dystygowany, na oko pięćdziesięcioletni. Władimir Kuwaldin i Andreas Becker.

I jeszcze większość członków Drużyny A z kilkoma przyległościami.

Czekali.

Czekali na faks z Wenecji.

Najpierw jednak zadzwonił telefon. Połączenie było dosyć słabe, jakby Gunnar Nyberg dzwonił z wnętrza jakiegoś pomieszczenia. Kerstin Holm przełączyła na tryb głośnomówiący i głos Nyberga rozległ się w całym pomieszczeniu. Był mocno stłumiony, choć trudno było ocenić, czy brało się to z jakości połączenia, czy z samego Nyberga.

– Już po wszystkim – powiedział.

– Dobrze poszło? – zapytała Kerstin Holm z walącym sercem.

– Już po wszystkim – powtórzył Nyberg i tym razem trudno było ocenić, czy tylko dlatego, że nie usłyszał pytania.

– Dobrze się czujesz? – spróbowała Kerstin.

– Nie – powiedział Nyberg. – Za kilka minut prześlę wam faksem tę cholerną kartkę. Mam nadzieję, że kiedyś mi wyjaśnicie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Bardzo ci dziękuję, Gunnar – powiedziała Kerstin. – Dobra robota.

– Mmm – mruknął Nyberg. – Ale nie będę tu, kurwa, mieszkać.

– Co?

– Zamieszkamy na Chios. Już postanowione.

I rozłączył się.

Zebrani spojrzeli po sobie i pokiwali głowami. Nie wybuchnęli radością, ale widać było, że wszyscy się uspokoiili. Pierwszy odezwał się Andreas Becker:

– Znam to.

– Co? – zapytała Kerstin Holm.

– Ten głos – powiedział Becker. – Zabił. To głos zwycięzcy. Z każdą wygraną coś w człowieku umiera. Strasznie jest wygrywać.

– A co dopiero przegrywać – wtrącił Paul Hjelm.

– Racja – powiedział Becker.

Przez chwilę było cicho. Potem znów odezwał się Becker:

– Władimir ma przyjaciela w Wołgogradzie. Nazywa się Aleksandr. Jest gotów.

– Wołgogradzie? – zdziwił się Viggo Norlander.

Andreas Becker uśmiechnął się pod nosem.

– Tak się teraz nazywa Stalingrad – odpowiedział. – To całkiem nowe miasto.

– Aleksandr jest gotów – powtórzyła Kerstin Holm. – Dlaczego ten twój Aleksandr miałby nie sprzedać notesu za grubą kasę, gdy tylko go znajdzie?

– Bo jest przyjacielem Władimira. – Andreas Becker zmarszczył nos. – Prawdziwym przyjacielem.

Władimir powiedział coś po rosyjsku.

– Pyta, czy może zapalić – przetłumaczył Becker.

Kerstin Holm się roześmiała.

– Wolno mu wejść do centrum dowodzenia z pistoletem przystawionym do głowy wysokiego rangą funkcjonariusza, ale nie może zapalić. Jakie to szwedzkie.

– Sobranie? – zaśmiał się Arto Söderstedt.

– Da – powiedział Władimir Kuwaldin i zapalił papierosa, a jego zmaltretowana twarz wykrzywiła się w czymś, co można było uznać za uśmiech.

W tym samym momencie włączył się faks.

Drukowanie nie zajęło dużo czasu. Wysunęła się jedna kartka zapisana niezrozumiałymi znakami. Jedna, ale drogo okupiona.

– Aha – powiedziała Kerstin Holm, spoglądając na kartkę. – Czy możemy zrobić z tego slajd? Jon?

– Już się robi – powiedział Jon Anderson i zniknął.

Andreas Becker wskazał dwuwarstwowy obraz wyświetlony na ścianie i powiedział:

– Mam nadzieję, że to coś w dole, po prawej, to budynek.

Spojrzeli w miejsce, gdzie gęstniały kreski i zawijasy.

– Zobaczymy – powiedziała Kerstin Holm.

Jon Anderson wrócił ze świeżo wydrukowaną folią, którą bez zbędnej zwłoki wsunął na wierzch do aparatu. Dopasował folie tak, żeby znaki na wszystkich trzech nałożyły się na siebie.

– No proszę – powiedział Andreas Becker. – To rzeczywiście jest budynek. I jeśli się nie mylę, nie potrzebujemy nawet reszty mapy. Prawda, że to młyn?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Kerstin Holm.

– To jeden z nielicznych budynków zachowanych w Wołgogradzie. Pamiątka po dawnym Stalingradzie. Wybrali odpowiedni budynek. Maksim Kuwaldin domyślił się, że stary młyn ocaleje. Znał swoich pobratymców.

– Na wysokości drugiego piętra jest krzyżyk – zauważył Arto Söderstedt. – Chyba w ścianie.

Andreas Becker się roześmiał.

– Wiele rzeczy chowa się w ścianach – powiedział i złapał się za pasek.

Viggo Norlander, którego posadzono na straży arsenału broni, zerwał się w kierunku katedry.

– Spokojnie – powiedział Becker, unosząc dłoń, i wyjął zza paska niewielki telefon komórkowy. – Dużo rzeczy można ukryć.

Podał go Paulowi Hjelmowi, który ku swojemu zaskoczeniu przyglądał mu się dokładnie przez dłuższą chwilę. Nie żeby wiedział, czego w nim szuka...

– Jest zabezpieczony przed podsłuchem – podpowiedział Becker. – Planowałem zadzwonić z niego do Wołgogradu.

– Nie mówimy po rosyjsku – odezwała się Kerstin Holm. – Nie zrozumiemy, co powiesz.

– W takiej grupie jak wasza powinien być ktoś, kto zna

rosyjski – zauważył Andreas Becker. – Ale spokojnie, Aleksandr mówi po angielsku.

Hjelm oddał telefon i Becker wybrał numer na klawiaturze.

– Aleksandr – usłyszeli. Widocznie telefon był ustawiony na tryb głośnomówiący.

– *Hello, Aleksandr, it's Andreas Becker.*

– *I've been waiting all night* – odpowiedział głos w słuchawce.

– Wiem – powiedział Becker. – Potrzebowaliśmy trochę więcej czasu. Czy możesz iść do starego młyna? Wpuszczą cię o tej porze?

– Bez problemu – powiedział Aleksandr. – Jest otwarty. Zadzwoń za dziesięć minut.

Becker się rozłączył. Hjelm i Holm spojrzeli po sobie.

– Tak naprawdę nie mamy pewności, do kogo dzwonisz – zauważył Paul Hjelm. – Skąd mamy wiedzieć, że nas nie wrabiasz?

– Czasem trzeba po prostu zaufać bliźniemu – odpowiedział Andreas Becker.

– A ty nim jesteś? – zapytał Paul Hjelm bez ogródek.

– Dobrze pytanie – zastanowił się Becker. – Macie tutaj numer. Kierunkowy do Rosji, dalej kierunkowy do Wołogradu.

Podał komórkę Holm, która przekazała ją Chavezowi. Podszedł z nią do laptopa stojącego na katedrze i wpisał numer na klawiaturze.

– Zgadza się. Rosja, Wołograd i niejaki Aleksandr Malcew – powiedział po chwili.

– Malcew? – zdziwił się Norlander. – Ten hokeista?

– Ten sam – powiedział Becker bez większego zainteresowania.

– NRD nigdy nie było dobre w hokeja – powiedział Norlander. – W tym nie pomogą żadne sterydy.

Chavez oddał telefon i Becker wybrał inny numer.

– Komórka Aleksandra – dodał, wybierając numer.

– Jestem już w środku – powiedział głos, który słyszeli dziesięć minut wcześniej.

– Idź na drugie piętro – powiedział Becker. – Trzeci pokój po lewej, patrząc od wejścia głównego.

– Chwileczkę – powiedział Aleksandr Malcew, jego głos zniknął na jakąś minutę, po czym odezwał się znowu, nieco zdyszany. – Okej, to musi być ten pokój. Niezły burdel. Zaczekaj chwilę. Dobra, jestem w środku. Kupa śmieci.

– Wygląda na to, że powinieneś dostać się do miejsca na lewej ścianie od wejścia, dwa metry w głąb pokoju. Metr nad podłogą. Widzisz tam jakąś szczelinę?

– Nie – odpowiedział Aleksandr. – Zaczekaj.

Czekali. Czekali całe centrum dowodzenia.

– Zawsze jest jakaś szczelina – powiedział Andreas Becker, uśmiechając się do siebie.

– Szpiegowskie gadanie – skomentował Aleksandr. – No dobra, rzeczywiście jest tu jakaś szczelina. Zaczekaj.

To był ten moment. Paul Hjelm spróbował sobie wyobrazić, jak układają się myśli zebranych w centrum dowodzenia. Co mogło im się wydawać prawdopodobne. Jak daleko sięgały ich myśli.

– Jest tu jakaś książka – powiedział Aleksandr. – Jakiś stary notes.

– Jak wygląda okładka? – zapytał Becker i pogłodził starą okładkę dziennika.

– Wygląda jak stara brązowa cerata – powiedział Aleksandr. – Otwieram.

– Tak – powiedział Andreas Becker i zamknął oczy. – Już czas.

Przez chwilę było cicho.

Zupełnie cicho.

Wszędzie.

Jakby świat wstrzymał oddech.

Pierwszy odezwał się Aleksandr Malcew z Wołgogradu:

– Ktoś wyrwał kartki.

Andreas Becker powoli otworzył oczy, wstał i krzyknął:

– Co?!

– Nie ma w nim kartek – powiedział Aleksandr. – Musiały zostać wypalone.

– Wypalone?

– Cały papier w Stalingradzie poszedł z dymem. Skręcało się papierosy z każdego kawałka papieru, który wpadał w ręce.

– Ani jednej strony? – jęknął Andreas Becker i opadł ciężko na krzesło.

– Został fragment ostatniej – odpowiedział Aleksandr. – Coś tu jest napisane. Zaczekaj.

Czekali.

Po chwili znów usłyszeli głos Aleksandra.

– Tu jest napisane: „Maksim Kuwaldin i Hans Eichelberger”.

– Nic więcej?

– To wszystko – powiedział Aleksandr.

Andreas Becker rozłączył się i zapadł się w siebie.

– Poszła z dymem – powiedział. – Żołnierze w Stalingradzie wypalili naszą przyszłość.

Niewiele dało się w tej sytuacji powiedzieć.

– Próbowałem – westchnął Becker. – Teraz możecie mnie zamknąć.

Kerstin Holm spojrzała na Paula Hjelm. Spojrzała na Arto Söderstedta i Sarę Svenhagen. Spojrzała na Jorge Chaveza i Lenę Lindberg. Spojrzała na Niklasa Grundströma, na Jona Andersona i Viggo Norlandera. I jeszcze na Władimira Kuwaldina i Andreasa Beckera.

Mimo wszystko warto było spróbować.

– Zaprowadzisz ich do aresztu, Viggo? – zapytała. – Weź jeszcze Lenę i Jona.

– Dobrze mnie zamknijcie – powtórzył Andreas Becker. – Pozwólcie mi w spokoju zamienić się w skamielinę.

Wyszli.

– No cóż – powiedziała Kerstin Holm. – Czy naprawdę mogło nam się udać? Czy słusznie postąpiliśmy?

Paul, Jorge, Arto, Sara, Niklas – czy dobrze zrobiłam?

Choć tego ostatniego nie powiedziała.

– Trudno powiedzieć – powiedział Paul Hjelm.

– Oczywiście, że słusznie – powiedział Arto Söderstedt. – Ale to nie zawsze wystarcza.

Zaczekali na Viggo, Lenę i Jona. Jeszcze przez chwilę siedzieli

razem.

Potem się rozeszli.

Była już niedziela rano.

W NIEDZIELĘ PAUL HJELM spacerował po Sztokholmie. Błądził bez celu. Próbował poukładać sobie to, co się stało. W jego głowie ciągle rozbrzmiewało *Requiem* Mozarta.

Requiem aeternam dona eis, Domine; et lux perpetua luceat eis.

Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci.

Potrzeba nadludzkiej siły, by zmienić przeszłość.

Być może łatwiej jest zmienić przyszłość.

Rozpoczął się czwarty dzień wojny w Iraku.

Bomby spadły na Bagdad. Pola naftowe stały w płomieniach.

Andreas Becker, nagle zbudzona ze snu skamielina, znów zapadł w sen. Pięć zabójstw z pewnością oznaczałoby dożywocie. I to bez uwzględniania tych z przeszłości.

Władimir Kuwaldin nie musiał długo siedzieć. Miał nadzieję, że do tego czasu zagoją mu się rany.

Choć pewnie nie.

A Sven Fischer wyszedł na wolność.

To nie była długa sprawa, pomyślał Paul Hjelm. Nawet całkiem krótka. Zaledwie kilka dni u początków wojny w Iraku, w odległym miejscu, gdzie zwykle niewiele się działo.

Paul Hjelm nie był do końca pewien, co czuje.

Nagle pośrodku Hamngatan, przed galerią handlową NK, dostrzegł w tłumie ludzi dobrze znaną jasnowłosą postać. Szła prosto w jego kierunku.

Cilla i Paul Hjelm stanęli naprzeciwko siebie. Spojrzeli na siebie zaskoczeni. Jakby wbrew woli znaleźli się w przeszłości, która już do nich nie należała.

Po chwili Cilla pochyliła się do przodu i przytuliła go. Zanim zdążył ją objąć, odsunęła się.

Odeszła bez słowa.

Uniosła dłoń na pożegnanie.

To było ostateczne pożegnanie.

I zniknęła.

Paul Hjelm stał w miejscu. Był najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.

NAD WODAMI CIEŚNINY oddzielającej Grecję od Turcji świeciło mocne słońce. Woda połyskiwała o wiele bardziej niż na widokówce. Tuż pod dnem znajdowały się jedne z ostatnich niewykorzystanych złóż ropy na świecie. Wojny między Grekami a Turkami uniemożliwiły ich wydobycie.

Teraz jednak panował pokój.

Gunnar Nyberg miał nadzieję, że pozostaną nietknięte.

Również dlatego, że tu zamieszkali. I dlatego, że razem z Ludmiłą kupili tutaj mały dom.

Siedział na krawędzi urwiska i patrzył na cieśninę. Na Chios czuł się jak u siebie w domu. Na tyle, na ile w ogóle było to teraz możliwe.

Zabił. W imię czego?

Nie tylko zabił, ale dokonał egzekucji.

Czy miał jakiś wybór? Do tego się to sprowadzało. Wybrał pomiędzy Ludmiłą Lundkvist a Wayne'em Jenningsem. I wybrał dobrze.

Już nigdy jednak nie poczuje się dobrze sam ze sobą.

Obejrzał się za siebie i spojrział na niewielki dom, a potem dalej, na koronę góry. Przypomniała mu się masakra na Chios. Myślał o rzece uchodźców wdrapujących się po zboczach tylko po to, żeby z własnej woli rzucić się w przepaść i zabarwić ujście rzeki na czerwono.

Przez krótką chwilę morze przed oczami Gunnara Nyberga miało czerwony kolor.

Potem przyszła Ludmiła i usiadła obok niego. Siedzieli razem w trawie i patrzyli na cieśninę. Błękitna woda połyskiwała w słońcu. Bardziej niż na najpiękniejszej widokówce.

Położyła dłoń na jego piersi. Czuł, jak bicie serca rozchodzi się po jej dłoni.

Biło w nich jedno serce.

Popchnęła go do tyłu, położyła plecami na trawie i zaczęła powoli rozpinać mu koszulę.

Gdy usłyszał jej głos, pomyślał, że jest u siebie, mimo wszystko.

– Przejdź mnie, moja ty wielka lokomotywo.

I niebo zaszło błękitem.

NIEDZIELA, 11 PAŹDZIERNIKA 1942 R., GODZ. 20.12

Pozwolili mi pisać. To moje ostatnie słowa. Tak już musi być. Jestem spokojny.

Niewielki pluton egzekucyjny jest już gotowy. Muszą tylko skończyć jeść. Pilnuje ich Zajcew. Czasem patrzy w naszą stronę, ale z nami nie rozmawia. Czeka niecierpliwie, aż skończę pisać dziennik, żeby mógł go włożyć do koperty i wysłać do syna Maksima, Fiodora, do Moskwy. Mam nadzieję, że Zajcew kiedyś zrozumie znaczenie tego, co zrobił.

Umieram spokojny, że druga połowa naszego wieku będzie inna.

Ludzie rozumieją, jaką cenę płaci świat za paliwa kopalne. Już nigdy gospodarka światowa nie będzie się opierać wyłącznie na ropie. Damy światu prawdziwą alternatywę.

Spoglądam na Maksima. Uśmiecha się do mnie. Widzę, że czuje to samo co ja. Że ten dar, który dostaliśmy od ciebie, Boże, w którego nie wierzę, nareszcie wykorzystaliśmy. Daliśmy światu dar nadziei.

Wiem, że zostanie dobrze przyjęty.

Świat zasługuje na błękitne niebo.

Odchodzę, Boże, w którego nie wierzę, i opuszczam cię, synu, którego nigdy nie zobaczę. Wciąż wydaje mi się, że masz na imię Achim. Nie wiem dlaczego.

Opuszczam was wszystkich.

I cokolwiek by o mnie mówić, coś po sobie zostawiłem.

Uśmiecham się do Maksima.

W tym uśmiechu jest wiara w przyszłość.

Patrol egzekucyjny skończył jeść i powoli wstaje od stołu. Za chwilę postawię kropkę i przekażę ten dziennik przyszłym pokoleniom.

Wiem, że będziecie o niego dbać.

„Msza żałobna” Arnego Dahla to siódma już część cyklu o jednostce specjalnej policji do zwalczania przestępczości międzynarodowej, zwanej Drużyną A.

Pewnego dnia była żona jednego z członków Drużyny A udaje się do banku, aby załatwić kilka naglących spraw. Da to początek zaskakującym wydarzeniom, które sprawią, że nic już nie będzie dla niej takie, jak było...

Książka należy do składającej się z 10 części serii o Drużynie A, która sprzedała się dotąd w liczbie dwóch milionów egzemplarzy.

ARNE DAHL jest z zawodu literaturoznawcą. Pracuje dla Akademii Szwedzkiej, przyznającej corocznie literacką nagrodę Nobla. Zadebiutował w 1990 r. powieścią *Chiosmassakern*. Pod własnym nazwiskiem opublikował trzy książki. Jest redaktorem czasopisma *Aiolos*, pracuje także jako recenzent w gazecie *Dagens Nyheter*.

Dużą popularność w Szwecji oraz za granicą zdobył jako **Arne Dahl** cyklem powieści kryminalnych o tzw. Zespole A, specjalnej jednostce szwedzkiej policji, przeznaczonej do walki z przestępstwami o zasięgu międzynarodowym. Książki cyklu tłumaczone były na wiele języków (M.in. na inne języki skandynawskie, na niemiecki, angielski, włoski, hiszpański, francuski). Głównymi bohaterami cyklu są członkowie Zespołu A, Paul Hjelm, Kerstin Holm oraz Arto Söderstedt.

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Patronat:



Cena: 34,90 zł

ISBN: 9788375545159



9 788375 545364

Ali-Baba